

# Manuel Vázquez Montalbán

## Ptaki Bangkoku

Przełożył Maciej Ziętara

Tytuł oryginału: Los pájaros de Bangkok

Wydanie oryginalne 1983

Wydanie polskie 2000

Autor usiłuje wyjaśnić sprawę morderstwa pięknej Celi Mataix w Barcelonie oraz podąża do Tajlandii i Malezji śladem znajdującej się w niebezpieczeństwie swej przyjaciółki, Teresy Marsé. Bogaci turyści z Zachodu znajdują w Bangkoku prawdziwy raj rozrywki, wykwintne restauracje, fachowe usługi niezliczonych domów relaksu, oszałamiające barwami i aromatami pływające targi.

\* \* \*

Oriolowi Regasowi, który po raz pierwszy otworzył przede mną wrota Azji, oraz Javiertowi Nartowi i Martinowi Capdevili, którzy otworzyli przede mną kufer swoich wspomnień.

Przypadek ryby ceratia - jednego z gatunków diabła morskiego - jest być może najbardziej anormalny. Młody samczyk ceratia, piętnaście lub dwadzieścia razy mniejszy od samicy, mierzącej około metra, przyczepia się do niej z boku lub z przodu, gryzie ją, i od tego ugryzienia będzie zależeć jego przyszłość. Od tej chwili znajduje się w pułapce: nigdy już nie będzie mógł odłączyć się od swojej towarzyszkii, jego pysk został złączony z obcą tkanką. Samczyk ceratia nie będzie mógł oderwać się od samicy, o ile nie rozerwie własnego ciała. Jego pysk, szczeka, zęby, przewód pokarmowy, skrzela, płetwy, a nawet serce ulegną stopniowej degeneracji. Zredukowany do pasożytniczej egzystencji, będzie już tylko czymś w rodzaju dodatkowego organu, ukrytego pod postacią małej ryby, jego życie będzie zależne od poziomu hormonów samicy, z którą jest połączony poprzez naczynia krwionośne.

Samica ceratia może nosić na swoim ciele nawet trzy lub cztery pigmejskie samczyki.

Jean Rostand, Bestiarium miłosne

Poczuła nagle, że ta kobieta jej przeszkadza. Chciała zostać sama, wyciągnąć się wygodnie na czystej pościeli, pozbyć się bólu, który narastał w jej głowie jak gęstniejący sos. Chciała pomyśleć o kilku rzeczach, które zdarzyły się tej nocy, zapomnieć o tylu innych, które bez wątpienia wydarzą się jutro. Może lepiej milczeć, kiedy tamta przestanie mówić. Może wytłumaczy sobie moje milczenie jako znak, żeby zostawiła mnie w spokoju, żeby już sobie poszła. Ale wcześniej musi sprawić, żeby ta druga cofnęła rękę, która oplatała jej ramię jak żmija; lepka dłoń, która czasem pieściła jej szyję, a czasem opadała w przepaść, muskając czubek piersi. Monolog był nieprzerwany. Kobieta nie opowiadała już o problemach innych ludzi, o bohaterach niedawno zakończonego przyjęcia, ale o własnych kłopotach.

- Problemy kobiet. Tylko my je rozumiemy.

Powiedziała, jak się nazywa? Głupawe powiedzonko: jak się nazywa? Nie mogła przerwać jej, zapytać: jak masz na imię?, bo przecież chwilę wcześniej poprosiła ją, żeby została, sama doprowadziła do tej sytuacji, wytrzymała jej spojrzenie i szepnęła: „może zostaniesz?”, tak, żeby wszyscy to słyszeli, chciała, żeby już wyszli, szepcząc między sobą, plotkując do woli na ulicy, Celia przekroczyła Rubikon, taka ładna, a jest lesbijką, powiedział pewnie sfrustrowany Dalmases, a ja

myślałem, że jej przygoda z Donato to była tylko zabawa. A sama Rosa Donato, wściekła i wzgardzona, patrzyła w stronę światła na poddaszu, wyobrażając sobie, co mogło się dzieć między Celią i... jak się nazywa? Celia wykorzystała przerwę w monologu kobiety, zerwała się z miejsca, podniosła rękę do ust, powstrzymując krzyk.

- Zostawiłam butelkę szampana w zamrażalniku!

Wybiegła z pokoju, jej piersi zatańczyły pod luźnym swetrem, złote włosy zniknęły jak spadająca gwiazda. Kobieta podniosła siedzenie z kanapy, zaskoczona nagłą ucieczką. Wahala się, nie wiedziała, czy pobiec za uciekiniarką, czy zostać na kanapie, w końcu wybrała to drugie. Oddychała głęboko, ciesząc się tak długo oczekiwaną nocą, przyglądała się meblom i ścianom, przyznając im właściwe miejsce w raju przyjemności, którego miała dostąpić. Jak tylko wejdzie, muszę zrobić na niej wrażenie, całkowicie ją rozbroić. Spojrzała na zegarek, idealna pora, wpół do trzeciej, za chwilę byłaby zmęczona, a wcześniej zbyt niecierpliwa, najlepsza pora, żeby kochać się z kobietą, której od tak dawna pragnęła. Ułożyła odpowiednie zdanie. Czekala, aż dziewczyna o złocistym ciele wyjdzie z kuchni i zbliży się do niej, wiotka jak rozkwitające dziewczę, choć w rzeczywistości różnica wieku jest niewielka, ale istnieją ciała wybrane przez młodość i ciała, które należą do ziemi, jak kamienie i krzewy. Powiem jej: dlaczego wybrałaś właśnie mnie? Powiem jej: od tyłu miesiący czekałam na tę chwilę, odkąd zobaczyłam cię w Pałacu de la Musica, gdy poznałam cię przez Sociasa. Chociaż pamiętam cię jeszcze z dawnych czasów. Nie uwierzysz. Z czasów uniwersytetu. Tak, uniwersytetu. Studiowałaś rok niżej ode mnie, nie rozdzielili jeszcze wtedy wydziałów prawa i literatury, to był chyba ostatni rok, kiedy wszyscy byliśmy razem na starym uniwersytecie. Patrzyłam na ciebie z dolnego dziedzińca i prawie mogłam czuć twój zapach. Nie śmieję się. Twoje ciało od razu można poznać po zapachu. Ale dialog był niemożliwy, bo Celia nie wracała.

- Celia? Jesteś tam? Coś się stało?

W końcu podniosła tyłek z sofy i poszła na rozkraczonych nogach w stronę kuchni, usiłując odkleić spodnie od pośladków i pachwin, za dużo ciała jak na takie spodnie, pomyślała. Próbowała rozluźnić się, by z całkowitą swobodą wkroczyć do kuchni. Oparła łokieć na framudze drzwi i obserwowała spektakl. Celia siedziała przy stole, zdawała się kontemplować z zachwytem butelkę szampana, ozdobioną szronem, topniejącym w blasku lampy. Włosy opadały jej teraz na czoło i nos, i nie wiadomo było, czy patrzy nieruchomym wzrokiem na przemiany butelki, czy na swoją własną czuprynę. Kobieta stojąca w drzwiach uśmiechnęła się czule, jej twarde rysy złagodniały.

- Mogę ci w czymś pomóc?

Kobieta o złocistych włosach wzdygnęła się i jej oczy spojrzały z niecierpliwością na intruzkę.

- Po prostu jestem zmęczona.

Wybrała najbardziej neutralny ton głosu, by nie obrazić swojego gościa, a zarazem dać do zrozumienia, że noc dobiegła końca. Ale ta druga wciąż się uśmiechała, podeszła do Celi, przystanąła za jej plecami, zaczęła pieścić złote włosy, z początku ostrożnie, później jej palce przemieniły się w pługi, złobiące bruzdy w gęstwinie włosów, wreszcie dotknęły skóry, przesyłając sygnał pożądania. Celia potrząsnęła głową, by pozbyć się natrętnych, lepkich palców.

- Daj spokój.

- Przeszkadzam?

- To boli.

I nie odwróciła głowy. Idź sobie, idiotko, idź sobie, zanim będę ci to musiała powiedzieć.

- Poczułam się bardzo szczęśliwa, kiedy poprosiłaś mnie, żebym została.

- Tak naprawdę to nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Jestem zmęczona.

- Przez całą wieczór wiele sobie powiedziałyśmy.

- Możliwe. Mówiłaś inteligentne rzeczy, a ja lubię inteligentnych ludzi.

- Od dawna czekałam na tę chwilę.

- Co?

Celia odwraca głowę, marszczy czoło, zirytowana całą sytuacją, i nagle twarde wargi kobiety zbliżają się do jej ust, próbują je zdobyć, otworzyć zimnym jak lancet językiem.

- Możesz się uspokoić?

Celia wstaje, wykorzystuje moment zaskoczenia, przestawia butelkę na stole, układa jakieś rzeczy, udaje, że musi uporządkować pozostałości niezbyt udanego przyjęcia.

- Lepiej będzie, jak sobie pójdziesz!

Ta druga przełyka ślinę. Pod wpływem słów Celi jej ciało znów staje się ciężkie i rozpycha wąskie spodnie. Kobieta znów obawia się, że może nie podobać się Celi.

- Nie rozumiem cię.
- Nie jesteś na tyle bystra? Tak trudno to zrozumieć?

I Celia wybuchła, przejmując inicjatywę, próbując zagłuszyć nieczyste sumienie, pozbyć się uczucia zażenowania.

- Chcę, żebyś sobie poszła. Właśnie tak. Chcę-zos-tać-sa-ma. Zrozumiałaś?
- Przecież powiedziałaś, że bym została.
- Nie wiem, co mi strzeliło do głowy.
- Pomogę ci, jeśli chcesz.
- Nie potrzebuję twojej pomocy! Nie chcę cię tu widzieć!

Ta druga czuje całą siłę przyciągania ziemskiego, jaką może poczuć ludzkie ciało. Stoi na rozwartych nogach, zbyt słaba, by unieść ciężar pogardy.

- Nie mów tak do mnie. Powiedziałaś, że bym została, bo chciałaś dać im powód do zazdrości. Chciałaś podroczyć się z tym kretyńcem Dalmasesem i tą dziwką Rosą.

- Nie obrażaj moich przyjaciół.
- Za kogo ty się masz? Myślisz, że możesz mnie oszukać?

Nagle dłoń kobiety chwytła wełniany sweter Celi, staje się dziwacznym przedmiotem, który Celia obserwuje z lękiem, a ta druga ze zdumieniem. Ale zaraz przychodzi ślepy impuls, ręka ciągnie i rozrywa sweter, odsłaniając różową, ciepłą skórę, sutek, który pojawia się i znika, zgodnie z nieregularnym oddechem przestraszonego zwierzęcia.

- Nie złość się. Jutro wszystko wyjaśnimy.
- Jak to „nie złość się”? Wiesz, co ty zrobiła, suko?

Dwa ciosy spadają na piękne policzki, okrywając je rumieńcem. Uderzenia prowokują Celię do ślepego ataku, ale niezdarne ruchy nie powstrzymują tej drugiej, która wymierza następne ciosy.

- Jesteś wstrętna! Nie mogę na ciebie patrzeć! Jesteś chłopem, obrzydliwym chłopobabem!

Ta druga bije na oślep i skrzyżowane ramiona Celi nie mogą powstrzymać uderzeń, naładowanych nienawiścią i wolą zniszczenia. Butelka przecina powietrze i umiera, roztrzaskując drobną głowę. Złote włosy, splamione krwią, są teraz gładkie, bezbarwne. Jak włosy zniszczonej lalki.

- Dwadzieścia razy mówiłem sobie: zapytasz, jak się nazywają te ptaki, i w końcu nigdy nie zapytałem. Ale mówię ci, to były tysiące, miliony ptaków, siedziały na drutach, o zmierzchu, rywalizując z hałasem Bangkoku, a ich śpiew był wesoły albo rozpaczliwy, zależnie od tego, czy byłes wtedy wesoły czy zrozpaczony.

- A co te ptaki robiły na drutach, szefie? Dżungla jest przecież blisko. Lepiej im jest na drutach niż na drzewach? Nic z tego nie rozumiem. Nasze ptaki są inne. Jak mają drzewa, to nie pchają się do miasta. Nie są takie głupie.

Carvalho zaczął medytować nad refleksją Biscutera, która uniosła go aż do nieba, ciemnego nieba nad Ramblas, jak gdyby oglądał niebo Bangkoku, stojąc w drzwiach „Dusit Thani”. Znów przeczytał telegram leżący na stole, papierowy samolocik, roztrzaskany na kawałki.

*„Bangkok jest gówniany. W Bangkoku znalazłam moją miłość.  
Teresa”.*

Teresa Marsé przysłała już trzy telegramy od czasu, gdy rozpoczęła odkrywanie Azji, lecąc do Singapuru czarterowym samolotem, wynajętym przez miejscowy klub. Z Singapuru detektyw dostał cytat z Somerseta Maughama, odkryty w parku Raffles na rozchwianym stoliku, który oświetlają szklanki Singapur Sling. Z Dżakarty - ożywcze przesłanie na cześć Binga Crosby'ego, Boba Hope'a i Dorothy Lamour:

*„W drodze na Bali.  
Teresa”.*

Teraz zaś, powróciwszy do domu z Mórz Południowych, Teresa Marsé była w Bangkoku, mogła oglądać na własne oczy, jak kobiety grają cirką w ping-ponga, a dzieci srają do błotnistych wód Khlong Dank, tuż obok pływającego targu.

- Niech pan mi coś opowie o Bangkoku, szefie. Ładnie tam jest?

- Wyobraź sobie miasto, które gnije. Nowoczesną część niszczą ludzie, a miasto na rzece tonie w gównie. Tak było parę lat temu, Biscuter. I tyle.

„I tyle” oznaczało, że rozmowa była zakończona. Biscuter zostawił Caryalha, by ten mógł w spokoju sycić się widokiem Ramblas. Singapur Sling, szeptały wargi detektywa, jak gdyby wypowiadały akt strzelisty.

- A te pagody, szefie? - krzyknął z kuchni Biscuter.

- Nazywają się wats. Wyglądają jak walencjańskie fallas<sup>1</sup>, ale nie można ich spalić.

- Nie lubi pan fallas, szefie?

- Lubię, ale tylko dlatego, że później je palą.

Singapur Sling. Sok z cytryny, koniak, dżin, lód, woda sodowa, jeżeli ktoś lubi, na ramionach czuje się przygniatającą wilgoć, która okrywa Singapur jak klosz do sera, na przykład delikatnego sera kolonialnego Raffles; z Singapuru wyjechali już imperialni Anglicy, zastąpiły ich małżeństwa europejskich sklepikarzy, uprzedzonych przez agencje turystyczne, że w tym hotelu pewien bardzo ważny pisarz angielski nabawił się marskości wątroby. Telefon z Azji, powiedział sobie Carvalho, gdy zimny prąd przebiegł mu po grzbiecie, choć kalendarz Caixa d'Estalvis<sup>2</sup> wciąż wskazywał październik.

- Będzie padać - powiedział Carvalho, na głos albo szeptem, przed lub po uderzeniu pierwszego gromu; posążek z Pitarry, pełniący rolę przycisku, rozbłysnął nagle, jak gdyby został poruszony. Na Ramblas krople deszczu próbowały przyspilić do ziemi przechodniów, którzy przyspieszali kroku i osłaniali głowy gazetami.

- Przyszły katalońskie monsuny.

Dni robią się coraz krótsze, pomyślał z oburzeniem, jak gdyby ktoś chciał ukraść mu kawałek życia albo kawałek świata. Przyszła jesień, niedługo minie. Później zima. Założę sweter. Potem go zdejmę. Znowu wiosna. Ależ to głupie!

- Coś ma się wydarzyć, Biscuter, tylko nie pamiętam, co. Nie wiem, czy chodzi o mundial, czy o wizytę papieża.

- Mundial już był. A papież przyjeżdża pod koniec miesiąca.

- To mistrzostwa już były? Jesteś pewny?

- Całkowicie, szefie.

- Kto wygrał?

- Na pewno nie Barca, szefie.

Biscuter roześmiał się i uznał, że musi coś wyjaśnić.

- To był żart, szefie. Tak naprawdę to niedługo będą wybory. Carvalho zrobił kulkę z telegramu Teresy Marsé i wrzucił ją do kosza. Telegram, tkwiący teraz w przedpokoju śmierci, próbował zwrócić na siebie uwagę detektywa. Carvalho wyciągnął go, rozłożył i ponownie przeczytał. Zostawił papier na stole, a później włożył go do szuflady, którą zamknął ceremonialnym gestem. Dobra pora, żeby odwiedzić Azję, tym bardziej dla Europejczyka. Tropik jest obietnicą ciepła, gdy w Europie pada deszcz i śnieg, słońce zaszło za Morzem Egejskim, a północny wiatr porwał ze sobą najlepsze dni na Costa Brava.

Któregoś dnia Teresa zadzwoniła do niego:

- Mam chandrę i muszę wyjechać. Mam już dość męża i syna.

- Co się dzieje z twoim synem?

- Nic specjalnego. Zresztą zależy, jak na to patrzeć. Zrobił dziecko koleżance z klasy. I teraz ja jestem wszystkiemu winna, bo nie umiałam go wychować. Nawet mój cyniczny mąż mi to powiedział. On sobie poszedł, nigdy nie przejmował się dzieckiem, nie kiwnął palcem. Ty przecież byłeś w Azji, doradź mi, co tam warto zobaczyć.

- Pewnie od tego czasu dużo się zmieniło. Kiedy tam byłem, wojna wietnamska nie zdążyła jeszcze wszystkiego zniszczyć.

- Ale ja nie jadę do Wietnamu. Jadę do Singapuru, Bali, Bangkoku... Co ty na to?

- No pięknie.

- Nie jestem Jacqueline Onassis. Mam tylko trzy tygodnie wolnego. Powiedz mi, jakim trunkiem mogę się upić w Azji.

---

<sup>1</sup> Papierowe kukły, sporządzane przez mieszkańców Walencji, które pali się w dniu Św. Józefa (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Kasa oszczędności (przyp. aut.).

- Aromas de Montserrat.
  - Kretyn.
  - Singapur Sling.
  - To już brzmi lepiej. Co to takiego?
  - Koktajl, który podobno pochodzi z Singapuru, a dokładniej z hotelu „Raffles”.
  - I rzeczywiście tak jest?
  - To akurat nie ma znaczenia. Obsługa hotelu podtrzymuje mit i jeżeli poprosisz ich o Singapur Sling, podadzą ci go z porozumiewawczym uśmiechem.
  - Ładnie brzmi. To wystarczy. Wyobrażasz sobie: tak pojechać w świat i szukać czegoś, co ma ładną nazwę? A jak to smakuje?
  - Tak sobie.
  - Wyślę ci pocztówki.
  - Zanim dojdą, będziesz z powrotem.
  - To wyślę telegramy. Cieszysz się?
  - Nie.
- Chwila ciszy.
- Drażnię cię?
  - Nic podobnego.
  - Chcesz, żeby ci coś przywieźć? W Bangkoku mają tani jedwab.
  - Butelkę mekongu.
  - Co to jest?
  - Tajski whisky. Nie wiem, z czego ją robią, ale jest bardzo dobra.
  - Tylko jedno ci w głowie.

Po piętnastu latach wrócił do niego orientalny uśmiech zmęczonego celnika, który obmacywał trzewia jego walizek i w pewnej chwili obudził uśpiony głos szkła. Na widok sześciu butelek mekongu oczy celnika zaokrągliły się. Spojrzał na Carvalha z miną współnika, typową dla prawdziwego pijaka, rozwarł dłoń jak wachlarz, przemienił ją w butelkę bez dna i zaczął pić, ssał kciuk z chciwością dziecka odstawionego od piersi, potem wybuchnął śmiechem niewinnego barbarzyńcy, co rozdrażniło Europejczyków, oczekujących na swoją kolej. Carvalho z całych sił przytakiwał i uśmiechał się. Musiał potwierdzić podejrzenie celnika, pełne radości i poczucia współnictwa. Rzeczywiście, przyjacielu, jestem pijakiem.

Odkąd przyjął sprawę rodziny Daurella, wydawało mu się, że pracuje według regularnego rozkładu godzin, co zaczynało przypominać zacy obyczaj japońsko-kataloński: trwonął w pracy jedną trzecią dnia. by móc spać osiem godzin, a w pozostałym czasie leczyć rany ciała i ducha. Powód był między innymi taki, że stary Daurella umawiał się z nim między dziewiątą a dziewiątą trzydzięci w biurze, mieszczącym się w magazynie brezentowych dachów i basenów w Pueblo Nuevo. W rym właśnie miejscu detektyw rozpoczął śledztwo, wychodząc od promieniującego centrum - gabinetu starego patriarchy, ale mógł to robić tylko w godzinach pracy, ponieważ wszyscy Daurella, przestępcy i niewinni, na dźwięk syreny fabrycznej zostawiali na swoim miejscu wszystko, co mieli tam znaleźć następnego dnia. Potem rozchodzili się po Ziemi, poruszając się przezornie w strefie niezbyt odległej od Barcelony, ale wystarczająco daleko od siebie, by wyznaczać strony świata rodziny Daurella. którego centrum stanowiło mieszkanie rodziców w Ensanche, przy ulicy Bruch. Kiedy stary Daurella mówił o Jordim, Esperansie, Núrii albo Ausiàsie, zwracał głowę kolejno ku północy, zachodowi, wschodowi i południu. Jordi mieszkał bowiem w domku w Sant Cugat, Esperança zajmowała starą willę, stojącą w miejscu, gdzie Esplugas de Llobregat staje się miastem-sypialnią, Núria zadomowiła się w dzielnicy Maresme, wreszcie Ausiàs, mały i makrobiotyczny Ausiàs, miał dom otoczony sadem w Prat. W rzeczywistości stary nie musiał wcale wskazywać czterech stron świata, skoro od ósmej rano wszyscy Daurella pracowali w ogromnej siedzibie firmy „Dachy i Baseny Daurella, S.A”.

- Spółka Akcyjna, czyli moje dzieci. Niech pan nie sądzi, że wykupił nas amerykański kapitał - zastrzegł się stary Daurella, rozmyślając o raporcie. Jordi, Esperança. Núria i Ausiàs, smagli na twarzy albo twarzycze - w zależności od tuszy - byli podobni do ojca w najdrobniejszych szczegółach, jak gdyby w chwili spółkowania z panią Mercè stary Daurella postawił warunek sine qua non. że wszystkie

dzieci muszą być jego wiernym odbiciem. Być może miłość jest zapisana genetycznie, w każdym razie młodzi Daurella wybrali podobnych do siebie małżonków, z wyjątkiem małego Ausiàsa, el més mimat<sup>3</sup>, jak wciąż mówił o nim Daurella ojciec, szczęśliwca, który ożenił się z kobietą o jasnych włosach. Wybranka Ausiàsa była Holenderką i zaledwie pięć lat wcześniej mogłaby pojawić się na rozkładówce „Playboya”, a teraz, zmęczona porodami i makrobiotyką, była nieco przechodzoną, ale wciąż piękną blondynką. Prowadziła sprawy zagraniczne Daurella S. A., bo mówiła po angielsku jak sami Anglicy (twierdził stary Daurella), a po francusku jak sam generał de Gaulle. To drugie porównanie również było autorstwa patriarchy. Synowa i dwaj zięciowie również pracowali w firmie. Mąż Esperançy, starszej córki, nadzorował sprzedawców i sam podróżował po Hiszpanii, odwiedzając klientów. Mąż Nùrii był szefem magazynu, a żona starszego brata, Jordiego, prowadziła biuro, mieszczące się w hangarze zbudowanym z prefabrykatów, który zdobił egzotyczny plakat „Folies-Bergère”, reklamujący hiszpańską supervedette Normę Duval. Państwo Daurella przywieźli go ostatnio z Paryża, gdzie świętowali złote gody.

- Nie byłem na urlopie od roku śnieżycy - mówił stary. To znaczy od 1962, dodawał. Daurella nie miał nadzwyczajnej pamięci do pogody, po prostu w roku 1962, po raz pierwszy od ostatniej epoki lodowcowej, Barcelona zamieniła się w bazę narciarską. Wszyscy Daurella mieli coś do roboty, myślał Carvalho, krążąc po strefie magazynów i ramp kolejowych. Stare, kamienne ogrodzenie, zwieńczone tłuczonym szkłem, zdumiewająca roślinność, akacje, jakaś palma, oleandry, bugenwille, rosnące pośród hangarów z zeszłego wieku, zbudowanych z czerwonych cegieł, które zaśnieżyły od morskiej bryzy. Wiatr od morza nasycił powietrze wilgocią, która zamieniała Pueblo Nuevo w wilgotną dzielnicę, odpowiednią dla dzikich roślin, zajmujących patia i opuszczone kamienice. Pociągał Carvalha ten bałagan, panujący w firmie i w naturze, chaos, jaki wprowadzały ciężarówki i wiciokrzewy, które po wielu latach prób znalazły właściwe miejsce na marginesie ludzkiej działalności; w podobny sposób zachwyliłby go cmentarz poddany prawom erozji i dzikiej roślinności. Detektyw od dawna śnił o chwili, gdy na rura rozsądzi asfalt i zacznie rosnać gdzie popadnie, sprzeciwiając się głupiej woli sfabrykowanej materii, ale nie niszcząc jej do końca. Kędzierzawe pomidory pochłoną światła na skrzyżowaniach, paprocie jak pióropusze wyrosną z kloacznych gardeł, a żarłoczne bluszcze będą pełzać po oszklonych budynkach, z fałszywą pieśczołą swoich liści. Angkor i Mykeny zapowiadały los wszystkich monumentalnych ruin, ociosany kamień na powrót staje się skałą, bez związku z ludzką geometrią. Albo w Ajutti, kilka kilometrów na północ od Bangkoku, dokąd pewnie pojechała Teresa Marsé, nieudana buddyjska architektura osiągnęła świetność i była godna podziwu dopiero wtedy, gdy znajdowała się w dekadencji. Jednak Carvalho wołał współczesne ruiny. Anachroniczne pałace Montjuic, zbudowane na wystawę międzynarodową w roku 1929, kompleks cieplicowy Kalitea na północno-wschodnim wybrzeżu Rodas, opuszczony przez lecznicze wody i klientów, albo przystań na wyspie Sancti Petri, pusta jak zatopiona wioska, tuż obok Chiclany, morza, zapomnienia. Pueblo Nuevo także miało w sobie coś ze współczesnej ruiny. Właśnie tam trzy pokolenia Daurella pracowały po to, by Hiszpanie w lecie mogli ukryć się przed słońcem; od niedawna firma produkowała także rozkładane baseny kauczukowe, o dowolnym rozmiarze: w największych można było przepłynąć pięć metrów stylem dowolnym, w najmniejszych moczył pupę rodzinny beniaminek. Ogród nie był konieczny. Wystarczał taras.

- No więc teraz sprzedajemy więcej basenów niż dachów. Widzi pan. jak to się wszystko zmienia. Przedtem było na odwrót.

To znaczy kiedy? Carvalho nie zadał tego pytania. Pewnie przed śnieżycami albo przed defraudacją. Kiedy Carvalho wymawiał słowo „defraudacja”, stary Daurella zamykał oczy, próbując ukoić wewnętrzny ból.

- Okradają mnie. Okradają nas.

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział Daurella w biurze Carvalha. W domu państwa Daurella w Vallirana, żona pana Daurelli, Mercè, przez wiele miesięcy, w każdą niedzielę osobiście robiła bilans. Strata była ogromna, wynosiła sześć milionów peset.

- Moja żona wie, co mówi. Nie jest starą sklerotyczką. Hi toca. Hi toca<sup>4</sup> - powtarzał pan Daurella po katalońsku. - Była jedną z pierwszych księgowych, które skończyły Akademię Cots. Oczywiście, że przed wojną. Mój teść miał dobre pomysły i chciał, żeby Mercè studiowała, tak jak mężczyźni. Mój teść był zwolennikiem Estat Català, był bardzo kataloński.

I pan Daurella co sobotę zachęcał swoją żonę, żeby sprawdzała rachunki robione przez dzieci, a zwłaszcza przez Jordiego i jego holenderską szwagierkę.

---

<sup>3</sup> Najbardziej rozpieszczony (przyp. aut.).

<sup>4</sup> Wie, w czym rzecz (przyp. aut.).

- Sprawdziłem ich oboje, żeby uniknąć fałszywych podejrzeń, wie pan? Każdy ma swoje podejrzania.

W rachunkach pani Mercè brakowało sześciu milionów i któregoś dnia pan Daurella zebrał całą rodzinę. Wszyscy zgodnie odrzucili podejrzania rodziców, a Jordi i Holenderka zażądali, by administrator handlowy sprawdził bilans. Administrator potwierdził rachunki pani Mercè, jednej z pierwszych księgowych Akademii Cots de la Ronda, zachwycając się nieskazitelnymi rzędami cyferek, zapisanych przez staruszkę czerwono-niebieskim ołówkiem marki Hispania, który pani Mercè przechowywała od wielu lat.

- Zdaje się, że kupiłam go w Pawilonach Niemieckich.

Od czasu wojny pawilony nie nazywały się już niemieckie, ale pani Mercè z pewnością kupiła ołówek w Pawilonach Niemieckich i posłużyła się nim, by wykazać sześciomilionowe manko.

- Ktoś z rodziny?

- Niemożliwe - Daurella zapytał-odpowiedział na pytanie-odpowiedź Carvalha, ale jego oczy mówiły co innego, i każdego dnia stary Daurella informował Carvalha o cnotach i wadach swoich dzieci, synowych i zięciów. Jordi nie miał żadnych nałogów. Przypominał ojca, ale z niewiadomych przyczyn był rozgoryczony. Holenderka paliła jak lokomotywa. Ausiàs był poetą i makrobiotykiem.

- Mąż Esperancy, Pau, a raczej Pablo, jak to mówicie po kastylijsku, no więc Pablo wydaje wszystko na swetry i buty. Swetry kupuje w Londynie, a buty w Rzymie. Reszta to zwyczajni ludzie. Przeciętniacy, ale pracowici, trzeba przyznać. Gdyby byli leniami, nie trzymałbym ich tutaj ani przez pięć minut.

W ciągu trzech tygodni Carvalho poznał prawdziwe wady i cnoty rodziny Daurella. Pracował regularnie, jak gdyby przyjął zasady starego i zobowiązał się do przepracowania wszystkich dni roboczych. Jordi był kochankiem swojej holenderskiej szwagierki: jego naturalną pasją wzmacniała oziębłość żony, kolekcjonerki lat i luksusowych bibelotów. Ausiàs albo o tym nie wiedział, albo nie chciał robić sobie kłopotów, skoro i tak próbował bez wielkiej ochoty przeżyć w świecie, którego północną granicę wyznaczał magazyn rodziców, a południową sad, gdzie młody Daurella uprawiał warzywa niezbędne dla swojej diety. Córki Daurella były pracowite, schludne i uczciwe. Co się tyczy ich mężów, to zięć odpowiedzialny za magazyn był w ciągu tygodnia smutnym typem, a w weekendy dziwakiem - oglądał szcśniastomilimetrowe filmy ze swej obłąkańczej kolekcji. Drugiego zięcia, Pau, nietrudno było rozszyfrować. W agencjach towarzyskich całej Barcelony znano jego podpis na czekach VISA, a odźwierni czterech salonów bingo kłaniali mu się w pas i szeptali ironicznie, zaskoczeni i uradowani:

- Pan tutaj, panie Pau? Życzymy powodzenia.

Przez kilka miesięcy utrzymywał pewną wdowę, wynajmując dla niej umeblowane mieszkanie na Valle de Hebron; wykorzystywał służbowe podróże do przedstawicielstw firmy w całej Hiszpanii, by od czasu do czasu zmienić trasę lotu i jak motyl pojawić się w najbardziej telewizyjnych kurortach - Costa del Sol, Puerto de la Cruz. Dotarł nawet do Casablanki w towarzystwie córki reprezentanta „Dachów i Basenów Daurella S. A.". Carvalho wiedział wszystko o Pablo, mężu jednej z córek pana Daurelli, a „wiedzieć wszystko” oznaczało, że to właśnie Pablo przywłaszczył sobie sześć milionów przez sześć lat wspólnego życia z rodziną Daurella, on, syn adwokata z Diagonal, trzy lata prawa, gwiazda studenterii między tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym i tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, przemytnik marihuany w siedemdziesiątym pierwszym, siedem miesięcy więzienia w Algeciras, z którego wyciągnął go ojciec, używając wpływów siostry-zakonnicy; później ślub z młodą Daurella, cztery lata od niego starszą, jak na jego gust ma zbyt fioletowe sutki, opowiadała w klubie dla panów, prowadzonym przez „Andaluzyjkę”, starą znajomą Charo i Pepe Carvalha.

- Mężczyzna, który opowiada o sutkach swojej żony, kiedy jest w łóżku z inną, nie jest nic wart- stwierdziła „Andaluzyjka”.

Carvalho położył teczkę na biurku i udał, że nie widzi, jak stary świdruje go przymrużonymi oczami. Zajął miejsce przy stole naprzeciw Daurelli, odczekał kilka sekund, odprężył mięśnie i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- I jak?

- Gotowe.

- Kto?

Jaką szkołę interpretacyjną reprezentował stary Daurella? Wszyscy ludzie wybierają jakiś model interpretacyjny, zwłaszcza wtedy, gdy przeżywają anormalne sytuacje, które do tej pory widzieli tylko w teatrze, w kinie czy w telewizji, albo takie, o których czytali w powieściach. Biorąc pod uwagę jego wiek, stary Daurella miał do dyspozycji kilka modeli: Lee J. Cobb - gwałtowny ojciec zdradzony przez dzieci albo John Gielgud - ojciec bardziej przenikliwy od dzieci, czy też Fredrich March ze Śmierci komiwojażera nieudany ojciec, który działa na szkodę dzieci. Jednak Daurella, jak gdyby historia kina i telewizji nic nie znaczyła, wybrał przedwojenny, społeczny dramat kataloński - podnosił dłoń do twarzy, jakby chciał wymazać swoje rysy, szeptał Déu men. Déu men<sup>5</sup>, wpatrywał się w dal, po czym spoglądał na Carvalha, by sprawdzić wrażenie, jakie wywarła jego rozpacz.

- To był Jordi?

- Nie.

Odetchnął z ulgą, przekonawszy się, że nie chodzi o jego hereu<sup>6</sup>.

- Któryś z moich dzieci?

- Nie.

Daurella rozpromienił się, dumny ze swych dzieci. Wobec tego ktoś spoza rodziny.

- Pau?

- Pau.

- Serce mi to mówiło.

I jak dawni rapsodzi, którzy wznosili dłoń do góry, gdy mówili „niebo”, Daurella położył dłoń na sercu. Carvalho sporządził raport o przypadkach Pabla, omijając jedynie pogardliwą uwagę o kolorze sutków jego żony. Wskazał teczkę. Być może stary był rzeczywiście zdenerwowany, ale próbował to okazać w przesadny sposób, najpierw wprawił w drżenie łokcie, i to w kierunku zstępującym, choć, myślał detektyw, drżenie powinno zaczynać się od dłoni i kończyć na łokciach. Sam detektyw próbował naśladować Daurellę i nie wiedział już, czyjego spostrzeżenie jest trafne, choć dalej eksperymentował w ukryciu, by Daurella nie uznał tego za kpinę.

- Pocavergonya!<sup>7</sup> - wykrzyknął stary w połowie lektury. Z pewnością dotarł do podróży do Casablanki. - Z córką przedstawiciela. Zaryzykował utratę tak ważnej filii jak sewilska. Czy pan wie, ile dwunastokątnych basenów sprzedaliśmy w tym roku w Sewilli?

- Nie mam pojęcia.

- Pięćdziesiąt. A przecież tam nie ma wody. Niewiarygodne. Niewiarygodne, mówił od czasu do czasu Daurella. a gdy dotarł do końca raportu, uderzył w stół otwartą dłonią.

- Trzeba skończyć z tym raz na zawsze. Jedno zgniłe jabłko może zepsuć całą skrzynkę. Co by pan zrobił na moim miejscu? Z tego, co pan mówi, podkradał pieniądze, fałszując wydatki na podróże do naszych filii. Gdyby oszustwo wyszło na jaw, dowiedzieliby się o tym nasi przedstawiciele i cały prestiż „Dachów i Basenów Daurella S.A.” byłby diabła wart, wulgarnie mówiąc.

Wcale nie tak wulgarnie, pomyślał Carvalho. Stary mógł powiedzieć „gówno wart” albo „wziąłby w dupę”, ale wybrał dyskretne powiedzonko „diabła wart”, które zbliżało się do bardziej eleganckiego „wart funta kłaków”.

- Trzeba przeciąć ten wrzód. Jordiego teraz nie ma, wyjechał do Francji na negocjacje z producentami, ale wraca w nocy, jutro zbierzemy wszystkich i damy mu popalić. Liczę na pana pomoc.

- Moja praca została zakończona.

- Mimo to proszę, żeby pan był obecny na zebraniu, mam zamiar wyłożyć karty na stół. Przykro mi z powodu Esperançy, to dobra dziewczyna, za dobra dla niego, żałuję też wnuków, ale trzeba dać nauczkę temu łajdakowi. Łajdak! Gorzej niż łajdak! Zrobiłem z tego próżniaka prawdziwego mężczyznę, potrafi zarobić na chleb, ma młodą i ładną żonę, czego on jeszcze szuka na boku?

Tyle pytań, tyle odpowiedzi. Carvalho nie mógł po prostu wstać, poprosić o pieniądze i pożegnać się z Daurella, albo oświadczyć, że następnego dnia weźmie udział w ostatnim akcie tragikomedii, bo opanowała go już rutyna pracy i wiedział, że będzie tęsknił do porannych rozmów ze starym, do włóczęgi po hangarach i ziemi zdobywanej przez heroiczną naturę, do piękna opuszczonej stacji, zachowanego przez najstarsze magazyny Pueblo Nuevo. Zastanowił się nad powodem tej nostalgii i pamięć podsunęła mu serię rozbitych obrazów, szkielety statków i ruiny budynków, widziane i nie widziane na nieruchomościach migawkach z dzieciństwa. Zabawa w starym magazynie Letony, gdzie

<sup>5</sup> Mój Boże! (przyp. aut.).

<sup>6</sup> Pierworodny (przyp. tłum.).

<sup>7</sup> Łajdak! (przyp. aut.).



stróżem nocnym był daleki krewny; stara stocznia w Badalonie, w której cieślą był kuzyn Nicolás z Cartageny; magazyn z wyrobami żelaznymi obok mostu Marina. Wrzucił fotograficzne migawki do studni zapomnienia i podniósł się z fotela, chcąc rozwiać urzeczenie.

- Przyjdę jutro, żeby odebrać honorarium i przyjrzeć się sądowi ostatecznemu.

- Sam pan zobaczy, jak się załatwia takie przypadki. Porozmawiam z Mercè i prześlę się jeszcze z tą sprawą, ale niech pan popatrzy, jak we mnie kipi krew.

Stary napina żylaste przedramiona, białe i piegowate, wystające z podwiniętych rękawów koszuli, nie londyńskiej ani włoskiej, lecz kupionej przez Mercè w „Corte Inglés” po obniżonej cenie.

„Butelka szampana narzędziem zbrodni”, obwieszczał tytuł w „El Periódico”, i Carvalho przebiegał wzrokiem notatkę, szukając wzmianki o gatunku fatalnego napoju. Niczego jednak nie znalazł. A przecież nie jest obojętne, czy mordują cię butelką „Codorniu Gran Cremant” czy „Brut Nature Torelló”, „Juvé y Camps” Reserva Familiar czy też „Martí Solé Nature”. Carvalho nie odrzucał także hipotezy, że tytuł odpowiadał prawdzie i narzędziem zbrodni była butelka francuskiego szampana, czy jednak w tym przypadku zabójstwo za pomocą butelki „Moët Chandon” byłoby tym samym, co zbrodnicze wykorzystanie „Krugga” albo „Rollingera”? Agonia ofiary trwała długo, a zwłoki odkryto dopiero o dziewiątej rano. Policja nie chciała określić dokładnej godziny zabójstwa, a dziennikarz omawiał szczegółowo alibi osób, które uczestniczyły w przyjęciu w domu ofiary, Celi Mataix Cervery. Marta Miguel, jeden ze świadków, została zatrzymana i zwolniona po nocy spędzonej w komisariacie. Była ostatnią osobą, która widziała Celię Mataix z nie naruszoną głową. Carvalho pomyślał, że w przypadku długotrwałej agonii nie można ustalić dokładnego czasu, w którym dokonano morderstwa, a półgodzinny margines wystarczał, by zweryfikować każde alibi. Fotografia umarłej cieszyła oko: przedstawiała romantyczną, jasnowłosą piękność, bardzo szykowną, o młodzieńczym wyglądzie, choć dowód osobisty nieubłaganie wskazywał czterdzieści lat. Carvalho odłożył gazetę, wciąż jednak miał w oczach obraz Celi. Idąc w górę Ramblas, wymyślał historię możliwego spotkania w przeszłości. Z pewnością świetnie leżały na niej luźne swetry i rozszerzane spodnice, tworzące tło dla muzyki jej zwinnego ciała. Złote włosy opadały na piersi, odgarniała je szybkim ruchem małej dłoni, wyraźnie podzielonej na części, delikatnej dłoni, jak mówili dawni pisarze, kiedy chcieli uniknąć opisu. Gdyby na przykład spotkał ją w „Boadas”, samotnie pijącą koktajl, rozpoczęłby rozmowę pod jakimkolwiek pretekstem, później spacer po Ramblas, zwierzenia, najpierw ironiczne, potem szczerze, dwuznaczne słowa, wymowne spojrzenia, zaczepki, które poprzedzają nagość seksu. Dziewczyna na jedną noc albo na całe życie. Przelotny związek, wykorzystujący impuls pierwszej nocy, byłby niepotrzebny i fatalny w skutkach, rozwiąłby bowiem iluzję nie wykorzystanej szansy. Dziewczyna odpowiednia do pożegnań na dworcach i w portach, ale nie na lotniskach. Powinno się zakazać pożegnań na lotniskach, to tak, jakby żegnać się z kimś w nowoczesnej aptece albo w dziale chemicznym rozświetlonego supermarketu. Może pobraliby się i zamieszkaliby w domku na plaży, na długiej plaży, najlepiej kalifornijskiej, tylko poważne oferty, proszę żądać karty gwarancyjnej. Zestarzeć się u jej boku? Poczucie śmieszności zniszczyło obraz, zbudowany ze zmyślenia, i pośród brzęku tłuczonego szkła Carvalho raptownie zboczył z drogi, skręcając w lewo, w stronę targu Boquería. Nie miał jeszcze pomysłu na menu, ale zdecydował, że ten wieczór spędzi na gotowaniu i zaprosi kogoś na kolację. Może zrobi niespodziankę Charo, jeśli będzie grzeczna i nie wypomni mu, że ostatnio nie poświęcał jej zbyt wiele czasu. W garmażerii na piętrze, tuż przy wejściu na targ, kupił trzy kawałki wędzonego łososia, a w masarni równe plastry chudej wieprzowiny i tyle samo plastrów szynki. Tak skromny zakup nie mógł wypełnić pustki w sercu Carvalha, spowodowanej oczywistą prawdą, że nie zestarzeje się razem z Celią Mataix, postanowił więc kupić buty albo szynkę. Było już za późno na buty, zdążył jednak wybrać odpowiednią szynkę w sklepie „Pérez” przy ulicy Hospital. Właściciel potrafił jednym spojrzeniem ocenić tę wędlinę, pochodzącą z pogranicza Huelvy i Ekstremadury. Po drodze, niosąc szynkę na ramieniu, Carvalho zajrzał na plac Padró: niedawna przebudowa w cudowny sposób przywróciła temu miejscu dawną geometrię, którą detektyw znał z dzieciństwa. Plac został kiedyś okaleczony po to, by zrobić przejście dla samochodowego barbarzyństwa; pewnego dnia surowi aniołowie demokracji wzruszyli się głęboką melancholią Carvalha i zmniejszyli jezdnię, przywrócili dawny układ placu wokół romańskiej kaplicy i starych domów, stojących u zbiegu ulic Hospital i Carmen, obiecali powrót drzew, które zaczynały już rosnąć w specjalnych otworach, okrągłych jak wesole bułki z lat czterdziestych, smażone na smalcu. Najpierw szynka, a teraz coś dla ducha, powiedział do siebie Carvalho, i zaczął gawędzić z właścicielem sklepu o faktach i mitach wędliniarskiej geografii Hiszpanii.

- Nie wystarczyłoby żółędzi dla takiej ilości szynki w żółędziach, jaką się teraz próbuje sprzedać. Ale w jednym miejscu w Huelvie robią jeszcze dobrą szynkę, i to nie tylko jabugos, ale też corteganas i Cumbres Mayores. Trafiają się też wyborne szynki bez nazwy, na przykład w okolicach Rondy.

- W którąś sobotę wybiorę się do jednej wsi między Marbella i Ronda, gdzie podobno robią świetną szynkę.

Sklepikarz spojrział na Carvalha z niedowierzaniem:

- Naprawdę tam pojedę. Wieś nazywa się Montejaque.

- Powie mi pan, jak smakuje, to może się skuszę i rzucę na to okiem.

Sklepikarz wybrał szynkę z zielonkawym nalotem, typowym dla wybornych wędlin, nakłuł ją szpikulcem i podał go detektywowi. Aromat z pewnością pochodził z samej kości szynki, szlachetnej wędliny stworzonej dla człowieka, a nie dla pożeraczy protein ze wszystkich części świata. Z takimi oto filozoficznymi dygresjami w głowie i szynką na plecach Carvalho przemierzył ulicę Hospital, poszedł prawą stroną chodnika, jak zwykle zatrzymał się przed dwoma magicznymi przybytkami - w jednym sprzedawano protezy, a w drugim noże. Wreszcie wyszedł na plac Padró, który odzyskał dawną świetność, stając się na powrót agorą dzielnicy. W czasie Tragicznego Tygodnia<sup>8</sup> na placu spalono konwent sióstr hieronimek, zastąpiony przez modernistyczny kościół Carmen. Romańska kaplica przez kilka wieków udawała sklepik i zakład krawiecki, jej ściany przylegały do szpitala San Lázaro, który zamieniono później na pralnię publiczną, by zmyć z jego murów ślady trądu. Plac Padró pachniał dzieciństwem i jesienią: nieustraszone nowe drzewa, stara fontanna przeniesiona na przednią część placu, kamienne gęby, nadgryzione przez wilgoć, zdziwienie w oczach dzieci, przestraszonych tajemnicą kamiennych głów, z których tryska woda. Wyżej zaś stała święta Eulalia, którą ponownie wynieśli na tron frankiści, wynagradzając jej zniewagę, jaką było zbrodnicze usunięcie figury przez anarchistów w czasie wojny domowej. Carvalho czuł wdzięczność i solidaryzował się z mieszkańcami placu. Każdy odzyskany skrawek chodnika albo placu natychmiast zajmowały dzieci, starcy i psy, trzy najlepsze gatunki domowych zwierząt, bo dla Carvalha opryskliwe koty zawsze były tylko przygodnymi gośćmi, a kanarki - więźniami niebezpiecznej litości ludzi. Nie była to najlepsza pora na telefon do Charo, która właśnie zaczynała przyjmować umówionych klientów, lecz detektyw musiał z nią porozmawiać i odtworzyć niewidzialne kajdany, które ich łączyły.

- Pewnie jesteś bardzo zajęta.

- Zajęta? Czym? Widziałeś ogłoszenia w gazetach? Wszędzie tyle kurewstwa, że się chyba skończy bezrobocie. Co to się stało, że dzwonisz?

- Zrobię kolację, jak masz ochotę, to czekam na ciebie w Vallvidrera.

- Nie jestem w humorze.

- Nie ma to jak zatruwać innym życie złym humorem.

- To fakt. Może i przyjdę. Masz jakąś nową sprawę?

- Po co pytasz?

- Nie pamiętam już, kiedy widzieliśmy się ostatni raz.

- Dziesięć dni temu.

- Jedenaście.

Rozmowa była łatwa do przewidzenia, na tyle łatwa, że Carvalho minął budkę telefoniczną i nagle zawstydził się, że niesie szynkę, obsceniczną szynkę aromatyzowaną żółędziami, przykład atawistycznej sztuki wędliniarskiej w epoce mrożonych krewetek i hamburgerów z włókna szklanego, a kiedy podniósł wzrok, by ogarnąć całą panoramę nowego-starego placu Padró, poczuł wielką złość, że nie odzyskał go wcześniej.

Zatrzymał samochód przed domem administratora Fustera. Nacisnął dzwonek i kilka sekund później Fuster pojawił się na tarasie, ubrany w bonżurkę, podkreślającą wygląd mnicha.

- Spaghetti à la Annalisa i saltimboca na sposób rzymski - krzyknął Carvalho.

- Przypominasz sobie o wyborcach tylko wtedy, jak są wybory. Zupełnie jak politycy. Wino?

- Chianti, rocznik 76.

Fuster zastanowił się i zaprotestował.

---

<sup>8</sup> Tragiczny Tydzień - rewolta inspirowana przez anarchistów katalońskich, wybuchła w lipcu 1909 r. w Barcelonie. W czasie zamieszek spalono trzydzieści klasztorów. (przyp. tłum.)

- Jesteś mi jeszcze winien drugą ratę za czynsz. Nie uznaję kolacji za formę zapłaty. Rozpalisz w kominku?

- No pewnie.

- Spalisz jakąś książkę?

- Naturalnie.

- Festiwal Carvalha w komplecie. W takim razie idę. Daję ci godzinę, żebyś zabrał się do gotowania. Przyniosę ci słoik trufliz z Villores w koniaku i połędwicę w sosie, flaons i parę espadryli.

- Wszystko z Villores?

- Absolutnie wszystko. Przecież nie z Trypolisu. Ciekawe, czym ty się popiszesz.

Carvalho nie zadał sobie trudu, by opróżnić skrzynkę na listy. Przysyłano mu wyłącznie reklamy zbędnych przedmiotów, wydruki z banku i z Kasy Oszczędności, które wprawiały go w zły humor, bo zawsze okazywało się, że jego konto jest mniejsze, niż się spodziewał. Oburzała go myśl, że na starość nie wystarczy mu pieniędzy, żeby zapłacić pielęgniarkę za wymycie tyłka, jeśli będzie to potrzebne, poza tym gardził uczuciem strachu, zwłaszcza strachu przed samym sobą. Przyniósł ze spiżarni czyste kartonowe pudło i wyciągnął z niego dziwny aparat, który mógł być równie dobrze maszynką do mielenia mięsa, co przenośnym destylatorem ambrozji. W rzeczywistości maszyna służyła do robienia włoskiego makaronu. Do plastikowego, przezroczystego pojemnika należało po prostu wsypać mąkę, dodać wodę i jajko, nastawić stosowny filtr w zależności od typu makaronu, i czekać, aż pojawią się delikatne stworzenia. Gdy nitki makaronu osiągały odpowiednią długość, Carvalho odcinał je, by nadać im piękną formę. Zbyt duża ilość wody lub jajka mogła oznaczać katastrofę i detektyw sprawdził dokładność dozownika, jak gdyby od niego zależało zbawienie narodu wybranego. Maszyna zaczęła się kręcić i skarżyć, a gdy ciasto było odpowiednio ugniecione, Carvalho cofnął drzwiczki śluzy i masa popłynęła do wyjścia, popychana spiralnym tłokiem, coraz bliżej filtru, coraz bliżej wyznaczonej formy, bo przecież nikogo nie obchodziło, czy masa chce przeistoczyć się w tagliatelle, spaghetti, lasagna, spaghettini lub macarrones. Carvalho czekał z ostrym nożem na młode makaronowe gąsienice, a gdy tylko osiągnęły czterdzieści centymetrów długości, odciął je: spadły do półmiska z tworzywa sztucznego, gdzie jeszcze skręciły się w agonii, zanim stężały w rigor mortis, charakterystyczny dla wszystkich rodzajów miękkiego i gotowanego spaghetti. Czekały teraz na kolejną masakrę, dokonaną na upartych gąsienicach, które zaczynały wychodzić z cudownego filtra. Z nożem w dłoni, obmacując górę makaronu, rosnącą na półmisku, Carvalho przeżywał emocje podobne boskiemu doświadczeniu, gdy Stwórca przemienił diabła morskiego w orangutana, od którego pochodzi człowiek. Tylko mąka i woda wystarczyły do owej cudownej mutacji, tak nisko cenionej, tak zbanalizowanej przez użycie słowa spaghetti, gdyby jednak te cudowne nitki magicznej materii miały niemiecką, łacińską lub grecką nazwę - tylko te trzy języki nie podlegają banalizacji - byłyby cenione, tak jak na to zasługują i otrzymałyby honorowe miejsce w każdym Muzeum Człowieka.

Nakrył makaron serwetką i wyszedł do ogrodu po liście świeżej szalwii, niezbędne do przyrządzenia szaszłyków, i po bazylię, którą uprawiał w doniczce, by dodawać ją do potraw z makaronem. Bazylija wysychała, kończąc swój cykl życiowy i Carvalho pożegnał się z nią aż do przyszłej wiosny. Na razie będzie używał bazylii wysuszonej na słońcu i zmielonej. Zaczął przygotowywać saltimbocas. Plaster mięsa, liść szalwii, kawałek szynki i wykałaczką, łącząca trzy elementy. Sporządził czternaście porcji, które miały być upieczone tuż przed podaniem na stół. Przygotowanie spaghetti również nie było pracochłonne. Pokroił cebulę, poddusił ją na maśle, żeby zrobiła się przezroczysta, odstawił patelnię i przełożył cebulę do miski. W oddzielnym naczyniu ubił zimną śmietanę, aż zgęstniała, i dodał ją do masła i cebuli. Następnie pokroił łososia na wystarczająco duże kawałki, by można było wyczuć jego konsystencję, i zmieszał rybę z sosem, dodając pokruszoną bazylię. Wszystko było gotowe na przyjęcie Fustera. Administrator, obładowany prezentami, wskazał władczy gestem zgaszony kominek, powąchał wino i nakrył do stołu; tymczasem Carvalho szukał w bibliotece książki na rozpałkę w kominku. Wybrał tom poetycki Justo Jorge Padrona i małą książeczkę zawierającą dwie sztuki Becketta, Ostatnią taśmą i Akt bez słów. Fuster rzucił okiem na książki, zanim Carvalho rozerwał je i spalił.

- Dlaczego?

- Bo to książki, a poza tym, bo tak mi się podoba.

- Czytałeś je?

- Dawno temu. Kiedy jeszcze czytałem.

- Kto jest Justo Jorge Padrón?

- To taki hiszpańsko-szwedzki poeta, który przełożył Vicente Aleixandre na kanaryjski i stał się sławny.

- A dlaczego palisz tę drugą?

- Nie jestem krytykiem literackim. Powiedzmy, że chcę ją spalić, bo kiedyś mi się podobała, bo się starzeję i czuję strach na myśl, że kiedyś znów będę miał ochotę ją przeczytać.

Fuster wybiera fragment Ostatniej taśmy i czyta z komicznym napuszeniem:

„Chyba minęły już moje najlepsze lata. Gdy istniała jeszcze szansa na szczęście. Ale nie chciałbym, żeby wróciły. Teraz, gdy mam w sobie ten ogień, już nie. Nie, nie chciałbym, żeby wróciły. Krapp nieruchomo patrzy przed siebie. Szpule dalej obracają się w ciszy”<sup>9</sup>.

Zwrócił książkę jak nieufny celnik, wręczający paszport podejrzanemu turyście. Carvalho ułożył drewno, pozostawiając u dołu wgłębienie, w którym umieścił kartki ze zniszczonych książek. Zapalił papier: płomień wzniósł się jak crescendo światła i dźwięku, które zahipnotyzowało przez kilka sekund obu mężczyzn; potem detektyw poszedł do kuchni, a Fuster zaczął nakrywać do stołu.

Carvalho wrzucił makaron do wrzącej, osolonej wody i zajął się pieczeniem saltimbocas. Włączył piecyk, by mięso w odpowiednim momencie osiągnęło właściwą temperaturę, i spróbował spaghetti. Zęby łatwo przecięły makaron, ale nie rozgniotły go; detektyw poczuł na podniebieniu konsystencję mąki w chwili, gdy traci swój zbożowy aromat. Spaghetti było prawie gotowe. Carvalho wylał wodę i dodał do sosu dwa żółtka, które ubił razem z całą resztą. Dodał sos do parującego makaronu i za pomocą łyżki i widelca podniósł i opuścił nitki spaghetti jak tłustą czuprynę, by nasyciły się kremową esencją sosu. Fuster otworzył wino i przyklnął oczy, by móc lepiej ocenić aromat dania.

- Niech cię diabli!

Fuster zaczął podśpiewywać arię z Coslfan tutte.

- Puść jakąś muzykę pasującą do menu.

Carvalho włączył Veles e vents, poemat Ausiàsa Marcha z muzyką Raimona.

- Dobry wybór. Symbolika morza i wiatru, niepewność losu, nie ma nic stosowniejszego do tego spaghetti à la... Jak to się nazywało?

- À la Annalisa. To dużo bardziej konkretna nazwa niż na przykład à la dobra kobieta.

- Nigdy nie jadłem potrawy przyrządzonej à la zła kobieta.

- Złe kobiety nie gotują.

Fuster próbował spaghetti, koncentrując się i wyostrzając smak, by wydać najbardziej sprawiedliwą ocenę.

- Północ i Morze Śródziemne - powiedział w końcu i, nie otrzymawszy odpowiedzi Carvalho, postanowił rzucić się na saltimbocas, zanim wystygną.

- Mają oryginalny, cytrynowy smaczek.

- Na dno garnka, w którym smażyły się saltimbocas, wlewam sok z połówki cytryny, a potem dodaję ten gorący, lekki sos do mięsa.

- Wspaniałe, pomysłowe, szybkie. Śródziemnomorska i genialna potrawa.

- Kurewskie danie, jak mawiają w Rzymie.

- Dlaczego?

- Bo robi się w jednej chwili.

- A co możesz mi powiedzieć o pochodzeniu spaghetti à la Annalisa?

Carvalho skończył trzecią porcję saltimbocas, wypił pół kieliszka zacnego wina, które miało teraz delikatny zapach jajka, mlasnął językiem i spojrzał na Fustera wzrokiem zaklinacza węży.

- Nie mogę ci nic powiedzieć o pochodzeniu tego dania. Ale nosi nazwę „Annalisa” i myślę, że sama podwójność nazwy tłumaczy podwójną naturę potrawy, w której podstawowe składniki kuchni południowej łączą się z inwazją Wikingów, wędzonym łososiem i śmietaną.

- Wikingowie dotarli do wybrzeży włoskich.

- Ale wtedy nie było jeszcze spaghetti.

- Wikingowie pojawili się wcześniej niż spaghetti?

---

<sup>9</sup> Samuel Beckett, Dzieła dramatyczne, przełożył Antoni Libera. Warszawa 1988 (przyp. tłum.)

- Bez wątplenia.

- A przed Wikingami przyplłynęły łososie. Z tego, co wiemy o łososiach, pojawiły się wcześniej niż człowiek i wędrują rzekami do miejsca swoich narodzin. W każdym razie Annalisa stworzyła syntezę Północy i Południa, pozostawiając nam historyczną zagadkę: co było pierwsze, Wikingowie czy wędzony łosoś? Z drugiej strony są też elementy włoskie, jak bazylia i znak Północy w postaci śmietany. Potrawy ze śmietaną pochodzą z krajów, w których dużo pada, dlatego są tam pastwiska, dużo krów i z mlekiem można robić wiele różnych rzeczy, zamiast wypijać je od razu jak mała, albo jak my, głupi Hiszpanie. Rodzimy się na pustyni i zawsze chce nam się pić, mamy mało pastwisk, mało krów i mało mleka.

- Odkąd umarł Franco w sklepach jest więcej śmietany.

- Zauważyłem.

- Dlaczego Franco nie lubił śmietany?

- Nie mam pojęcia. Caudillo był bardzo skryty. Ale to fakt, że odkąd umarł, wszędzie jest pełno socjalistów i śmietany.

- Co się działo wcześniej z socjalistami i śmietaną?

- Trzeba by sprawdzić.

- Szczerze mówiąc, mam to w nosie.

Fuster był w dobrym humorze, bo, jak sam powiedział, to jest lekka kolacyjka, a nie te twoje kulinarne wybryki, które zdarza ci się robić o trzeciej nad ranem. Tak czy owak, zawsze przychodzisz. Ciało jest słabe, zgodził się Fuster, nim rzucił się na drugą butelkę chianti. Mężczyźni pochłonęli czternaście saltimbocas w przerwach rozmowy, w czasie której Fuster rozwodził się nad muzyką, Carvalho zaś mówił o nicości. Wyzwanie Fustera: „zrób mi niespodziankę, podając odpowiedni deser” rozbawiło Carvalha, detektyw poszedł po gorgonzolę, która całkowicie rozbroiła administratora. Kiedy Fuster przedstawiał swoją empiryczną wiedzę o idealnej gorgonzoli w porównaniu z roquefortem i cabralesem, Carvalho podróżował do strefy pełnej rozbitych obrazów: szynka, plac Padró, akacja obok ogrodzenia „Dachów i Basenów Daurella S.A.”, butelka szampana, która rozbija się na czyjejs głowie, Charo czekająca niecierpliwie na telefon, Biscuter w swojej kuchni, wędzone węże, wiszące na straganie targu w Bangkoku i zapach pietruszki, zalewający miasto. Pietruszka zawiodła go do bazylii, a bazylia do tej irracjonalnej sytuacji, rozgrywającej się w jego obecności, do pogawędki przy kolacji, w której każdy mówi o czymś innym, a głęboka solidarność jest uzależniona od spotkania we wspólnocie smaku.

- Za chwilę wybory - powiedział Fuster. Carvalho nie wiedział, skąd wziął się ten nowy wątek monologu.

- To ciekawe. Demokracja sprowadza się do głosowania i płacenia podatków. Demokracja zaawansowana. Głosujesz, żeby wybrać politykę i płacisz, żeby zagwarantować porządek albo nieporządek społeczny, wedle uznania. Nie zapomnij przysłać mi dowodu wpłaty.

- Płacenie podatków odbiera mi resztki dobrego humoru. Płacę, żeby nie było niespodzianek. Dzisiaj mogą cię już tylko zaskoczyć nowe restauracje i ludzie, którzy nimi zarządzają. Mój adwokat, Victor Sen, założył restaurację, nazwał ją „Sukursaal”, serwuje tam kuchnię z Lyonu.

- Dawniej restauracje zakładali kucharze, a teraz zajmują się tym smakosze. Wszystkie nowe restauracje były marzeniem jakiegoś smakosza.

- W „Sukursaal” mają wyśmienite carpaccio.

- Carpaccio zależy od klasy wołowiny i od sposobu krojenia.

- Prawda przemawia przez twoje usta.

- A najlepsze są woły z Villores. Jak chcesz, zamówię całego wołu i dam ci ćwiartkę, którą sobie podzielisz wedle uznania.

- Zrobiłbyś to dla mnie?

Fuster wycofał się z hojnej propozycji:

- Masz już miejsce na ćwiartkę wołu?

- Kupię zamrażarkę.

- I gdzie ją postawisz?

- Kupię nowy dom.

- Wszystko jest ze sobą powiązane - stwierdził filozoficznie Fuster i chętnie przyjął orujo<sup>10</sup> z Bierzo, podane przez Carvalho.

- Wybierz się kiedyś do Bierzo, Enric. To magiczne miejsce, które czasem znika i nikt tego nie zauważa.

Usłyszeli dzwonek do drzwi. Detektyw wyjrzał przez okno i zobaczył ją: malutka, krucha, ledwo oświetlona przez uliczną latarnię, spoglądała w górę, by przekonać się, czy Carvalho jest w domu. Detektyw nacisnął przycisk frontowych drzwi, dziewczyna wbiegła na górę, chroniąc się przed mżawką. Carvalho wrócił do stołu i opadł ciężko na fotel.

- Kto to jest?

- Charo.

- Ale z nas żarłoki. Wszystkośmy zmiotli.

- Nie przyszła na kolację.

- Muszę już iść. Mam jeszcze zaległą pracę.

- Nie spiesz się. Lepiej, żebyś został.

Charo wpadła do jadalni jak wzburzona rzeka, ale zatrzymała się na widok kompana Carvalho i nawet posłała Fusterowi uśmiech, po czym zwróciła się do detektywa z rozpaczliwą wściekłością:

- Brakuje ci pieniędzy?

Drżała jej broda, a na smutnej twarzy błąkał się słaby uśmiech.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Moja matka mówiła, że tam, gdzie je dwóch, pożywi się i trzeci.

- Myślałem, że będziesz pracować.

- Dawniej nie myślałeś tak dużo.

Carvalho zaproponował jej resztki gorgonzoli.

- Zatrzymaj to sobie. Zrobisz jutro kanapkę.

Wyszła do łazienki, po drodze wybuchnęła płaczem, który uciszyło dopiero trzaśnięcie drzwiami. Carvalho spojrział na Fustera, unosząc brwi. Administrator dopił wino i zrobił gest, jak gdyby zbierał się do wyjścia.

- Jeżeli zostaniesz, wyciągnę butelkę prawdziwego, dwunastoletniego porto.

- Pepe, tego się nie robi dobremu sąsiadowi.

- Jeśli zaczekasz, burza przewali się, a potem we troje napijemy się porto.

Carvalho przyniósł butelkę „Fonseki”, którą Fuster zaczął z zachwytem kontemplować.

- Świat zawdzięcza Anglikom miłość do psów, do jerez, porto i rododendronów.

Fuster badał kolor wina, obserwując kieliszek pod światło i kątem oka dostrzegł Charo, która zbliżała się powoli, chcąc zyskać na czasie i zetrzeć z twarzy ślady płaczu.

- Chodź, Charo, spójrz na ten cudowny kolor.

Zapłakana twarz, uśmiech nałożony na makijaż smutku.

- Minie sto lat, wrócę którejś nocy do Vallvidrera i spotkam ciebie i tego tam, będziecie patrzeć na kolor wina albo rozmawiać o jakiejś wydumanej potrawie. Świat się może kończyć, a wy będziecie robić jakieś nowe danie.

- Bebamus mea Lesbia atque amemus. Teraz pij, Charo, na starość torba i kij, jak mówią klasycy.

- Tak mówiła moja matka, a nie żadni klasycy.

- Twoja matka była klasykiem.

- Nie żartuj.

Carvalho przysłuchiwał się rozmowie - zniechęcenie Charo, swobodna elokwencja Fustera. Podał dziewczynie kieliszek porto. Przyjęła, nie patrząc na Carvalho, i zanurzyła usta w trunku. Wydawała się szczuplejsza niż przed jedenastoma dniami, o dłuższej, dziewczęcej szyi, zmarszczki wokół oczu były głębsze, a skóra na skroniach i powiekach bardziej przezroczysta; wilgoć w zaczerwienionych oczach, niepewne gesty zwierzęcia, które zostało pokonane przez własny strach. Zirykowało go wzbierające w nim uczucie litości, wstał od stołu i rozłożył się na sofie, by stamtąd obserwować ogień na kominku i śledzić dialog Fustera z Charo. Udawał, że nie widzi spojrzeń, jakie czasami posyłała mu

---

<sup>10</sup> Mocny napój alkoholowy z winogron. (przyp. tłum.)

kobieta, przysnął, obudził go Fuster, który chciał się pożegnać, Carvalho nie zdążył nawet wstać i odprowadzić go do drzwi. Administrator miał ochotę już wyjść i detektyw ugiął się przed tym, co miało nieuchronnie nastąpić. Usiadł na sofie, dotarł do niego odgłos drzwi, zamykających się za Fusterem. Przygotował się do oczekującej go sceny. Charo siedziała z kieliszkiem w ręku, udając zamyślenie, szukała pierwszego zdania, on zaś czaił się, gotów do oddania ciosu.

- Wykorzystujesz go, żeby mieć towarzystwo przy kolacji, a co ze mną? Nie robię ci prania. Nie sprzątam domu. Nie wychowuję dzieci. Możesz całymi tygodniami nie pieprzyć się ze mną, do czego ci jestem potrzebna? A może myślisz, że dzięki tobie nie jestem aż taką dziwką, jedną z tych biednych kurew pilnowanych przez alfonsa? Taka jest moja rola? Chcesz mieć dobre uczynki?

Nie zasługiwała nawet na wściekłą replikę ani pogardliwe milczenie. Carvalho opadł ciężko na oparcie kanapy i przyjął poważną minę, odpowiednią do strapionej twarzy Charo.

- Jestem zmęczona - powiedziała Charo i wybuchnęła płaczem.

Ja też, pomyślał Carvalho, ale nie rozplakał się. Przypomniał sobie wzburzenie starego Daurelli. Każdy ma swoją szkołę sztuki dramatycznej. Charo nie wytrzymała dłużej, zbliżyła się do niego, usiadła przy nim, wtuliła się w jego ramiona, kładąc mu głowę na piersi, jak gdyby jego ciało było jaskinią, do której schroniła się przed deszczem. Dajesz mi smutek i przyjmuję go. Jestem twoim bankiem smutku, strachu. Pogładził jej włosy i pozwolił płakać.

Zatrzymał samochód obok kiosku. Poranne dzienniki omawiały wizytę papieża i wybory, które miały odbyć się wcześniej niż planowano, wyprzedzając samego papieża. Superman Wojtyła był pierwszym przywódcą chrześcijaństwa, który odwiedzał Hiszpanię, nie licząc fałszywego papieża Luny<sup>11</sup>, a także apostołów Jakuba i Pawła, niewątpliwie ważnych, ale pozbawionych określonego stopnia w hierarchii. Carvalho rzucił okiem na dywagacje z pierwszej strony i poszukał dalszych informacji o „sprawie butelki szampana”. Zanim zapalił silnik, by udać się na spotkanie z rodziną Daurella, przeczytał artykuł od deski do deski. Nie było w nim wiele informacji, jak gdyby sprawa już się zakończyła, a wiadomość o dziewczynce zaginionej w Uldecona miała większą wagę niż historia pięknej blondynki z pękniętą czaszką. Dziennik opublikował jednak znacznie lepsze zdjęcie ofiary niż to, które ukazało się poprzedniego dnia, i Carvalho mógł przyjrzeć się szczegółom delikatnej kompozycji, tworzonej przez miękki, romantyczne rysy, obdarzone ową naiwną i erotyczną słabością, jaka cechuje najładniejsze blondynki. Policja przesłuchiwała jej byłego męża. Motywem zbrodni mogło być również wyrównanie rachunków, ponieważ blondynka miała w domu prawdziwy arsenał amfetaminy. Carvalho zatrzymał samochód na rogu, by zapisać nazwiska czterech bohaterów tragedii: Pepón Dalmases, przyjaciel zamordowanej, znany w świecie muzycznym jako jeden z twórców Nova Cançó; Alfonso Alfarrás, mąż, architekt bez stałego zatrudnienia, jak zapewniał dziennikarz; Marta Miguel, nauczycielka akademicka, ostatnia osoba, która widziała blondynkę przy życiu, i Rosa Donato, współwłaścicielka sklepu z antykami, należącego do Celi Mataix. Mała Muriel, córka Celi i Alfonsa Alfarrasa, wciąż nie znajduje odpowiedzi, dlaczego mama nie wraca do domu, żyje z dala od tragedii w domu dziadków ze strony matki. Wiek miał skończyć się za osiemnaście lat, a niektóre dzieci żyją z dala od tragedii, chroniąc się w domu dziadków ze strony matki. Są jeszcze dziadkowie. Ze strony matki. Carvalho nie chciał popisywać się przed samym sobą, ale spróbował przypomnieć sobie, ile czasu upłynęło od pierwszych presocjalistycznych analiz, demaskujących zachowawczą funkcję rodziny; teraz mała Muriel schroniła się w domu dziadków ze strony matki, z dala od tragedii. Ze strony matki, powtarzał Carvalho, jak gdyby to wyrażenie było zbyt proste, jak gdyby kondycja dziadków była zrozumiała sama przez się. Nie wystarczy mieć dziadków? Czy muszą być jeszcze ze strony matki lub ojca? Piękna blondynka nie miała już dziadków. Celia. Muriel. Spaghetti à la Annalisa. Łosoś i bazylija. Jeśli dziewczynka nazywa się Muriel, będzie blondynką, tak jak jej matka. Ta część Pueblo Nuevo była pokryta siecią agencji przewozowych i tylko w jej odgałęzieniach, w pobliżu morza lub Vía Meridiana, rosły kapryśne magazyny przeznaczone na kapryśne towary. „Dachy i Baseny Daurella, S.A.”, głosił bezpretensjonalny szyld, wymalowany cierpliwie przez dawnego malarza w czasach, kiedy państwo Daurella postanowili rozszerzyć tradycyjny asortyment o kauczukowe baseny. Samochód Carvalha minął szyld, wjechał na asfaltową drogę, prowadzącą do biura zbudowanego z betonowych płyt. Tam właśnie miał nastąpić finał dramatu, apoteoza pod przewodnictwem starego Daurelli. Patriarcha gotów był zrekompensować sobie honorarium Carvalha, wskazać niewdzięcznego syna, który nadużył jego zaufania i wziął na siebie rolę Króla Lira z Pueblo Nuevo.

Stary nie zdradził detektywa. Nie było nikogo spoza rodziny Daurella. Pomocnicy, mechanicy i biuraliści zostali wysłani na ciemne zaplecze, cała rodzina była na miejscu, wszyscy w niebieskich

<sup>11</sup> Benedykt XIII, Aragończyk Pedro Martínez de Luna, był papieżem w Awinionie w XV wieku (przyp. tłum.)

prochowcach, z wyjątkiem Pabla, któremu los przeznaczył jesienny garnitur kupiony w Londynie i włoski krawat. Poważne oblicza Daurelli i jego żony, kobiety zgromadzone wokół matki, mężczyźni wokół ojca. Pablo żartuje, bawi się słowami i dłońmi, nazywa Carvalha psem gończym i robi do niego oko. Mężczyźni spoglądają na siebie, kobiety nie muszą patrzeć, znają na pamięć oratorium i czekają tylko na wejście mistrza ceremonii. Stary Daurella zajmuje miejsce za stołem i wznosi ręce do góry. Rozpoczyna się msza. Daurella przedstawia w skrócie ostatnie wypadki, chwali wytrwałość Mercè, jej intuicję, najpierw zaskoczenie, niepokój, wreszcie oburzenie, gdy się dowiedzieli, dzięki zasłużonemu panu Carvalho, zasłużony, zasłużony, Carvalho czuje ciężar tego nowego przymiotnika.

- No cóż. Nie będę się rozgadywał. Brakuje sześciu milionów peset...

Stary przebiegł wzrokiem po twarzach wszystkich obecnych i nagle zatrzymał się na Pablo.

- I oczekujemy, że ty nam to wyjaśnisz, Pablo.

Pablo rozejrzał się na prawo i lewo, potem do tyłu, wreszcie spojrzął na siebie.

- Pablo to ja. To znaczy, że chodzi o mnie.

- Mówiłem do ciebie, Pablo. Co się stało z tymi sześcioma milionami?

- Ależ...

Pablo zaczął tracić cierpliwość i podszedł do patriarchalnego stołu.

- Czyli że chodzi o mnie. Czuję, że padnie na mnie.

Żona Pabla chciała dołączyć do męża, ale stara Mercè powstrzymała ją wzrokiem.

- Dowody! Dowody!

Daurella wręczył mu teczkę, którą poprzedniego dnia otrzymał od Carvalha. Pablo otworzył ją, przybierając najbardziej szyderczy wyraz twarzy, na jaki było go stać, przejrzał papiery, najpierw z niechęcią, później z niepokojem, wreszcie zamknął teczkę, rzucił ją na stół i odwrócił się plecami do patriarchy.

- Cyfry i nic więcej. Ja nie pracuję z numerkami. Pracuję z ludźmi.

- Bandarra, més que bandarra!<sup>12</sup> - wykrzyknął stary i rzucił w jego stronę długopis. W kącie kobiet podniósł się chóralny wrzask, a Holenderka powiedziała coś w tym duchu, że pójdzie sobie, jeśli dojdzie do brutalnych scen. Pani Mercè uznała, że musi wkroczyć do akcji, podeszła do męża, wzięła go za rękę i głowa przygnębionego starca oparła się na jej piersi.

- Powiem wam. gdzie są te pieniądze!

Pablo poczuł się raptem jak oskarżony i wskazywał z wściekłością na obwiniającą go teczkę.

- Wszystko zostało w firmie! Wydałem te pieniądze, próbując udowodnić, że to jest poważne przedsiębiorstwo. Wy myślicie, że jak się dzisiaj pracuje? Mam jeździć do klientów dwukółką, jak ojciec starego Riusa albo pan Esteve? Dzisiaj firma musi się pokazać i kiepsko by z nami było, gdyby opinia, jaką o nas mają w całej Hiszpanii, zależała od tego...

Mówiąc ostatnie słowa, ogarnął wzrokiem magazyny „Dachów i Basenów Daurella S.A.” i samych Daurella.

- Ile na przykład kosztuje kolacja w „La Hacienda”, w Marbelli? - zapytał Pablo swojego szwagra Jordiego.

- Nic mam pojęcia. Trzydzieści tysięcy peset.

- Trzydzieści tysięcy peset? Za jedną kolację?

Stary Daurella obliczał w myślach liczbę kaczek z gruszkami albo escudelles amb cam d'olla, które można kupić za trzydzieści tysięcy peset.

- Nic specjalnego. Sześciu klientów. Butelka „Vega Sicilia” Reserva. Ile kosztuje butelka „Vega Sicilia” Gran Reserva? - znów zapytał Pablo swojego speszzonego szwagra Jordiego. - Dwadzieścia cztery, najwyżej dwadzieścia pięć tysięcy peset - rzucił Carvalho ze swego kąta.

- Niech pan się nie wtrąca, narobił pan już dość zamieszania - zbeształ go Pablo, a jego żona powtórzyła:

- Tak, niech on się lepiej zamknie, narobił już dosyć kłopotu.

Kobiety spojrzały na Carvalha tak, jakby to on popełnił defraudację.

- Kolacja, niech tam. Trzydzieści tysięcy peset wyrzuconych w błoto.

- To nie tak, Pere. Zostały wydane na kontakty z klientami - poprawiła żona, gładząc czoło starego.

---

<sup>12</sup> Łajdak, zwyczajny łajdak! (przyp. tłum.).



- Tu també, Mercè?<sup>13</sup>

- Ho ha fet amb bona intenció. Una mica alegrement, però amb bona intenció.<sup>14</sup>

Właśnie ten moment wybrała Esperança, by rzucić się w ramiona męża, ale Pablo odtrącił ją.

- Odejdź. Wracaj do rodziców. Oczerniliście mnie, bo nie jestem jednym z was. Zawsze traktowaliście mnie jak obcego.

- Co to, to nie, Pau - krzyknął stary Daurella.

- A ja nadstawiałem karku za firmę. Uważacie, że wystarczy otworzyć bramę o ósmej rano, zamknąć o ósmej wieczorem, i już ładujemy ciężarówki. A zamówienia? Czy wy wiecie, co to znaczy handlować dzisiaj w Hiszpanii, przy tym kryzysie? Sześć milionów! Jaki mieliśmy obrót w tym roku? Setki milionów! Objechałem Hiszpanię sto razy w ciągu roku, a teraz przychodzi jakiś typ, robi swoje fantazyjne rachunki, bierze honorarium i mówi: ten jest winny.

- Idziemy stąd! - krzyknęła histerycznie Esperança, Esperanceta, jak nazywał ją ojciec, śniada jak ojciec czterdziestolatka czarnulka.

- Nie zobaczycie więcej dzieci! - zawołała Esperanceta, chwyciła męża za rękę i pociągnęła w stronę wyjścia. Stary wyciągnął ręce, próbując powstrzymać córkę przed ucieczką i porwaniem wnuków, patrzył z desperacją na Carvalha, obwiniając go za kłopoty, w jakich teraz się znalazł, spoglądał też na żonę, oczekując od niej jakiegoś zręcznego rozwiązania. Canhalho miał już dość. Podszedł do Holenderki i wręczył jej kartkę z rachunkiem. Holenderka pochyliła się nad stołem, wypełniła czek i podała go staremu Daurelli. Ten przerwał swoją mowę, podpisał czek i wręczył go detektywowi, nie patrząc mu w twarz.

- Może za bardzo poniosły nas nerwy. Musimy ze sobą rozmawiać jak w rodzinie. Pau, przyznaj, żeś przesadził, bo przy takich kolacjach za trzydzieści tysięcy nie dotrwamy do następnego roku. Co wam podali? Collons de mico amb beixamel?<sup>15</sup>

Wszyscy śmieją się z żartu ojca, najbardziej pani Mercè i kobiety, potem synowie, a najmniej posmutniały Ausiàs, obserwujący najdalszy kąt podwórza, nawet Pablowi udziela się ogólna wesołość, śmieje się z żartu teścia, a jego żona zmieniła kierunek i zamiast ciągnąć męża do drzwi, popycha go. by podszedł do stołu i pogodził się z patriarchą. Po drodze Pablo trafia na Carvalha i tylko stojący najbliżej widzą, jak detektyw przed wyjściem szczypie go w policzek i szepcze: łobuzy zawsze mają szczęście. W oczach patriarchy odbijają się spojrzenia ulgi, żalu i tłumionego niepokoju.

W barze „Egipto” przy placu Gardunya od samego rana podawano trzy lub cztery świetne dania mięsne i świeżą tortillę, która nie miała nic wspólnego z tortillowymi mumiemi, jakie zwykle serwuje się w hiszpańskich barach przed południem. Carvalho wystrzegał się klopsików podawanych w barach i restauracjach, bo uwielbiał je i dobrze wiedział, co można włożyć do tego iberyjskiego dania, bez siateczki wieprzowego tłuszczu, której używają Francuzi, do tego mąka i jajko, i trochę uczciwości, żeby kulka stała się tym, czym ma być, żeby, tak jak Ziemia, nie była okrągła. Prawie wszystkie dobre klopsy są spłaszczone na bieżniach. Klopsy z „Egipto” posiadały nienaganną konsystencję dzięki dokładnej proporcji mięsa i chlebowego miększu. Jeśli klops zawiera zbyt dużo mięsa, przypomina ciemny, zwierzęcy guz, jeśli zaś przeważa chleb, wydaje się nam, że przeżuujemy na wpół strawioną papkę. Trzeba też odpowiednio używać sosu pomidorowego. Choć Carvalho był zwolennikiem pomidorów - opowiadał się za metysażem kulturowym - nie mógł tolerować tego, by w sosie, nadającym daniu kolor i smak, utonęły pozostałe smaki, pochodzące z duszy i ciała żywych istot. Kiedy zaś danie jest odpowiednio doprawione sosem pomidorowym i nie minęło jeszcze południe, można zamówić chleb z pomidorem, idealny dodatek do dobrej tortilli z ziemniakami i cebulą, a nawet do klopsów w lekkim sosie, jakie podaje się w „Egipto”. Godne uwagi były też sardynki w marynacie, wieprzowe nóżki i flaki, Wobec tak trudnego wyboru Carvalho wybierał zwykle klopsiki z tortillą, ponieważ sam potrafił robić dobre marynaty, trudno mu było jednak uformować odpowiednią materię klopsikowego mikrokosmosu. Bar „Egipto”, przeznaczony dla tych, co lubią obfite i beztrudne śniadania, tania restauracja dla artystów, ludzi teatru i młodzieży, próbującej utrzymać kruchą niezależność, mieścił się tuż obok baru „Jerusalem”, w dzielnicy, która z wolna zamieniała się w barceloński Harlem, na tyłach targu Boqueria. Murzyni wychodzili o zmierzchu, zbierali się w czarnych barach na uliczkach, łączących Boqueria z ulicami Carmen i Hospital. Murzyni urodzili się po to, by poruszać się z gracją, ucząc innych harmonii ciała. Jednak wcześniej rano plac Gardunya był kloaką

<sup>13</sup> I ty, Mercedes? (przyp. aut.)

<sup>14</sup> Zrobił to w dobrej woli. Trochę lekkomyślnie, ale miał dobre intencje (przyp. aut.)

<sup>15</sup> Jaja małpy pod beszamelem? (przyp. aut.)

targu Boqueria. Rampa dla ciężarówek, wystawa pojemników na śmieci, które zaczynały gnić, gdy tylko opuszczały święty bazar, dzikie koty, rozpieszczane przez ludzi w podzięcie za bezwzględna walkę, jaką prowadziły z myszami, czekającymi na najmniejszy błąd, by zawładnąć targiem, starą dzielnicą, całym miastem. Te miejskie koty odbyły właśnie pierwszą decydującą bitwę z podziemnymi wrogami człowieka, były pokryte szramami po ohydnych spotkaniach z hordą gryzoni, owych tajemniczych spotkaniach, ukrytych przed ludzkim wzrokiem, jak gdyby ochroniarze i mordercy mieli swoją przestrzeń, czas i reguły życia i śmierci. Symfonia klaksonów, sznur samochodów czekających na miejsce na parkingu Gardunya i niewinny poranny optymizm pełnego żołądka sprawiają, że Carvalho postanawia pójść pieszo. Przebija się przez główny pasaż targu; widzi ciężkie ciała klientów, atakowane przez ręczne wózki, którymi dowozi się towar. Idzie pasażem owoców, prezentującym geografii całego świata, pozbawionym jednak tradycyjnej historii owoców, bez świadomości lata ani zimy - chilijska brzoskwinia leży obok szklarniowej czereśni - wreszcie wychodzi na olśniewające Ramblas de las Flores. Zatrzymuje się, przegląda notatki o sprawie butelki szampana. Wyrzywa kartkę, robi kulkę i rozgląda się za kulem na śmieci, który powinien gdzieś tu być, między kioskiem i kwaciarnią, w końcu chowa papier do kieszeni spodni i wydłuża krok, by jak najszybciej dotrzeć do biura. Zaskakuje Biscutera, który właśnie „myje szyby, bo są brudne jak nieszczęście, szefie”, „poszukam gosposi, żeby ci pomogła”, „równie dobrze ja to mogę zrobić, szefie, jak się panu podoba? Lepiej teraz widać ulicę?”. „Rzeczywiście”. „Nie ma sprawy. Dzisiaj okna, jutro kurze. Zostanie pan na obiad? Zrobiłem mięso z bakłażanami i rovellons<sup>16</sup>”. Carvalho nie zwraca uwagi na wywody Biscutera, ale oni oszukują, ci sprzedawcy grzybów. W pół kilogramie jest więcej robaków, niż w tych serach, co pan lubi, szefie. Carvalho wyciąga z kieszeni ocaloną kulkę papieru, wygładza papier i odczytuje nazwiska z liter ukrytych w głębi papierowych fałd, potem szuka numerów w książce telefonicznej. Dziennik „El Periódico” nie podał drugiego nazwiska Dalmasesa, ani też Rosy Donato, Marty Miguel, ani nawet męża Celi Mataix, z którym była w separacji. Carvalho postanawia zadzwonić pod numer państwa Mataix, odpowiadający adresowi domu, w którym dokonano zbrodni. Taquigrafo Serra, 66. Carvalho słyszy niepewny głos kobiety. Ja jestem tylko gospodynią, przedstawia się, rozwlekając słowa. Jeżeli chodzi o ubezpieczenie... W końcu kobieta podaje telefon męża Celi, ale waha się, nie rozumie, dlaczego detektywowi potrzebny jest numer Dalmasesa, Donato albo Marty Miguel.

- Niech pani zrozumie, to byli naoczni świadkowie.

- Wszystko ma policja. Zabrali nam notes, ten, co tu był, z telefonami.

Zawsze coś, pomyślał Carvalho, odkładając słuchawkę. Zanotował nazwisko męża Celi, Alfonsa Alfarrasa, i numer jego telefonu. Nikt jednak nie odpowiadał i detektyw doszedł do wniosku, że mąż, który rozstał się z jasnowłosą pięknoscią, nie może popełniać błędów, odbierając telefony o każdej porze dnia i nocy. Carvalho zadzwonił powtórnie do gospodyni. Nie odpowiadają, a chcę przestać im pilnie list, czy pani przypadkiem nie zna ich adresu?, i odpowiedź otwiera drzwi do zamkniętej dotąd komnaty w świadomości detektywa. Mieszka w domu, który dzielił z panią. Na Mayor de Sarriá. Carvalho widzi nagle Celię Mataix, która stoi w kolejce w supermarkecie, tuż przed nim, w ostatnim barcelońskim supermarkecie przed zjazdem w stronę Vallvidrera, przesuwając się w rytm kolejki, wysoka, zręczna, z miodową grzywką, lustruje Carvalha kątem oka, i detektyw czuje głęboki zapach kobiety i półmroku, jaki panuje w pokoju kochanków. Co niesie Celia Mataix w koszyku? Makaron, małą paczkę wędliny, płyn do mycia naczyń, paczkę mrożonych krewetek, owoce wybrane na chybił-trafił. Sweter Celi Mataix wygląda tak, jakby był przyklejony do jej skóry. Carvalho widzi Celię jak ulotne obrazy kobiet, które jako mały chłopiec kolekcjonował w pamięci: kobiety-cienie w odjeżdżających autobusach, i te znikające na zawsze w bramach, w chwili gdy zaczynał wymyślać ich przeszłość i przyszłość.

- Schowaj jedzenie, Biscuter. Zjem to na kolację.

- Szefie, bakłażany miękają, jak się je odgrzeje.

Ale Carvalho nie wysłuchał tej uwagi, która w innych okolicznościach przemówiłaby mu do rozsądku.

- Nic nie wiem ani mnie to nie obchodzi.

Alfarrás nosił gładką grzywkę, zwisającą z łysego, ogórkowatego czubka głowy, i czarną brodę, która wydłużała aż do mostka jego pokutniczą twarz. „Zmarszczki są piękne”, głosiła reklama nowej mody męskiej, jednak okazało, że zmarszczki Alfarrása miały inną historię, zostały wyżłobione przez ascetyczną przeszłość katalońskiej rasy marksistowskiej, pamiętały czasy, gdy chłopcy z dobrego

---

<sup>16</sup> Rydze (przyp. tłum.).

domu drażnili swoją klasę społeczną, przebierając się za robotników sezonowych przy zbiorce bawełny na amerykańskim południu i żaden socjolog nie zastanowił się nigdy, dlaczego wybrali tak odległy model estetyczny. Niemłody już, czterdziestoparoletni architekt Alfonso Alfarrás czekał na decyzję, która miała przesądzić o powodzeniu jego projektu - chodziło o przekształcenie nieużytku w park zabaw w dzielnicy imigrantów. Młoda demokracja rządząca gminą nie wiedziała, czy niewielka skłonność do zabawy wśród imigrantów jest częścią życiowego planu, czy też w tym planie zabrakło parku zabaw, w którym można odkryć na nowo drzewa i pobawić się w chowanego. W małej pracowni Carvalho przysłuchiwał się, jak Alfarrás wyjaśnia projekt ludziom równie fałszywym jak sam architekt. Należało zakończyć projekt koncepcyjny i Alfarrás żądał więcej liryzmu od jednego z asystentów.

- Mniej kreślenia, więcej pomysłów.

Nie zwracał uwagi na detektywa, jak gdyby sucha odpowiedź „nic nie wiem ani mnie to nie obchodzi” była wszystkim, co miał do powiedzenia. Jednak Carvalho podarował mu czas, przyzwalając gestem, by porozmawiał ze swoimi współpracownikami. Detektyw usiadł w fotelu - nagroda za projekt w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym - w którym trzymała się tylko żelazna rama, i z przyjemnością obserwował spektakl pod tytułem „jak zaplanować strategię, żeby wygrać konkurs na projekt”. Alfarrás grał pierwsze skrzypce.

- Nie chodzi o to, żeby sprzedać projekt budowniczemu masarni, dziadkowi kolegi albo spółdzielni młodych, świątłych małżeństw. Trzeba przekonać radę miejską, rządzoną przez socjalistów i komunistów, ale nadzorowaną przez innych.

- Dlatego mówiłem, żeby wstawić tę ruchomą rzeźbę z muszli. Spodoba się.

- Dlaczego tym z Convergència miałyby się podobać muszle?

- Bo to jest bardzo katalońskie. Szukanie muszli i rovellons.

- Żeby chociaż muszle miały barretinę<sup>17</sup>.

- Mogą mieć.

- Nic z tego, kurwa. Co ma znaczyć rzeźba z muszli w parku przy San Magin?

Konsultacja zakończyła się i Alfarrás wyjął z kieszeni dzinsowej kurtki niedopałek galisyjskiego cygara.

- Nie częstuję, bo został mi tylko ten niedopałek. Ale nie mam panu nic do powiedzenia. To samo powiedziałem policji. Nie widywałem się z Celią. Czasami trafialiśmy na siebie, kiedy odwiedzałem córkę. To wszystko. Żyliśmy w separacji od ponad czterech lat. Co jeszcze mogę panu powiedzieć? Że przeżyłem jej śmierć? Jasne, że tak. Przede wszystkim z powodu dziewczynki. Ja nie mogę się nią zajmować. Ale ona też nie mogła. Prawdziwa katastrofa. Celia też była dziewczynką i w wieku czterdziestu lat odkryła, że świat nie jest taki, jak myślała. Nie ma powodu, żebym jej współczuł. Żyła tak, jak umiała. Równie dobrze, jak ja albo pan.

- Dobrze idzie interes?

Alfarrás speszył się przez chwilę, potem podążył wzrokiem za gestem Carvalha, wskazującym teczkę z projektem,

- Chodzi panu o to? Nie. Od siedmiu miesięcy nie mamy żadnego zamówienia, a ostatnim razem zrobiliśmy dobudówkę do willi. Jeżeli nie wyjdzie ten konkurs, zamykamy pracownię. Wszyscy cienko przędą. W mieście jest pełno pustych mieszkań. Nikt nie ma ani grosza, żeby kupić, a co dopiero budować. Tym lepiej. Przynajmniej nie grozi mi bogactwo.

- Pomagał pan żonie finansowo?

Alfarrás nie potrafił ukryć szelmowskiego uśmiechu.

- Czy jej pomagałem? Raczy pan żartować. Z jakiej racji? Mówi pan o drobnomieszczańskiej koncepcji zadośćuczynienia za utratę dziewictwa czy o równie drobnomieszczańskiej idei kobiecej słabości? To śmieszne. Dziewczynkę zawsze utrzymywali jej dziadkowie, to znaczy rodzice Celi. Moi od czasu do czasu wysyłali jej melona.

Alfarrás odczytał zaskoczenie z dyplomatycznej miny Carvalha.

- Moi rodzice są chłopami spod Leridy, dość zamożnymi, jak sądzę. Ale nie są zbyt rozrzutni. A co pan ma wspólnego z tą sprawą?

- Przeczytałem notatkę w gazecie. Jestem prywatnym detektywem. Chciałbym się tym zająć.

- Więc jest pan bez pracy, tak jak ja. chce pan przeprowadzić dochodzenie w sprawie śmierci Celi i przychodzi pan do mojej pracowni, do pracowni bezrobotnego, jak pan, żeby prosić o pracę. Niechże

---

<sup>17</sup> Czapka katalońska (przyp. tłum.).

pan to zrozumie. Sytuacja jest groteskowa. Nie obchodzi mnie, kto był mordercą. I tak nie zwróciłby życia Celi, może zresztą był to któryś z jej przyjaciół. Dalej motyw. Motyw zawsze jest plugawy. Albo groteskowy. Nie znam fauny, z którą związała się ostatnio Celia. Była pasywną kobietą. Kiedy ze mną mieszkała, moi przyjaciele byli jej przyjaciółmi, a gdy się rozstaliśmy, całkowicie zmieniła orbitę.

- Czy jej sklep z antykami dobrze prosperował?

- Fatalnie. Tak mi się zdaje. Założyli go rodzice Celi, żeby miała rozrywkę i nie cierpiała na depresję. Przykro mi to mówić, bo ona już nie żyje, ale była zerem, dziewczynką z dobrego domu, która nie potrafiła naśladować swojej matki, ani stać się niezależną kobietą.

- Ani żyć z panem.

- Zachowywała się jak osoba niepoczytalna.

- Skończyła historię sztuki.

- Studiował pan na uniwersytecie?

- Bardzo dawno temu. Czasem myślę, że to był sen. Ale faktycznie, studiowałem.

- Ilu idiotów spotkał pan na uniwersytecie?

- Nie było ich znowu tak wielu.

- Ale przyzna pan, że mimo wszystko tworzyli zadziwiająco liczną grupę.

- Owszem.

- Burżuazja w bardzo umiejętny sposób potrafi ukrywać idiotów. Dawniej wystarczyło, że mieli dobrą pamięć i mogli nawet zostać lekarzami lub adwokatami, bo wykuli nazwy wszystkich kości albo wszystkie kodeksy. Teraz studia wyglądają inaczej i uczeń musi udowodnić, że rozumie wykładane przedmioty, ale wystarczy, że rozumie je tak, jak profesor, żeby mógł odnieść sukces, nie przestając być idiotą. To znaczy, krótko mówiąc, to cud, że Celia skończyła gimnazjum i była w stanie odróżnić „Venus” Willendorfa od „Śniadania na trawie” Watteau. Poza tym nie miała za grosz intuicji artystycznej. Żadnej wrażliwości. Czysty sentymentalizm. Płakała, jak ktoś spryskiwał muchy DDT. Może trochę przesadzam. Ale cóż, taka właśnie była. Nie była zdolna do głębszych przeżyć. W pierwszym miesiącu naszego małżeństwa cztery razy zepsuła pralkę.

- Sprawdził pan, czy to jest rekord?

Alfarrás przymknął oczy, uśmiechając się zza linii obronnej, tworzonej przez wąsy i brodę.

- Pan staje po stronie Celi. Polubił ją pan. To się daje wyczuć. Ja natomiast jej nie lubię. Czy pan jest nekrofilem? Kocha pan zmarłych? Kocha pan śmierć?

- Niech mnie pan źle nie zrozumie. Zasady dobrego wychowania skrzywiły mi charakter. Jestem od pana trochę starszy, wychowano mnie według absurdalnych, konwencjonalnych zasad.

- Na przykład jakich?

- Szacunek dla zmarłych.

- Ja szanuję zmarłych, którzy zasługują na szacunek. Na przykład Franco. Walczyłem z frankizmem, panie...

- Carvalho.

- Panie Carvalho. I, mimo wszystko, szanuję Franco, bo do ostatniej chwili dawał nam w dupę, był podziurawiony kroplówkami, ale wytrzymał, żeby nie zrobić nam tej przyjemności, nie wykitować. Rozumie pan? Dlaczego miałbym szanować kobietę, która umiera przez przypadek, rozbijając sobie głowę o butelkę szampana?

- Może jest jakieś wspomnienie albo fragment wspomnienia. Pierwsza wspólna noc. Pierwszy uśmiech dziewczynki. Coś wspólnego.

Alfarrás wzdyga się i otwiera oczy, by lepiej widzieć Carvalha, a może po to, żeby detektyw widział go lepiej.

- Po ośmiu latach rozumiałem, że jej nienawidzę, i straciłem następne cztery, żeby znowu być sobą. Nie mam ochoty jej wspominać. Nie chcę tracić ani sekundy z powodu Celi Mutaix. Być może nawet najmniejszy kamyk ma swój udział w równowadze wszechświata, ale są osoby, których istnienie nie ma żadnego sensu, i Celia była właśnie jedną z nich.

Wydawało się, że skóra Pepona Dalmasesa pochłonięta ostatnie promienie słońca - była śniada, błyszcząca, wzbogacona najlepszymi kremami nawilżającymi albo wysuszającymi, wedle potrzeby.

Dalmases gestykulował jak początkujący baletmistrz, reżyserując mise en scène w studiu nagraniowym „Laser”: dzieci, muzycy, chciwie obejmujący swoje wiolonczele, obserwujący instrumenty, jakby były fallusami, wreszcie rodzice, którzy zachowywali się z obowiązkową swobodą, byli przecież rodzicami śpiewających dzieci pod koniec XX wieku i nie mieli nic wspólnego z podekscytowanymi, zazdrosnymi albo zdzieciniałymi rodzicami w starym stylu. Carvalho kontemplował postać Dalmasesa przez grubą szybę - Pepón przejmował mimikę muzyków, gdy tłumaczył coś wiolonczelistom, mizdrzył się do muzycznych dzieci i gestykulował jak rodzice, kiedy z nimi rozmawiał. Śpiewające dzieci miały jasne włosy i drogie buciki, ich ojcowie byli co najmniej chemikami, a w niektórych przypadkach chemikami pracującymi na własny rachunek, którzy założyli swoją firmę w odpowiednim momencie, dziesięć czy piętnaście lat temu. Matki muzycznych dzieci i żony chemików w jednej osobie, podstarzałe gwiazdki, młode czterdziestki o blond włosach, ufarbowanych nie w porę, z żyłakami, których do końca nie usunęły, wysmarowane kremami, których używają tylko cztery razy dziennie, a nie co najmniej osiem, według zalecenia lekarza. Czasem zerkają na książkę, poleconą przez męża, którą zdołały przeczytać do połowy, bo ostatnio musiały przygotować soirée w Aiguafreda, Lloret. Salou, Llansá. Zupełnie jak w Rozkoszach i cieniach Torrente Ballestera.

- Bohaterka książki nie jest taka ładna jak w filmie.

- Pewnie, są różnice.

- A Cayetano okazuje się większym draniem w telewizji.

- Dobrze, ale w książce też nie jest aniołkiem.

- Ale nie są takie same, co nie?

- Nie. Książka i film to dwie różne rzeczy. No pewnie.

- Przyznam ci się, że wolę tę historię w filmie niż w książce.

- Bo w książce jest dużo waty.

- Nie o to chodzi, ja nawet lubię watę. Ale najpierw widziałam film, tam wszystko podają na talerzu, co nie? Już wiesz, jakie są postaci, a jak to potem czytasz, nie wszystko ci pasuje.

- Niech pan wybaczy. Robimy nagranie dla szkoły - tłumaczył Pepón Dalmases. Jak twierdzili rodzice, zebrani w kącie studia, chodziło o „szczytne zamierzenie”, by nagrać z muzycznymi dziećmi wolną wersję kompozycji Mary Poppins, zaaranżowaną przez maestro Surede Palolsa.

- Ma pan wielki talent, ale cóż, musi pan zarabiać na chleb, ucząc tych dzikusów muzyki. Zawsze to powtarzam mojej żonie. Podziwiam ludzi, którzy muszą znosić swoje dzieci. Pomyśl tylko o wakacjach. Bez przerwy masz je na głowie i nie wiesz, co z nimi robić.

- Jaki jest cel pańskiej wizyty?

- Jest pan zamieszany w sprawę Celi Mataix.

- Zamieszany... niezupełnie... byłem przyjacielem ofiary.

Pepón Dalmases nie patrzy jednak na Carvalha. Obserwuje uważnie muzyków, dzieci i rodziców.

- Czasami warto mieć własne informacje. Nie chcę panu przez to powiedzieć, żeby to pan szukał mordercy, ale dobrze byłoby wiedzieć. Jestem prywatnym detektywem i proponuję panu rozpoczęcie śledztwa. Niezależnie od policji.

- Skąd ten pomysł?

- Jestem zawodowcem.

- Myślałem, że prywatni detektywi siedzą w biurze, czekając na klientów.

- Tak się dzieje tylko w książkach i w filmach.

- I co później zrobię z tą informacją?

- Sam pan zdecyduje. Policja może wbić sobie do głowy, że to pan był mordercą.

- Policja może wbić sobie do głowy, że to ja byłem mordercą - powtórzył Dalmases, by zrobić dla siebie miejsce w czasie i przestrzeni, i w ten sposób nadać sens rozmowie, jaką prowadził w korytarzu studia z nieznaną mężczyzną o niezbyt miłej powierzchowności, który najwyraźniej szuka pracy.

- Przecież ja nawet nie wiem, kim pan jest.

- Mam za sobą ponad dziesięcioletnie doświadczenie.

- Przyniósł pan curriculum albo jakąś ulotkę reklamową?

- Nie, ale za to jestem elokwentny. Mogę to panu wytłumaczyć w ciągu kilku minut, dzieci w tym czasie pójdą zrobić siusiu, a potem porozmawiają z rodzicami o fascynującej przygodzie, którą właśnie przeżywają.

- Wynajmujemy studio, a to kosztuje. Może umówimy się później? Pójdziemy gdzieś na kawę?

- Lubi pan dobrze zjeść?

- Jem, żeby żyć, a nie na odwrót.

- Wobec tego lepiej umówmy się na kawę. O której?

- Może być czwarta.

- Jakie miejsce pan proponuje?

- Niedaleko stąd, na rogu, jest kawiarnia. Muszę później wrócić do studia, dlatego wolałbym tam się z panem spotkać.

Muzycy masturbowali wiolonczele w niepokojącym rytmie, a dzieci rozpoczęły działania zaczepne, dwóch chłopców próbowało nawet unicestwić się za pomocą chwytów judo, które detektyw uznał za typowo bandyckie. Dzieci przypominały zmęczone, wygłodniałe zwierzęta, zamknięte w klatkach, gotowe pożreć się nawzajem, a gdyby to im nie wystarczyło, zjadłyby też Pepona Dalmasesa i swoich rodziców.

- Jest nowy telegram, szefie.

- Od Teresy?

- Tak, to musi być od Teresy Marsé, bo przyszedł z Bangkoku. Przeczytać go panu?

- Nie. To wariatka. Wydaje więcej na telegramy niż na samą podróż.

- Jadł pan obiad, szefie?

- Nie.

- Najwyższy czas. Już dochodzi trzecia. Może pan przyjdzie, odgrzałbym mięso z bakłazanami i rovellons?

- Jestem za daleko od biura, Biscuter. Przekąszę coś na mieście.

Carvalho odłożył słuchawkę i ruszył w górę ulicy. Był niedaleko restauracji „Cathay” i jego żołądek zaakceptował propozycję chińskiej kuchni. Poza tym zawsze ciekawie było porozmawiać z właścicielem, dawniej profesorem historii, który widział pół świata, ale wciąż był szowinistycznym Chińczykiem, uznającym Mao za półboga i prawdziwego twórcę narodu chińskiego.

- Widział pan, jak załatwili tego karła?

Karzeł był przywódcą, który rozpoczął odwrót od maoizmu.

- Ale inni też nie doceniają tego, czego dokonał olbrzym. To są pigmeje. Oni też są karłami.

Właściciel „Cathay” wiedział, że Carvalho zamówi smażony ryż, małże i cielęcinę w sosie curry, zakrapianą zimnym szampanem. Detektyw jadł tutaj ostatnim razem jeszcze przed procesami chińskimi, mieli więc sporo tematów do rozmowy.

- Wdowa płacze, ale ona też nie docenia dzieła olbrzyma. Na deser restaurator zarezerwował ostatnią i w pewnym sensie uniwersalną refleksję:

- Co by się stało z Chinami, gdyby nie On?

Zaakcentował wielką literę w zaimku i Carvalho przyjął do wiadomości, że być albo nie być Historii zależało od istnienia Mao Tse-tunga.

- Któregoś dnia przyślę Biscutera, żeby się czegoś od pana nauczył.

- Moja żona z przyjemnością nauczy pana Biscutera, jak przyrządzać chińskie potrawy. Był już u nas dwa razy.

- Tak, ale mówił mi, że nie czuje się jeszcze pewnie w kuchni ampurdańskiej<sup>18</sup>, a właśnie tej się uczy. W rzeczywistości miesza różne potrawy. Jest eklektykiem, jak Japończycy. Chcę go wysłać do Paryża, żeby nauczył się robić zupy.

- Zupa to magiczne danie. Może być wszystkim albo niczym.

- Od czego to zależy?

- Od tego, czy składniki gotują się zgodnie z naturą zupy, czy też wbrew niej.

- Pewno pan to znalazł w księdze Tao?

---

<sup>18</sup> Region w prowincji Gerona w Katalonii (przyp. tłum.).

- Jestem konfucjanistą, a nie taoistą.

Mało brakowało, a Carvalho spóźniłby się na spotkanie z Peponem Dalmasesem. Muzyk spoglądał właśnie na zegarek, siedząc w barze obok innych ofiar tradycyjnego menu: sałatka katalońska i butifarra z fasolą.

- Powiem od razu, żeby oszczędzić pański czas, że nie mam zamiaru skorzystać z pana usług. Nie mówiłem tego wcześniej, bo dzisiaj mam kociół w pracy, wie pan? Ale potem w spokoju zjadłem kanapkę i pomyślałem, że właściwie ta sprawa w ogóle mnie nie obchodzi. Wyszedłem od Celi razem z resztą gości, poszliśmy do baru, ona została z Martą Miguel, której prawie nie znałem, zdaje się, że spotkałem ją kiedyś na imprezie na Costa Brava. Dobra. Niedługo potem dołączyła do nas Marta Miguel, mówiąc, że Celia jest w bardzo złym humorze, i tyle. Czyli że ostatnią osobą, która ją widziała, była Marta Miguel, zrobili już z tego niezłą aferę, ale nic z tego nie wynika, bo niech pan zauważy, powiem panu zupełnie szczerze: co myśmy wiedzieli o Celi? Że była żoną architekta, i koniec, albo że miała ten sklep z antykami wspólnie z Donato, i że Donato jest lesbijką do szpiku kości, wszystko. Ale nie miałem najmniejszego pojęcia, co Celia robi w wolnym czasie. To fakt, że latem umówiłem się z nią kilka razy, była interesująca, elegancka i zdystansowana, rzeczywiście, przyznaję, że mnie intrygowała od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem w Fanals, nad morzem, w towarzystwie, w którym ten, kto wcześniej nie był pedałem, szybko nim się stawał, bo wystarczy, że pracujesz w środowisku, powiedzmy, artystycznym, żeby wlepiali w ciebie gały i musisz zakrywać ręką tyłek, żeby ci zniecka nie wsadzili. Więc ta Celia należała do towarzystwa, jak inne kobiety, prawie wszystkie były rozwiedzione albo żyły na kociej łapie i służyły pedałom za alibi. Ludzie widzieli ich z tymi babkami i niczego nie podejrzewali. Kto zresztą wie, jak to było. Na letnich imprezach mówi się dużo głupstw. Później, w zimie, można odnowić znajomość, i na to właśnie liczyłem, miałem pewne plany, jasna sprawa. Zaprosiła mnie na przyjęcie, po którym zdarzyła się tragedia, i poszedłem, robiłem sobie nadzieje, bo była z niej niezła sztuka i miała klasę, a mnie się podobają apetyczne i szykowne babki, takie, żeby miały czym oddychać i na czym usiąść, i żeby można było je gdzieś zabrać. A Celia była modelowa, wystarczyło tylko chcieć. Jestem członkiem towarzystwa Pro Musica i miałem zamiar ją zaprosić, bo z nią warto się pokazać, co ja mówię: warto było się pokazać. A ja tak naprawdę pomyślałem sobie tamtej nocy: poderwę ją, przecież mnie zaprosiła po tym, jak spotkaliśmy się w lecie, niby nic takiego, bo cały czas była przy niej Donato, jak przyzwoitka, ale któregoś dnia udało nam się wymknąć i powiedziałem sobie: zaprasza mnie na kolację, zobaczymy, co z tego wyniknie, noc jest długa. A ona raptem zaczyna flirtować z Miguel. I robiła to złośliwie, bo jedno z dwóch: albo chciała sobie ze mnie zakpić, albo doprowadzić do szału Donato, chociaż, jak by to panu powiedzieć, różnica między Donato i Miguel polega wyłącznie na rozmiarach pizdy, bo Donato jest podobna do He-Mana, a Miguel to wykapany John Wayne, tylko że jest niższa, wystarczy popatrzeć, jak chodzą, a już wiadomo, z kim się ma do czynienia, tak samo ciotę można poznać po rzęsach, wie pan? Zauważył pan, że pedały mają spiczaste rzęsy? Poza tym ich twarze są jakoś dziwnie symetryczne, mają szerokie twarze, przede wszystkim aktywni, bo wśród pasywnych zdarzają się wyjątki. Niech się pan nie dziwi, że tyle wiem o pedałach, ale ta historia w Fanals to była przesada. Znany barceloński pedał kupił sobie tam willę. Później pojawili się jego kochankowie, kochankowie kochanków, a kiedy zdali sobie sprawę z całej afery, próbowali ulokować tam swoje przyjaciółki, żeby ludzie nie gadali, a ja trafiłem do Fanals dzięki Susi Sisquella, byłej żonie Velate, pan pewnie słyszał o Velate, tym inżynierze. No więc Susi jest moją dobrą przyjaciółką, i któregoś dnia mi mówi: przyjeźdź, zabawisz się, bo mnie pociąga pedałstwo, intryguje mnie, chciałem powiedzieć. I rzeczywiście. Wszyscy postawili porządne domy. I widzę dziewczyny całkiem bez sensu: jedna nigdy nie wyjdzie za mąż, druga jest rozwiedziona, a trzecia lesbijka. Nie żebym miał kłapki na oczach i myślał, że kobiety powinny wyjść za mąż, rodzić dzieci, prowadzić dom, i tak dalej, i tym podobne. Wcale nie, ja się tym brzydzę. Ale drażnią mnie takie osoby, co to ni pies, ni wydra, rozumie pan? Na przykład Celia. Żyła w separacji. Bardzo ładnie. Ja na jej miejscu różnąbym się jak królik. A ona? Nic z tych rzeczy. Chciałeś ją wymacać, mówiła, że teraz nie. Próbowaleś z drugiej strony, to zaczynała płakać. Cztery deszczowe popołudnia, druga połowa sierpnia, Fanals, ona i ja. Tylko raz ją przeleciałem, i to prawie przez przypadek, tylko wsadziłem i wyjąłem, bo czułem się tak, jakbym pierdolił dmuchaną lalę. Sama nie wiedziała, czego chce. Oczy stawały jej w słup i patrzyła w niebo, jakby czekała, że coś jej stamtąd spadnie. Nie chodzi o to, że Donato trzymała ją krótko, bo nawet Celia powiedziała mi, że Donato jest tylko jej współniczką; co więcej, Donato wydawała na ten sklep dużo forsy, ale utrzymywała interes, żeby widywać się z Celią, a Celia chyba o tym wiedziała i zgadzała się, bo dzięki temu miała towarzystwo i czuła się adorowana. Ale nie spały ze sobą. Celia nie była wcale oziębła, bo, nie czarujmy się, kiedy ją czasem macałem, podniecała się, cipka jej się pociła, a to jest oczywisty dowód,

że kobieta coś ma między nogami. Pójdzie ze mną do łóżka, pomyślałem sobie. Byłem na nią napalony, a ona zaczyna gadać z Miguel, a ta druga potrafi nawijać, bo coś tam wykladała na Uniwersytecie Autonomicznym, i przyszło im do głowy, żeby rozmawiać o kwestii feministycznej, że błędy prowadzą do prawdy i konieczne były błędy pierwszych feministek, żeby następne pokolenia już się nie myliły. Nazywały nas samczykami i musiałem się wtrącić, bo zaczęły mnie drażnić. Postuchajcie, dziewczyny, powiedziałem im. Ja tam jestem samowystarczalny. Sam gotuję, kupuję sobie ubranie, i tak wszystko ułożyłem, że nie wykorzystuję żadnej kobiety. Pieprzę się z tymi, co mają ochotę, i koniec pieśni. Żaden ze mnie samczyk, wykorzystujący i gwałcący kobiety. Tak właśnie im powiedziałem i Miguel roześmiała się, bo jest inteligentna, wie, że nie należy przyspieszać wypadków, ale ta druga, ciemna bestia Donato, czyli He-Man, prawie rzuca się na mnie z pięściami, oskarżając o klasową odpowiedzialność: wy wszyscy należycie do klasy społecznej i ty też jesteś za to odpowiedzialny! A ja na to, spokojnie, bo przecież jej za dobrze nie znałem, ale mówię jej: nie bądź głupia, Donato, w takim razie czy na przykład syn burżuazja nie może zostać komunistą? Nie, odpowiada. Naprawdę nie może. W takim razie co z Marksem? Z Trockim? Z samym Leninem? Taką przyjąłem argumentację. Ale tak było dawniej, powiedział He-Man. To znaczy, kiedy? Zanim burżuazja zdała sobie sprawę z tego, co się święci, i zaczęła kształcić swoje dzieci na marksistów. Słyszał pan podobny idiotyzm? Mnie tam polityka nie obchodzi, ale ekstremiści doprowadzają mnie do szewskiej pasji, zwłaszcza ci nowocześni, feministki, pedały, ekologowie. Są bardziej pobożni od dawnych katolików i bardziej upierdliwi, chcą wszystkich na siłę nawracać. Tak że impreza się nie udała i wszyscy postanowiliśmy wyjść na drinka. Żegnamy się z Celią, a ona ni z tego, ni z owego mówi do Marty Miguel, może zostaniesz? Marta Miguel tak się rozpromieniła, jak żadna z moich narzeczonych, a niech pan zwróci uwagę, że zaczynałem jako piosenkarz Nova Cançó i miałem mnóstwo dziewczyn. Nie pamięta pan mojego nazwiska? Pepón Dalmases. To ja zacząłem śpiewać po katalońsku Don Kichote i South Pacific. No więc Miguel była wniebowzięta, a my poszliśmy do „Ideal”, Donato rozplakała się jak bóbr, a za chwilę wchodzi Miguel i powiada, że Celia jest wredna, zrobiła z niej idiotkę, bo w rzeczywistości czekała na kogoś innego i użyła jej jako pretekstu, żeby nas wyrzucić. Miguel nie widziała tej osoby, ale Celia powiedziała jej to w oczy, Marta zwymyślała ją i wyszła, kiedy Celia przygotowywała butelkę szampana. Kto to mógł być? Nikt z przyjęcia, bo ci, co byli bez pary, siedzieli z nami w „Ideal”, popijając kaipiriñę albo gimlet, a ja robiłem z siebie durnia, pocieszając Donato i uspokajając Miguel. Ona jest jak mała dziewczynka, mówiła Donato. To niech się, kurwa, drażni ze swoją matką, odpowiadała Miguel, i tak aż do czwartej. Potem rozeszliśmy się do domu, a na drugi dzień gazeta i policja, prawie równocześnie. Wzięli się za mnie i za Miguel. Ale ona była w gorszej sytuacji, bo została z Celią, ale jak mówię, prawie się nie znały, to było ich pierwsze spotkanie i wszyscy wiedzieliśmy, że Miguel zostaje, a parę minut później przyszła do baru. Gdyby to była ona, to musiałyby zabić Celię. Kiedy byliśmy przy furtce. Jest tylko jedno wytłumaczenie, najprostsze. Ona na kogoś czekała. Na jakiegoś faceta. I to musiała być stara historia, bo przyszło mi potem do głowy, że w czasie tych naszych letnich macanek próbowała o czymś zapomnieć, coś sobie wynagrodzić. Zaplątała się. I oberwała. Bo każdy mężczyzna może mieć złe chwile, a to była trudna dziewczyna. Ja mam inny charakter, jestem spokojny, nie unoszę się. Chcą się rżnąć, to dobrze, a nie, to trudno. Ale nie wszyscy kombinują w ten sposób. I dzięki tej cierpliwości jakoś egzystuję, bo inni na moim miejscu, mając na głowie nagranie w studiu, nie powtarzaliby w kółko tego samego jakiegoś nieznajomemu. Prywatny detektyw, mówi pan. Sam pan widzi. Jest pan pierwszym prywatnym detektywem, jakiego znam. Mógłby mi pan pokazać legitymację? Ja panu wierzę, ale w dzisiejszych czasach trzeba się zabezpieczać na wszystkie strony.

Wygląda jak opalona dama z lat dwudziestych: plisowana spódnica, wymodelowany, skórzany kapelusz, sznur pereł aż do pasa, długa cygarniczka, wymalowane usta. Pięćdziesięcioletnia Rosa Donato stoi pośród angielskich staroci, z twarzą bardziej pomarszczoną niż oblicze Siedzącego Byka, zmartwionego klęską pod Custer; Rosa Donato, co rano tysiąc pięćset metrów na basenie klubu pływackiego, podwodna gimnastyka przeciwko celulitis, świeże powietrze, słońce, młodzieńcze ruchy bylej zawodniczki reprezentacji kobiecej, raz, dwa, raz, dwa, Barça gra, Barça gra.

- Ale mnie pan rozbawił. Dawno nie słyszałam czegoś równie zabawnego.

I rzeczywiście była rozbawiona, wszystkie zdrowe, wysportowane zmarszczki poruszały się w rytm śmiechu, a dzięki słowu „zabawny” mogła udowodnić, że potrafi doskonale wymawiać otwarte samogłoski kastylijskie, otwierała i zamykała usta z samobójczym dążeniem do poprawnej wymowy, ujawniając kompleks typowy dla niektórych Katalończyków, którzy próbują mówić po kastylijsku jak dzieciaki z Àvila.

- Jakie to zabawne!



Śmiała się z tego, że Carvalho jest prywatnym detektywem.

- No dobrze. Proszę mi to jeszcze raz powtórzyć. Prywatny detektyw. Od czasu Tejero nie słyszałam czegoś tak zabawnego.

Ale w ustach Donato słowo „zabawny” nie oznaczało dokładnie „śmieszny” lub „komiczny”. Mogło równie dobrze ukrywać inne sensy: „ciekawny”, „szokujący” lub „ekscytujący”.

- Uwielbiam takie rzeczy. A pan mi proponuje swoje usługi.

- Przyznam się, że do tej pory nie umiałem nikogo rozśmieszyć. To zadziwiające. Jeżeli mnie pani przekona, że jestem zabawny, będę musiał pomyśleć o podwyższeniu moich stawek.

- Niechże pan zrozumie, rzadko spotyka się prywatnych detektywów. W jakim pan jest stylu? Marlowe'a? Spade'a?

- Nie mam szczególnego wykształcenia detektywistycznego. Zapisalem się na korespondencyjny kurs Fenomenologii Ducha, ale to było dawno temu. Niczego się nie nauczyłem.

- Bardzo zabawne. I do tego jaki pan ma esprit! Więc pan twierdzi, że mogę potrzebować prywatnego detektywa.

- W Hiszpanii jesteśmy bardzo zacofani, ale na przykład w Stanach Zjednoczonych posiadanie prywatnego detektywa jest obowiązkowe. Powinno panią interesować wyjaśnienie sprawy, w którą jest pani zamieszana.

- Nie jestem w nic zamieszana. Mam alibi mocne jak skała. Wyszłam od Celi z grupą gości i byłam z nimi do piątej albo szóstej rano.

- Może chciałaby pani wiedzieć, kto zabił Celię.

- Pewnie, że tak, żeby pokroić zabójcę na kawałki, najwyżej tej wielkości - złączyła kciuk z palcem wskazującym i jej sportowe, drapieżne zmarszczki zwężyły się, ukazując mocne zęby o nieubłaganej bieli.

- Wyszła pani z płaczem od Celi.

- Kto panu to powiedział? Ta ciota Pepón? Aż posiniał ze złości, bo przez cały sierpień próbował bez skutku poderwać Celię. To była jego ostatnia szansa, żeby udowodnić swoją męskość.

- Wobec tego Pepón jest...

- On twierdzi, że jest biseksem, ale jak idzie do łóżka z kobietami, to tylko je łaskocze. Przyczepił się do biednej Celi, bo była naiwna i mogła pójść do łóżka nawet z ostatnim fajtlapą.

- Pepón mówi, że jest pani lesbijką i opiekowała się pani Celią w niezbyt czysty sposób.

- Cóż mogą wiedzieć mężczyźni o związkach kobiet? Co może zrozumieć obrzydliwy knur, któremu coś wisi między nogami?

I Rosa Donato wskazała miejsce, w którym różnice anatomiczne między kobietą i mężczyzną są najbardziej radykalne.

- Czy była pani notowana jako lesbijka?

- A co to pana obchodzi?

Podeszła do Carvalha i jej nos, splaszczony jak u boksera, znalazł się tuż obok twarzy detektywa.

- Absolutnie nic. Ale jeżeli mają panią w kartotece, a inni świadkowie powiedzieli to, co myślą o pani związku z Celią, policja niedługo da pani popalić.

- A pan im w tym przeszkodzi?

- Nie. Rozpocznę niezależne śledztwo i będę panią na bieżąco informował, a pani zrobie z tym, co zechce.

- Pomyślę o panu, jak będę potrzebowała szofera. Ale teraz niech pan wraca, skąd pan przyszedł.

- Jeżeli chodzi o pieniądze, to mogę zaproponować zniżkę.

- Kiedy chcę coś kupić, płacę z góry.

- Nie wszyscy mogą to powiedzieć. Pani ma wyjątkowe szczęście.

- Dlaczego mówi pan to wszystko z taką złośliwością? Chce pan wiedzieć? Bo jest pan obrzydliwym samczykiem, który idzie przez życie, niszcząc kobiety, a kiedy trafia pan na lesbijkę, czuje się pan niepewnie, bo my na was zwyczajnie sramy.

- Zapewniam, że chciałem tylko zostać pani przyjacielem. Ale widocznie dzisiaj nie mam dobrego dnia.

- Wynocha stąd. Fora ze dwora. Spłyn z prądem.

Splyń z prądem. Bezcelne powiedzonko z lat czterdziestych czy pięćdziesiątych. Podstarzała dziewczyna. Za dwa dni przyłapią ją w „Corte Ingles” na obmacywaniu ekspedientki. Zasłużyłaś sobie na to, Pepe, naruszyłeś reguły zawodowe, chciałeś, żeby ktoś powierzył ci nekrofilijną sprawę, żebyś mógł popłynąć rzeką śmierci, od fotografii w gazecie do kobiety z krwi i kości, która według jej męża nie miała sensu, zdaniem Pepona Dalmasesa sama nie wiedziała, czego chce, a dla Donato była naiwna. Może tylko dla Carvalha Celia oznaczała intrygującą twarz, widzianą w supermarkecie, obecność wyczuwalną, a zarazem daleką. Pieprzony voyeur, powiedział sobie, i odwrócił się na pięcie, by dotrzeć do drzwi sklepu z antykami „Nefer”. W ostatniej chwili usłyszał piskliwy głos Donato.

- Niech pan zaczeka. Jeszcze panu wszystkiego nie powiedziałam.

- Pani przesadza. Mam depresję. Mój psychiatra polecił mi, żebym unikał takich sytuacji.

- Pan pewnie pracuje dla Pepona.

- Daję pani słowo, że jestem bezrobotny.

- Dam panu dobrą radę. Niech pan zostawi tę sprawę, bo policja przyczepi się do pana, a nie do mnie. Odkąd to w Hiszpanii prywatny detektyw może prowadzić śledztwo w sprawie o morderstwo?

- Nie odróżnia pani Hiszpanii oficjalnej od rzeczywistej.

- Mam wpływowych przyjaciół i przysięgam, że jak pan będzie namolny, to źle pan na tym wyjdzie, razem z tym pedałem Dalmasesem.

- Niech pani zostawi w spokoju tego chłopaka. Daję słowo, że nie jest moim klientem.

Chciał być sam, zamknąć się w biurze, odzyskać pewność siebie i świadomość tego, kim jest, po całym dniu złej passy. Wiedział, że sam jest wszystkiemu winien, był tak wściekły, że potrzebował lustra, w którym mógłby się przejrzeć, a potem roztrzaskać szkło na drobne kawałki. Opadł ciężko na obrotowy fotel, nie zapalając lampy, w półmroku, w którym ciemność walczyła z prostokątem światła, przenikającego do biura z pokoiku Biscutera.

- Czy to pan, szefie?

- To ja, Biscuter.

- Potrzebuje pan czegoś?

Biscuter stał w drzwiach z plastikową torbą w dłoni, w tle jaśniał prostokąt światła.

- Wychodzisz?

- Tak, szefie.

- Idziesz na zakupy? Co można kupić o tej porze?

- Nie, szefie.

Biscuter mówił jakby przez nos.

- Źle się czujesz?

- Nie, szefie. Ale muszę wyjść. Nie wrócę na noc.

- Co się stało?

- Zmarła moja matka, szefie, w szpitalu San Pablo. Zaraz do niej idę.

Biscuter miał matkę, a Carvalho nic o tym nie wiedział. Detektyw powstrzymał się przed zapaleniem lampy nad stołem, nie chciał widzieć smutku Biscutera, wilgotnych oczu, opuchniętych rysów starego dziecka albo mężczyzny, który nigdy nie dorósł.

- Nie wiedziałem, że chorowała.

- Ja też nie. Dowiedziałem się dwa dni temu. Odwiedziłem ją w szpitalu, a dzisiaj mnie zawiadomili. Zostawiłem na teczce telegram z Bankgoku. Może odgrzeję panu drugie?

- Idź już, Biscuter. O której pogrzeb?

- Nie wiem, szefie. Ale niech pan nie przychodzi. Nikomu o tym nie mówiłem. Chcę iść sam. Ona nie była dla mnie dobra, szefie, a ja odplaciłem jej pięknym za nadobne. Teraz w końcu się pogodzimy.

Carvalho zaczął czekać, aż Biscuter wyjdzie, zapalił światło i nagle przypomniał sobie starą historię, która wyleciała mu z pamięci, a może nie pamiętał jej, bo była to historia Biscutera, człowieka zbyt mało ważnego, by mógł zainteresować innych swoimi opowieściami. Matka opuściła Biscutera, kiedy miał osiem lat. Oddała go dziadkom, jak oddaje się mebel, który nie mieści się w mieszkaniu albo dziecko, które nie mieści się w życiu.

- I któregoś dnia, szefie, ukradłem gordini, jeden z pierwszych gordini, jakie się pojawiły, i widzę ją nagle przede mną, na środku ulicy, więc hamuję tuż przy niej, zaraz zaczęła mi wymyślać, to

wyrzależem przez okienko i mówię: jestem twoim synem. A ona zamiast mnie uściskać chciała mnie rąbnąć torebką.

Biscuter, złodziej samochodów. Carvalho dotknął dłonią powiek, by rozproszyć mgłę, i otworzył telegram od Teresy.

„Zadzwoń 13 środa w nocy Vallvidrera. Nie zawieź mnie. Jestem w niebezpieczeństwie. Teresa”.

Idealny dzień. Środa, trzynasty, czyli dzisiaj. Carvalho poszedł po samochód na parking obok Panams. Mżawka wygnała przechodniów z Ramblas, pozostawiając zasłonę jesiennej mgły wokół świateł latarni, detektyw poczuł chłód, jak potwierdzenie faktu, że lato już odeszło, choćby wszystkie siły natury zjednoczyły się, by je zatrzymać. Było to przyjemne uczucie - Carvalho chronił się przed zimnem w samochodzie, myśląc o drwach płonących w kominku, muzyce, chlebie z pomidorem, zimnej rybie bez ości, smażonych bakłażanach i paprykach, lodowatym piwie „Carlsberg”, a potem armaniaku, sączonym powoli, zgodnie z tajemniczym rytmem płomieni w kominku; później zaczeka na telefon z Bangkoku, na ostatnie głupstwo Teresy Marsé, Katalończycy mają na to własne słowo: un sopar de duro, kolacja za piąta, bujda. A Charo? Kiedyś była dobra na każdą okazję, teraz zaczynała mu ciążyć, może to była tylko przejściowa miłość, w każdym razie nie potrzebował jej ani nie chciał być nikomu potrzebny. Nie zamierza! jednak zrywać z dziewczyną, jakby chodziło o konto, na którym zgromadził już uczuciowy kapitał; sądził, że byłoby niemądre podarować nicości taką inwestycję. Charo i Carvalho przypominali stare, zmęczone sobą małżeństwo, nie byli jednak zmuszeni do wspólnego życia, do przestrzegania moralnych konwencji, do zachowania zasad przyzwoitości, by wychować dzieci w błędnym przekonaniu, że związek mężczyzny i kobiety jest możliwy, by wykształcić w nich zdolność do okłamywania samych siebie, co nie uchroni ich później od poczucia, że ktoś je oszukał.

- Jeśli ją zostawię, zrozumie, że jest dziwką, i naprawdę nią będzie. Kto wie. Może wpaść w łapy jakiegoś alfonsa.

Być może dla Charo alfons byłby w tym momencie bardziej przydatny niż Carvalho. Kochałby się z nią. Zmusiłby ją do pracy, Ustanowiłby stosunek zależności, coś, czego detektyw nie może stworzyć, bo próbuje doścignąć życie, które zabrano jasnowłosej kobiecie, zamordowanej za pomocą butelki, i czeka na telefon z Bangkoku od pewnej neurotyczki; nie może nawet wesprzeć Biscutera, gdy ten będzie opłakiwał swoją niespełnioną matkę. Na szczęście chleb z pomidorem smakował tak, jak tego oczekiwał, magiczna kombinacja masy i smaków zaskoczyła Carvalha, zawsze przygotowanego na niespodzianki, a Teoria estetyczna Theodora W. Adorna okazała się doskonałym przewodnikiem ciepła, podsycającym ogień w kominku, od początkowego punktu spalania na stronie dwieście czterdziestej pierwszej, na której widniał tytuł „Historia jako moment konstytutywny: «rozumiałość»”, a następnie tekst: „Moment historyczności jest w dziełach sztuki konstytutywny; dziełami autentycznymi są te, które materii historycznej swego czasu oddają się bez zastrzeżeń i bez uroszczenia, że są ponad nią”\*. Carvalho powoli odzyskiwał zwykłą dozę cynizmu, by móc zapaść w senne odrętwienie. Nagle zadzwonił telefon.

- Teresa?

- Nie. To nie Teresa.

To była kobieta, ale nie Charo. Carvalho potrząsnął głową, by odpędzić senność.

- Słucham panią.

- Nazywam się Marta Miguel. Coś to panu mówi?

Carvalho zbyt długo próbował skojarzyć z czymś nazwisko Marty Miguel.

- Nie powie mi pan, że nie słyszał pan nigdy mojego nazwiska!

- Ma pani inicjały „MM”, to brzmi interesująco.

- Uprzedzono mnie, że jest pan bardzo zabawny.

Wymówiła słowo „zabawny” tym samym głupawym tonem, co Rosa Donato.

- Teraz rozumiem. Jest pani główną podejrzaną w sprawie butelki szampana.

- Kto panu powiedział, że jestem główną podejrzaną?

- To przecież abecadło kryminologii. Głównym podejrzanym jest ten, kto czerpie korzyści z testamentu, a w następnej kolejności ostatnia osoba, która widziała ofiarę przy życiu.

- Nie czerpię korzyści z testamentu ani nie jestem „ostatnią osobą, która widziała ofiarę przy życiu”, z tej prostej przyczyny, że tą osobą, jak sądzę, był morderca.

- Rzeczywiście. Ten szczegół jakoś mi umknął.

- Przypuszczam, że chce się pan ze mną zobaczyć.

- Nic podobnego. Postanowiłem zostawić tę sprawę.

Milczenie, głęboki oddech, który nie jest jeszcze westchnieniem ulgi, jak gdyby Marta Miguel przesyłała z płuc do mózgu uspokajające posłanie.

- Czyli robi pan aferę nie z tej ziemi, nęka pan wszystkich, a potem okazuje się, że wszystko się rozmyło.

- Przykro mi, ale jestem zawodowcem, a jak dotąd nikt nie zlecił mi tej sprawy. Ani mąż, ani kochanek, ani stary rupieć.

Kobieta roześmiała się, słysząc przezwisko, jakim Carvalho określił Rosę Donato.

- A może pani chce skorzystać z moich usług?

- Nie mogę, chociaż bym chciała. Jestem biedną nauczycielką kontraktową. Wie pan, co to znaczy?

- Nie jestem dzisiaj w formie, żeby dyskutować o problemie edukacji.

- Dziwi mnie jednak, że nie chce pan ze mną porozmawiać.

- Widzi pani, tak to bywa. Pani przyjaciele źle mnie potraktowali, a ja jestem bardzo wrażliwy.

Kobieta nie miała zamiaru odłożyć słuchawki.

- Zadzwoniłam, bo nie widzę przeszkód, żebyśmy porozmawiali, a mnie trudno jest zastać w domu, spędzam cały dzień na uczelni.

- Bardzo żałuję. Gdybym zaczął od pani, może byłoby inaczej. Ale pani współpracownicy zniechęcili mnie, zmieszali z błotem.

- Mam własną hipotezę na temat tej sprawy. Nie ciekawi to pana?

- Miałem zamiar zapomnieć o wszystkim.

- Ten przypadek jest naprawdę interesujący.

- Z pewnością tak.

- A ofiara była nieprzeciętną osobą.

- Tak mi się wydawało. Chociaż ani pani, ani ja nie znaliśmy jej zbyt dobrze.

- Dlaczego mówi pan za mnie? Pan jej nie znał. Ja, owszem.

- Według gazet i pana Dalmasesa poznała ją pani tamtej nocy.

- Znałam ją od wielu lat, choć nie byliśmy przyjaciółkami. Była nadzwyczajna. Naprawdę nie chce pan ze mną porozmawiać?

- Widzę, że nie da się tego uniknąć. Niech będzie jutro, o której?

- Mam wolne popołudnie, do siódmej. Później muszę wrócić na uczelnię, mam wykład dla studentów wieczorowych. Zna pan ogród w dawnym szpitalu Santa Cruz, gdzie teraz mieści się biblioteka Catalunya?

- Bez przerwy tam przesiaduję.

- O piątej?

- Czy nie zechciałaby pani odwiedzić mnie w biurze? To tylko czterysta metrów od ogrodu.

- Wolalabym spotkać się z panem w ogrodzie. Nie lubię zamkniętych przestrzeni.

- Jak panią poznam?

- Jestem przy kości, raczej mocnej budowy ciała, mam krótkie włosy, będę trzymać w ręce książkę, Ziemskie moce Anthony'ego Burgessa. To bardzo gruba książka.

- Ja nie wezmę żadnej książki i nie lubię siebie opisywać, bo mógłbym się pomylić.

- Do jutra.

Sprawa dobrowolnego świadka, tytuł godny Stanleya Gardnema. Znów położył się na kanapie i stwierdził, że przydałoby się odmalować dom, zrobić mu operację plastyczną, przeszczepiając nową skórę, na przykład białą, albo nie, może lepiej koloru kości słoniowej. Kontemplacja sufitu miała hipnotyczny wpływ i Carvalho zasnął.

Obudził się, wymachując rękami, by nie utonąć w morzu telefonicznych dzwonek, bronił się przed ukąszeniami wściekłej telefonicznej bestii, rozdrażniony własną niezdatnością, podobny do zmęczonego, śpiącego zwierzęcia.

- Rozmowa z Bangkoku na rachunek odbiorcy. Przyjmuje pan?

- Co proszę?

- Na rachunek odbiorcy.

- To znaczy, że ja muszę zapłacić.

- Właśnie.

- Jest pani pewna?

- Pewna czego?

- Że proszono panią o rozmowę na rachunek odbiorcy.

- Najzupełniej, proszę pana.

- Niech będzie.

Przerwa albo trzaski, trwające krótko w porównaniu z odległością, z jakiej przychodziły.

- Pepe?

- Dobry wieczór, Tereso.

- To cud, że mogę z tobą rozmawiać. Mam kłopoty. Chcą nas zabić, Pepe.

- Zabić was? Kogo? Całą wycieczkę? Białą rasę? Katalończyków?

- Archita i mnie.

- Kto to jest Archit?

- To długa historia i nie bardzo mogę mówić, nie jestem tu bezpieczna. To chłopak, który mi towarzyszy. Ścigają nas, Pepe. Mówię poważnie. Zrób coś.

- Co mogę zrobić?

- Porozmawiaj z kimś. Albo przyjedź, Pepe.

Jej głos wyrażał trwogę, ostateczną udrękę, zawieszenie pomiędzy życiem i śmiercią.

- Zamknęli metro. Dopiero jutro o siódmej zaczyna chodzić kolejka.

- Nie kpij sobie. Na litość boską. Zostało mi niewiele czasu.

- Zwróć się o pomoc do ambasady.

- To niemożliwe.

- Co ja na to poradzę? Nie zdajesz sobie sprawy, że jestem w Vallvidrera?!

- Pepe, błagam cię na wszystkie świętości. Użyj swoich wpływów. Zrób coś. Nie mogę ci teraz wytłumaczyć, ale...

Kliknięcie brzmi tak samo na całym świecie i właśnie kliknięcie przerwało rozmowę. Carvalho wciąż trzymał słuchawkę przy uchu, czekając, aż w cudowny sposób znowu usłyszy głos Teresy lub kogoś innego.

- Barcelona. Skończyli państwo?

- Rozmowę przerwano.

- Ale nie tutaj. Przerwano po tamtej stronie.

Carvalho położył słuchawkę na widełki, ostrożnie, jak gdyby była zwierzęciem o nieprzewidywalnych reakcjach. Wrócił na łóżko, ale tym razem nie mógł skupić wzroku na suficie, wodził spojrzeniem po pokoju w rytm swoich myśli i dymu dobrego cygara. Zapalił „Condal del seis”, trudne do zdobycia w czasach wszechobecnej i wielokształtnej katastrofy ekologicznej. Miał zapas tych cygar, przeznaczony tylko na szczególne okazje; przechadzał się najpierw po salonie, później po całym domu, wreszcie wyszedł do ogrodu, by ujrzeć u swoich stóp śpiące miasto, by kontemplować w samotności nocne widowisko. W tym mieście żyli świadkowie zabójstwa Celi Mataix i krewni Teresy Marsé, a tymczasem to on został powołany, by decydować o życiu i śmierci, i tylko on i Biscuter znali tajemnicę życia i śmierci, Carvalho na szczycie góry, a biedny Biscuter w najzimniejszym kącie szpitala, tuż przy kobiecie, winnej temu, że on jest tylko Biscuterem, nie zaś generałem Galtieri, Maradoną lub Janem Pawłem II. Niewiele myśląc, detektyw wyszedł na ulicę, wsiał do samochodu i pojechał do szpitala, gdzie musiał najpierw przejść przez wstępne przesłuchanie, zanim portierzy domyślili się, że chce towarzyszyć swojemu przyjacielowi w czuwaniu przy trumnie matki. Światało, Biscuter leżał zwinięty w kłębek na kamiennej ławie, oddzielonej fałszywym murem od żalobnej

komnaty, przypominającej szalet publiczny bez pisuarów; jedyną różnicą była ława, na której leżała stara, sucha jak wiór, w zacerowanych pończochach, ze złotym zębem, błyszczącym w półotwartych ustach, z których zwisała nitka żółtego płynu. Carvalho wrócił do Biscutera i usiadł przy nim ostrożnie, by go nie zbudzić. Fryzura Biscutera była rozburzona, osiemnaście jasnych włosków z prawej strony głowy. Miał zaciśnięte powieki, a jajowata głowa spoczywała na plastikowej torbie, którą przyniósł z domu. Uśmiechał się przez sen.

Butik Teresy Marsé został „zamknięty na czas wakacji”, nikt nie znał miejsca pobytu byłego męża, syn siedział pewnie w jakiejś norze z przyjaciółką przy nadziei, a Carvalho nie mógł przecież dzwonić do wszystkich Marsé z książki telefonicznej, żeby znaleźć w końcu krewnego Teresy. Musiał jak najszybciej skontaktować się z biurem, które zorganizowało wycieczkę, poznać przebieg podróży i najnowsze wiadomości o Teresie Marsé. Pierwsza informacja nie była zbyt zachęcająca. Wiele rozmaitych instytucji, od linii lotniczych po biura podróży, mogło wyczerperować samolot do Bangkoku lub dowolnego miejsca na Ziemi. Najprawdopodobniej w przypadku Teresy chodziło o jakąś prywatną firmę, która zleciła agencji turystycznej przygotowanie wycieczki. Nagle Carvalho przypomniał sobie, że podróż została zorganizowana przez jakąś salę bankietową, szybko odnalazł w pamięci i w notesie numer telefoniczny biura współpracującego z salą. Powtarzał numer w kółko, jakby chciał wbić go sobie do głowy. Około południa detektyw siedział przed drugim, a może trzecim wiceprezesem biura, słuchając raportu o nadużyciach, popełnionych przez wyjątkowo niepoważną klientkę, Teresę Marsé.

- Dziesiątego dnia podróży otrzymaliśmy teleks z informacją, że zaginęła. Później znowu się pojawia, ale podróżuje na własny rachunek, a nie według planu. Nieprawidłowości zaczynają się w Bangkoku, pilot widział się z nią po raz ostatni w Chiang Mai, na północy Tajlandii, to jest dodatkowa wycieczka, ale prawie wszyscy nasi klienci z niej korzystają. W Chiang Mai ta pani czy panna odłączyła się od grupy, wczoraj dostałem depezę od przerażonego pilota, zawiadomił już ambasadę, ale dotychczasowe próby odnalezienia pani Marsé nie przyniosły żadnego efektu. Zapadła się pod ziemię. Wszystko prowadzi do wniosku, że zrobiła to dobrowolnie.

- Wczoraj w nocy zadzwoniła do mnie, była bardzo przestraszona, jakby ktoś ją ścigał.

- Niechże mnie pan zrozumie, będę coś więcej wiedział, kiedy wróci grupa, w tej chwili wiadomo, że odłączyła się z własnej woli, nie respektowała ustalonego planu podróży. Ambasada podjęła środki, żeby ją odszukać, ale tajlandzka policja nie potrafiła czy też nie chciała pomóc. Jak pan wie, policja w tych krajach różni się od naszej.

- Ambasada nie ma żadnych informacji?

- Nam nic nie chcieli powiedzieć. Gdyby zwrócił się do nich ktoś z rodziny, może udzieliliby informacji. Czy pan jest krewnym pani Marsé?

- Nie.

- Grupa wraca pojutrze. Pani Marsé może jeszcze dołączyć do wycieczki i wszystko dobrze się skończy. Tymczasem mógłby pan odnaleźć jej krewnych, to byłoby dla nas bardzo przydatne.

Skąd dzwoniła Teresa? Z jakiegoś przypadkowego miejsca, bo w przeciwnym razie zostawiłaby adres, telefon. A jeśli to wszystko było tylko niesmacznym żartem? Ale dlaczego miałyby żartować w ten sposób, skoro żyła z Carvalhem w wielkiej przyjaźni, choć na początku ich znajomości nic tego nie zapowiadało?<sup>19</sup> Sąsiadki Teresy, mieszkające obok butiku, wiedziały o niej prawie wszystko. Martwił ją bardzo jej syn, Ernest, od dwóch miesięcy nie pojawiał się w domu, podobno mieszka gdzieś w okolicach La Floresta, w komunie, w jednym z tych starych, opuszczonych domków. Mąż? Bóg raczy wiedzieć, gdzie on się podziewa. Pewnie siedzi na lbizie, żyjąc jak hipis. Rodzice Teresy? Są już w podeszłym wieku i nie rozumieją, co się dzieje w rodzinie ich córki. Sąsiadki wiedziały, że rodzice Teresy nie rozumieją, co się dzieje w rodzinie ich córki. Od czego miał zacząć? Mógł spróbować szczęścia, odwiedzić wszystkie domki, krążyć od jednej chmury haszyszu do drugiej, rozpytując o syna Teresy. Tymczasem ona najprawdopodobniej jest w niezłych opałach.

- Państwo Marsé już tu nie mieszkają. Kiedy pan Marsé przeszedł na emeryturę, przenieśli się do willi w Masnou. Przychodzą tylko raz na dwa tygodnie, bo pan Marsé wciąż jeszcze zajmuje się interesami. Łatwo ich pan znajdzie. Mieszkają w „Mas Maymó”. Nie zgubi się pan. Dojdzie pan do domu, w którym sprzedają używane samochody, nazywa się to „Eurokazja”, a zaraz obok zobaczy pan napis „Mas Maymó”.

---

<sup>19</sup> Zobacz powieść *Tatuaż* tego samego autora (przyp. aut.).

Wizyta u państwa Marsé była dla detektywa dobrym pretekstem, żeby zjeść obiad w gospodzie „Binu” w Argentonie i rzucić okiem na krajobraz, który rzadko mógł oglądać. Carvalho, typowe zwierzę miejskie, miał swoją prywatną dżunglę na zboczach Tibidabo. Siadał na kamiennych schodach i brudna, błotnista woda morska bryzgała na jego stopy. Kiedy zaś chciał oglądać czyste i bezkresne morze, dom w Vallvidrera był dobrym punktem obserwacyjnym: wiatr rozpraszał smog i horyzont przejaśniał się, i nagle przed Carvalhem otwierało się Morze Śródziemne, w dali potężne statki zostawiały za sobą ślad, płynąc w stronę Balearów lub Zatoki Leon. Maresme, białe-beżowy krajobraz naznaczony bliznami winnej latorośli, białe światło i plaże pozbawione własnego stylu, kontrastujące z akwarelowym pięknem starych miasteczek, przyćmiewającym współczesne architektoniczne barbarzyństwo. Wszystkie miasteczka wyrosły w pobliżu wąwozów, wyżłobionych przez strumienie. Z czasem te parowy przemieniały się w gęste, wilgotne zagajniki, które okazywały się zdradliwe, kiedy deszcz na powrót chciał być rzeką i zabierał do morza spóźnionych ludzi i zaparkowane samochody. Carvalho pojechał aleją Masnou, odnalazł sklep z używanymi samochodami „Eurokazja” i tablicę „Mas Maymó”. Minął winnice, mury, które miały swoją historię, agawy i figowce, eukaliptusy i sosny, wjechał na piaszczystą drogę, aż wreszcie dotarł do żelaznej kraty, broniącej dostępu do „Can Maymó”. Głos w domofonie zapytał o nazwisko, Carvalho ograniczył uciążliwy dialog do jednego zdania: „Przychodzę z polecenia Teresy”. Usłyszał trzask i dwie części żelaznej bramy rozdzieliły się, detektyw pchnął je, robiąc miejsce dla samochodu. Wjechał na ścieżkę wysypaną żwirem, wychodzącą na plac, na którym znajdowała się sadzawka i cztery palmy, wskazujące strony świata. Dom był tradycyjny, ogromny, o kremowej barwie. Carvalho zobaczył zegar słoneczny na górnej fasadzie, automatyczną kosiarkę do trawy, obsługiwaną przez starca w słomkowym kapeluszu, i filipińską służącą, która schodziła właśnie po schodach w stronę samochodu. Filipinka wprowadziła go do sieni, gdzie niepodzielnie panowała wielka donica z Manises, z której wytryskały pędy powoju; dalej granitowe schody, wsparte na wielobarwnej szklanej tafli, którą bezskutecznie atakowały promienie słoneczne, skazane na oswojenie; u szczytu schodów, na tle wielobarwnej rozety, stał potężny, stary mężczyzna z laską w dłoni, ubrany w obszerną bonzurkę z jedwabiu. Starzec pogroził detektywowi laską i zagrzmiał:

- Nasza rozmowa jest zbyteczna! Miałem kiedyś córkę, której było na imię Teresa, ale ona już dla mnie umarła!

Na schodach pojawiła się staruszka, filigranowa jak figurka z porcelany; schodziła w stronę Carvalha małymi kroczkami, próbując uspokoić olbrzyma.

- Nie unoś się, Higinio. Nie wolno ci się denerwować.

- Albo ona, albo ja - grzmiał pan Marsé, schodząc po schodach z miną godną Emila Janningsa, nie przywitał się jednak z Carvalhem, tylko odwrócił na pięcie i, niczym wódz na wozie triumfalnym, ruszył do salonu, w którym obok fortepianu stała kanapa i dwa fotele z epoki Izabeli II. Olbrzym usiadł w fotelu i przykniął powieki, pokryte kuleczkami tłuszczu, tymczasem jego żona dała znak detektywowi, żeby nie zwracał na niego uwagi.

- Co tym razem zrobiła ta nieszczęśnica?

- Uspokój się, Higinio. To dla twojego dobra.

- Zamknij się, ty zawsze miałaś naturę rajfurki. Gdyby nie ty, dzieci inaczej by wylądowały. Dobra. Niech pan mówi. Jestem przygotowany na wszystko.

Carvalho zaczął od początku - telefon Teresy, kłopoty z jej synem, gwałtowna potrzeba wyjazdu. Potem telegramy. Niepokojąco brzmiący telegram. Telefon. Jej wątpliwości i lęki. Stary przytakiwał głową, jakby wszystko to, co mówił Carvalho, potwierdzało jego opinię o córce.

- Nie widzę w tym nic dziwnego. Absolutnie nic. Słyszysz? Tak się to musiało skończyć. Najpierw ślub z tym nędznikiem, jeszcze gorszym od niej. Później rozwód i różni nieciekawi przyjaciele. Po śmierci Franco przez jeden sezon bawiła się nawet w politykę. Stała się socjalistką. Pewnie po to, żeby zdręczyć swojego ojca. Wiedziała, że czerwoni zabrali mi wszystko w trzydziestym szóstym i musiałem zaczynać od zera. Potem afery z mężczyznami. Bo co tydzień zmieniała kawalera i czasem pokazywała się z takim, co wyglądał na jej syna, a innym razem z takim, co mógłby być jej ojcem. Jakby tego było mało, niedaleko pada jabłko od jabłoni, wnuk też jest idiotą, daje się omotać i robi dziewczynie dziecko! A ta, zamiast zaradzić nieszczęściu, wsiada do samolotu i odlatuje... Jak pan powiedział? Do Bali, do wielbłądów i małp, a teraz jest w Bangkoku, i już zdążyła narozrabiać.

Olbrzym przesunął obie dłonie po swojej imponującej, białej czuprynie, rozburzył włosy, tak że jego głowa wydawała się teraz większa. Spojrzał na Carvalha z wściekłością i rozpaczą.

- Czy kiedykolwiek pomyślała o tym biednym starcu, stojącym nad grobem? Czy pan wie, jakie ja mam ciśnienie?

- Higinió, daj spokój. Może ci zaszkodzić.

- Czy pomyślała o matce, o tej kretynce, która dała jej wszystko, a teraz jeszcze ją usprawiedliwia? Miała wszystko, żeby szczęśliwie żyć i śmiać się z całego świata, i jak ona teraz skończy? Nie chcę nawet o tym myśleć.

- Lepiej, żeby pan jednak o tym pomyślał i podjął starania, żeby tą sprawą zajęło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

- Ja? Ale co ja mogę? Miałem kiedyś bardzo dobrych przyjaciół w administracji, ale wszystkich już stamtąd usunęli albo wysadzili w powietrze, jak na przykład biednego Violę, burmistrza Barcelony, był moim kolegą ze studiów, nieskazitelny człowiek. Nikogo już nie znam.

- Wystarczy, że wystąpi pan do ministerstwa w imieniu rodziny.

- Niech to zrobi jej mąż albo syn.

- Nie sposób się z nimi skontaktować.

- Na pewno wymyśliła tę bajkę, żeby wyciągnąć ode mnie forszę. Nie dam ani grosza.

Starzec zadrżał z oburzenia, chwycił rękami za oparcie fotela, przysmykając oczy i zaciskając zęby. Stara porcelanowa figurka wydała z siebie stłumiony okrzyk i rzuciła się na pomoc, ale starzec był szybszy, podniósł rękę i zatrzymał swoją żonę z taką gwałtownością, że zachwiała się i prawie upadła.

- Odejdź. Czuję się dobrze. Wy wszyscy kiedyś mnie zabijecie. Dlaczego nie zadzwoniła do ojca? Albo do matki? To proste. Bo wystarczy, że usłyszę ton jej głosu, a już wiem, czy mówi poważnie, czy nie. Ta nieszczęśnica nieraz mnie już naciągnęła, ale dobre czasy się skończyły.

- Nie chodzi o pieniądze, ale o to, żeby pan zaczął działać.

Stary przymknął oczy i przecząco, z uporem kręcił głową.

Jego żona położyła palec na wargach i mrugnęła do Carvalha, dając mu do zrozumienia, żeby już sobie poszedł. Wyszła za nim i przy drzwiach włożyła mu do ręki papier, mówiąc cicho:

- To jest adres chłopca. Niech zrobi, co będzie mógł. A ja spróbuję przekonać męża.

- Maria! - krzyknął olbrzym z głębi domu.

- Nie zatrzymuję pana, proszę mnie o wszystkim informować. Myśli pan, że ona jest w niebezpieczeństwie?

Carvalho wzruszył ramionami i wyszedł do ogrodu, czując woń ziemi i zroszonych roślin. Padało. Jedno spojrzenie na zegar i wiedział, że nie może już zahaczyć o gospodę „Binu”, jeśli chce zdążyć na spotkanie z Martą Miguel.

Biscuter kupił metr czarnej taśmy i zrobił sobie dwie żałobne opaski, jedną do swojej jedynej marynarki, a drugą do wyjściowej koszuli, którą dostał od Charo, podobnie jak żółty pulower bez rękawów.

- Odgrzej mi to, na co czekam od dwóch dni.

- To niemożliwe, szefie, odgrzane bakłażany nie są nic warte, poza tym już wyrzuciłem resztki.

- Nic już nie zostało?

- Ma pan szczęście, szefie. Dzisiaj rano po pogrzebie przeszedłem się po Boqueria i trafiłem na grzyby. Zrobię je panu z wieprzowymi flakami i jakąś zakąską. To chwila. Mam już gotową zasmażkę.

Carvalho nie miał ochoty na mocne wino, chciał poczuć na podniebieniu zimną konsystencję lekkiego winka, pitego prosto z dzbana. Napełnił dzban zimnym różowym „Cigales” i zaczął chciwie pić, czując w ustach chłodny smak gliny. Pochłonął dwa talerze flaków z grzybami o idealnej, galaretowatej konsystencji - wieprzowy żołądek i humus lasów, wydanych jesieni. Dwie filiżanki kawy. Kieliszek orujo z Bierzo i cygaro „Sancho Pan-za”, cudem znalezione w kiosku przy Puertaferria. Wreszcie Carvalho zadzwonił do Charo.

- Zapraszam cię do kina dzisiaj po południu. Muszę załatwić jedną sprawę o czwartej, spotkajmy się o piątej przed wejściem do „Catalunya”.

- Co grają w „Catalunya”?

- Nie wiem, ale siedzenia są wygodne.

- Nie po to się chodzi do kina. Sprawdźę, co tam grają. Nie mam zamiaru oglądać knotów, choćby kino było nie wiem jak wygodne.



Carvalho był bardzo z siebie zadowolony. Zrobił, co mógł dla Teresy Marsé, Charo, Celi Mataix, Biscutera, a czek od państwa Daurella oznaczał, że na jego koncie o stałym oprocentowaniu było już półtora miliona peset. Tyle wynosił cały jego kapitał ulokowany w Kasie Oszczędności na sześć procent, co doprowadzało Fustera do rozpacz.

- Każdy bank dałby ci dwanaście albo trzynaście.

- Ale Kasy Oszczędności nie bankrutują.

- Co to jest sześć procent przy takiej inflacji? Kup coś. Kup mieszkanie, jak się zestarzejesz, to je sprzedasz.

- Kto wie, co się stanie za dziesięć albo piętnaście lat. Może już nie będzie własności prywatnej. Wygrają socjaliści.

- Fantasta z ciebie.

- Albo oferta mieszkań będzie tak duża, że będę musiał zatrzymać mieszkanie i spędzać tam weekendy.

- To je wynajmiesz.

- Co to, to nie. Sześćdziesiąt lat na karku i kłopoty z najemcami. W tym wieku chcę siedzieć w domu w Vallvidrera, żyć z uciulanego grosza, pobierać emeryturę, przysługującą mi jako niezależnemu pracownikowi, i spróbować jakiejś egzotycznej kuchni. Co my na przykład wiemy o kuchni afrykańskiej?

- Wystarczająco dużo, żeby wybrać francuską.

Popołudnie było bez wątplenia udane i gdyby nie tłumiony lęk, że Teresa jest w tarapatkach, Carvalho czułby pełną satysfakcję. Ale w końcu nie był odpowiedzialny za losy Teresy Marsé. Jak ktoś mądrze powiedział, wszyscy ludzie powyżej czterdziestki odpowiadają za siebie. Od czterdziestki w górę nikt nie zasługuje na współczucie, aż do chwili, kiedy kończy sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt lat. Tak przynajmniej myślę. Idąc w górę Ramblas, Carvalho zobaczył pierwsze plakaty zapowiadające wizytę papieża i potężne plecy Supermana, latającego po wszystkich nieboskłonach świata. Carvalho minął uliczki odchodzące od Boqueria i dotarł do ogrodów starego szpitala Santa Cruz: romantyczny nastrój światła i cieni, przygotowany przez gotycką i neogotycką architekturę; starcy na ławkach i młode matki z nieświadomymi niczego pociechami, studenci krążący pomiędzy dwiema ulicami albo dwiema szkołami, a może między biblioteką Catalunya i Szkołą Sztuk i Rzemiosł Massana. Światło i gwar na dziedzińcu akademii, raj stworzony pod sklepieniem jesiennego nieba. Trzeba wybrać spośród wszystkich osób z książkami pod pachą kobietę po czterdziestce, która trzyma w ręku Ziemskie moce Anthony'ego Burgessa, grube tomisko, które z powodzeniem może służyć za znak rozpoznawczy w otoczeniu wypełnionym różnymi znakami. Tam właśnie siedzi, jest niska i kwadratowa, ale nie straciła jeszcze talii, ma krótkie, ciemne włosy, skórę białą i trochę tłustą, oczy o władczym spojrzeniu i smutne usta, miękkie i zaślinione wargi, które robią wrażenie wilgotnych, podobnie jak jej włosy. Kobieta marszczy brwi, kiedy Carvalho przystaje obok niej i patrzy na książkę.

- Czy to pan...

- Tak, to ja.

Marta Miguel dmucha na nie istniejący kosmyk włosów.

- Inaczej sobie wyobrażałam prywatnego detektywa.

- Pewnie w prochowcu.

- Właśnie.

- Nigdy nie chodzę w prochowcu. To tak, jakby przyjąć, że wszystkie służące muszą nosić czepek.

- Ale pan ma porównania.

Carvalho wskazał panoramę ogrodu.

- Porozmawiamy tutaj czy gdzieś usiądziemy?

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, przejdziemy się trochę, a później poszukamy jakiejś ławki. Często tutaj bywam. Przesiaduję w bibliotece Catalunya.

- Zajmuje się pani nauczaniem.

- Tak. Jestem nauczycielem akademickim.

Powiedziała „nauczycielem akademickim” ze specjalną mocą, jak gdyby chciała dać do zrozumienia, że ta forma nauczania jest najwyższa i posiada nadzwyczajne wartości. Zaczęli spacer i Carvalho czekał, aż ona zacznie rozmowę, ale kobieta patrzyła tylko na czubki swoich zniszczonych i

brudnych butów, przekładała książkę z jednej ręki do drugiej, a wolną dłonią obciągała na sterczącym brzuchu koszulkę polo, zrobioną z taniej włóczki. Jedynym wyróżniającym się szczegółem jej ubrania był naszyjnik z czerwonych koralików, tandetny, ale ładny.

- Słucham pana - odezwała się w końcu.

- Ja nie mam nic do powiedzenia. To pani zależało na spotkaniu.

- Przepraszam, ale to pan doprowadził do naszego spotkania tropiąc i węsząc na wszystkie strony. Dzwoniła do mnie Rosa Donato, powiedziała mi o pańskich zamiarach. Czy nie lepiej zostawić tę sprawę w spokoju? Zło już się dokonało i nikt z nas nie chce grzebać się w śmieciach. Poza tym jest jeszcze Muriel, córka Celii. Sądzi pan, że powinna oglądać tak przykre widowisko?

- Czy Rosa Donato zawsze ma taki zły humor?

- Jest bardzo zmienna.

- Zachowuje się jak kierowca ciężarówki, któremu chce się spać, złapał właśnie gumę i nie ma już zapasowego koła.

- Dlaczego pan ją porównuje do kierowcy?

- Nie mam pojęcia.

- Nie jest moją ulubienicą, ale to bardzo wartościowa kobieta, o szerokich horyzontach.

- Nie wątpię. Na świecie jest mnóstwo wartościowych osób o szerokich horyzontach, z którymi nie da się wytrzymać.

- Jest rozpieszczona, to wszystko. Zupełnie jak Celia.

Pozwolił się trochę wyprzedzić i stwierdził, że kobieta ma ciężki chód, krótkie, umięśnione nogi, kontrastujące z wąską talią i kształtnym biustem.

- Zawsze miały łatwe życie i zloszczą się na wszystkich, którzy im się przeciwstawiają albo mogą je wpędzić w kłopoty. Chciałabym je widzieć na moim miejscu, kiedy pierwszy raz przyjechałam do miasta, miałam osiemnaście lat, byłam biedna jak mysz kościelna, nie miałam nawet na papier czerpany, żeby napisać podanie o stypendium.

- Sama pani wszystko osiągnęła?

- A kto miał mi w tym pomóc?

- I została pani nauczycielem akademickim.

Carvalho zagwizdał z podziwu, doceniając trud, jaki musiała wykonać ta mała i silna kobieta. Spojrzała na niego zmieszana.

- Nie pozwalam panu na strojenie sobie żartów z tego, kim teraz jestem, bo wszystko zawdzięczam sobie i sama najlepiej wiem, ile mnie to kosztowało.

Nie mogła ukryć dziwnego akcentu, akcentu z pogranicznej prowincji, nieważne jakiej. Nie był to akcent typowy dla zwykłych imigrantów - andaluzyjski, galisyjski, aragoński, ani nawet przybyszów z Murcji. Mówiła z akcentem typowym dla niewykwalifikowanych imigrantów, kastylijskim z pogranicza, ale tylko wtedy, gdy chciała powiedzieć to, co naprawdę czuje, omijając konwenanse.

- Prawie wszyscy zawdzięczają swoje osiągnięcia samym sobie. Niektórzy bardziej, niektórzy mniej, ale zależność od samego siebie nie zmienia się. Czego pani naucza?

- Wykładam pedagogikę. Ściślej mówiąc, historię pedagogiki.

Carvalho zrobił uprzejmą minę, wyrażając uznanie dla jej pracy, co trochę uspokoiło Martę. Maszerowała, zataczając malutkie koła, jak gdyby zajmowała swoje terytorium, niewidzialne, lecz rzeczywiste, i ofiarowywała je detektywowi.

- Nie może pan sobie wyobrazić, kim byłam, jak przyjechałam do Barcelony, świeżo po ukończeniu liceum w moim mieście. Dwaj nauczyciele na czterystu studentów, a w mojej grupie wszyscy chcieli skończyć liceum albo średnią szkołę handlową, niezależnie od kursu, na jaki byli zapisani. I trzeba było wkuwać. Wszystko kułam na pamięć. Do dzisiaj pamiętam definicję historii, której się nauczyłam w tej szkole: „Nauka historyczna traktuje o faktach, składających się na rozwój ludzkości, a także wyjaśnia ich przyczyny”. No więc kułam i kułam, wycierałam sobie swetry na łokciach, jak to się mówi, potem matka mi je cerowała.

Carvalho spojrzał kątem oka na łokcie koszulki polo. Bez zarzutu. Marta szła kołyszącym się krokiem i czasem zderzała się z Carvalhem, a wtedy detektyw czuł intensywną woń perfum. Pewnie ma owłosione pachy i szybko się poci, pomyślał Carvalho i wyobraził ją sobie nagą, podobną do perszerona, albo poruszającą się w tańcu, z tą wymuszoną sprężystością, typową dla kwadratowych, umięśnionych ciał.

- A jak przyjechałam do Barcelony, mój Boże!

Znów dmuchnęła na niewidzialny kosmyk.

- A jak zaczęłam studia, Boże święty! Powiem panu tylko, że w tym samym roku wydarzyła się ta historia z Auditorium Maximum. Nie pamięta pan? Zaczęły się ruchawki studenckie, pierwsze z tych ważniejszych. Rocznik 1956-1957. Krew się we mnie burzyła na widok spokojnych i bogatych paniczek, którzy narażali się na wyrzucenie z uczelni, ścigając się z policjantami. A ja musiałam mieć przynajmniej czwórkę, żeby dalej wypłacali mi stypendium. Czy pan wie, że ja absolutnie nic z tego nie rozumiałam?

Zatrzymała Carvalha, kładąc mu na ramieniu krótką, mocną dłoń.

- Ale to nic a nic.

- Pani żartuje?

- Nie. Nie rozumiałam języka. Na przykład przedmioty teoretyczne. Taka filozofia. Nauczyłam się na pamięć i potrafiłam powiedzieć, czym jest monada według Leibniza, ale nie rozumiałam Leibniza. Pojmuje pan? Kiedy na zajęciach mówiono o filozofii, robiłam się malutka, maluteńka, a w domu płakałam, bo niczego nie rozumiałam. Albo literatura. W tym czasie Juan Ramon Jimenez dostał Nobla. Profesor literatury zadał nam, żebyśmy omówili wiersz Juana Ranonera Jimeneza. Znałam na wyrywki biografię Juana Ramona i tytuły wszystkich jego dzieł, nawet całe fragmenty książki Srebrzynek i ja. Ale nie potrafiłam zinterpretować wiersza. Musiałam przepisywać inne komentarze i wkuwać je na pamięć. Pracowałam po dwadzieścia godzin na dobę, wykpiwana przez tych, co uchodzili za najbystrzejszych z grupy, przez najbardziej błyskotliwych, co wychodzili na ulicę, żeby robić rewolucję, krzycząc do policjantów „Mordercy!”. Rano policja, a wieczorem imprezy, a ja tymczasem zarywałam noce, ucząc się przy złym świetle w najtańszym pokoju pensjonatu przy Aribau. Albo historia sztuki. Wcześniej w życiu nie widziałam obrazu, chyba że w kalendarzach. Owszem, znałam na pamięć Archeologię epoki klasycznej Melidy i Historię sztuki Angulo. Ale profesorowie upierali się, żebym objaśniała reprodukcje i styl. Dużo mnie kosztowało poznanie abstrakcyjnej kultury burżuazji.

- Według pani kultura burżuazyjna jest abstrakcyjna, a proletariacka konkretna.

- Moja kultura jest mieszkanką konwencjonalnej moralności religijnej, zbiorowego doświadczenia mojej rodziny i tego, co zdołała zapisać moja cudowna pamięć. Widziałam, jak inni, jak ci dyletanci żartują ze wszystkiego, co boskie i ludzkie, kpią sobie z Ortegi y Gasset, z całkowitą bezkarnością, bo byli panami świata i mogli być ironiczni, a jednocześnie wyrozumiali dla samych siebie. A ja, Marta Miguel, wkuwałam do późna w nocy i wszyscy krzywo na mnie patrzyli, oprócz sióstr zakonnych. Ja sama byłam jak mniszka w czasie studiów.

- Poznała pani Rosę Donato na uniwersytecie?

- Kiedy zaczynałam studia, ona już kończyła. Grała w reprezentacji i działała w Związku Studentów. Teraz nie. Teraz poszła tak na lewo, że żadna partia jej nie zadowoli. Ja też działałam trochę w Związku. Mieli najtańsze stołówki. Napychałam się chlebem z olejem, solą i octem. Kiedy podawali zupę, miałam już pełny żołądek chleba z olejem, solą i octem.

- A Celia?

- Widywałam ją na dziedzińcu. Nie studiowała wtedy na wydziale literatury, zresztą nie wiem. W każdym razie zawsze trzymała się z ludźmi z prawa albo z architektury. Na tych wydziałach było więcej chłopców. Kiedy wchodziła na dziedziniec wydziału literatury, wszyscy pożerali ją wzrokiem. Była wysoką, delikatną blondynką, miała wspaniałe, zdrowe ciało i zawsze nosiła ze sobą książkę i kwiat. Najczęściej różę.

- Była pani jej przyjaciółką?

- Nie. Tak naprawdę rozmawialiśmy tylko dwa razy, i to całkiem niedawno. Kiedy zaczęłam specjalizację, trudniej mi było pokazywać się na uczelni i rzadko ją widywałam, bo zawsze była otoczona dworem, facetami i dziewczynami, wiernymi jak psy. Donato znała ją dobrze i kilka razy zaprosiła mnie na koktajle i przyjęcia, na których spotykałam Celię. Ale nigdy nie miałam ładnych ciuchów, poza tym nie potrafiłam prowadzić zwykłej, banalnej konwersacji. Z czasem wymyśliłam nazwę na to, co się ze mną wtedy działo: miałam naruszony mechanizm porozumiewania się z ludźmi. Nie widziałam jej przez rok albo dwa. I nagle, któregoś dnia, właśnie skończyłam studia i przygotowywałam się do egzaminu konkursowego w Instytucie. Fernando Femán Gómez miał dać koncert z okazji rocznicy śmierci Machado, nielegalnie, chyba na wydziale inżynierii, który niedługo przedtem otworzono. Poszłam i była tam Celia. Jak zawsze otoczona ludźmi, przepiękna. Donato powiedziała mi, że mieszka z chłopakiem, malarzem, od niej też dowiedziałam się później, że Celia

wyszła za architekta. Następnym razem zobaczyłam ją dopiero na premierze Ewangelii według świętego Mateusza Pasoliniego.

- Nie próbowała jej pani zagadnąć?

- Nie. Bo i po co? W tym czasie dziobałam sobie kulturę tu i tam. Czułam się bardziej bezpieczna ekonomicznie. Kupiłam na kredyt mieszkanie, które mam do dzisiaj. Moja matka owdowiała i przywiozłam ją do siebie ze wsi. Czytałam wszystko, czego wcześniej nie zdążyłam przeczytać. Znów ją kiedyś zobaczyłam w kinie, w nocy. Była w ciąży, pewnie z Muriel. Ale jak zwykle była bardzo piękna. Uśmiechała się tym swoim nieobecny uśmiechem, przechylając z wdziękiem głowę.

Portret Marty Miguel sprawił, że kiepskie zdjęcie z gazety, które pojawiło się przed tajną siatkówką w umyśle Carvalha, zaczęło nabierać ostrości.

- Wszyscy ją kochali - wyszeptała Marta Miguel.

Oboje zdali sobie sprawę, że przeszli już cały park. Byli przy bramie, wychodzącej na ulicę Hospital, wśród setek ogłupiałych, zmęczonych lub zamkniętych w sobie ludzi, opuszczających gotycką oazę.

- Wielka szkoda.

- Co takiego?

- Wielka szkoda, że nie będę mógł zająć się tą sprawą. Jestem zawodowcem. Żyję z tego i nie będę prowadził śledztwa z miłości dla sztuki.

- Niczego by się pan nie dowiedział. Wysłałam, a ona czekała na kogoś. Tak naprawdę to użyła mnie jako przynęty, żeby inni połknęli haczyk i poszli sobie. Zwłaszcza Donato i ten idiota Dalmases.

- O czym pani z nią rozmawiała?

- W zasadzie o niczym. Nie było czasu. Powiedziała, że boli ją głowa, że nie mogła już znieść całej reszty i żebył... Dała mi do zrozumienia, że na mnie już czas.

- A to szkoda.

- Dlaczego?

- Po raz pierwszy miała pani okazję z nią porozmawiać. Po tylu latach. Przecież tego pani właśnie chciała.

- Ja chciałam z nią rozmawiać? Skąd pan to wziął? Celia była jak obraz, a raczej jak modelka pozująca do obrazu, którego nigdy nie namalowano. Kilka lat temu widziałam film Miloša Formana, nie pamiętam tytułu, chyba Taking off. Jest tam taka scena z nagą blondynką, grającą na wiolonczeli. Blondynka Miloša Formana była rubensowska, przy kości, o bardzo holenderskiej albo nordyckiej urodzie. To właśnie była scena dla Celii: naga, grająca na wiolonczeli.

Marta Miguel zamknęła oczy i uśmiechała się. Kiedy wróciła na ziemię, spostrzegła, że detektyw patrzy na zegarek. Charo była już pewnie przed kinem i wściekała się myśląc, że Carvalho wystawił ją do wiatru.

- Spiesz się pan?

- Owszem.

- Nie będzie pan prowadził tej sprawy?

- Nie.

- Tym lepiej. To byłoby niemądre.

Ucisnęła mu mocno dłoń, odwróciła się i poszła przez ogród w stronę biblioteki. Carvalho obserwował jej mocną sylwetkę, ciało stypendystki, córki ziemi i rodziców z pogranicza. Ciało, jakie widuje się na zorganizowanych wycieczkach do Amsterdamu albo Kyoto. Z aparatem fotograficznym i bardzo bliską przyjaciółką.

Film opowiadał o dwóch małżeńskich parach, znużonych sobą, które bawiły się w zamianę partnerów, by przezwyciężyć nudę. Charo nie tyle oglądała, co pochłaniała film, przytulając się do Carvalha. Czasem odrywała się od hipnotyzującego ekranu i patrzyła na mężczyznę, jakby chciała sprawdzić efekt, wywołany przez filmową fabułę. Detektywowi podobała się Sally Kellerman i nic poza tym, śledził wydumane sytuacje, tworząc własny film, przypominając sobie w zwolnionym tempie spotkanie z Celią w supermarkecie. Miała na sobie płaszcz z miękkiego materiału, a może było to futro, emanowało z niej wonne ciepło, jakim obdarzone są ciała godne miłości. Detektywowi spodobały się jej rozwiane włosy, harmonia rysów twarzy, niewinność oczu i uśmiech, zrodzony z osobistej i nieprzekazywalnej tajemnicy. Kiedy odchodziła w stronę kasy, spod rąbka spódnicy wyrzały zgrabne

nogi, szczupłe kostki eterycznej dziewczyny, a potem Celia odeszła na dobre, on zaś musiał jeszcze pokazać zawartość swojego koszyka, zaczekać na rachunek, zapłacić i wyjść. Niecierpliwiał się jak szczeniak, ogarnęło go uczucie udręki i niewysłowionej wściekłości, że musi wypełnić tę logiczną formalność, zapłacić za to, co kupił w supermarkecie. Później wyszedł na ulicę wypełnioną pustką i nie było nawet śladu jasnowłosej głowy, która znikła wśród samochodów i tłumu, jeszcze jedno wspomnienie tego, co mogło się być zdarzyć.

- Podobało ci się?

- Owszem, całkiem śmieszny.

- Więc ja myślę, że miał coś w sobie, co nie? Wielu ludziom przytrafia się to samo, co nie?

- W Stanach. U nas wszystko ma inną skalę.

- W tych sprawach ludzie są wszędzie jednakowi.

Charo spojrzała na zegarek.

- Muszę już iść.

Powiedziała to jak skazaniec idący na szafot. Chciała w ten sposób przypomnieć detektywowi, że jest call girl zaczynająca pracę o ósmej, kiedy w biurach kończy się praca i kadra kierownicza wyciąga z rozporzeczka swoje instynkty.

- Odkąd pojawiło się tyle salonów relaksu, z pracą jest coraz gorzej. Na szczęście zachowałam dawnych klientów. Ale nie mam żadnego nowego. Przy tym salony relaksu dają takie ceny... Jak ci się wydaje, ile kosztuje masaż, a potem cała reszta?

- Nie mam pojęcia.

- Jak ci podadzą szklankę whisky, cena od razu skacze do dziesięciu tysięcy peset. Później też zależy, czy to jest francuz, czy grek.

- Ceny różnią się dla Greków i Francuzów?

- To są nazwy masaży, czyli świntuszenia. Francuz to po francusku, a grek to jak w Ostatnim tangu w Paryżu. I masaż tajski.

- Wiem, co to jest masaż tajski.

- No więc właśnie.

Charo wspięła się na palce i pocałowała Carvalha w policzek, po czym uściśnęła mu rękę i pobiegła w dół Ramblas. Carvalho stłumił w sobie pragnienie, by zawołać ją, odzyskać, zatrzymać dla siebie. Nie chciał jednak stać się jej właścicielem, zresztą profesja Charo prędzej czy później rozdzieliłaby ich w radykalny sposób, była kordonem sanitarnym, który chronił go przed instynktem własności. Wsiadł do samochodu na parkingu Gardunya i wybrał rutynową trasę w stronę Vallvidrera, kiedy jednak znalazł się na skrzyżowaniu dróg prowadzących do Tibidabo i Las Planas, wybrał ten drugi kierunek i pojechał górskim grzbietem, z busolą nastawioną na Valles. Zjeżdżał z majestatycznej, cienistej góry, nakrytej leśną czapą, z lianami i pomrukiem puszczy w strumieniach, płynących wśród gęstwiny. W miejscu, gdzie kończył się zjazd, szosa przecinała niewielką dolinę, która otwierała się na łąki o bujnej zieleni: właśnie tam plebejusze urządzali sobie niedzielne obiady, z tortillą lub paellą i skakanką albo rodzinnym meczem w piłkę, podziwiali z otwartymi ustami cud zachodu słońca w górach, spektakl na poziomie, całkiem za darmo, prawie zawsze w technicolorze. Po zmianie czasu dzieńne światło jesienniło. Za drogowskazem „La Floresta” zjechał w boczną drogę i znalazł się w królestwie małych willi, pleśniejących pod wpływem hojnej wilgoci doliny. Wille o kiczowatej architekturze oddawały w mikroskali kiepski gust spekulacyjnej burżuazji okresu powojennego, a także drobnej burżuazji, spekulantów i ciułaczy, którzy urzeczywistnili swój sen, kupując sobie la caseta i l'hortet na cienistych zboczach, otaczających Barcelonę, za którymi otwiera się na pozór nieskończona Valles Occidental. Wille minimodernistyczne, minifunkcjonalistyczne albo modernistyczne od pasa w górę i racjonalistyczne od pasa w dół, albo coś wręcz przeciwnego - starość, zaniedbanie, a nade wszystko anachroniczność marnych wakacji. Emerytowani biurokraci, podlewający swoje ostatnie pomidory, albo ich rockowi wnukowie, którzy znaleźli azyl w niesamowitym, starym domku dziadka. Mogli uciec, choć nie do końca - paląc skręty bez obaw, że dostaną od ojca po głowie zwiniętą w rulon „La Vanguardia”, kochać się z koleżanką z liceum, łudząc się, że mają własny dom. Komuna tłumaczy literatury, którzy nie mają za wiele pracy, flecistki z młodych orkiestr, co już prawie nie występują pary czterdziestoletnich homoseksualistów, którzy stracili nadzieję na potomstwo i postanowili godnie się zestarzeć, skazani na wierność wobec kochanki. Można było też spotkać prawdziwy chłopski dom, gdzie czerwoni z wysiłku, cierpiący na reumatyzm starcy pochylają się nad ziemią w poszukiwaniu ślimaków. Domy już dawno straciły szansę, by stać się alternatywą dla barcelońskich dzielnic willowych, gdzie kilof zniszczył domy jednorodzinne z akacją i palmą a nawet sadzawką z kolorową

rybką jeszcze jednym członkiem rodziny. Osłonięte wilgotną mgłą i skazane na swoją kapryśną architekturę, widziały, jak nowi, wykształceni liberałowie przenosili się do Sant Cugat, gdzie jest uniwersytet i pole golfowe, centralne ogrzewanie i apteki, a nawet argentyńska restauracja i fromagerie, niezbędne elementy, jakie musi posiadać zdadne do zamieszkania katalońskie miasteczko pod koniec tysiąclecia. Ale Carvalho lubi staroświecki charakter tych willi, sen o powrocie do natury, wyśniony w innym czasie przez ludzi, którzy nie wiedzieli jeszcze, że miasto może stać się dużo bardziej odrażające, niż myśleli; ich wyobraźnia była równie ograniczona jak ich pragnienia. Domki pozwoliły im odzyskać ślimaki i szczygły, robaki i czaple, kijanki i burze.

Na kartce z adresem matka Teresy naszkicowała drogę do „Can Torruella”, do rezydencji Ernesta - historycznego Ernesta ponieważ chłopak urodził się w ekstatycznym momencie nieprzerwanej rewolucji, uosobionej przez Che. „Tuż przy wielkim dębie”, przeczytał na kartce, i rzeczywiście był tam dąb, który wcale nie był tak wielki, jakby chciał dopasować swoje rozmiary do tych niewydarzonych domów. Ozdobna, metalowa furta, mały ogród z oleandrami zjedzonymi przez mszyce, fasada przypominająca posterunek żandarmerii, w której ciekawe były tylko schody, próbujące naśladować obłąkańczą mozaikę Gaudiego. Na górze znajdowały się otwarte drzwi, ukazujące dobrze utrzymaną mozaikę, a w głębi salon z neoklasycznym kominkiem i wielkie poduszki z hinduskimi wzorami. Na jednej z nich siedzi drobna dziewczyna z włosami związanymi w koński ogon, nie odrywa ust od fletu, a tylko przekrzywia głowę, by dojrzeć, kim jest intruz. Nie przestaje grać utworu, który dla Carvatha brzmi jak Mozart i kontrastuje z wiszącym na ścianie plakatem Erica Burdona i ogromnym zdjęciem Micka Jaggera wyjmującego gitarę z rozporka. W bocznych drzwiach pojawia się para - oboje mają długie czupryny uniseks, są chudzi jak bezdomne koty i młodzi jak wiosenne drzewa. Nie chcą niszczyć nastroju, pytając Carvalha, co tu robi, flecistka wbija w niego wzrok, ma szeroko otwarte oczy, jedyny rzeczywiście piękny szczegół w nieciekawej twarzy typowej dla młodszych córek, jej wargi wciąż wyczarowują muzykę z fletu. Muzyka ogłasza własną śmierć, a kiedy zamiera, młodzieńcze figury powoli odzyskują zdolność do ruchu i zdziwienia na widok czterdziestolatka o księżowskim wyglądzie, który wtargnął do przedsiönka raj. Carvalho patrzy na okrągły brzuch, napinający ubogą sukienkę i domyśla się, że flecistka jest przyszłą synową Teresy Marsé. Para uniseks rozłącza się i osoba o męskim głosie robi krok naprzód.

- Czego pan sobie życzy?

- Było otwarte, to wszedłem. Szukam Ernesta.

Młodzi patrzą na siebie w milczeniu.

- Ta sprawa ma związek z jego matką Teresą.

- Wyjechała na wakacje - odpowiada synowa.

- Wiem. O to właśnie chodzi. Chciałbym porozmawiać z Ernestem.

- Jest w pracy.

- A kiedy wraca?

- Jest kelnerem i ma dzisiaj nocną zmianę. Niedawno wyszedł.

Chłopak z podkrążonymi oczami, urodzony po to, żeby zostać Che Guevarą albo spadkobiercą przedsiębiorstwa „Can Marsé”, pracuje jako kelner.

- Możecie mi powiedzieć, gdzie pracuje?

Pewnie mogą, ale nie chcą.

- Nie wiem. Gdzieś w Barcelonie, ale nie znam tego miejsca. Jak pan znalazł ten dom?

- Babcia Ernesta dała mi adres.

- Ach, iaia<sup>20</sup>.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, mówiąc iaia spojrzała na drzwi, prowadzące do kuchni, wyłożonej wyszczerbionymi kafelkami. Bez wątplenia iaia przyczyniła się do tego, że kuchnia działa.

- Bardzo pana przepraszam, ale mój ojciec mnie szuka i nie chcemy mieć kłopotów. Mieszkamy u przyjaciół.

Para uniseks skinęła głową.

- Ernest pracuje w „Capablanca”, w lokalu transwestytów, na końcu Ramblas. Jest kelnerem - dodała szybko, by Carvalho ani przez chwilę nie pomyślał, że Ernesto pracuje jako transwestyta. Siedemnastoletnia flecistka w ciąży obserwowała detektywa bez obawy, czekając na jakieś wyjaśnienie.

---

<sup>20</sup> Babcia (przyp. aut.).

- Coś się przytrafiło Teresie?
- Sam chciałbym to wiedzieć.

Dlaczego nosi jedwabie  
irysu prześliczny kwiat  
dlaczego nosi jedwabie,  
ach, ogrodniczko, powiedz mi.

Wygląda niczym pąsowy kwiat: potargane włosy blond, cała reszta w płomiennej czerwieni, szminka, suknia z trenem i białe, a może różowawe pieprzyki, la Pipa, metr osiemdziesiąt bez obcasów, w szpilkach koszykarz NBA, ciało wagi ciężkiej, powiększone o dwa silikonowe cycki, wzbudzające zazdrość w konkurentkach, łydki jak na lekcji anatomii, marmurowe uda, połyskujące przy szybkich krokach, kryjące tajemnicę tego, co zrobił lancet szpitala Casablanca. Twarz śniadego chłopca przebranego za blondynkę, rysy bezczelnej cioty, frywolność dlaczego nosi jedwabie irysu prześliczny kwiat i stukot obcasów, wzbijających tumany kurzu, które łączą się z mgłą białego światła. Reflektory próbują skupić się na teatralnej stronie występu la Pipy - na mowie ciała, która przedstawia tragedię Ogrodniczki, wielki dramat, interpretowany przez małego, starego pianistę w okularach studenta, zmiecionego przez szarżę carskiej kawalerii. Ludzie przy barze toną w półcieniu, w głębi sali nie zmieściłaby się nawet szpilka, wszystkie stoły zajmują małżeńskie pary. dopiero co wyszły z kolacji za sześć tysięcy peset, ramię przy ramieniu z lewicowcami, których skusiła plotka: niepowtarzalny klimat, la Pelucas, Rosalinda, la Adefesio, la Toro, specjalistki, potrafiące naśladować Rocío Jurado, Amandę Lear, Astrud Gilberto. Rafaelę Carrá. Rosalinda jest byłym kierownicą ciężarówki i ojcem dwójki dzieci; la Pelucas młodszym synem wdowy; la Adefesio tokarzem; la Toro jest oburęczną ciotą, a Luigi Kochaś zapewnia dobrą zabawę.

- Szanowna publiczności, a teraz wielki przebój Rafaeli Carra w wolnej interpretacji Juany la Toro.

La Toro zastępuje la Pelucas. psując bez pardonu fortepianowy wstęp.

- ... na fortepianie oczywiście maestro Rosell.

Rosell, stary pianista w białym garniturze w stylu Bustera Keatona, próbuje tuszować rytmiczne i melodyczne pomyłki wesołych i silnych dziewczynek.

- Mam okres! - mówi la Pelucas, ocierając spocone czoło.

- Zawsze dużo krwawię, jak mam okres - ciągnie la Pelucas, otoczona przez grupę bywalców lokalu, którzy uśmiechają się lub śmieją na całe gardło, nie mogą powstrzymać się od śmiechu na widok olbrzymki o tajemniczym kroczu.

- Słuchajcie, raz grałam na Majorce i dostałam miesiączki, ubabrałam całą scenę.

Wszyscy już wiedzą, że przedstawienie ogląda burmistrz, jest też Luis Doria, stary geniusz poetycki i malarz, zakonserwowany w formalinie i krochmalu. Luis Doria siedzi w swojej wieży strażniczej, ponad wrzawą, jego stolik jest punktem odniesienia dla dobrze poinformowanych, Luis Doria, to on jeszcze żyje? Widziałeś jego wystawę w Maeght? Zamożne małżeństwa są zadowolone z dobrej inwestycji, konsumują właśnie swoją cotygodniową szaloną noc w towarzystwie zaprzyjaźnionej pary albo współnika, z którym jeżdżą na wakacje. Poza tym w „Capablanca” bawią się nauczyciele kontraktowi, właściciele małych wydawnictw, byli wydawcy, post-wydawcy, pisarze, malarze, byli wykonawcy protest-songów, specjaliści od science fiction, kandydaci na posłów, umieszczeni w ogonie list wyborczych komunistów lub socjalistów, prestiżowe nazwiska, które wypełniają listę i bronią reputacji polityków, czekających na swoją nagrodę, fotel w parlamencie. Jest także Juanito de Lucena, który niedawno wrócił z tournée po Ameryce Południowej i przyłącza się do zabawy. Pajęczce oczy la Pelucas lustrują go dokładnie. - Ale przystojniak!

Juanito de Lucena ma sztuczny pieprzyk tuż przy zmysłowych ustach i rysunek brwi rozkwitającej dziewczyny. Ernesto pochyla się nad Juanitem de Lucena, wykonując cztery gesty, których nauczył go maître, kłania się w pas, proponując swoje usługi; jedna ręka jest schowana za plecami, druga przytrzymuje tacę, a usta mówią „czego się pan napije”, wystarczająco głośno, by klient dosłyszał, nie tracąc nic z natchnionego występu la Toro, Rafaeli Carra o cerze Tunezyjczyka i Figurze kopacza dołów.

- Ernesto. Ten pan pyta o ciebie.

Syn Teresy Marsé niesie na tacy dwa dziny z tonikiem i jedną Alexandrę. Carvalho mówi zbyt cicho i Ernesto nie rozumie go. Detektyw daje mu znak, żeby przeszli do jakiegoś ustronnego miejsca i

chłopak odpowiada, że nie może. Prosi Carvalha o chwilę cierpliwości. Znosi drinki do stolika, ktoś trąca detektywa w ramię. Carvalho odwraca się, widzi okolony zmarszczkami uśmiech Rosy Donato.

- Ależ pan ma parę!
- Zapewniam panią że to przypadek.
- Jak pan mówi?
- Że to przypadek.
- Siedzę tam z przyjaciółkami. Zamówiłam dla pana drinka.

„Tam”, przy stoliku, u stóp Luisa Dorii, szepczą między sobą trzy damy, które porzuciły mężów i zabawę. La Toro zaczyna recytować nostalgiczne wspomnienie Luigi Kochasia, eksportowego latin lover, który wyjechał do Hollywood, by zbić fortunę za pomocą fiuta, tymczasem maestro Rosell tworzy muzyczne tło, nastrojowe i smutne, pomimo parodystycznego charakteru recytacji. Ernesto wraca z pustą tacą i daje znak detektywowi, żeby poszedł za nim w stronę toalety. Nawet tutaj dochodzą wokalne popisy La Toro, nie słychać jednak wrzenia rozmowy i śmiechu.

- O co chodzi? Nie mogę odrywać się od pracy. Jestem na okresie próbnym, dużo mnie kosztowało znalezienie tego zajęcia.

- Pana matka ma kłopoty. Jest teraz w Tajlandii.
- Moja matka zawsze ma kłopoty.
- Zdaje się, że to coś poważnego. Pański dziadek nic o tym nie chce wiedzieć. Można jakoś dotrzeć do pańskiego ojca?
- Ojciec? Jeszcze gorzej. Trudno go będzie znaleźć, poza tym na nic się panu nie przyda. Jest infantylny. Zachowuje się tak, jakby to on był moim synem. Spędza połowę roku na Ibiza, a przez drugą połowę wyciąga od ludzi pieniądze w Barcelonie.

- Ktoś musi się zająć Teresą. Trzeba się skontaktować z Ministerstwem Spraw Zagranicznych.
- To nie jest przypadkiem klasyczna sztuczka mojej matki?

Maître pojawia się przy wejściu na salę.

- Muszę wracać do pracy. Mogą mnie stąd wyrzucić za byle głupstwo. Spróbuję znaleźć ojca. Proszę mi zostawić pański telefon.

Carvalho podaje mu wizytówkę i Ernesto chowa ją do kieszonki smokingowej kamizelki, jak napiwek. Ma długie włosy zebrane w kucyk, cień młodzieńczego wąsika, świadczący o rozpaczliwej decyzji, żeby nie używać maszynki do golenia.

- Idzie pan w końcu czy nie? - mówi Donato, po czym bierze Carvalha za ramię i pomaga mu przedrzeć się przez tłum, oklaskujący występ. Detektyw dociera tym tunelem do stolika kobiet. Donato przedstawia trzy koleżanki: pianistka, tłumaczka powieści feministycznych i laureatka pierwszej nagrody za najważniejszą powieść napisaną w Murcji. Przedstawia Carvalha jako prywatnego detektywa bez pracy.

- Macie okazję, dziewczyny, ten pan szuka pracy.
- Gdybym go wcześniej znała! Do czego się może przydać prywatny detektyw?
- Może na przykład śledzić pani męża.
- Już nie mam męża.
- Ja też nie.
- Ma pan przed sobą trzy piękne damy, które nie miały szczęścia w małżeństwie i są do pańskiej dyspozycji.

Pianistka zachowała jeszcze trochę letniej opalenizny. Patrzy przez ramię na Carvalha: jest blondynką, dobrze ufarbowaną, dobrze ubraną, zgrabną i dojrzałą, z biustem opiętym jedwabnym gorsetem z dużym dekoltem.

- Prawda, że przystojny? To najprzystojniejszy prywatny detektyw, jakiego znam. Dzisiaj pogniewałam się na niego, bo udaje wielkiego macho.

Donato ściska ramię Carvalha i robi do niego oko.

- Co za piękna noc! Widział pan Luisa Dorię?
- Nie mam przyjemności go znać.
- Słynny malarz, poeta, nie czyta pan gazet? Widzi go pan? Tam siedzi. Nie przychodzi tutaj, żeby oglądać dziewczyny, lubi słuchać pianisty. Zawsze wychodzi ostatni, a przed wyjściem żegna się uroczyście z pianistą.



- Pianista - mruczy Carvalho i patrzy na staruszkę, który właśnie dochodzi do kulminacyjnej części akompaniamentu - Luigi Kochaś poniósł sromotną klęskę jako hollywoodzki żigolak i wraca do rodzinnej wsi. do swoich dawnych kochanek. Pianista jest małym człowieczkiem, poruszającym się w rytm muzycznych fraz, zbyt krótkie spodnie odsłaniają starcze białe łydki, pocerowane, brązowe skarpetki, wypastowane buty. nerwowe jak jego ręce.

- Pewnie pan znał ten lokal.

- Wcale nie.

- Działał za czasów reżimu, ale zamknęli go, bo ktoś sypnął. Teraz znowu go otworzyli. Prawie wszystkie dziewczyny są z dawnej ekipy. Tyle, że o dziesięć lat starsze. Przyjrzał się pan la Toro? Można się jej przestraszyć.

Donato tłumy śmiech, widząc, jak pianistka wytrzymuje spojrzenie Carvalha, potem spuszcza wzrok i uśmiecha się do siebie. Donato przybliżył wargi do ucha detektywa.

- Niech pan się nią zajmie, jest bardzo samotna. Lubi pan muzykę?

- Zależy.

- Niech pan jej coś powie o muzyce.

Carvalho dopija podwójną whisky bez wody i lodu i podchodzi do pianistki.

- Jak tam Beethoven?

- Dlaczego Beethoven?

- Powiedziano mi, że pani jest muzykiem.

- Ja gram Bełę Bartoka.

Carvalho udaje, że jest obrażony, kręci głową z dezaprobatą.

- Tego się po pani nie spodziewałem.

Pianistka śmieje się, pokazując drogie uzębienie.

- Do czego to podobne - oświadczyła Donato, kiedy stało się jasne, że wyrzucają ich z lokalu. Doria podniósł się z miejsca, ogorzały, o ptasich rysach, z białą grzywą, błyszczącą pośród mroku. Zaczął schodzić po stopniach, dzielących go od parkietu, wolno, ale zdecydowanie, w towarzystwie dwóch kobiet, które czuwały nad każdym jego krokiem. Pianistka podeszła do niego, Doria pozdrowił ją ciepło, pocałował w rękę, wymienił jakąś zabawną uwagę i pożegnał się w równie wytworny sposób. Wszyscy goście opuszczali bar, Doria łatwo dostał się do sceny, na której stary muzyk skrupulatnie układał partytury. Carvalho poszedł za nowymi przyjaciółkami, chcąc dołączyć do pianistki. Znalazł się w orszaku, towarzyszącym Dorii. Mistrz zatrzymał się u stóp sceny i powiedział:

- Bardzo dobrze, Alberto, bardzo dobrze.

Ale pianista nawet na niego nie spojrział. Skinął tylko głową, odwrócony plecami do bezczelnego Luisa Dorii.

- A co z Teresą?

Pianista zadrzał, nie widać było jednak, czy śmieje się, czy płacze. Ułożył partytury i ruszył w kierunku schodków, nie zwracając uwagi na Dorię, który wychodził z baru w otoczeniu swoich asystentek. Donato wzięła Carvalha pod ramię.

- Co noc jest to samo. Kiedy przychodzi Doria, zabawa kończy się w ten sposób.

Pianista wręczył partytury szatniarce, ona zaś, jak gdyby spełniając rytuał, schowała plik nut i po chwili wróciła ze szczotką, którą stary bez pośpiechu oczyścił swoje ubranie. W drzwiach baru przyjaciółki Donato trafiły na pianistę i Ernesta, chłopak nie miał już na sobie smokingu, lecz młodzieżowy mundurek z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego, a długie włosy opadały mu na plecy. Ernesto wymienił z Carvalhem porozumiewawczy znak, wsiadł na mały motocykl i odjechał w górę Ramblas, w stronę nory, gdzie czekała na niego flecistka przy nadziei. Carvalho pomyślał, że pod koniec października chłopakowi będzie zimno, a motocykl nie jest wystarczająco mocny, by pokonać wzniesienia Tibidabo. a potem zjechać mokrą szosą prowadzącą do Valles. Ale Ernesto był już tylko żółtym światłem gasnącym w oddali. Tymczasem pianista Alberto Rosell maszerował zważym krokiem turysty przez środek Ramblas w swoich przykrótkich spodniach, odsłaniających brązowe skarpetki z lat czterdziestych.

- Rosa, skarbie, nic nie mówiłaś, że przyjdiesz. Donato witała się czule z Rosalindą, otuloną futrem, przypominającą zniewieściałego polarnika.

- Ty chyba wcale mnie nie lubisz. Już zapomniałaś, że byliśmy przyjaciółkami.
- Ja miałabym zapomnieć, kochana? Tylko że ty jesteś dla mnie za bardzo męska.
- Męska? Co ty opowiadasz? Andrés, chodź, posłuchaj, jak mnie tutaj obrażają.

Podszedł do nich chłopak z baczkami i niedopałkiem cygara w zębach.

- Przedstawiam wam Andresa, mojego narzeczonego. Mamy zamiar się pobrać. A to jest Rosa. Zobacz, co ona mówi, że jestem dla niej za bardzo męska. Ty też mnie uważasz za mężczyźną, Andresico?

Andrés zaprzeczył, wsadził ręce do kieszeni i zaczął szukać księżycy na niebie. Rosulinda uszczypnęła Donato w ramię.

- Ależ, ty jesteś dla mnie niedobra. Przedstaw mi tego przystojniaka. Dokąd go zabieracie?
- To prywatny detektyw.
- Aa, tajniak.

Cały wstręt tego świata odmalował się na twarzy Rosalindy, powodując potężne trzęsienie ziemi, które poruszyło skorupę makijażu.

- Nie. Prywatny detektyw, jak z filmu. Taki Humphrey Bogart.

- Nie wygląda. Raczej jest podobny do... sama nie wiem. Do kogoś innego. Nie do tego. co powiedziałaś. Cześć, dziewczyno, nie zapominaj o mnie. Podobał ci się występ?

- Bardzo dobrze zaśpiewałaś.

- Chodzę na lekcje śpiewu, do faceta, który nauczył Caballe, jak oddychać jajnikami. Poprosiłam go, żeby mnie też nauczył. I tak się zaczęło.

- Uczy cię oddychać jajnikami?

. No właśnie, i to święta prawda, to się da zrobić. Popatrz tylko.

Rozpięła futro, odstaniając fioletową sukienkę, opinającą potężne orogeny.

- Popatrz, teraz oddycham żołądkiem.

I żołądek Rosalindy wznosił się i opadał, miała zamknięte usta, wciągała powietrze nosem, którego skrzydełka drżały jak żabie skrzela.

- A teraz wciągnę powietrze do jajników.

Ciało Rosalindy nawet nie drgnęło, wszyscy przekonali się, że powietrze przeniknęło do głębokiej studni we wnętrzościach śpiewaczki.

- Jasne, że jak zatrzymasz powietrze w jajnikach, to możesz dłużej śpiewać. Dlatego Caballe, ale też Callas albo Raphael, albo któryś z tych tenorów, potrafią zatrzymać powietrze i robią z głosem, co chcą. Mogą śpiewać kilometrami i nic po nich nie widać, jakby sobie włosy czesali.

Zamknęła oczy, chcąc uzupełnić swój wywód nowymi ideami, ale Donato szybko pocałowała ją w policzek, uznając, że audycja już się skończyła.

- Słuchaj, złotko, jesteśmy zmęczeni i wracamy do domu. Gratulacje, jesteś świetna, życzę dalszych sukcesów.

Rosalinda chciała dodać, że poświęca się wyłącznie sztuce, ale Donato już jej nie słuchała. Carvalho znów znalazł się w grupie kobiet, patrzył na czubki butów, czując obok siebie obecność pianistki. Donato zebrała wszystkich pod światłem latarni, aby przekazać im nocne instrukcje.

- Muszę wcześniej wstać i nie mogę cię odprowadzić, Joano. Nasz prywatny detektyw będzie tak miły i odprowadzi Joaną do domu, prawda?

Joana zwolniła Carvalha z tego obowiązku, mówiąc, że w nocy nietrudno jest złapać taksówkę.

- Ale trudno o prywatnego detektywa.

Donato ucałowała pianistkę w policzki, podała rękę detektywowi i uwiesiła się na ramionach swoich przyjaciółek, podejmując nieuniknioną drogę w górę Ramblas. Po kilku metrach odwróciła się do Carvalha i powiedziała głośno:

- Widział się pan z Martą Miguel? Co pan o niej sądzi? Przykra osoba, prawda? Prawie jej nie znam - mówiła, nie oczekując żadnej odpowiedzi, po czym ruszyła w swoją drogę.

Joana rozglądała się na wszystkie strony, wypatrując taksówki.

- Niech się pani nie martwi. Z przyjemnością panią odwiozę.

- Jestem wściekła.

Zadrżał jej głos, patrzyła z ognikami w oczach na trzy oddalające się kobiety.

- Zawsze wykręca mi ten sam numer.
  - Na czym to polega, jeśli można wiedzieć?
  - Jak tylko pojawia się jakiś facet, zawsze chce mi go wcisnąć.
  - Dobra i hojna przyjaciółka.
  - Robi to, żeby się ze mną drażnić. Żeby mi powiedzieć: masz, bierz swojego ogiera, bo nie jesteś taka, jak my.
  - Rozumiem. To dlaczego pani się z nimi widuje?
  - Coś mi się podoba w Rosie. Sama nie wiem, co. Może siła charakteru.
- Wsiedli do samochodu Carvalha, spojrzeli sobie w oczy, kobieta opuściła wzrok, jakby chciała sprawdzić, czy detektyw ma coś takiego jak usta. a potem zbliżyła do nich swoje małe, soczyste, rozchylone wargi. Detektyw odwzajemnił pocałunek i opadł bezwładnie na fotel.
- Na szczęście nie będę musiał zadawać pani tego głupiego pytania.
  - Jakiego?
  - Zaprosi mnie pani na drinka?

- Mąż mnie zostawił.

Opadła na kanapę z kieliszkiem w dłoni, tak zręcznie, że nie uroniła ani kropli. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, Carvalho docenił zwinność jej ruchów, patrzył na nią, zanurzony w ruchomych piaskach dziesięciu tysięcy poduszek, nie był jednak na tyle zręczny, by przytrzymać kieliszek, nie utonął w morzu poduszek i zając pozycję, która umożliwiłaby mu dalszy podbój. Przeklął w duchu sztuczny orientalizm, który zaczynał obowiązywać w dekoracji wnętrza. Na ścianach wisiała sztuka abstrakcyjna, same sławne nazwiska, a na końcu ogromnego salonu, w jego trzeciej części, stał fortepian, tron królowej.

- Zwyczajnie, jak cywilizowany człowiek. Zapowiedział mi to w dzień naszego ślubu. Kiedy skończysz czterdzieści pięć lat, ja będę miał pięćdziesiąt, i wtedy cię zostawię. Myślałam, że to żart.

Wypiła łyk wina delikatnie, jak ptak.

- To było w lipcu zeszłego roku. Mam urodziny w lipcu, dwudziestego drugiego. Eduardo wręczył mi etui i kopertę. W etui był szmaragdowy naszyjnik, który obiecywał mi od... zresztą wszystko jedno... A w kopercie była informacja o spotkaniu z adwokatem i czek na dziesięć milionów peset... I jak? Co o tym myślisz?

- Twój mąż ma dużo pieniędzy.

- Czasami. Tak, ma pieniądze. Nie tak znowu dużo. Ile to jest dla ciebie dużo pieniędzy?

- Pięćdziesiąt milionów peset.

- To są grosze. Ale on tyle ma.

- Dlaczego cię zostawił?

- Pewnie uznał, że już się zużyłam. Powiedział, że zasługuję na nowe życie, z innym mężczyzną, bez domowej rutyny. Oczywiście, jemu też się należało. Ma dwójkę dzieci z pielęgniarką ze swojej kliniki.

Patrzyła na Carvalha przez szkło kieliszka, żeby sprawdzić, jakie wrażenie robią na nim te rewelacje.

- Młodsza ode mnie.

- Ale na pewno nie piękniejszą.

Dłonie Carvalha poruszały się szybko, burząc fryzurę Joany, i krótkie, miękkie włosy opadły kosmykami na twarz jak z okładki „HOLA”, twarz wyrzeźbioną przez niskokaloryczną dietę i masaże, które walczyły z wiotkością policzków i zmarszczkami na szyi. Później dłonie mężczyzny zsunęły ramiączka gorsetu, uwalniając kształtne, mocne piersi, o śniadym, słonecznym odcieniu, zakończone malinowymi sutkami. Joana przyjrzała się swoim piersiom i znów zaczęła zwierzenia.

- Nie mieliśmy dzieci.

- Tym lepiej. Kto by je wychowywał?

- To prawda.

Teraz dłonie Carvalha zajęły się spódnicą, Joana odwróciła się do niego plecami, pozwalając mu rozpiąć zamek, ale nie odstawiła kieliszka i popisywała się swoją zręcznością, pijąc porto. W majteczkach, które zmieściłyby się w dłoni dziecka, z kieliszkiem wina w ręce, Joana wyglądała jak na zmontowanym zdjęciu. Jej ciało rozpaczliwie walczyło z czasem - ani grama tłuszczu, żadnej widocznej zmarszczki, lśniąca skóra, opalona na najlepszych plażach świata - i mimo wszystko traciło jędrność, co właśnie pociągało Carvalha, który delikatnie badał opuszkami palców wszystkie granice tego ciała, toczonego wojnę na śmierć i życie.

- Rosa chciałyby, żebyśmy była taka, jak ona. Żebyśmy wszystkie były jak ona.

- To by byłyby straszne - powiedział detektyw. Wsparty na łokciu, całował na przemian sutki kobiety, zręcznie balansując ciałem. Kiedy jego wargi zatrzymały się na lewym sutku, Joana odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy, opadając na morze poduszek. Carvalho, odstawiony nagle od piersi, stracił równowagę i upadł na kobietę, co ona odczytała jako przedwczesny atak i schroniła się wśród poduszek, mrużąc z irytacją: „Jeszcze nie teraz!”. Siedziała w swoich majteczkach, zamyślona, obwarowana poduszkami, pół mili od Carvalha, odwrócona plecami do niego i do całego świata. Nie wiedział, czy zostawić kobietę w spokoju, czy przywrócić odpowiedni nastrój. W końcu poddał się prawu poduszek i zanurzył się w nich, aż sięgnął dna. Z tego miejsca poprosił Joannę łagodnym głosem:

- Chciałbym, żebyś coś zagrała.

- Teraz?

- Teraz.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

Kobieta wstała, poprawiła włosy i podeszła do fortepianu. Miała śliczny tyłeczek w kształcie gruszki, który doskonale pasował do obrotowego fotela, a jej łokcie zawisły nad klawiszami jak drapieżny ptak. Fortepian zdawał się czekać na swoją panią i bez zwłoki, jak wiemy ochmistrz, powierzył jej nuty. Kompozycja zabrzmiała dla Carvalha jak Albéniz, po chwili mógłby przysiąc, że słucha Torre Bermeja, nagle Joana przerwała grę i nie odwracając głowy, powiedziała:

- Wybacz, ale ćwiczę właśnie program do recitalu Albeniza i wychodzi mi już automatycznie.

Łokcie znów przygotowały się do ataku, tym razem była to smutna, sentymentalna, a zarazem podniosła melodia, gęsta jak noc, bez wątplenia skomponowana po to, by poruszyć najgłębsze uczucia słuchaczy.

- Co to jest?

- O Perigal. Pieśń Theodorakisa do wiersza Elitisa. Jest bardzo piękna w wykonaniu śpiewaczki. Zwłaszcza jeśli śpiewa Maria Farandouri.

- Ale tak brzmi całkiem dobrze.

- Owszem. Całkiem dobrze.

Carvalho wstał i zrzucił z siebie ubranie. Podeszedł do fortepianu i objął pianistkę, biorąc w posiadanie jej piersi. Melodia urwała się, detektyw oparł łokcie kobiety na fortepianie i wszedł w nią od tyłu, całując jej szyję.

- Dlaczego? - zdążyła jeszcze zapytać. Nie chciał albo nie potrafił odpowiedzieć. Nogi kobiety stawały się coraz słabsze, w miarę jak zbliżał się orgazm i Carvalho musiał podtrzymywać ją mocno w biodrach. Kiedy skończył, jej ciało tworzyło coś w rodzaju łuku, rozpiętego między fortepianem i podłogą. Joana wstała z wahaniem Margot Fontaine. Nie patrząc na niego, wróciła na łóżko i ukryła się w poduszkach. Chciał poszukać łazienki, ale powstrzymał ten impuls i położył się obok kobiety, rysując palcem na jej plecach wyimaginowane mapy. Odwróciła głowę, wreszcie zobaczył jej twarz - była zaróżowiona, wyrażała głęboką satysfakcję.

- Dlaczego?

- O czym mówisz?

- Dlaczego to zrobiliśmy?

- Przychodzą mi do głowy dwa dobre powody. Bo dobrze się bawiliśmy. Bo jest piąta rano i nie otworzyli jeszcze „Corte Inglés”.

- Dlaczego zrobiłeś to w ten sposób, jakbyśmy byli psami?

- Masz piękne plecy.

- Zrobiłeś to, żeby mnie upokorzyć.

Zmarszczyła brwi, by wzmocnić swój gniew. Carvalho wstał i zaczął się ubierać.

- A jutro?
- Jutro będzie nowy dzień.
- Zobaczymy się.
- Jutro nie. Kiedy indziej.
- Niedługo wyjadę na tournée, jeżeli nie będę miała kłopotów z policją i sądem.
- Żartujesz?
- Jestem świadkiem w sprawie zabójstwa tej dziewczyny, Celi Mataix.
- Byłaś na tym przyjęciu?
- Owszem. Rosa mnie zabrała.
- Znałaś wcześniej Celię?
- Bardzo dobrze. Może nawet za dobrze - dodała ironicznie.
- Jakież problemy?
- Była kochanką mojego męża. Chciałam wiedzieć, jak wygląda z bliska.
- I jakie wrażenia?
- Zwykła kurewka, która uważała się za coś lepszego.

Ręce Joany niecierpliwie szukały ubrania. Narzuciła coś na siebie, by odprowadzić Carvalha do drzwi.

- Czuję, że zrobiłam z siebie idiotkę.
- Dlaczego?
- To było takie... takie zwierzęce...

Przymknął oczy i z wyrazem natchnienia na twarzy podał rękę kobiecie. Joana spojrzała na nią, jak gdyby nie pojmowała tego gestu, po czym wspięła się na palce i pocałowała Carvalha w policzek.

- Zawsze to robisz w ten sposób?
- Jak?
- Jakby cię nie obchodziło, jaki wyraz twarzy ma kobieta.

Przygotowała sobie to zdanie, by wypowiedzieć je w chwili, gdy zamykała za nim drzwi:

- Wszyscy mężczyźni są tacy sami.

Późno zdał sobie sprawę, że to nie sen, że ktoś uparcie dzwoni do drzwi, choć jest dziesiąta rano, a on ma za sobą nieprzespaną noc. Wyskoczył z łóżka i wyrzwał przez okno. Na dole stał Ernesto, najwyraźniej był gotów czekać do skutku, musiał być równie niewyspany, jak sam Carvalho. Detektyw otworzył okno i krzyknął z oburzeniem „już idę!”, płosząc jaskółki, siedzące na drzewach ogrodu. Był nagi, zaczął szukać szlafroka, a chwilę później otworzył drzwiczki lodówki i wypił pół dzbanka lodowatej wody. Szlafrok. Carvalho był dziwnie zdezorientowany, jakby zapomniał nagle drogi do szlafroka i drzwi wejściowych. A może wcale nie miał szlafroka. Przypomniał sobie, że w łazience wisi coś w rodzaju płaszcza kąpielowego i postanowił go odnaleźć. Założył płaszcz i dopiero wtedy udało mu się uchwycić sens tego, co się dzieje. Ktoś dzwonił do drzwi, nie zwracając uwagi na senne otępienie, w jakim pogrążony był Carvalho. Detektyw wyszedł na bosaka do ogrodu, w milczeniu otworzył furtkę, może oczekiwał przeprosin, ale Ernesto minął go bez słowa przemierzył ogród wielkimi krokami, otworzył drzwi i rozgościł się w domu. Carvalho szedł za nim i zapanował nad sytuacją dopiero wtedy, gdy chłopak usiadł na kanapie, wdychając z rezygnacją.

- Jestem taki śpiący, że nie widzę na oczy.
- A ja nie wiem, jak się nazywam. Myślałem, że dzisiejsza młodzież nie lubi wczesnego wstawania.
- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, będę się streszczał. Nie zmrużyłem oka, myślałem o sprawie Teresy, mojej matki. Co się z nią dzieje?

Carvalho przedstawił mu w skrócie sytuację, Ernesto kiwał głową, jak gdyby opowiadano mu historię niepoprawnej recydywistki.

- Mama zawsze angażuje się we wszystko, nie wiedząc, co z tego wyniknie. Widziałem się z nią przed wyjazdem, powiedziałam jej, że moja dziewczyna jest w ciąży. A ona zaczyna wykład o kontroli urodzeń. To było absurdalne. Później nawijka, że jest tolerancyjną matką i nie zasługuje na taki los. I

że nie ma ochoty zostać babcią. Przecież nie prosiłem jej, żeby została babką. Tak jakby ktoś wyglądał na dziadka albo na babcię. Nie można ocenić po wyglądzie, że ktoś jest dziadkiem. Ale ojcem, owszem. To właśnie jej powiedziałem. Wpadła w furję. Że chce wyjechać i że porozmawiamy, jak wróci. A ja? Powinienem być wcześniej o tym pomyśleć. I tyle.

- Miałeś szczęście, że udało ci się znaleźć pracę.

- Żerują na mnie, a ja udaję Greka. Ani umowy, ani ubezpieczenia, nic. Ale przynajmniej jestem spokojny i nie muszę nikogo prosić o pieniądze. Co mogę zrobić dla Teresy?

- Wątpię, czy jesteś w stanie wiele zdziałać. Myślę, że twój ojciec albo twoi dziadkowie powinni zacząć coś robić. Znajdź dla mnie adres ojca, jak możesz.

- Już się dowiedziałem, gdzie mieszka. Pracuje jako treser psów w psiej rezydencji na wybrzeżu. Na południe. Obok Calafell. Z tego teraz żyje. Zawsze mieli psy w domu i stary wie, czym to sieje. Niech pan się nie dziwi.

- Nie dziwię się.

- Mój ojciec był kiedyś doradcą finansowym w Bankinter, bo był czyimś siostrzeńcem albo dlatego, że był zięciem mojego dziadka, już dobrze nie pamiętam. Dopiero co wrócił z Ibizy, bo się znudził dziewczynie, która go utrzymywała. Łysieje, trochę utył.

- Ile lat ma twój ojciec?

- O parę za dużo. Czterdzieści z hakiem. Jest starszy od Teresy o rok czy dwa, ale wygląda starzej. Facet jest skończonym łobuzem. Odkąd odszedł z domu, robił już w życiu wszystko. Dobrze przynajmniej, że nie daje mi dobrych rad.

Roześmiał się.

- Jest pokręcony. Jak mu powiedziałem, że będę miał dziecko, pochwalił mnie: to bardzo dobrze, Ernesto. Jesteś kawał ogiera, jak twój ojciec. Ale wracając do Teresy, czy chce pan, żebym coś spróbował załatwić? Pewnie nie będą chcieli rozpatrzyć prośby osiemnastoletniego chłopaka. Dziadek zna mnóstwo ludzi, ojciec też, chociaż stracił przyjaciół, bo wyłudzał od nich forszę. Ojciec Mercè. mojej dziewczyny, ma niesamowite wpływy, jest deputowanym do Parlamentu Katalonii, ale nie chce nawet o mnie słyszeć. To taki demokratą od pasa w górę.

- Trzeba pójść do biura podróży, oni mogą coś wiedzieć, a potem musimy zobaczyć się z twoim ojcem, może zechce nam pomóc. Przekąsuj coś?

Chłopak odmówił i skoczył na równe nogi z popisową zwinnością, potrząsając długą grzywą. Zainteresował się kolekcją płyt Carvalha. Kręcił głową z dezaprobatą, uśmiechając się grzecznie do detektywa.

- Chyba czas się dla pana zatrzymał. Nie ma nawet żadnej płyty Stonesów. Najnowsza jest Penny Lane Beatlesów.

- Pewnie ją wylosowałem na jakimś konkursie. Zatrzymałem się na etapie Aznavoura.

- Wcale nie jest taki zły, jak by chciał być. Tutaj widzę płytę Pink Floydów, ale niech pan lepiej pozna nowości, bo jeszcze trochę i pan ogłuchnie. Tylko głusi nie potrafią słuchać muzyki naszych czasów.

- Głęboka myśl.

- Jak wcześniej wstaję, to przychodzą mi do głowy same złote myśli.

Carvalho poszedł do kuchni. Zrobił kawę i podczas porannej transfuzji czarnej kiwi zjadł ćwierć kilo truskawek, zalecanych przez Bromura jako najważniejszy środek przeciwko kwasowi moczowemu.

- Gdybyś mógł przez cały tydzień jeść tylko truskawki, wyrzuciłbyś z siebie cały kwas moczowy, Pepe.

Ćwierć kilo truskawek na śniadanie powinno przynieść jakiś skutek. Zadowolony ze złożenia holdu swojemu zmaltretowanemu ciału, poszedł pod prysznic i poddał się wodzie, na przemian ciepłej i zimnej, ponieważ Bromuro, który nie wykąpał się, odkąd przekroczył Odrę lub Nysę w szeregach Błękitnej Dywizji, twierdził, że to pobudza krążenie.

- W twoim wieku musisz zacząć dbać o krążenie, Pepe. Zdrowa krew to zdrowe ciało. Dlatego wyglądam tak, jak wyglądam. Mam taką gęstą krew jak zasmażka z cebulą.

Wyszedł spod prysznic i zdał sobie sprawę, że w całym domu rozbrzmiewa Romance de valentía Conchity Piquer. Ernesto uśmiechał się do niego z kanapy.

- Jak z muzeum. To już przesada. Przypomina dziewczyny, które śpiewają w „Capablanca”. Lubi ją pan?

- Przypomina mi okres powojenny.
  - Lubi pan wspominać.
  - Każdy ma jakieś wspomnienia.
  - Ja na przykład pamiętam piosenkę Kariny, nazywała się Nie jesteśmy Romeem i Julią. Była modna, jak miałem sześć lat. Ale wtedy Dyli modni Beatlesi i zostałem przy Beatlesach.
  - Widzę, że nie przestajesz myśleć. Idziemy.
- Wyszli z domu. Ernesto skrzywił się na widok wszechwładnych bluszczy i zaniedbanego żywopłotu.
- To mi wygląda na opuszczony ogród.
  - Ogród też ci się nie podoba?
  - Trzeba kochać rośliny. Trzeba do nich mówić, pieścić je, nawet puszczać im muzykę. Jak pan chce, któregoś dnia zrobię tu porządek. Nie wezmę dużo.
  - Masz naturę Rockefellera. Kelner, ogrodnik, za parę dni zobaczę cię na ulicy, jak sprzedajesz gazety.
  - Z przyjemnością, gdybym tylko mógł zapowiadać tytuły. Pojadę za panem na motorze.

Rozklekotany motorower skoczył w ślad za samochodem Carvalho. Detektyw martwił się losem Ernesta i przez całą drogę obserwował jego pojazd przez wsteczne lusterko. Wydało mu się niemożliwe, by ten owad na kółkach mógł utrzymać chłopca i jechać równo z samochodem. Carvalho chciał śledzić każdy ruch motoru i zjeżdżał z małą szybkością, co sprawiło, że wyrosła za nim rozwścieczona karawana kierowców. Kiedy już udało im się wyprzedzić chłopaka i Carvalho, rzucali w stronę detektywa zagniewane lub pogardliwe spojrzenia, na które zasługują tylko kobiety albo staruszkowie za kółkiem. Wściekły na samego siebie, detektyw przyspieszył, próbując wyprzedzić karawany matek, które właśnie odwoziły dzieci do prywatnych szkół, rozsianych w górnej części miasta. Zaparkował na podziemnym parkingu pod Paseo de Gracia i poszedł żwawym krokiem do biura podróży. W drzwiach czekał już na niego Ernesto.

- Będzie pan długo żył. Jeździ pan tak, jakby nie istniał pośpiech.

Carvalho wszedł do biura w towarzystwie długowłosego i niechlujnego chłopaka, wzbudzając niepokój obecnych. Ktoś pomyślał, że to napad, ktoś inny uznał detektywa za pedała w sile wieku, który przyszedł ze swoim młodym pupilem, by zarezerwować bilety na rejs po Karaibach. Pozostałe twarze wyrażały tylko obojętność i znużenie, z czego Carvalho wywnioskował, że nikt najnormalniej w świecie nie wzięt ich za ojca i syna, którzy chcą zasięgnąć informacji o kursie językowym za granicą. Dyrektor biura przygotował dla nich zatroskaną minę i choć Carvalho przedstawił mu Ernesta jako syna Teresy, bez przerwy zwracał się do detektywa, z którym łączyło go przymierze wieku i marynarki. Grupa powróciła rano, ale bez Teresy. Dyrektor dysponował wstępną relacją głównego pilota, ponieważ podróż była wyjątkowo męcząca - turbulencje nad Indiami i ośmiogodzinny postój techniczny w Bombaju; niewiele mógł do tego dodać w ciągu najbliższych godzin. Według raportu pilota, Teresa Marsé zniknęła w Chiang Mai. Podróżowała zgodnie z planem aż do Bangkoku. Tam oddzieliła się od wycieczki i związała z Tajlandczykiem o najgorszej reputacji, według informacji policji; mówiąc te słowa dyrektor biura patrzył detektywowi w oczy, jakby chciał powiedzieć coś, czego nie powinien słyszeć chłopak. Jednak Ernesto zauważył eufemizm:

- Co to znaczy „o najgorszej reputacji”?
- O złej reputacji, w ścisłym tego słowa znaczeniu.
- Nic mi pan nie wyjaśnił.
- Proszę mówić wprost. To bardzo zahartowany chłopak. Wszystko zawdzięcza samemu sobie.

Dyrektor westchnął głęboko.

- Skoro mam mówić jasno, wybaczone panowie, że użyję tego rodzaju słów, ale to właśnie powiedział mi pilot: ten Tajlandczyk był seksualnym zawodowcem.

- Męską dziwką?

- Tak, to znaczy w Bangkoku i wszędzie na świecie są dziwki żeńskie i męskie, ale pojawia się coraz więcej chłopców, bo kobiety się emancypują. Na przykład salony masażu były wcześniej przeznaczone wyłącznie dla mężczyzn, a teraz powstają też salony dla kobiet, w których masażystami są mężczyźni. Oczywiście mogą z tego korzystać tylko turystki. Cały seksualny biznes Bangkoku jest przeznaczony dla turystów.

- To znaczy, że moja matka uciekła z żigolakiem.

- Z raportu wynika, że cała historia nie jest jasna, a tajlandzka policja nie chce jej wyjaśnić. Mój pilot powiedział: coś mi tu śmierdzi. Interweniowała ambasada hiszpańska, ale szef policji tajlandzkiej osobiście stwierdził, że kontroluje sprawę, że „tych dwoje weszło tam, gdzie ich nikt nie zapraszał”. Bangkok, nie wiem, czy panowie tam byli, to oszukańcze miasto. Na pozór jest wesołym miejscem, w którym wszystko podporządkowano turystyce. Ale zeskrobiesz trochę i pokazuje się straszliwy moloch, gdzie wszyscy handlują narkotykami, birmańskimi rubinami albo dziewczynami, i każdy ma swój teren. Pilot powiedział: coś mi tu śmierdzi. To weteran, prowadził ponad dwadzieścia wycieczek na Wschód.

- Możemy z nim porozmawiać?

- Dajmy mu się przespać parę godzin, po południu będzie do państwa dyspozycji.

„Schronisko dla psów «Pluto»”. „Prawdziwy dom dla twojego psa”. Zielona siatka, a za nią treser psów, który wygląda tak, jakby poskramiał lwy. Wysokie buty, spodnie do konnej jazdy, szeroka niebieska koszula, kij w ręku, druga ręka w rękawicy sięgającej łokcia, ciało przyjmuje wystudiowaną pozę, przygotowując się na atak psa. Za chwilę treser pozwoli złapać się za łydkę z elegancją, z jaką może być złapany tylko wielki pan.

- To jest właśnie mój ojciec - szepcze Ernest z rezygnacją, wyprzedzając Carvalha przy wejściu. Podchodzi do siatki i wypowiada nazwisko swojego ojca, przekrzykując uparte szczekanie.

- Panie Planas Riutort!

Treser odwraca się i gęsta grzywka opada mu na czoło. Uśmiecha się, jak gdyby występował w reklamie, i biegnie atletycznymi susami na spotkanie z synem. Otwiera metalową furtkę w siatce, odgradzającej teren, na którym odbywa się tresura, ściąga rękawicę ochronną i czule poklepuje syna po policzku.

- Co słychać, Tito?

- Wszystko dobrze, tato. Pozwól mi coś powiedzieć, zanim z czymś znowu wyskoczysz. Ten pan nazywa się Carvalho, mama dzwoniła do niego z Bangkoku, mówiąc, że jest w niebezpieczeństwie i potrzebuje pomocy. Natychmiast. Jeżeli to będzie konieczne, pan Carvalho pojedzie do Bangkoku, żeby jej pomóc.

- Twoja matka. Wcale mnie to nie dziwi. Wychodzi ze sklepu i od razu robi aferę.

Podaje rękę detektywowi i uśmiecha się, wchodząc w nową rolę: łaskawy gospodarz zastępuje rozrzewnionego ojca.

- Uwielbiam prywatnych detektywów. Czytam wyłącznie kryminały. Przykro mi z powodu Tere.

Przybiera poważną minę, by powtórzyć synowi:

- Naprawdę mi przykro.

- Nie przyszliśmy tutaj, żeby wysłuchiwać twoich skarg, tato. Trzeba ruszyć ludzi, żeby zainteresowali się sprawą mamy, a potem pojechać do Bangkoku, żeby ją odnaleźć.

- Ja na pewno nie pojedę. Ale mogę zadzwonić do moich przyjaciół, niech zaczną działać. Na przykład obecny minister spraw zagranicznych... jak się nazywa ten chłopak, był wielkim przyjacielem wuja Fernanda... tak! Perez Llorca... Niedługo odejdzie, ale coś jeszcze będzie mógł zrobić. Mam nadzieję, że o mnie nie zapomni. Chłopie! Zapomniałbym o Senim. Działaliśmy z Senim w kręgach monarchistycznych przed... nieważne... to już kawał czasu. Zadzwonię do Senillosoy... A co do tego pomysłu, żeby pojechać do Bangkoku, synu, to dla mnie za ciężkie i za drogie. W mojej sytuacji nie mogę nikomu pomóc. Nawet tobie, Tito, chociaż mam dobre chęci. Ta praca jest tymczasowa, ale właściciel, mój bliski przyjaciel, płaci mi specjalną stawkę, bo wie, co sobą reprezentuję, a poza tym rzeczywiście znam się na psach. W domu zawsze hodowaliśmy rasowe psy i konie. Sam dobrze wiesz, Tito. Ale nie mam warunków, żeby pomagać komukolwiek, z wyjątkiem siebie samego. Zdajesz sobie sprawę, że wybrałem wolność.

- Ale przynajmniej zrób coś. Zadzwoni do przyjaciół.

- Stąd? Teraz?

- Stąd i teraz.

- Ależ Tito. Nie wypada. To nie jest stosowne miejsce ani czas.

- Mama jest w niebezpieczeństwie.



Ernesto bierze swojego ojca za ramię i arystokratyczny treser pochyla głowę, zwyciężony przez upór syna. Idą w stronę domku, na którym widnieje znajomy szyld: „Schronisko dla psów «Pluto»”. Mężczyzna porusza się z ociąganiem, a kiedy wchodzi do domku, nabiera nagle energii i wkracza pewnym krokiem do biura, w którym olbrzym o cygańskiej, ogorzałej od słońca cerze przegląda jakieś papiery.

- Alfonso, pozwól, to jest mój syn Tito, a to nasz przyjaciel. Moja żona jest w tarapatkach i muszę zadzwonić do przyjaciół.

Mężczyzna podnosi ogromną głowę i odwraca w stronę gościa ponurą, pomarszczoną gębę.

- Mówiłem ci sto razy, żebyś nie dzwonił w godzinach pracy.

- Ale stary, słuchaj, to bardzo pilne. Zapomniałem przedstawić wam Alfonsa, duszę całego przedsięwzięcia.

Alfonsa nie uradował wcale fakt, że przedstawiono go jako duszę całego przedsięwzięcia.

- Ileś psów dzisiaj zrobił?

- Trzy.

- Psa pani Caroli też?

- Też.

- Gdzie musisz zadzwonić?

- Najpierw do Madrytu, żeby porozmawiać z Perezem Llorcą.

- Z Perezem jak?

- Z Perezem Llorcą, ministrem spraw zagranicznych.

W głowie Alfonsa rozpętała się burza. Psiarz otwiera szeroko oczy, gdy Ernesto bierze telefon i wręcza go swojemu ojcu.

- Zapłacimy panu za telefon i czas, jaki miał przepracować mój tata.

Oczy Alfonsa otwierają się jeszcze szerzej, by pochłonąć wystarczającą liczbę obrazów, które usprawiedliwiłyby surowy wyrok. Kiedy treser prosi o telefon do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Alfonso podnosi się i wskazuje chłopca grożącym palcem:

- W tym biurze to ja podejmuję decyzje i nie pozwolę, żeby jakieś nadęte dupki wsadzały nos w nie swoje sprawy. Nie potrafisz zarobić na to, co ci płacę, to tym bardziej nie masz prawa dzwonić w godzinach pracy!

I wielka łapa zabiera telefon w chwili, gdy treser próbuje wykręcić numer Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Treser przymyka oczy i prostuje się.

- Posłuchaj, Alfonso, przebrałeś miarę. Wsadź sobie ten telefon tam, gdzie ci się zmieści i poszukaj innego tresera.

Alfonso nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że jego protegowany zrezygnował z protekcji.

- Wobec tego odchodzisz. I gdzie ty pójdziesz?

- Nie zabraknie możliwości.

- Chyba żartujesz, jesteś bardziej skompromitowany niż...

Carvalho popycha Ernesta, nie chcąc, by chłopak odszczekał się olbrzymowi, który idzie za nimi małymi kroczkami, wykrzykując głośno:

- A tę robotę dałem ci z litości! Do niczego się nie nadajesz!

Olbrzym zostaje za siatką, obserwując trzech mężczyzn, jak gdyby furka była granicą jego władzy.

- Ten facet to twój przyjaciel?

- Byliśmy kolegami w szkole, na uniwersytecie... Cóż, interes mu nie idzie i dlatego się tak pieni. Taki cham.

- Nie przebierzesz się?

- Tak chodzę na co dzień.

- A czym tu przyjeżdżasz?

- Pociągami, a jak mi ucieknie, to autostopem. Pojedziemy do Barcelony, zadzwonię z domu babci, biedaczka, od ponad pół roku jej nie widziałem.

- Nie masz telefonu w domu?

- Mieszkam z kolegami w starym mieszkaniu w centrum i tam nie ma telefonu. Lepiej jest żyć bez telefonu, nieprawdaż? A ty masz telefon, Tito?

- Nie.
- No widzisz.

Uśmiech odsłania siatkę drobnych zmarszczek, jakby wyciętych ostrym sztyletem, wesołe oczy proszą o wybaczenie, a ręka układa na swoim miejscu posiwiałą grzywkę, poprawiając wizerunek ojca. Ernesto siedzi na tylnym siedzeniu, pogrążony w myślach, Carvalho prowadzi samochód, a były treser psów wygłasza monolog, udając, że chce coś powiedzieć synowi.

- Szczerze mówiąc, to już miałem tego dosyć. Przyjąłem tę ofertę, Tito, bo mogłem pracować na świeżym powietrzu, a wiesz dobrze, że ostatnio nie znoszę zamkniętych przestrzeni. Zadzwonię do tych ludzi, a później chyba wrócę na Ibizę. Skończył się sezon, ale dla mnie zawsze znajdzie się praca kelnera albo szofera. Znając parę języków możesz sobie dobrze radzić i nawet nie wiesz, jak jestem wdzięczny tacie i mamie, że od dziecka kazali mi się uczyć niemieckiego. Synu, Niemcy to Amerykanie Europy. Tito, przykro mi z powodu twojej matki, ale nie ma na nią rady. Nie przeczę, że to dobra dziewczyna, ale nie ma nic tu, w środku.

Dotknął palcem grzywki.

- Zaczekajcie na mnie, tylko zajrzę do babci.
- Idę z tobą - powiedział Ernesto kategorycznym tonem.
- Jak wolisz, ale dobrze wiesz, że babcia nie może ci wybaczyć tej dziewczyny.
- Pójdę z tobą.

Były treser psów uśmiecha się pobłaźliwie i z czułością kładzie dłoń na ramieniu Carvalha.

- Ach, przyjacielu, te dzieci! Pan ma dzieci? Nie? Gratuluję. Sam pan widzi, jak potrafią skomplikować życie.

Ernesto prosi gestem Carvalha, żeby otworzył okno, i zagląda do samochodu.

- Nie można specjalnie liczyć na te kontakty. Nie połączyli go z Perezem Llorcą, zostawił wiadomość sekretarce. Dodzwonił się do Senillosy, ten mu obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, ale dodał, że to nie pierwszy przypadek Hiszpanów zamieszanych w narkotyki na terenie Azji i tego rodzaju sprawy są trudne.

Detektyw nie chce spojrzeć w smutną twarz chłopca.

- Gdybym miał pieniądze, poleciałbym pierwszym samolotem. Zobaczymy, czy mój dziadek coś zrobił. Umówimy się po południu, żeby sprawdzić tego pilota? Teraz muszę wracać do roboty.

Ustalają godzinę, Carvalho zatrzymuje chłopca.

- Słuchaj, powiedziałeś ojcu, że ja miałbym jechać do Bangkoku, żeby odnaleźć twoją matkę...
- Tak.
- Nawet mi to nie przeszło przez głowę.
- Rozumiem.

Ale nie rozumiał. Carvalho też nie mógł tego zrozumieć, gdy chwilę później postanowił pójść na obiad do „Binu”, najlepszej restauracji, mieszczącej się w okolicach domu starego Marsé. Na widokregu pojawiła się natychmiast lubina<sup>21</sup> w papilotach, którą Carvalho spróbował w „Binu” jakiś czas temu, ale na stacji benzynowej zdał sobie sprawę, że wydaje pieniądze à conto Teresy Marsé, choć nikt nie powierzył mu jeszcze tej sprawy. W ostatnich dniach poszukiwał ducha umarłej kobiety i zagubionych śladów Teresy, zbiegłej wariatki, robiąc to zupełnie gratis, jak gdyby on, Pepe Carvalho, żył tylko miłością do sztuki i nie miał bolesnych czterdziestu dziewięciu lat, co zbliżało go do pięćdziesiątki, do wieku, który głupcy nazywają eufemistycznie „jesienią życia”; nie miał jednak wystarczających rezerw, by spokojnie czekać na pesymistyczną, ale godną starość. Ta smutna refleksja sprawiła, że w restauracji wykazał umiar - nie wyrzekając się łubiny w papilotach, zamówił skromną, choć znakomitą przystawkę, która nie figurowała w spisie potraw szczególnie polecanych w menu: zupę Maresme. Zrezygnował też z deseru i wychodząc z „Binu” miał wrażenie, że zapewnił sobie utrzymanie na cały tydzień swojej bliskiej już starości. Pogodzony z myślą, że jest już stary, Carvalho był teraz lepiej przygotowany na spotkanie z ojcem Teresy Marsé, mógł rozmawiać z nim bez pobłażania, jak równy z równym, jak skazany na śmierć z drugim skazańcem, a cała reszta gówna znaczy, wykrzyknął Carvalho w przestrzeń, otwierając się za szybą samochodu. Widział poszarzałe światło Maresme na ołowianym niebie, po którym bazgrały stada ptaków, pozorujące ucieczkę w

---

<sup>21</sup> Gatunek ryby (przyp. tłum.).

nagłym przecuciu zimy. Tajemniczy krzyk ptaków Bangkoku. Druty telegraficzne zamienione w rozpaczliwe i niewystarczające schronienie dla wielu tysięcy ptaków. Może był to nadzwyczajny moment albo ptaki były nadzwyczajne, a może niezwykle był stan jego ducha. Nigdy jednak nie pamiętamy dokładnie naszych stanów duchowych, zawsze są przekształcane przez nastrój, jaki ogarnia nas w chwili, gdy je sobie przypominamy. Carvalho był w Bangkoku, miał przygotowywać zaplecze, gdy wojna w Azji południowo-wschodniej wyglądała na przegraną. Drżał na widok milionów absurdalnych istot, łądząco podobnych do Fu-Manchu i niemego miasta, i szylków, których nie potrafił interpretować. Krążył między ambasadą amerykańską a hotelem „Dusit Tiiani”. czasem robił nocny wypad z innymi agentami, którzy naśladowali dźwięk odkorkowywania butelki w chwili, gdy Tajka wyciągała z pochwy piłeczkę pingpongową, posługując się wyłącznie wargami sromowymi. Carvalho przeczuwał, że przyjdzie mu się z czymś pożegnać, że niedługo wykona swoje ostatnie zadanie, którego szczegółów nie znał. W myślach detektywa dom państwa Marsé zajął teraz miejsce tajlandzkich ptaków i katalońskiej drogi, która towarzyszyła mu do wyjścia z restauracji. Filipińska służąca zaczęła swoje „nie wiem, czy pan jest w domu”, na co Carvalho odpowiedział uśmiechem, maszerując w stronę hallu. Filipinka próbowała go wyprzedzić, ale zatrzymała się na widok pani Marsé, która pojawiła się w bocznych drzwiach. Starsza pani przyjęła detektywa bez emocji, spojrzała tylko na schody, jak gdyby chciała przestrzec go przed mężem lub wyczuwała, że stary Marsé już się zbliża. Podeszła do Carvalha i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jakież nowiny?

- Owszem.

- Dobrze czy źle?

- Sprawy się komplikują. Rozmawiałem z pani wnukiem i zięciem. Pani zięć powiedział mi, że zadzwonił do ministrów i posłów.

- To zwykły komediant. Czego pan od niego chce? Czego od Niego chcesz, Pepe Carvalho? Czego chcesz od tego groźnego starca, który w każdej chwili może pojawić się na schodach i wyrzucić cię ze swojego Xanadu?

- Chcę, żeby zrobił to, czego nie robi państwa zięć i nie może zrobić wnuk.

- Ernest to dobry chłopak, ale ma tyle kłopotów, mój Boże, przydarzają mu się same nieszczęścia. Powiem mu, że pan przyszedł. Nie wiem, jak to przyjmie.

Weszła po schodach na paluszkach i po chwili Carvalho usłyszał grzmiący głos starego Marsé.

- Arsen Lupin, pan znowu tutaj? Gdzie pan się pakuje?

Stary zaczął schodzić, przytrzymując się balustrady, po czym wrócił na swoje miejsce.

- Jest pan uparty jak osioł!

Carvalho nie odpowiedział. Nawet nie spojrzał na starego. Wyglądał jak ktoś, kto czeka na autobus.

- Słyszysz mnie pan? Jest pan uparty jak osioł! Co dwoje stałych ludzi może zrobić w tego rodzaju sprawie?

- Byłoby wskazane, żeby pan pojechał do Barcelony. Mamy spotkanie w biurze podróży i trzeba będzie podjąć decyzje.

- Jestem na emeryturze.

- Ależ, Higinio... - wtrąciła się żona.

- Cicho bądź. Ty też jesteś emerytką. A ona ma męża i syna. Niech oni się ruszą, ja już swoje zrobiłem. A to przecież nie są dzieci. Twoja córka skończyła czterdzieści lat, a zięć zbliża się do pięćdziesiątki.

- Dobrze wiesz, że jemu nie można ufać. Chodzi o naszą dziewczynkę... biedactwo...

- Ani dziewczynka, ani biedactwo. Nic z tych rzeczy.

- Niech pan weźmie pod uwagę, że Teresa może być teraz w kłopotach, a panu przyjdzie za to zapłacić.

Stary Marsé nadał się, jakby pod wpływem słów Carvalha coś eksplodowało w jego wnętrzu.

- Zapłacić? Za co? Niech te złotki ją sobie wezmą, jak im się podoba.

- Za godzinę spotykamy się w biurze podróży i byłoby dobrze, gdyby pan ze mną pojechał.

Stary zapienił się ze złości w czterech ścianach swojego gniewu.

- Bardzo dobrze! Pójdę, niech mnie wszyscy usłyszą! Będą przynajmniej wiedzieć, czego się trzymać.

Kobieta pobiegła na górę i zaraz wróciła z torebką w rękę.

- A ty co?
- Ja też jadę.
- Nigdzie nie jedziesz.
- Ty możesz zostać, jak chcesz. Ja pojedę.

Kobieta schodzi lekko po schodach, niemal unosi się w powietrzu, obserwowana bacznie przez zdumionego męża.

- Poza tym nie możesz prowadzić - mówi kobieta już przy drzwiach, wychodzi do ogrodu i triumfalnie zajmuje miejsce za kierownicą seata 132. Carvalho idzie do samochodu, a stary Marsé, utykając, zbliża się do samochodu, którym dowodzi jego żona.

- Crieu fills, pares porcs!<sup>22</sup> - wykrzyknął w stronę ogrodzenia, gór, morza, zaciskając pięści i trzęsąc się z gniewu. Kiedy wsiadł do samochodu, jego postać zmaląła, i choć Carvalho widział, jak gestykułuje z wściekłością, tonował ją niewzruszony spokój kobiety. Detektyw pozwolił się wyprzedzić i jechał za nimi. Teraz wydawało się, że stary obserwuje drogę, bo ostrzegał żonę przed samochodami, które ich wyprzedzały, i wskazywał znaki drogowe. Bez wahania opuścił szybę i wdał się w dysputę z kierowcą ciężarówki.

- Masz pan szczęście, że szanuję dziadków - mówił kierowca ciężarówki z wysokości swojej kabiny do mężczyzny, który wystawiał przez okno rękę zaciśniętą w pięść.

- Chuj, a nie dziadek! Jak ty jeździsz, palancie! Gdzie cię tego uczyli, w więzieniu?!

Szofer powołał na świadka kolegę z kabiny i kierowców, czekających na zmianę świateł.

- Dasz mu w ryj i kłopot gotowy, bo to dziadek.

- Dziadek, ale z takimi jajami! - krzyknął pan Marsé, wystawiając obie pięści, a jego żona skorzystała ze zmiany świateł, żeby ruszyć z impetem i zostawić w tyle ciężarówkę.

Carvalho dotarł na miejsce przed państwem Marsé, by uprzedzić wszystkich o tym, co ma za chwilę nastąpić. W biurze byli już Ernesto, właściciel agencji i osoba, która wyglądała na pilota wycieczki. Pilot był w rzeczywistości pilotką - piękną, dojrzałą kobietą, mówiącą z neutralnym, typowym dla poliglotów akcentem.

- Rodzice pani Marsé są w drodze. Uprzedzam państwa, że z panem Marsé niełatwo się rozmawia.

Ernesto westchnął i skinął głową, potwierdzając opinię Carla. Drzwi otworzyły się na oścież i para starców weszła do pokoju. Ku zaskoczeniu obecnych pan Marsé przywitał się kurtuazyjnie z właścicielem biura, jak gdyby ten był bankierem, i pozdrowił pilotkę, rzucając obsceniczną aluzję. Na widok wnuka zmarszczył brwi, witając go słowami:

- Ty też tutaj? Myślałem, że zmieniasz pieluchy.

- Wszystko przychodzi w swoim czasie.

- Zdaje się, że twój przypadek jest inny.

Pani Marsé pociągnęła męża za rękaw marynarki i stary usiadł w końcu na kanapie i oparł ręce na łasce, tkwiącej pomiędzy szeroko rozsuniętymi nogami. Właściciel biura streścił państwu Marsé rozmowę z Carvalhem i Ernestem, po czym oddał głos pilotce.

- Niewiele mogę dodać. Może parę szczegółów, chociaż tak naprawdę, przy ponad stuosobowej grupie nigdy nie wiadomo, co się dzieje ze wszystkimi turystami. Poza tym pani Marsé dołączyła do naszej grupy w Bangkoku, bo wcześniej podróżowała inną trasą a dokładnie to były Singapur, Penang, Sumatra, Jawa, Bali...

- Czyli że robiła rejs holenderski... - wtrącił właściciel agencji.

- Właśnie, rejs holenderski. Statek zatrzymuje się w Bangkoku w drodze powrotnej do Europy i pani Marsé ustaliła z biurem, że przyłączy się do naszej grupy, zwiedzi Tajlandię według programu i wróci z nami samolotem. Tak to właśnie było w Bangkoku. Wszystko w granicach normy.

- Co znaczy w granicach normy? - przerwał stary Marsé.

Pilotka spojrzała na szefa, jakby obawiała się, że może popełnić jakąś nieostrożność.

- Proszę mówić całkiem szczerze. To trudny przypadek i trzeba potraktować go z rozwagą a wszyscy jesteśmy poważnymi ludźmi - powiedział właściciel.

---

<sup>22</sup> Wychowacie świnie, świńscy rodzice! (przyp. aut.)

- No dobrze. Pani Marsé bardzo szybko zaprzyjaźniła się z pewnym Tajem. Bardzo młody chłopak, wszędzie z nią chodził. W grupie zdarzają się romansowe historie męsko-damskie, które na ogół kończą się wraz z podróżą, czasem panowie szukają towarzystwa miejscowych kobiet, i to też nie ma żadnych konsekwencji, mieści się w normie. Ale przypadek pani Marsé nie był normalny, chociaż w tym czasie nie wiedzieliśmy jeszcze, czym zajmuje się ten chłopak.

- Pospolity alfons - przerwał stary, a jego żona upomniała go ostro:

- Zamknij się w końcu, Higini.

- Cóż, niezupełnie, ale coś w tym stylu. Więc tak. Kiedy zwiedzaliśmy Bangkok, pani Marsé nie brała udziału we wszystkich wycieczkach. Pomyślałam sobie, że ma już swojego przewodnika i wszystko jest w porządku. Później poprosiła mnie o załatwienie miejsca dla swojego przyjaciela w samolocie do Chiang Mai i w hotelu, w którym mieliśmy się zatrzymać. Nie miałam nic przeciwko temu, żeby z nami poleciał, ale w obecności całej grupy zaproponowałam pani Marsé, że poszukam dla nich pokoju w innym hotelu.

Właściciel przytaknął, wyrażając aprobatę dla roztropnej decyzji pilotki.

- Przyjechali do Chiang Mai. Wieczorem wzięli udział w tradycyjnym festiwalu folklorystycznym Mien, a następnego dnia mieliśmy w programie kulturoznawczą wyprawę do osady Mien, położonej na granicy strefy opiumowej. Nie skorzystali z wycieczki i nie zmartwiłam się tym. Ale następnego dnia nie pojawili się na lotnisku, żeby wrócić z nami do Bangkoku, i to mnie zaniepokoiło. Nie mogłam w tym momencie opuścić grupy, ale poleciłam jednemu z tajskich tłumaczy, żeby sprawdził, co się stało.

Pryncypał znów pochwalił przezorność swojej pracownicy.

- Następnego dnia tłumacz wrócił do Bangkoku. Powiedział mi, że nie znalazł ich w hotelu. Opuścili hotel w pośpiechu, nie płacąc za dodatkowe usługi, a później pytało o nich kilku typów spod ciemnej gwiazdy. Odczekałam kilka godzin, aż do następnego samolotu z Chiang Mai. Znalazłam się między młotem a kowadłem, bo musiałam pojechać z grupą na wycieczkę do Pattaya, a jednocześnie chciałam rozwiązać tę sprawę. Skontaktowałam się z ambasadą hiszpańską i opowiedziałam im o całym zdarzeniu. Uspokoiłi mnie mówiąc, że będą czuwać nad sytuacją żebym spokojnie pojechała do Pattaya. Kiedy wróciłam, sekretarz ambasady miał nietęgą minę. Pani Marsé i jej towarzysz nie odnaleźli się, a kiedy sekretarz zawiadomił policję, powiedziano mu, że w podziemiu przestępczym krąży plotka o jakiejś parze, której szukają gangsterzy z Bangkoku. Według policji chłopak pracował w jednym z tych lokali, w których dziewczyny robią numer z piłeczką pingpongową i papierosem... rozumiem państwo, o czym mówię.

- Ja tam nic nie rozumiem - uciął stary Marsé i uderzył czołem o łaskę.

- To jest coś jak europejski living sex, ale w stylu tajskim. Chłopak pracował w tych miejscach na wypadek, gdyby klient zażyczył sobie mężczyzny. Obok takiego lokalu zawsze jest duży dom, w którym można znaleźć dziewczyny, pochodzące z północy, przeznaczone dla turystów, mają prawie białą skórę i dlatego są bardzo drogie. Kiedy są dziećmi, zostają sprzedane przez samych rodziców lub handlarzy żywym towarem. Czasami turyści proszą o chłopca i Archit spełniał właśnie te usługi. Archit, tak ma na imię ten chłopak.

- To znaczy, że moja córka wynajęła go, żeby się z nim pieprzyć.

- Niekoniecznie. Prawdopodobnie spotkali się na jednym z przedstawień z piłeczką pingpongową, na które chodziliśmy całą grupą, i zawarli bliższą znajomość, ale nie powiedziałabym, że chodziło o pieniądze. Nie wiem, czy wyrażam się jasno. Wydawało się, że są w sobie zakochani.

- Zakochani! - wybuchnął stary Marsé, uderzając się pięściami po kolanach.

- Niech pani mówi dalej.

- Dobrze. No i wtedy poszliśmy z sekretarzem ambasady do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, żeby sprawdzić, co oni wiedzą o tej sprawie, i właśnie tam zatrzymała nas Azja. Uśmiechy, insynuacje, nagłe wybuchy gniewu, aluzje, a w sumie nic konkretnego. Chodzi o nielegalny handel, tylko nie wiemy, czym, a świat przestępczy Bangkoku jest jak tunel, który zaczyna się i kończy w jakichś nieznanych miejscach, bo tamtejszy chaos jest tylko pozorny, w rzeczywistości wszystko znajduje się pod ścisłą kontrolą i dokładnie wiadomo, czym można handlować, a czym nie, kiedy, gdzie i z kim, wiadomo też, którzy politycy czerpią korzyści z określonego rodzaju handlu, z prostytucji, narkotyków czy diamentów. Minęło kilka dni i niczego się nie dowiedzieliśmy. Mniej więcej w tym czasie ona, pani Marsé, wysłała panu telegram, o którym mówił mi pan Tobias, a później zadzwoniła... Musieliśmy wracać, poprosiłam ambasadę, żeby dalej szukała tej pani. Zrobią co będzie w ich mocy. Przede wszystkim chodzi o to, żeby pani Marsé nie trafiła do więzienia, bo tajlandzkie więzienie jest potworne, jak to się zdarza w zacofanych krajach. Nie chcę państwa martwić, ale kilku Hiszpanów zamieszanych w przemyt narkotyków popełniło samobójstwo w tajlandzkich więzieniach.

Wszyscy patrzyli po sobie, czekając na to, co powie stary Marsé. Jabłko Adama na szyi Ernesta wznosiło się i opadało, chłopak próbował stłumić rozpacz, która rozsadzała mu serce. Wszystkie spojrzenia koncentrują się na starym Marsé, zaskoczonym ostatnimi słowami pilotki. Stary pojmując nagle, że wszyscy na niego patrzą i nie bez satysfakcji przyjmuje dowody zainteresowania. Jego głos jest dziwnie łagodny, prawie słodki, kiedy zwraca się do pilotki z pytaniem:

- Pani jest specjalistką, co pani o tym myśli? Może to jest fałszywy alarm?

- Wątpię. Poza tym ona dzwoniła.

- Niech pani się tym nie przejmuję. Moja córka ma pstro w głowie.

- Prawdę mówiąc, panie Marsé, i nie mówię tego po to, żeby pana niepokoić, ta historia wygląda bardzo, ale to bardzo źle.

- Jaki z tego wniosek?

- Ktoś musi tam pojechać i ruszyć całą sprawę. Zawiadomiliśmy naszego rezydenta. Najlepiej, żeby to był członek rodziny, ewentualnie adwokat czy ktoś w tym rodzaju.

Stary Marsé lustruje wszystkich po kolei.

- I oczywiście ja miałbym za to zapłacić.

Carvalho powstrzymuje wściekłego Ernesta, obejmując go i wciskając w krzesło.

- Dobrze. Zaczniemy od początku. Ile kosztuje podróż do Tajlandii i jaką zniżkę może mi zaoferować biuro? To przecież wy za to odpowiadacie.

Propozycja była bezpośrednia i zdumiony dyrektor zaczął się jąkać, próbując odpowiedzieć staremu.

- Przede wszystkim doskonale rozumiem pana ból z powodu tego, co przydarzyło się pańskiej córce...

- Mnie tam nic nie boli. Jestem tylko niespokojny. Tylko tyle.

- Muszę jednak zaznaczyć, że biuro nie jest w żadnym stopniu odpowiedzialne za to zdarzenie. Pańska córka jest osobą dorosłą i biuro nie miało nic wspólnego z okolicznościami, które spowodowały jej zniknięcie. Nie poczuwamy się do odpowiedzialności i z tej przyczyny nie możemy wziąć na siebie żadnych kosztów.

- Kiedy na szkolnej wycieczce nauczyciel zgubił dzieciaka, odpowiedzialny jest nauczyciel, a nie rodzice dziecka.

Dyrektor rozkładał ręce i spoglądał na wszystkich, szukając poparcia.

- Bardzo pana proszę, panie Marsé... bądźmy poważni... bądźmy poważni... panie Marsé...

- Niechże mi pan nie powtarza, że bym był poważny! Jestem bardzo poważnym człowiekiem. Niech pan zapyta moich dostawców albo klientów. W całej branży nie było nikogo poważniejszego od Higini Marsé.

- Nie wątpię w to, panie Marsé. Wcale w to nie wątpię.

- Mówicie mi, że trzeba pojechać do Bangkoku po moją córkę. Ale podróż do Bangkoku to nie to samo, co wycieczka do Las Planas.

- Ani tym bardziej wyprawa na Księżyc, panie Marsé.

- Ile to może kosztować?

- Niedługi wyjazd, jakieś dwieście tysięcy peset.

- Idziemy stąd.

Pan Marsé zerwał się z krzesła i próbował przekonać żonę, by mu towarzyszyła. Lekko pochylony, wywijał laską w kierunku dyrektora i pilotki.

- Dwieście tysięcy plus obiady, wydatki... Co najmniej czterysta tysięcy!

- O co ty się targujesz? O ludzkie życie? - krzyknął Ernesto, co nie zmieniło zachowania starego, który wciąż domagał się od żony odruchu solidarności.

- Panie Marsé, niechże pan usiądzie, możemy porozmawiać...

- Pewnie, że możemy porozmawiać, bo przecież nie chciałby pan, żeby wszyscy się dowiedzieli, że klienci pańskiego biura giną bez śladu...

- Co ten człowiek opowiada...

Wszyscy oprócz Carvalho próbowali przełożyć na racjonalny język to, co mówił starzec.

- Jeżeli się nie uspokoimy, to nigdy nie posuniemy sprawy naprzód.

Dyrektor biura wyciągnął ramiona przed siebie i zaczął poruszać dłońmi jak dyrygent, który wycisza orkiestrę.

- Panie Marsé, niech pan usiądzie i spokojnie porozmawiamy. Jest możliwe znaczne obniżenie tej kwoty.

- Znaczne?

- Znaczne.

- No dobrze. Skoro pan tak twierdzi.

Dyrektor odzyskał rezon, rozsiadł się nawet wygodnie w fotelu i przesunął palcem po skroni.

- W zależności od daty wyjazdu i długości podróży można to włączyć do wycieczki zorganizowanej, a wtedy obniża się cena biletu lotniczego. Cena za dziesięciodniową podróż wahałaby się od dziewięćdziesięciu kilku tysięcy do stu dziesięciu tysięcy peset.

- To co innego - zauważył stary, zwracając się do żony. - Od czego zależy ta różnica?

- Od tego, czy państwa wystannik będzie spał w pokoju jednoosobowym, czy też będzie gotów dzielić z kimś pokój.

- Po co komu jednoosobowy pokój?

- Może chrapać - wtrącił Carvalho.

- Kto?

- Ten, kto pojedzie, albo jego towarzysz z pokoju.

Stary cmoknął głośno.

- Wystarczy cmoknąć, gość budzi się i przestaje chrapać. To już są przyzwoite stawki i możemy zacząć rozmowę. Poza tym zrobi nam pan rabat, bo zapłacę z góry.

- Co takiego?

- Zniżka za zapłatę z góry, bo nie chcę żadnych weksli, nic z tych rzeczy. Dostyc się już tego napłaciłem, jak miałem firmę. Płacę z góry i żądam rabatu.

- Pan myśli, że kupuje pan osła, czy co?

- Dobra. Jeżeli wyjdziemy od dziewięćdziesięciu tysięcy, to myślę, że wszystkie wydatki można zamknąć w stu pięćdziesięciu tysiącach. O to mi idzie. Wykładam sto pięćdziesiąt tysięcy peset i koniec dyskusji. Kto jedzie?

Pytanie starego rozbłysło jak zapalona żarówka, oświetlająca wszystkich zebranych i nikt nie wiedział, co odpowiedzieć. Ernesto spoglądał ukradkiem na Carvalha, ale nie odważył się wyrazić swojej propozycji. Carvalho patrzył na czubki swoich butów.

- Może adwokat rodziny - powiedział dyrektor.

- Moja rodzina nie ma adwokatów. Skończyłem już zabawę z tymi naciągaczami. Ostatnią rzeczą jaką dla mnie zrobili, był mój testament; niejednego zwali z nóg, jak go kiedyś ogłoszą. Mam tylko notariusza.

- Wobec tego pana zięć.

- Ten wzięłyby forszę i zaraz poszedłby w tango.

Dyrektor zatrzymał wzrok na chłopcu. Powiedział prawie bezgłośnie:

- Pana wnuk?

- Jeżeli nikt nie chce, to ja pojedę. Mam osiemnaście lat. Będę miał syna. Ledwo udało mi się dostać pracę. Ale jeżeli nikt się nie zdecyduje, to pojedę.

- A pan?

To pytanie zabrzmiało jak strzał z pistoletu, a celem był Carvalho. Detektyw odmówił gestem, po czym dodał:

- Nikt mnie tutaj nie zapraszał. Znam panią Marsé znacznie mniej niż jej ojciec, mąż i syn. Jestem zawodowcem. Nie podróżuję po świecie, szukając znajomych.

Stary Marsé wzruszył ramionami.

- Masz ci los.

- Tylko pan może tam pojechać - powiedział w końcu Ernesto błagalnym tonem, patrząc na Carvalha.

- Niech ktoś mi zleci tę sprawę i mogę jechać. Pięć tysięcy peset dziennie, z wyłączeniem kosztów pobytu, plus dwieście tysięcy, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Niech pan się nie martwi, panie Marsé. Jeżeli zapłaci pan z góry, udzielę panu dziesięcioprocentowego rabatu.

- Nie wyciągnie pan ze mnie ani grosza, Arsenie Lupin. Potrafię sobie radzić w życiu i brakuje mi tylko prywatnego detektywa do kolekcji naciągaczy, z którymi miałem do czynienia.

Stary mrugnął porozumiewawczo okiem i rozsiadł się w fotelu. Wszyscy wciąż patrzyli na Carvalha. Ten przez chwilę wahał się, czy odpowiedzieć staremu, czy wyjść i wybrać drugą możliwość. Przeszedł do głównego biura agencji i tam, przy drzwiach, dogonił go Ernesto.

- Pieniądze dałoby się załatwić.

- Kto się tym zajmie, może ty?

- Pewnie, jak tylko będę miał czas.

Carvalho odwrócił się i spojrzał prosto w oczy chłopca.

- Posłuchaj, chłopcze. Nie mam żadnych moralnych zobowiązań wobec twojej matki. Miała czterdzieści pięć lat na to, żeby dorosnąć i wiedzieć, w co się pakuje. Ale nie nauczyła się tego, bo jest głupią, bogatą pindą, należy do najbardziej odrażającej części społeczeństwa. Biedacy mogą zginąć w powodzi albo w katastrofie kolejowej, ale sami z siebie nie szukają powodzi ani nie bawią się pociągami. Czasem rzucają się pod pociąg, jak oszaleją albo są zrozpaczeni...

- Nie będziemy jej teraz oceniać. Trzeba ją odnaleźć.

Carvalho miał zamiar coś powiedzieć, ale ugryzł się w język i nie żegnając się z chłopcem wyszedł z biura. Czuł się tak, jakby przejechał ptaka albo królika, tego biało-szarego królika, który kiedyś pojawił się na szosie, oślepiony przez reflektory samochodu. Stał na tylnych łapach, a przednimi wykonał ruch, który nie mógł go już uratować. Odgłos uderzenia króliczego ciała o zderzak samochodu prześladował Carvalha przez wiele godzin jazdy, choć detektyw dobrze wiedział, czym jest zabijanie i śmierć. Kto był tym królikiem? Na pewno nie Teresa. Królikiem był Ernesto lub jego babka, oboje potrafili kochać tę kobietę zrobioną ze szkła, przezroczystą i kruchą zarazem.

- Niech ich szlag trafi!

Przeszedł na drugą stronę jezdni, wszedł do sklepu z konfekcją i kupił sobie tweedową marynarkę.

Prasa obwieszczała, że władze udaremniły próbę zamachu stanu, przygotowanego na dzień przed wyborami, 27 października. Jak na razie zatrzymano trzech przywódców wojskowych - dwóch pułkowników i jednego podpułkownika, i zrekonstruowano ogólny plan puczu. Z planu wynikało, że wojskowi odpowiadali za dostarczenie kanapek dla zamachowców. Rząd zachowywał rozsądną rezerwę, która cechowała go od chwili, gdy się narodził i bez wątpienia będzie jego silną stroną także w dniu, w którym upadnie, zmieciony przez kolejny pucz. Przetrwanie naszego świata po wybuchu pierwotnej materii nie wydawało się już takie cudowne, jeśli rozważyło się brak wody w Czadzie albo pojawienie się nowych zbawców ojczyzny w Hiszpanii. Carvalho sądził, że gdyby doszło do zamachu stanu, jego interes lepiej by się rozwijał. Demokracja niosła ze sobą liberalizację i coraz rzadziej trafiali się małżonkowie, którzy chcieli odnaleźć lub śledzić swoje żony, coraz mniej rodziców zlecało detektywom odszukanie nastolatków - uciekinierów z rodzinnej oligarchii. Bez wątpienia dyktatury dostarczają klientom spowiednikom, prywatnym detektywom i adwokatom specjalizującym się w prawie pracy. Carvalho nie brał pod uwagę estetycznych czy też moralnych przeciwwskazań. Nie widziałby nawet krwi, nie słyszałby krzyków torturowanych. Znajdował się poza grą, jak sklepikarz, zupełnie tak, jak sklepikarz. Dotarł do podcieni budynku, w którym mieściło się biuro, zadarł głowę, dojrzał w oknie światło zapalone przez Biscutera i zawrócił. Jutro też jest dzień. Ale jego decyzja była spóźniona, nagle stanął oko w oko z Martą Miguel, której mina miała wyrażać zaskoczenie. Usta mówiły „och!”, ale oczy patrzyły uważnie na Carvalha, jak gdyby śledziły go już od dłuższego czasu.

- Niesamowite! Co za spotkanie!

Carvalho przytaknął i postanowił zaczekać na propozycję kobiety, zamiast pożegnać się z nią pod byle pretekstem.

- Ciągłe węszy pan wokół sprawy Celii?

- Nie.

- I bardzo dobrze. To mi się podoba. Zdaje się, że nabrał pan rozumu. Pan wie, że policja znowu do mnie dzwoniła? Skąd pan może wiedzieć. Pytali mnie o przyjaciół Celii. Chyba podejrzewają jednego kochasia, którego miała parę miesięcy temu. Co ja mogłam im powiedzieć? Prawie jej nie znałam.



Carvalho skinął głową na potwierdzenie, że Marta znała Celię bardzo słabo.

- Ale pan wie, jacy są ci ludzie. Upierają się przy swoim.
- Gdyby nie byli uparci, zajmowałiby się czym innym.
- Ta suka już się od pana odczepiła?
- Jestem zawodowcem. Przyjmuję tylko zleczone sprawy.
- Zapraszam pana na kawę.

Kobieta zmobilizowała w sobie wszystkie ciemne siły, by złożyć tę samobójczą propozycję.

- Kawa o tej porze? Lepiej chodźmy na drinka do „Boadas”. To tylko parę kroków stąd. Ja zapraszam, bo to mój pomysł.

- Nie ma mowy. Zapraszam pana, cokolwiek by to nie było.

Marta Miguel maszerowała u boku Carvalha tak, jakby po raz pierwszy towarzyszyła mężczyźnie. Nie próbowała dotrzymać mu kroku ani nie narzucała swojego rytmu, lecz przechylała się na boki, trącając Carvalha ramieniem albo wyprzedzała go, zachodząc mu drogę.

- Na kogo pan będzie głosował? - zapytała kobieta, rzuciwszy okiem na pierwsze strony dzienników i pism, wiszących w kioskach na Ramblas.

- Rzeczywiście, temperatura jest doskonała jak na tę porę roku, szkoda tylko, że jest taka wilgoć.

Ta odpowiedź zbiła z tropu Martę, kobieta zatrzymała się i chwyciła Carvalha za ramię.

- Pytałam, na kogo będzie pan głosował.
- Wydawało mi się, że powiedziała pani: mamy wspaniałą pogodę.
- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.
- Ton pani głosu był identyczny.
- Sugeruje pan, że potrafię rozmawiać wyłącznie o pogodzie?

Carvalho ruszył przed siebie, nie przejmując się zbytnio, czy Marta wciąż za nim idzie. Usłyszał ciężki stukot obcasów i poczuł, jak masywne ciało znów zajmuje miejsce u jego boku.

- Mam już dosyć tego kraju - powiedziała. - Przez całą młodość harujesz jak wół, żeby skończyć studia. Potem wszystko okazuje się inne, niż myślałaś, a w dodatku paru typów może w każdej chwili zrobić pucz, wsadzić cię do więzienia albo spalić książki. Wie pan, ile ja mam książek?

- Wszystkie.

- To niemożliwe. Ale mam prawie siedem tysięcy tomów. W domu ledwo starcza miejsca dla mojej matki i dla mnie. Wszędzie jest pełno książek.

- Dlaczego zamachowcy mieliby spalić pani książki? Zajmowała się pani polityką?

- Na szczęście nie. Nie miałam na to czasu. Ale jestem nauczycielem akademickim, a to jest bardzo podejrzane.

- Spokojnie, przed panią jest co najmniej trzydzieści tysięcy trupów.

Marta przeżuwała w myślach słowa Carvalha i dwadzieścia pięć metrów dalej zareagowała z oburzeniem:

- Niech pan posłucha, nigdy nie byłam działaczką polityczną, ale mam prawo do własnych poglądów i uczuć. Nie zniosłabym spokojnie masakry dokonanej na trzydziestu tysiącach ludzi.

- Zabójstwo jest tylko problemem jakościowym. Jeżeli raz złamie się tabu, można je łamać tyle razy, ile to będzie konieczne.

- Owszem, można zabić pod wpływem impulsu, w ataku szału, ale nie likwidować ludzi na zimno, za poglądy polityczne...

- Zabijanie jest łatwe.

- Skąd pan to wie?

Carvalho pokazał Marcie swoje dłonie.

- Te ręce należą do mordercy. Byłem agentem CIA i zabijałem tyle, ile mogłem. Niech pani przestanie myśleć o książkach. Niech pani je lepiej spali, tak jak ja. Przyszła pora na mojito.

Nie zamówił jednak mojito. W „Boadas” przypomniał sobie o Singapur Sling i zamówił drinka u damy z koktajlowym uśmiechem na ustach, ubranej w srebrzystą suknię. Marta Miguel skrzywiła się z niesmakiem.

- Co to takiego?

- Azjatycki koktajl, prawdopodobnie wymyślony przez jakiegoś Anglika.
- Czyli nie ma nic wspólnego z Azją.
- Tylko nazwę. Zdaje się, że Singapur leży w Azji.
- Rzeczywiście. Niepodległe państwo, znajdujące się na czubku Półwyspu Malajskiego.
- W książkach do geografii z mojego dzieciństwa ten Półwysep nazywał się Malakka. Ciekawe, dlaczego.

Marta chciała jakiegoś słabszego drinka i Carvalho zamówił Alexandrę, sam zaś powtórzył Singapur.

- Zawsze pan tyle pije? Rozwali pan sobie wątrobę.
- Już jest rozwalona.
- I co, cieszy się pan z tego?
- Nie czuję najmniejszego związku z moją wątrobą. Nawet jej nie znam. Nigdy mnie jej nie przedstawiono.
- Wątroba to nie nerka, nie można jej wymienić.
- Jest pani pewna?

Trzeci Singapur zapalił w oczach Carvalha wesołe światełka, co nie przeszkodziło mu dostrzec, że Marta spogląda na zegarek.

- Pani się śpieszy.
- Moja matka jest sama, bo o tej porze wychodzi dziewczyna, która się nią opiekuje. Mama prawie nie może się ruszać. Zapraszam pana na kolację. Mam w domu pyszne rzeczy. Dobrze gotuję. Niewiele umiem, ale to, co robię, świetnie mi wychodzi. Poza tym mam wiejską kielbasę.

- Z jakiego regionu?
- Z Salamanki.
- Kielbasa z Salamanki. Doskonale.
- Mam też wino z Bierzo, przywiózł mi je wujek, który jest policjantem w Astorga.
- Jakie jeszcze gastronomiczne cuda ma pani w zanadrzu?
- Zrobiłam tortillę z ziemniakami, w marynacie.

Ten ostatni argument przekonał Carvalha. Podniósł dłoń uzbrojoną w pięciotysięczny banknot i ruszył energicznie do wyjścia.

- Czeka nas wielka przygoda.

Kobieta od czasu do czasu przyśpieszała kroku, by spojrzeć w twarz Carvalha i przekonać się, czy jego nagła decyzja była szczerą. Patrzyła z napięciem w błyszczące oczy detektywa, ale nie mogła nic odczytać z jego kamiennej twarzy.

- Mamo, to ja.

Marta Miguel wyciągnęła klucz z zamka i przepuściła Carvalha w drzwiach. Korytarz w nordyckim stylu, przymglone światła i lustro, które detektyw minął pośpiesznie, przechodząc do salonu-jadalni. Właśnie tam siedziała staruszka. Dwadzieścia dziewięć kilogramów na gigantycznym fotelu na kółkach, maleńka twarz o fioletowym odcieniu i wielkich oczach, które najpierw zlustrowały Carvalha, a następnie zażądały wyjaśnień od córki.

- To kolega, mamo. Kolega z uczelni.

Carvalho poszedł za Martą do kuchni, by uniknąć towarzystwa staruszki, która wciąż patrzyła na niego i potrzasała głową, jak gdyby, wyczerpując ostatnie siły, próbowała oderwać głowę od ciała tkwiącego na posępnym tronie. Marta wytłumaczyła się z kłamstwami:

- Wyjaśnienie całej historii za długo by trwało. Chociaż ona wszystko rozumie. Ze wszystkiego zdaje sobie sprawę. Biedaczka. Jest w takim stanie od ośmiu lat. Po południu przychodzi jej opiekunka, ale zostaje z nią tylko do ósmej. Potem ją myję, podaję kolację, włączam na trochę telewizor i kładę ją do łóżka.

Marta posmarowała grubym papierem oliwą, zawinęła w niego kielbaski i wstawiła je do piecyka. Wyjęła z lodówki półmisek z tortillą, zanurzoną w zawieszistej marynacie.

- Poza tym mam jeszcze polędwicę w sosie.

Carvalho zajął miejsce za kuchennym stołem. Marta otworzyła butelkę wina i zaczęła przygotowywać puree dla matki. Detektyw nalał sobie wina, powąchał trunek i skosztował go z głośnym cmoknięciem. „Cholera!”, krzyknął z podziwem, na co Marta Miguel powiedziała z uśmiechem:

- Nie jestem smakoszem, ale zdaje się, że jest dobre.

- To jest „Palacio de Arganza”, Gran Reserva. Któregoś dnia wina z Bierzo staną się sławne i wtedy zacznie się ich upadek.

- Ja nie żyję po to, żeby jeść. Jem, żeby żyć.

- Tak myślałem.

Carvalho zajął się troskliwie butelką, a Marta od czasu do czasu popijała wino małymi łyčkami, zastanawiając się chwilę, czy ten łyk smakował jej czy nie, po czym kiwała głową z aprobatą.

- Tak, tak. Przednie winko. Takich win tutaj nie ma.

- Prawie nie ma.

- A ludzie z takich miejsc jak Bierzo nie potrafią tego docenić. Myślą, że nie mają nic wartościowego. Tak to jest na wsi.

Marta Miguel rozpoczęła wykład o tym, że ludzie ze wsi nie mają pojęcia o swoich przewagach, i domagała się od Carvalho, żeby przyznał jej rację.

- Ma pani więcej wina?

- Jeszcze trzy butelki.

- Noc jest długa.

- Niech pan pije, ile chce. My i tak nie pijemy. Moja matka nie może nawet spróbować wina, a ja nie mam zamiaru sama się ululać. Podam jej kolację. Proszę nie wychodzić. To nie jest przyjemny widok. Ma kłopoty z przelknięciem. Pluje.

Carvalho przestudiował etykietkę pałacowego wina Gran Reserva, butelka skończyła się, otworzył więc następną tymczasem z jadalni dochodziły go odgłosy krztuszenia się wydawane przez starą i łagodny głos córki:

- Jedz, mamo, po troszeczkę, powolutku, nie wolno się krztusić, ale z mamy jest żarłok.

Marta Miguel włączyła telewizor i z ciężkim westchnieniem wróciła do kuchni. Mój Boże, trzeba mieć anielską cierpliwość. Miała lzy w oczach i zdała sobie sprawę, że Carvalho to zauważył.

- Nie płaczę. Już się wyplakałam, ile było trzeba. Biedaczka. Myśli pan, że ten świat jest sprawiedliwy?

Było to pytanie jak z Dostojewskiego i Carvalho wolał wypić jeszcze jedną szklaneczkę wina, spoglądając z nadzieją na piecyk. Marta wyjęła kiełbaski. Papier prawie się spalił, a z piecyka wyszło sześć doskonałych kiełbasek o woskowym połysku, zachwyconych swoim gorącym i czerwoną krzepą. Carvalho nałożył sobie tortilli i podlał marynatą kostkę zrobioną z ziemniaków, jaj i cebuli.

- W tej marynacie była przedtem ryba.

- Makreła. Marynatę z makreli można jeszcze wykorzystać, bo na przykład sardynka daje zbyt mocny smak.

Carvalho zabrał się do iberyjskiej kolacji. Kobieta ledwo spróbowała jedzenia, poddając się terrorowi łazienkowej wagi.

- Matka mnie woła.

Podniosła się raptownie z miejsca.

- Nic nie słyszałem.

- Ledwo ją słysząc.

Wybiegła z kuchni i Carvalho usłyszał fragment serialu Ramon i Cajal. Po chwili Marta wróciła i opadła na krzesło. Siedziała z rozsuniętymi nogami, dotknęła dłonią czoła.

- Matko Boska, ile ja dzisiaj wypiałam.

Detektyw jadł palcami kiełbaskę.

- Gdyby ktoś panu dzisiaj powiedział, że zje pan kolację w domu Marty Miguel, to by pan nie uwierzył, prawda?

- Rzeczywiście.

- Chce pan znać prawdę?

- To zależy. Cała prawda to trochę za dużo jak na jedną noc.

- Tylko udawałam, że trafiłam na pana przez przypadek. Miałam ochotę z panem porozmawiać.

Carvalho skończył kielbaskę i sięgnął po następną tymi samymi palcami, z tym samym chciwym wzrokiem, napawając się aromatem mumii, zrobionej ze świńskiego mięsa i papryki z Estremadury.

- Mówiłam, że miałam ochotę z panem porozmawiać.

- Już to słyszałem.

- Przechodzę bardzo trudny okres. Sprawa Celi bardzo mnie poruszyła. Wcale nie jestem silną kobietą chociaż może na taką wyglądam. Próbuję być silna na siłę. Poza tym moja matka. Coraz bardziej się z nią męczę, ale nie chcę jej zostawić, wiem, że to głupie, ale gdybym wysłała ją do domu starców, nie przeżyłaby nawet tygodnia. Jest bardzo wrażliwa, obserwuje mnie, boi się, jest ode mnie zależna. Gdyby się ze mną coś stało, to nie wiem, jak... Co pan o tym myśli?

- O czym?

- O tym wszystkim, o Celi.

Carvalho poszukał sobie kąta we wszechświecie, schronił się w rogu kuchni, między garnkiem a metalowym pojemnikiem na chleb, pomalowanym na biało, i utkwiał w nim wzrok, skoncentrował wszystkie myśli, jakby bał się spojrzeć w twarz Marty Miguel. Nie chciał oderwać oczu od tej studni. Nie chciał słuchać Marty. Nie chciał zostać jej powiernikiem.

- Pan ją znał, prawda?

- Kogo?

- Celię.

- Chyba ją kiedyś widziałem w supermarkecie.

- Nie można jej było zapomnieć. To była złota dziewczyna.

- Pat Savage.

- Kto to jest Pat Savage?

- Kuzynka Doca Savage, bohatera serii powieści przygodowych, która nazywa się Śmiałkowie. Doc Savage, Pete Rice, Bill Barnes.

- Celia była złotą dziewczyną. Z urody i z charakteru. Taka się już urodziła.

- Zostało jeszcze trochę wina?

Carvalho wynurzył się z głębi swojej studni i spojrzał na Martę Miguel, czekającą na jego słowa z półotwartymi ustami i błędnymi oczami, które przypomniały mu teraz oczy jego matki. Kobieta podniosła się bez słowa, podeszła do szafy i wróciła z butelką wina. Detektyw łowił jednym uchem fragmenty telewizyjnego serialu, przenikające do kuchni przez nie domknięte drzwi; dramatyczny dialog mieszał się z lekkim mrużeniem, wydawanym przez telewizor, a może przez ptasie płuca staruszki. Carvalho widział, jak Marta Miguel zbliża się do niego, niby ciemna góra, przepełniona bólem, nieprzyzwoita w swoim cierpieniu i udręce; bał się tego, co chciały powiedzieć jej usta, lękał się, że wyznanie, które chce wyrzucić z siebie ta kobieta, okaże się dla niego zbyt ciężkie. Ręka detektywa wyszła na spotkanie kobiety, wdarła się pod spódnicę, wspięta po tłustych udach i zamieniła w pięść, przyciskającą włochaty i gorący seks. Marta Miguel skoczyła do tyłu, krzywiąc się ze wstrętem, po czym wypluła:

- Ty bydlaku!

Carvalho wstał, wyszedł z kuchni, ukłonił się starej, która śledziła go swymi wielkimi oczami, przeszedł chyłkiem obok lustra na korytarzu i opuścił dom, zamykając za sobą drzwi, pewien, że Marta Miguel płacze teraz w kuchni.

Tego ranka Biscuter cierpiał na atak melancholii, jak prawdziwa sierota. Nawet nie poczęstował Carvalho swoją ostatnią potrawą i detektyw, nie mając innego wyjścia, musiał zająć się myśleniem, poruszyć wyobraźnię i pamięć, co zawsze wprawiało go w zły humor. O jedenastej zadzwonił telefon. Carvalho poznał swojego telefonicznego przeciwnika po tonie głosu i rozważnych słowach. To był stary Daurella.

- Pan Carvalho?

- Przy telefonie.

- Czy dodzwoniłem się do agencji detektywistycznej, prowadzonej przez pana o nazwisku Carvalho?

- Tak.

- Czy jest pan Carvalho?

- To ja.

- Tak mi się właśnie wydawało. Mówi Daurella. Daurella. Pamięta pan? Ten od dachów. Jak się pan miewa, panie Carvalho?

- Dobrze. A pan?

- Bywało lepiej.

- Czym mogę służyć?

- Pomyśli pan, że jestem durniem albo natrętem, ale od tamtej pory czułem taki ciężar, że musiałem do pana zadzwonić, bardzo mnie to męczyło, panie Carvalho.

Mówił cichutko, jak gdyby bał się, że ktoś go podsłuchuje.

- Oni mnie mają za idiotę, ale tu się przeliczyli, zapewniam pana.

- Nie wątpię.

- Ale tu chodzi o wnuki, córkę, moją żonę, rozumie pan? Prawda, że mnie pan rozumie, panie Carvalho?

- Rozumiem doskonale.

- Już pan zrealizował czek?

- Tak.

- Bez problemów, nieprawdaż?

- Bez problemów.

- Jestem panu bardzo wdzięczny, panie Carvalho, bo otworzył mi pan oczy, ale cóż mogę zrobić. Muszę udawać durnia. Córka, wnuki, żona... On nie ma znaczenia, bo to pocavergonya i degenerat, robię to dla wnuków, córki i żony. Nie zabieram panu więcej czasu, panie Carvalho. Musiałem do pana zadzwonić, sam pan rozumie.

- Jesteśmy do pańskiej dyspozycji. Wie pan, gdzie mnie szukać, jak zrobią następne manko.

- Nigdy mu się nie uda. Mam na niego oko.

Ale ton głosu wskazywał, że to raczej on był pod nadzorem.

- Cóż, panie Carvalho, do zobaczenia. Życzę panu dużo zdrowia i szczęścia, bo żyjemy w trudnych czasach.

Kurwa, pomyślał detektyw i wyobraził sobie biednego Daurellę, który jest zbyt stary, żeby kopnąć w dupę tego alfonsa, swojego zięcia.

- Jak skończę pięćdziesiąt pięć lat, Biscuter, zrobisz mi dorsza al pil pil i wlejesz do niego cyjanek.

- Od razu by pan to wyczuł, szefie. Smak dorsza al pil pil jest jedyny w swoim rodzaju.

I znów wyrzucał sobie w milczeniu, jakim to był złym synem. Zadzwonił telefon, Carvalho rozpoznał głos Charo, zacisnął zęby i przygotował się na potop. Najpierw „cześć, Pepe”, później cisza, przeprawa przez dźwiękową pustynię, morze łez i rozpaczliwy szloch.

- To już koniec, prawda, Pepe?

- Po prostu mam dużo pracy. Ale jak tylko skończę, bierzemy walizkę i jedziemy do Meranges, pochodzimy sobie po śniegu i zjemy coś dobrego w „Can Borrell”.

- Mówisz poważnie?

- Najzupełniej poważnie.

Drzwi biura otworzyły się i pani Marsé powolutku jak ślimak weszła do pokoju.

- Muszę już kończyć, mam klienta.

Carvalho odłożył słuchawkę, w której rozbrzmiewał jeszcze dźwięczny całus. Pani Marsé zbliżała się niepewnie do detektywa. Wreszcie, na prośbę Carvalha, postanowiła usiąść.

- Więc tutaj pan pracuje, to bardzo ładne miejsce. Bardzo tradycyjne. Ramblas to najładniejsza część Barcelony.

Kobieta usiadła, położyła torebkę na kolanach, a dłonie na torebce, i spojrzała w obojętną twarz Carvalha.

- Przychodzę do pana w znanej sprawie. Musimy porozmawiać. Tylko, błagam, niech pan nie wspomina o tym mojemu mężowi. Za jaką cenę podjąłby się pan odszukania mojej córki?

- Już mówiłem. Nie zmieniam stawek.

- Wylczyłam, że nie mogę zebrać sumy, której pan żąda. Mam swoje oszczędności, o których nie wie Higino, ale to byłoby najwyżej sto, sto dwadzieścia tysięcy peset, plus wydatki związane z podróżą, które pokryłby mój mąż. Mogłabym co prawda zastawić jakieś klejnoty, ale nie mam ich za wiele i mąż od razu by to odkrył. Jeśli będzie pan cierpliwy, po pewnym czasie dostanie pan resztę pieniędzy.

Carvalho westchnął ciężko.

- Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż bogacze bez pieniędzy.

- Oferuję panu to, co mam i robię to z powodu Teresy i Ernesta, biedak jest zrozpaczony, bardzo kocha matkę. Jest typem cierpiénika, tak jak ja. Za to jego matka wrodziła się w mojego męża, nie potrafi dla nikogo się poświęcić.

- Proponuję mi pani, żebym pracował charytatywnie, ale nie mam żadnego powodu, żeby to robić.

Staruszka siedziała cichutko, jak gdyby litowała się nad sobą. Biscuter przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu, ale Carvalho zauważył, że bierze stronę kobiety. Biscuter potrzebował matki.

- Poza tym to bardzo ciężka i ryzykowna podróż. Agencja zapewnia tylko turystyczne wycieczki, a Bóg jeden wie, gdzie się wpakowała ta dziewczyna.

- Z czasem zapłacę panu całą sumę.

- Na południowym wschodzie Azji jest teraz pora deszczowa.

- Tutaj też pada.

- Musiałbym się zaszczepić, potrzebuję wizy.

- Nie. Nie potrzebuje pan szczepionki ani wizy, jeżeli wyjeżdża pan na okres krótszy niż piętnaście dni. Dowiedziałam się o szczegóły i mam dla pana pieniądze.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej plik banknotów spiętych gumką i chciała wręczyć detektywowi pieniądze.

- Sto dwadzieścia siedem tysięcy peset. Mój mąż zapłaci za podróż i koszty do sumy stu pięćdziesięciu tysięcy. Całą resztę spłacę później.

- Nienawidzę podróży. Nie ma nic gorszego, niż szukać kogoś, kto nie chce być odnaleziony.

- Ale moja córka potrzebuje pomocy. Dzwoniła do pana, prawda?

- Jak można myśleć, że taki zawodowiec jak ja rzuci pracę, biuro, obowiązki, wsiądzie do samolotu, żeby polecieć na antypody? Kraj jest w trudnym momencie. Chciałbym wziąć udział w wyborach.

- Może pan głosować korespondencyjnie. Ja na przykład jestem zarejestrowana w Barcelonie, ale mieszkam w Maresme. Będę głosować korespondencyjnie. To bardzo łatwe. Trzeba tylko pójść do Urzędu Statystycznego i porozmawiać z jednym urzędnikiem, który to wszystko załatwia,

- Niech pani sobie wyobrazi, że wygrywają socjaliści, potem jest zamach stanu, a ja tymczasem jestem w Tajlandii.

- Lepiej, żeby ten zamach zastał pana w Tajlandii niż tutaj, szefie - wtrącił się Biscuter, wytrzymując oburzone spojrzenie detektywa. Staruszka podniosła się z miejsca i położyła pieniądze na stole. Zanim zniknęła w drzwiach, powiedziała do Carvalho:

- Niech pan to przemyśli i zadzwoni do nas. Innego wyjścia nie ma.

Carvalho zebrał pieniądze i próbował dogonić staruszkę, ale pani Marsé przyśpieszyła kroku, zmieniając rytm jak wytrawny pomocnik piłkarski, co przypomniało detektywowi rajdy Bobby'ego Charltona. Kiedy Carvalho dotarł do drzwi, pani Marsé była już tylko siwą główką widoczną na wysokości drugiego piętra.

- Sto dwadzieścia pięć tysięcy to zawsze sto dwadzieścia pięć tysięcy, szefie.

Carvalho rzucił pieniędzmi o ścianę, ponad głową Biscutera, i poszedł do ubikacji, gdzie wysikał się na cały świat i na samego siebie. Potem minął Biscutera bez słowa i wyszedł na ulicę, opuszczając miejsce, w którym stało się to, co musiało się stać. Bezmyślnie wałęsał się po Ramblas, dając się unosić podświadomym impulsom, krążył między porannymi przechodniami, patrząc na banały wyborczych wabików, które rozkwitły w nocy. Miasto pełne było płatnych wizerunków Felipe Gonzáleza i bojowych plakatów komunistycznych liderów, jeden z nich przedstawiał Gutierrezza Diaza, który, jak pogrążony w transie, udziela błogosławieństwa wyborcom, niezależnie od tego, czy będą na

niego głosować, czy nie. Carvalho uświadomił sobie cel swojej wędrówki, gdy znalazł się w budynku Urzędu Statystycznego. Podszedł do woźnego i zapytał:

- Gdzie mogę zapytać o głosowanie korespondencyjne?

Przesunął dłoń po nagich plecach Charo, jak gdyby zbierał wodę z jej ciała do półotwartej garści, by przyjrzeć się jej z bliska. Kobieta zapytała przez sen:

- O której wylatuje samolot?

- O pierwszej.

Ton głosu Charo wskazał detektywowi, że musi uszanować jej sen. Wyciągnął nogi spod prześcieradła i przyglądał się im, jakby odkrywał je na nowo. Podróż czekała na niego za ścianą, za uchylonymi drzwiami łazienki Charo. Ta podróż była jego planem i przyszłością. Zrodziła się z mieszaniny nudy i zmęczenia - Carvalho zapragnął nagle wyjechać, nieważne dokąd. Charo próbowała się obudzić.

- Zrobię ci kawę.

- Wpadnę do biura i Biscuter mi zrobi.

- Chcę, żeby ostatnia kawa była moja.

Charo usiadła po przeciwnej stronie łóżka. Zakryła rękami piersi i poszła do łazienki. W tym czasie Carvalho ubrał się, a kiedy kobieta weszła do pokoju w nocnej koszuli, detektyw wkładał nogę do pokrzywionego buta, przyzwyczajonego do niedbalstwa swojego pana.

- Zaczekaj.

- Już dobrze. Zrobisz mi kawę za parę dni. Nie zejdzie mi długo.

- Taka piękna podróż. Ale bym chciała pojechać.

Carvalho pocałował ją i pozwolił się pocałować, a kiedy wsiadł do windy, pożałował, że nie powiedział w ostatniej chwili czegoś ważnego. Od ponad dwudziestu lat nie powiedział do nikogo „kocham cię”, i może był w tym całkowicie szczery.

Biscuter też był podekscytowany podróżą.

- Tajlandia jest bardzo blisko Chin, szefie.

- Owszem.

- A zaraz obok jest Wietnam. Chce pan, żebym przygotował coś na drogę?

- W samolotach dają jedzenie.

- Drogo?

- Jest wliczone w koszt biletu.

- W takim razie nie jest za dobre.

- Można wytrzymać. Jeżeli coś mi się przydarzy, wiesz, co robić. Fuster ma mój testament. Zapisałem ci coś, chcę tylko, żebyś w każdą rocznicę mojej śmierci posłuchał paso doble Tęsknota hiszpańska.

Biscuter miał łzy w oczach.

- To bardzo ładne paso doble.

- Bardzo harmonijny ośli ryk.

Klepnął Biscutera po plecach i wyszedł na ulicę, żeby złapać taksówkę.

Na lotnisku dojrzał pilotkę, która nadzorowała odlot wycieczki.

- W Bangkoku grupa będzie miała pilota, ale proszę kontaktować się z naszym rezydentem, jeżeli będą jakieś kłopoty.

Przygotował się do kontroli paszportowej. Zauważył nagle, że zbliża się do niego dziwny orszak, złożony z chłopca z końską grzywą, ciężarnej flectistki i wiktoriańskiej staruszki, idącej kilka kroków przed młodą parą.

- Przyszliśmy się z panem pożegnać i podziękować panu.

Carvalho obawiał się, że flecistka wyjmie instrument i stanie się główną atrakcją lotniska, a starszuszka zaproponuje mu kanapkę z tortillą albo sto peset na coca-colę. Mógł się wszystkiego spodziewać ze strony tych wariatów, pozbawionych poczucia rzeczywistości.

- Proszę nas o wszystkim informować.

- Niech pan nie zważa na wydatki - doradził Ernesto i Carvalho nie wyczuł cynizmu w jego głosie. Detektyw pożegnał ich gestem i półuśmiechem i przeszedł do kontroli paszportowej, żeby pozbyć się krewnych Teresy Marsé. Zajął miejsce w samolocie do Frankfurtu, próbując zgadnąć, którzy pasażerowie będą mu towarzyszyć w dalszej podróży do Bangkoku. Otaczali go mieszkańcy Majorki, mówiący po hiszpańsku z typową dla siebie baskijską intonacją kpiarscy i otwarci na świat jak prawdziwi wyspiarze. Gromadzili się wokół trzydziestoletniej, jasnowłosej kobiety, świadomej swoich wdzięków, która wyglądała na byłą żonę producenta tanich wędlin. Później okazało się, że jest przewodniczką, w czasie lotu asystowała przy piciu whisky, kupionej w strefie wolnocłowej przez małżeństwa z Majorki. Jeden z Katalończyków odkrył właśnie istnienie Azjatów i był szczególnie zafascynowany pewnym Chińczykiem, do którego przemawiał w dialekcie z Majorki, Chińczyk zaś dopasowywał tylko swój uśmiech do szyfrów nieodgadnionego języka.

- Escolta, xinet, a Mallorca tens la teva casa<sup>23</sup>.

Chińczyk uśmiechał się i potakiwał. Wyspiarz obserwował go tak natarczywie, jakby w kolekcji tropikalnych owadów brakowało mu tylko Chińczyka. Carvalho założył słuchawki, które podała mu stewardesa, i zaczął bawić się kanałami, od Yves'a Montanda do Steviego Wondera, przez Ellę Fitzgerald i von Karajana, dyrygującego orkiestrą wykonującą Morze Debussy'ego. Mapa Lufthansy obiecywała detektywowi nieba Jugosławii, Rumunii, Turcji, Iranu, Indii. Na wysokości Stambułu Carvalho zasnął. Obudziła go nagła ciemność, którą zarządzono po to, by pokazać film, obiecujący półtorej godziny rozrywki, Georgia. Widział go już w Hiszpanii. Był to pierwszy odcinek z cyklu filmów poświęconych różnym grupom imigranckim, żyjącym w Stanach Zjednoczonych. Tym razem chodziło o Serbów, a bohaterka miała dwa nastoletnie cycuszki i wychudzone ciało, nic więcej, mimo to rozpałała wielkie namiętności, a wszyscy bohaterowie mieli głęboki kompleks winy i niezwykłą zdolność do przeżywania nieszczęścia. Tymczasem w Delhi na pokład wtargnęli Hindusi. Kilku z nich zajęło się sprzątnięciem wnętrza samolotu. Niemcy i mieszkańcy Majorki stanowiący rasową większość obserwowali ich z mieszaniną sceptycyzmu i ciekawości. Pozostali Hindusi byli zwykłymi pasażerami, lecącymi do Bangkoku czy Manili, na których reszta patrzyła krzywym okiem, bo Europejczykom nie mieściło się w głowie, że te istoty o ciemnej skórze potrafią nie tylko sprzątać, ale mogą również podróżować. Wyspiarz porzucił na chwilę Chińczyka i skupił uwagę na powściągliwych Hindusach, którzy zajmowali swoje miejsca, tworząc ciemne wysepki na lśniącem oceanie białej Europy. Detektywowi nie chciało się spać ani patrzeć. Od czasu do czasu w jego polu widzenia pojawiała się jasnowłosa pilotka, która przyzwyczajając się powoli do bliskości tropików i odślaniała pięknie opalone ramiona, czekając na słońce.

Świtało, skończył się postój techniczny w Delhi i Carvalho czekał, aż w okienku pojawi się Zatoka Bengalska. Samolot przeleciał nad Kalkutą, później nad dżunglami Birmy - atak kolorów, podnieconych deszczem i tropikalnym gorącem. Nagle detektyw usłyszał coś, co wydało mu się dziwnie znajome. Hiszpanie śpiewali na całe gardło piosenkę, którą zaśpiewaliby w autobusie, wracając z wiejskiej zabawy: Asturias, ukochana ziemio. Carvalho bał się najgorszego. Drżał na myśl, że zaraz zaintonują „Wino panienci Asunción nie jest białe, nie jest czerwone, zgadnij, jaki kolor ma?”. Hiszpanie potrafią zamienić trzystuosobowego DC-10 w autokar szkolnej wycieczki. Chińczycy, Hindusi i Niemcy słuchali Asturias, ukochana ziemio, jakby to było Deutschland, Deutschland über alles. Przecież każdy Anglik, Francuz, Niemiec, Amerykanin, Chińczyk, Hindus czy Arab podróżując po Azji jest u siebie w domu, za to Hiszpanie ledwo wyjadą z Calahorry, a już czują, że są za granicą. Samolot przeglądał się w głębokich dżunglach i przejrzystych wodach, wyjętych z książki do geografii z trzeciej klasy liceum albo z kolekcji kolorowych okładek po czekoladkach „Suchard”, które przedstawiały rozmaite rasy i obyczaje. Turysta z Majorki mówił do Chińczyka:

- Quan vinguis a Mallorca et posaràs morat de sobrassada i ens anirem tu i jo de putes<sup>24</sup>.

- Quines coses de dir-li!<sup>25</sup> - protestowała jego żona, ale mężczyzna nie zwracał na nią uwagi. Był zafascynowany swoim Chińczykiem, który pozwalał się obserwować, uśmiechał się, myśląc może w duchu, że przy pierwszej okazji rzuci tego natręta na pożarcie krokodylom. Carvalho ujrzał chmury nad Bangkokiem, miasto rozrzucone nad brzegami Chao Phraya, gdzie ptaki przerywają swoją wędrówkę.

<sup>23</sup> Słuchaj, Chińczyku, zapraszam cię na Majorkę (przyp. aut.).

<sup>24</sup> Jak przyjedziesz na Majorkę, to najpierw napchasz się kielbasą po same uszy, a potem pójdziemy razem na dziwki (przyp. aut.).

<sup>25</sup> Co ty mu opowiadasz! (przyp. aut.).



W jego pamięci pojawił się nagle obraz, ocalony z kufra zapomnienia, obraz jak błysk flesza: tajska dziewczyna z papierosem w pochwie, wygląda tak, jakby paliła za pomocą pochwy, jest naga, otoczona przez amerykańskich żołnierzy w cywilu i przez małżeństwa z całego świata, które mogą przekonać się na własne oczy, że Azjaci robią wszystko na opak.

Na lotnisku czekał na nich młody przewodnik, który przedstawił się jako Jacinto, zapewniając, że jego tajskie imię jest dużo bardziej skomplikowane. Mieszkańcy Majorki szli w innej grupie, a Carvalho znalazł się w towarzystwie starych, bogatych Kastylijek, zaskoczonych liczbą wyspiarzy, i młodych małżeństw, które kupowały pierwszy z brzegu słomkowy kapelusz. W drodze z lotniska do hotelu Jacinto oświadczył, że w Bangkoku żyje pięć milionów ludzi, większość z nich to biedacy, którzy będą próbowali zwędzić paniom torebki. „Co za historia, jakie to śmieszne”, powtarzała paniusia, osłaniając dłonią perukę. Pasażerowie klimatyzowanego autokaru przejęli się ostrzeżeniem pilota, uświadamiając sobie, że Bangkok jest pełen Azjatów, oni zaś są poszukiwaczami przygód, buszującymi na Dalekim Wschodzie. Pilot ciągnął swoją opowieść. Tajlandia jest kontrolowaną demokracją, demokratyczną dyktaturą, wojskową monarchią konstytucyjną.

- Kto wygłał wyboly w Hiszpania? - spytał pilot, postugiwał się czystym narzeczem Siuksów, zamieniając przy tym „r” na „l”, jak w dubbingach do najbardziej topornych filmów kolonialnych.

- Felipe González wygiął, plawda?

- Niech go cholera - krzyknął otyły, śniady mężczyzna, z fioletowymi żyłkami wokół oczu.

- A ja wolę, żeby wygrali socjaliści, niż komuniści - stwierdziła jakaś Andaluzyjka.

- Tutaj nie ma komuniści. Komuniści są w dżungla, nie w Bangkok - powiedział pilot, budząc niepokój jednych i nadzieje drugich.

- Trzymacie ich w dżungli, jak małpy?

- Jak małpy nie, jak pałtyzanci. Zablonieni w Bangkok i dlatego pojechali do dżungla.

Jacinto był kopalnią wiadomości. Informował panów o rodzajach masażu, z jakich mogli korzystać w Bangkoku - od pierwszego do trzeciego stopnia, a później, co Bóg da. Kobiety - weteranki słuchały tych instrukcji z przeświadczeniem, że nie są na swoim terenie i muszą wykazać się moralną postawą, jakiej wymaga koniec tysiąclecia.

- Pochodzicie sobie po sklepach z szafirami, a my na masaże.

- Safily i lubiny, ploszę nie zapominać. Inne kamienie nie są stąd. Tu i w Bilma tylko safily i lubiny.

Za szybą klimatyzowanego autokaru był Bangkok, przypominający Meksyk, górne Villaverde albo Bellvitge, miasto zalewane przez dziką imigrację, poza tym podupadły burdel dla amerykańskich żołnierzy. Klimat tropików rozmywał i brudził formy zachodniej architektury, a kierowcy rządzą się jakąś obłąkaną logiką, z upodobaniem grając w rosyjską ruletkę swoimi japońskimi samochodami. Na dwukierunkowej ulicy auta tworzyły trzy rzędy i fascynującą zabawą intelektualną mogło być przewidywanie, który samochód usunie się w ostatniej chwili, tuż przed zderzeniem. Na skrzyżowaniach dzieci myły szyby, proponowały kierowcom wianki świeżych, wonnych kwiatów albo reklamowały „Bangkok Post”.

- Jakie ładne dzieciaki! Trudno uwierzyć, że później tak brzydną.

- Kobiety są pierwsza klasa.

- Dla mnie wszyscy są identyczni.

- Bo tak jest, Azjaci są jednakowi. Między Europejczykami są większe różnice.

Turyści, którzy przyjechali bez pary, wciąż powracali do ulubionego tematu, swojej obsesji nocnych kowbojów, polujących na salony masażu, a przede wszystkim na body body.

- Słuchaj, Jacinto, gdzie robią najlepsze body body!

- Dużo miejsc. Najlepsze „Mona Lisa”. Panie też mogą iść, patrzeć na dziewczęta na wystawa i jeść kolacja, a mąż mieć masaż.

- Ale jazda! Słyszałeś to?

- I o to walczymy.

Uradowani mężowie poklepywali się po plecach.

- Panie też mogą mieć masaż. Dziewczęta lobią masaż dla pani, albo mężczyźni, jak pani chce.

Po tej ostatniej rewelacji Jacinta zapadła cisza jak w klimatyzowanym grobie. Niewzruszony pilot dodał nowe szczegóły do charakterystyki kobiecego masażu.

- Ci mężczyźni, co lobią masaże, nazywają się baldzo brzydtko.

- Dawaj, Jacinto, powiedźże, jak się nazywają - nalegał jeden z kawalerów.

- Męskie kurwy - powiedział Jacinto bez zmruczenia oka i zajął się listą pasażerów, by skierować ich do odpowiednich hoteli. Gdy dotarli do „Dusit Thani”, detektyw wręczył pilotowi wizytówkę, którą dostał w biurze podróży. Jacinto kiwał głową ze zrozumieniem i bacznie obserwował Carvalha, chcąc sprawdzić, czy cudzoziemiec będzie mógł stanąć na wysokości zadania.

- Dzisiaj nie można nic zrobić. Niedziela. Tutaj jest niedziela.

- Jutro chciałbym pójść do ambasady.

- Blisko stąd, bardzo blisko.

Jacinto wskazał park, położony za imponującym pomnikiem, stojącym na skrzyżowaniu kilku ulic.

- Park Lumpini. Ambasada jest z tyłu.

Carvalho przestąpił próg „Dusit Thani”, czując, że odzyskuje starego przyjaciela. Ten sam odzwierciedlony przebrany za tajskiego Piotrusia Pana, ta sama atmosfera międzynarodowego hotelu azjatyckiego, w którym tubylcy są delikatnymi, uroczymi istotami na tle beczelnych, białych zwierząt. Anglosaska brzydota stawała się oczywista w zestawieniu z dziecięcymi figurkami i subtelnością gestów młodych Tajek, które udzielały informacji cudzoziemcom, ofiarowały im jaśminy i orchidee świeżo ścięte w lasach otaczających Bangkok, próbując wynagrodzić im straty spowodowane przez obsceniczne miasto. Carvalho zostawił bagaż w pokoju i spytał recepcjonistkę, czy istnieje jeszcze targ Chatuchak. Owszem, ale nie mieści się już obok Pałacu Królewskiego. Został przeniesiony, bardzo daleko, powiedział mu szef hotelowych taksówek, żądając stu osiemdziesięciu bahtów za kurs. Biała klimatyzowana taksówka przemierzała Bangkok. Po drodze kierowca zasypał Carvalha ulotkami reklamującymi sklepy ze szlachetnymi kamieniami, tajlandzkim jedwabiem, rzemiosłem artystycznym i srebrem.

Na próżno Carvalho próbował powstrzymać potop ulotek, wysypujących się ze skrytki datsuna. Widział za oknem coraz więcej wystrojonych ludzi; widok ów świadczył o tym, że zbliżają się do targu, podobnie jak ptaki zapowiadają bliskość wybrzeża. Wreszcie detektyw zobaczył ogromny plac, labirynt bezbronych straganów i sklepików, sięgający najbliższego horyzontu. Carvalho wysiadł z klimatyzowanego auta i zaraz odurzyła go fala gorącego powietrza, przesyconego tłuszczem. Pachniało potrawami smażonymi na kokosowym oleju, azjatycką pietruszką, imbirem i cebulkami. Detektywowi nie starczyłoby życia, by ogarnąć wszystko, co oferował mu targ Chatuchak. Dżungla zamknięta w doniczkach, klatkach i gigantycznych akwariach, albo w kartonowych pudłach; gdzie motyle przemieniały się w dziwaczne kwiaty zła o corpore insepulito. Solone mięsa, muchy, betelowe płwociny, ziarnka ryżu o zielonej barwie, ropiejące, słodkie salami, mumifikowane zwierzęta, pieprz turecki, nerwowy i groźny jak wojsko afrykańskiej szarańczy, małe grzyby, podejrzenie waleńskie ceramiki, płytki z naturalnym trawnikiem, kury, kolibry, dzioborożce, jaszczury, mały tygrys, przenośne kuchnie, służące naprawdę głodnym ludziom i azjatyckim muchom, które mają naturalne prawo do przetrwania, syropy o wszystkich kolorach syropiarstwa, lasy butelek z rybnym sosem, tajlandzka sól, długie i brunatne minogi, czarne prosiaki, dżinsy, kobry pozbawione jadu, mangusty w obłąkańczych klatkach, kasety Steviego Wondera i Supertramp, ciastka kokosowe, dalej kokosy udomowione za pomocą maczety, przerobione na zieloną skrzynkę z plastikową słomką, dachy zrobione z prefabrykatów, młody tygrys, co nie potrafi ryczeć, zakąski z wieprzowiny, pokrytej ciemnym miodem, ryżowe spaghetti, delikatne jak strawa dziewiczych aniołów, orchidee żywiące się łupinami z kokosa, kurtki z plastikową podszewką, dobre na wymyślone zimy, ubranie wojskowe dla partyzantki miejskiej, maczety, kółka na klucze, solona ikra, przyrządzona na podobieństwo „jaj Mulata”, wanna z cementem pomalowana na zielono, wicherzyciele z megafonami, podburzający tłum, tymczasem policja zdaje się tego nie słyszeć, wykazując rozsądek i tolerancję. „Studenci nadal protestują przeciw podwyżkom cen biletów autobusowych”, oświadczał na pierwszej stronie „Bangkok Post”, a zdjęcie przedstawiało starca rozmawiającego ze studentami; wszyscy uczestnicy dialogu siedzieli w kucki. Poseł solidaryzuje się ze słusznymi postulatami. Carvalho zwiedził dżunglę zamkniętą w doniczkach z nadzieją, że odkryje tam doniczki z komunistami.

„Dusit Thani” proponował drogą restaurację z międzynarodowym menu, lokale z kuchnią tajską i japońską wreszcie tańszy coffee shop, w którym podawano azjatyckie dania, przyrządzone w stylu zachodnim, i europejskie potrawy, zrobione na sposób azjatycki. Carvalho już wcześniej postanowił, że nie weźmie do ust żadnego zachodniego dania, niezależnie od tego, jak długo zostanie w Tajlandii, wybrał więc restaurację japońską.

Kelnerki, zapewne japońskie, powitały go tradycyjnym gestem - złożyły dłonie na piersiach i skłoniły lekko tułów i głowę. Carvalho zamówił sashimi, przyniesiono mu półmisek lodu, na którym leżały miniaturowe filety z surowych ryb - dorady, karpia, turbo i tuńczyka - filiżankę sosu Sambai-Yo,

pałeczki, czajnik herbaty i pustą filiżankę. Detektyw nie bez trudu chwycił pałeczkami kawałki ryby, maczał je w sosie zrobionym z musztardy, octu i soi, i wkładał do ust. Po skończeniu dania wydało mu się, że połknął całe morze, i zamówił na deser ryż w sake, do którego wypił dwa szybkie kieliszki lodowatej sake. Przechadzał się po hotelu między wystawami szlachetnych kamieni, jedwabi i drewna tekowego, stracił trochę czasu w swoim pokoju, próbując nastawić kanał wideo, aż w końcu znalazł amerykański film z Rodem Steigerem i śliczną blondynką, którą zgwałcili jacyś napaleni myśliwi. W odległości stu metrów od hotelu czekały na niego niewyczerpane możliwości Silom Road i trzech następnych uliczek Patpong, historycznej dzielnicy rozpusty, która zdaniem portiera, przebranego za Piotrusia Pana, nie była już tym, co dawniej.

- W mieście są inne, ciekawsze miejsca.

Odźwierny chciał zareklamować jakiś lokal, ale Carvalho upierał się przy Patpong.

Portier przyznał:

- Dużo straciła, ale wciąż jest taka, jak dawniej.

Za drzwiami hotelu czekał na Carvalha lepki zaduch tropikalnej nocy. Zachodni glamour „Dusit Thani” był wysepką na morzu ciemności, złamanej tylko przez plamy słabego światła, wyznaczające topografię Silom Road. Choć była niedzielna noc, sklepikarze nie zamykali jeszcze swoich kramów, i detektyw mógł przejrzeć fotograficzne oferty nagich dziewczyn, które pokazywali zawodowi pośrednicy, obiecując spółkowanie i tureckie rozkosze. W zaułkach Patpong można było znaleźć restauracje chińskie, wietnamskie, tajskie, japońskie, lokale ze striptizem, wólczygów, kierowców tuk-tuków<sup>26</sup>, proponujących najkrótszą drogę do seksualnych rajów, wieśniaków siedzących wokół przenośnych kuchni, którzy obserwowali stada cudzoziemców jak darmowe i ekscytujące przedstawienie, rycząc ze śmiechu. Carvalho trafił na grupę mieszkańców Majorki, dowodzoną przez Jacinta i jasnowłosą pilotkę o pięknych ramionach, za nimi podążały młode małżeństwa, szukające lokali z dziewczętami, które grają w ping-ponga za pomocą pochwy albo w ten sam sposób palą marlboro o autentycznie amerykańskim smaku. Wyminął grupę i odrzucił zaproszenie Jacinta, jednak chwilę później ogarnęło go uczucie depresyjnej samotności i zdał sobie sprawę z absurdu swojej sytuacji. Bezwiednie ruszył śladem Hiszpanów, zwiedzając kolejne night-cluby, aż w końcu znalazł najbardziej odpowiednie towarzystwo w małej salce, gdzie dwie nagie Tajki o dziecinnych buziach uprawiały mechaniczną i beznamiętną rozpustę na oczach obłudnych Europejczyków. Przedstawiciele Zachodu oglądali tę seksualną gimnastykę z ironicznymi uśmiechami, ognikami w oczach i drżeniem w dolnych partiach ciała, jakby przedstawienie było ważnym punktem wycieczki. Pośrednicy krążyli wokół samotnych par, oferując wszelkiego rodzaju kombinacje - mężczyzna z mężczyzną, kobieta z kobietą, trójkąty, kwadraty. Gdzie? Tutaj, w budynku obok. Carvalho wyjrzał i zobaczył neon „Apollo” na ciemnym domu. Nagle przypomniał sobie, że tam właśnie pracował Archit, przyjaciel Teresy, i postanowił odwiedzić męski salon masażu. Dwie młode hiszpańskie pary zaproponowały mu pójście do innego domu, gdzie miał się odbyć pokaz pedalskiej miłości w wykonaniu dwóch tubylców.

- Nie chcę stracić takiej okazji - powiedział cieniutkim głosem blondyn z wąsikami.

- Ja tym bardziej - poparła go przyjaciółka.

Detektyw ruszył za nimi do budynku, oświetlonego kocim okiem kilku żarówek. Hiszpańskie pary podążyły za tajskimi chłopcami, Carvalho wyprzedził ich, gdy wchodzili do pokoju, który wyglądał na równie plugawy, jak pozostałe części domu. Poszedł dalej korytarzem, tonącym w żółtym półmroku, i dopiero po chwili dostrzegł mężczyzn i kobiety, którzy siedzieli w milczeniu na podłodze, nie zwracając uwagi na intruza. Brudne i obszarpane ubranie podkreślało ciemną karnację i niepokojącą starość na pozór młodych ciał; czasem detektyw łowił ich spojrzenia i widział przekrwione, chore oczy, zmęczenie narkomanów yonquis, ciał na sprzedaż, oferujących swoje nędzne mięśnie cudzoziemcom, którzy tolerowali deprawację Trzeciego Świata. Jakiś mężczyzna wyszedł z pokoju, niosąc na ramionach tobół poźółkłych prześcieradeł.

Carvalho zapytał o Archita.

- Pracował obok, w „Apollo”.

Azjatyckie twarze wydają się nieprzeniknione, jednak Carvalho dojrzał strach w oczach mężczyzny, który spuścił wzrok i odszedł bez słowa. Detektyw zadał to samo pytanie starej kobiecie, dyrygującej zmęczonymi kelnerkami o wychudzonych ciałach. Stara milczała przez chwilę z tym samym zagadkowym lękiem w oczach, w końcu zaproponowała, żeby Carvalho zapytał o Archita w „Apollo”, skoro chłopak właśnie tam pracował. Ta odpowiedź wydawała się logiczna i detektyw postanowił pójść za radą starej. Drzwi do pokoju, w którym miało odbyć się przedstawienie dla Hiszpanów, były uchylone, blondyn z wąsikami obserwował Carvalha, jakby na niego czekał.

---

<sup>26</sup> Trójkołowy pojazd używany w Bangkoku jako taksówka (przyp. tłum.).

- Przepraszam pana, zdaje się, że nie jest pan tu po raz pierwszy. Przydarzyło nam się coś dziwnego. Niech pan wejdzie.

Carvalho wszedł do pokoju. Dwie kobiety siedziały na krzesłach z wyrazem napięcia na twarzach. Nie było więcej krzesel, mężczyźni kręcili się nerwowo w miejscu. Na łóżku dwaj chłopcy o ciemnej cerze pieścili sobie wzajemnie genitalia.

- Nie chce im stanąć, tłumaczą się jakoś dziwnie, nic z tego nie rozumiemy. Dziwacznie mówią po angielsku.

Chłopcy patrzyli na Carvalha z olimpijską obojętnością nie przestając pieścić swoich martwych penisów. Detektyw zapytał ich, co się dzieje. Otworzyły się bezzębne usta, ciemne jak pieczara, by odpowiedzieć, że chłopcy nie mają na nic ochoty, chyba że dołączyłaby do nich jedna z Hiszpanek. Detektyw przetłumaczył propozycję.

- My?

- Z nimi?

Hiszpanie zacisnęły zęby i pięści, a potem roześmiali się nerwowo.

- Niezły numer.

Bardziej zdecydowany Hiszpan zbliżył się do łóżka, wskazał członek jednego z tubylców, a potem tyłek drugiego z nich.

- Ty wsadzić temu.

Zawstydzony tubylec uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie dam się robić w konia - zapewnił odważny Hiszpan.

- Zapłaciliśmy z góry, a ci nie chcą pracować.

- Lepiej już wyjdziemy, Eduardo - powiedziała bardziej nerwowa kobieta.

- Zapłaciłem za pokaz i albo oddadzą mi forszę, albo będą się dymać, nie pozwolę na takie kpiny.

Tubylec mówił coś i Carvalho podszedł do łóżka, żeby go usłyszeć.

- Mówi, że skoro panie nie chcą ich zaszczycić swoją obecnością w łóżku, mogliby wynająć jedną z kobiet, które siedzą w korytarzu.

- Oczywiście za taką samą stawkę.

Tubylec stwierdził, że dodatkowa kobieta kosztuje dwieście bahtów więcej.

- Sto pięćdziesiąt - zaprotestował zdecydowany Hiszpan, zgodnie z turystyczną dewizą, że należy o wszystkim się targować. Tubylec wrzucił ramionami, przyjął sto pięćdziesiąt bahtów, założył majtki i wyszedł na korytarz. Wrócił z dziewczyną, wyglądającą jak stara kobieta, okrytą łachmanami; podobnie jak on, należała do bezzębnej społeczności południowo-wschodniej Azji. Kobieta rozebrała się i Carvalho pomyślał, że byłaby odpowiednim eksponatem na wykładzie z anatomii w jakiejś europejskiej akademii. Nie udało jej się podniecić chłopców, a na twarzach Hiszpanów pojawił się grymas obrzydzenia.

- I co teraz?

- Dalej im nie staje.

- To się nazywa oszustwo. Oszustwo!

Hiszpan krzyczał, gestykulował i kłął, domagając się pokazu, za który zapłacił. Drzwi powoli otworzyły się, ukazując grupę Tajów, zaniepokojonych krzykami. Dwie białe kobiety wstały z krzesel i przytuliły się do swoich mężów, szukając opieki, obiecanej przez świętego Pawła. Aktorzy nieudanego przedstawienia też się obrazili i przemawiali ostrym głosem do Hiszpana, który zapomniał języka w gębie, widząc chór zgromadzony przy drzwiach.

- Ile państwo zapłacili? - zapytał Carvalho.

- W sumie jakieś pięćset bahtów.

- To nawet nie są trzy tysiące peset. Nigdy państwa nie oszukano na trzy tysiące?

- W Hiszpanii, owszem.

- Więc lepiej machnijcie ręką na pieniądze i wyjdźcie stąd z uśmiechem, bo ten lokal nie wygląda ciekawie.

Carvalho dał przykład, uśmiechnął się do chłopców i do kobiecego szkieletu i podał im rękę na pożegnanie. Potem utorował sobie drogę przez niespokojny tłum stłoczony wokół drzwi, wyprowadzając z pokoju hiszpańskie pary, które dopiero na ulicy mogły odetchnąć głęboko i odzyskać mowę. Hiszpański perszeron znów poczuł przypływ odwagi i zaczął wykrzykiwać, że te mały już

nigdy nie zrobią go na szaro. Musiał jednak przerwać, gdy jedna z kobiet dostała ataku śmiechu. Próbowała się usprawiedliwić, przypominając, że jeden z chłopców miał malutkiego fiuta, a pępek kobiety-kościorupa wyglądał jak martwy kwiat. Carvalho rozstał się z nimi w chwili, gdy wymyślali coraz to nowe usprawiedliwienia, i poszedł Silom Road w stronę hotelu. Nagle ktoś szarpnął go za ramię. Detektyw napiął mięśnie i odepchnął napastnika, by zyskać trochę miejsca i przejść do kontry. Wtedy zobaczył uśmiechniętego chłopca, który wskazywał niebo, nie puszcżając jego ramienia. Carvalho podniósł wzrok i ujrzał tysiące, miliony ptaków, biało-czarnych, siedzących na drutach telegraficznych jak kostki domina. Taj wytłumaczył mu gestami, że niebezpiecznie jest spacerować blisko ptaków, bo srają na przechodniów, i na dowód tego wskazał białe kałuże na chodniku. Carvalho odprężył się, podziękował Tajowi, usunął się z linii strzału i zapytał chłopaka, jak nazywają się ptaki.

Taj spojrział w górę, pomyślał przez chwilę, wzruszył ramionami i odparł z uśmiechem:

- To ptaki. Po prostu ptaki.

Obudził się z uczuciem, że ma coś ważnego do zrobienia: zaraz przypomniał sobie, że chodzi o american breakfast, zapowiedziane w hotelowej ulotce. Wyrzwał przez okno, które było w rzeczywistości balkonem, wychodzącym na basen i oświetloną kaskadę. Słońce wciąż jeszcze przesłaniały chmury i wysokie budynki „Dusit Thani”. Carvalho obiecał sobie, że wróci do Hiszpanii opalony na tropikalny brąz. W restauracji czekał na niego szwedzki stół: sadzone jajka, bekon, szynka, parówki, jajecznicza, placki ziemniaczane, wędliny, wędzone i gotowane ryby, owoce tropikalne, ananasy, banany, pomelo, mandarynki, liczi, różane jabłka, owoce goździkowca i jojoby, mangostany, mango, rambutany, salaki, arbuzy, orzechy kokosowe, karambole, tamaryndy, panava, guawy, longany, owoce flaszowca, duriany. Liczi i papaja z sokiem z limy były wyśmienite, Carvalho nałożył sobie dodatkową porcję. Następnie ułożył plan dnia, uzależniony od tego, co mu powiedzą w ambasadzie, do której miał zamiar pójść nieco później, zgodnie z hiszpańskim rytmem pracy. Zaczął włączyć się po hotelu i odkrył nagle, że promień słońca zdołał przeniknąć między blokami budynku i ogrzewał część basenu. Carvalho założył spodenki kąpielowe, okrył się kimonem i zabrał ze sobą krem, chroniący przed zdradliwym słońcem tropików. Popływał trochę, a potem wysmarował się kremem i położył w słonecznym trójkącie. Przez godzinę walczył z chmurami o władzę nad słońcem, wreszcie wrócił do pokoju z przyjemnym uczuciem gorąca i wszedł pod prysznic, pogwizdując z zadowolenia.

Za drzwiami hotelu czekał na niego upał, odprowadził go do placu Lumpini i parku, który obiecywał zieloną i cieniistą Azję. Carvalho szukał dzielnicy ambasad, ale zatrzymał się na chwilę w kuszących ogrodach, podziwiając jeden z najweselszych zakątków Bangkoku. Wireless Road była spokojną ulicą willową, nad którą panowała niepodzielnie ogromna ambasada amerykańska, pyszniąca się prywatnymi kanałami, jeziorkami i tropikalną roślinnością. Tuż obok, jak stróżówka, przycupnęła ambasada hiszpańska - dom, łączący tradycje architektoniczne Tajlandii i Tyrolu. Carvalho został przyjęty przez dwóch Tajów, którzy oświadczyli mu, że musi chwilę zaczekać. Ściany i podłogi ambasady były wyłożone drewnem pomalowanym na kremowo, a słaby wiatrak bezskutecznie próbował walczyć z upałem. Na ścianach wisiły plakaty reklamujące galisyjskie nas, konkurs śpiewaków imienia Vinasa, a także portrety królów Hiszpanii, w osobliwy sposób podobne do wizerunków tajlandzkich monarchów.

- Chciał pan się widzieć z panem ambasadorem? - zapytała dyplomatycznie blondynka, mówiąca z południowoamerykańskim akcentem.

- Z kimś, kto może mnie poinformować o sprawie pani Teresy Marsé.

- Reprezentuje pan rodzinę pani Marsé?

- Właśnie.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, osobiście przekażę panu wszystkie informacje, jakimi dysponujemy. Pan ambasador jest bardzo zajęty.

Carvalho przytaknął, kobieta odeszła i detektyw znów został sam. Jakiś tubylec prosił o informacje na temat stypendiów do Hiszpanii. Urzędniczka wróciła po chwili, usiadła naprzeciw Carvalho i rozłożyła na kolanach teczkę.

- Mamy jakieś informacje, ale nie są szczególnie poczekające, a najgorsze jest to, że ambasada nie może już nic zrobić. Sprawa jest w rękach policji, a oni nie lubią konkurencji.

- Czy wiadomo, gdzie jest Teresa Marsé?

- Nie. Najprawdopodobniej próbuje wydostać się z kraju.

- Dlaczego nie zwróciła się o pomoc do ambasady?

- Ambasada znajduje się pod stałą obserwacją, panie Carvalho. Sprawy poważnie się skomplikowały.

Blondynka potrafiła panować nad emocjami. Przyjęła styl notatki prasowej i nie zamierzała zmieniać tonu. Ciągnęła dalej, nie czekając na reakcję Carvalho.

- Według tego, co powiedziała nam policja, ślad Teresy Marsé i Archita ginie w Chiang Mai. Policja twierdzi, że ściga ich grupa płatnych bandytów.

- Dlaczego?

- Ta historia jest długa i skomplikowana, próbowaliśmy ją odtworzyć na podstawie skąpych informacji policji. Pan ambasador rozmawiał osobiście z premierem, Premem Tinsulanondą, ale sprawy zaszły za daleko. W innych przypadkach mogliśmy od razu interweniować, a w tym kraju za pieniądze można osiągnąć prawie wszystko. Ta sytuacja jest jednak inna. Jak się wydaje, Archit zajmował się nielegalnym handlem kamieniami szlachetnymi, a to jest jeden z najbardziej lukratywnych i najmniej ryzykownych interesów w tym rejonie. W cenie są zwłaszcza birmańskie rubiny. W pewnym momencie Archit zwierzył się z tego Teresie Marsé i pokazał jej część towaru, który znajdował się w jego rękach. Kobieta namówiła go, żeby przywłaszczył sobie trochę kamieni i pojechał z nią do Europy. Nie wiemy, czy trudno jej było go przekonać, w każdym razie Archit przygotowywał się do wyjazdu, mieli przerwać podróż w Chiang Mai i polecieć stamtąd do Barcelony, via Bangkok i Amsterdam. W Chiang Mai coś im przeszkodziło. Albo zostali odkryci, albo ktoś zażądał od Archita zwrotu kamieni. Chłopak należał do tajnego stowarzyszenia, które kontroluje handel birmańskimi rubinami, a nazywa się „Mai pen rai”, to taki utarty, często używany zwrot, oznacza mniej więcej „nie ma znaczenia”. No więc właśnie, członkowie tajnego stowarzyszenia trafili na nich w Chiang Mai i musiało się wydarzyć coś poważnego, bo na drugi dzień policja znalazła trupa w hotelowym apartamencie, który zajmowali Teresa i Archit. A oni zniknęli, jak dotąd nie wiemy o nich nic nowego.

- Wyrównanie rachunków, nic więcej.

- Rzeczywiście. Ale zabity nie był byle kim. Nie był ważnym członkiem gangu, ale, jak się wydaje - powtarzam, że mówię tylko to, czego się dowiedziałam od policji - był synem grubej ryby świata przestępczego, legendarnej postaci Bangkoku, znanej pod przydomkiem „Jungle Kid”, o którym wiadomo, że w przeszłości był przewodnikiem po Złotym Trójkącie, regionie leżącym między birmańską prowincją Shan, północną Tajlandią i Laosem. Teoretycznie nadal jest przewodnikiem, ale to tylko przykrywką dla handlu narkotykami. Jungle Kid to człowiek-instytucja i śmierć jego syna postawiła na nogi cały półświatek i policję.

- Policja pomaga gangsterowi?

- Policja ma wiele długów wobec Jungle Kida, a w tym kraju nigdy nie wiadomo, gdzie kończy się porządek, a zaczyna bezprawie.

Urzędniczka wytrzymała spojrzenie Carvalho i jej niewzruszona twarz wyrażała dyplomatyczne ostrzeżenie.

- Czy można porozmawiać z policją albo z samym Jungle Kidem?

Kobieta roześmiała się.

- To dziwne, że jeszcze się z panem nie skontaktowali. Musi pan uważać. Jungle Kida może pan spotkać w hotelu „Malasya”, niedaleko stąd. obok Biura do Spraw Imigrantów. To jest legendarny hotel, zatrzymują się w nim ciekawscy turyści, którzy nie mają za wiele pieniędzy. Wszystko może się tam zdarzyć. Jungle Kid traktuje „Malasya” jak swoje biuro, w którym organizuje wyprawy. Trzeba na niego uważać. Jest Chińczykiem, byłym członkiem dywizji Kuomintangu, która osiedliła się na północy Tajlandii po zwycięstwie Mao Tse-tunga. Chińczycy kontrolują handel heroiną, diamentami i żywym towarem, wiciu z nich było związanych z 93. Dywizją Czang Kaj-szeka.

Wydawało się, że kobieta znała na pamięć notatki, do których zaglądała od czasu do czasu, by napęlić bak.

- Z kim z policji miałbym się skontaktować?

- Wiedzieli, że pan przyjedzie. Proszę zapisać nazwisko: Uthain Charoen. To urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który zajmuje się tą sprawą.

Kobieta patrzyła na Carvalho z ironią, a może chciała ocenić, czy detektyw będzie umiał sprostać sytuacji, poradzić sobie z Jungle Kidem i Uthainem Charoenem.

- Co to za facet?

- Rozmawiałam z nim dwa albo trzy razy. Powtarzam, niech pan ma oczy szeroko otwarte. To przebiegły typ.

Carvalho otworzył szeroko oczy, by wyrazić strach, jaki wzbudziła w nim rada urzędniczką.

- Mogę liczyć na państwa pomoc?

- Tylko moralną. Jeżeli wsadzą pana do więzienia, czasem wyślemy panu papierosy. Ale radzę panu, niech pan zrobi wszystko, żeby nie trafić do więzienia. Tajlandzkie więzienie jest straszne. W tej chwili siedmiu Hiszpanów siedzi tutaj za narkotyki i zapewniam pana, że niejeden z nich wolałby się powiesić.

Mówiła poważnie. Z dyplomatyczną powagą.

Taksówkarz próbował przekonać Carvalho, że przed wizytą w hotelu „Malasya” powinien wstąpić do niezliczonych sklepów ze szlachetnymi kamieniami i jedwabiem. Szofer pojechał okrężną drogą, wykorzystując czas na wszelkie formy reklamy. Carvalho mógł tylko wyskoczyć w biegu z taksówki albo zaczekać, aż jego wróg zda sobie sprawę z daremności swoich wyjaśnień. Wybrał tę drugą możliwość. Rozsiadł się wygodnie i zaczął obserwować miejski krajobraz: stłoczone tuk-tuki, okryte chmurą tlenu węgla, który wdzierał się do wnętrza samochodu przez otwarte okna. Taksówkarz ciągnął swój monolog przez piętnaście minut, opowiadając o miejscach, do których mógłby zabrać Carvalho, w końcu przerzucił się na tajski, pewnie po to, żeby zelżyć niefortunnego pasażera, i wybrał właściwą drogę do „Malasya”. Zostawił za sobą szerokie aleje, przecinające miasto i wjechał w boczne uliczki, gdzie dostojna, tropikalna roślinność odwracała uwagę od podupadłych budynków. Wreszcie zaparkował taksówkę przy hotelu „Malasya”. Zaraz pojawiło się kilku nie umundurowanych boyów, ale Carvalho zignorował ich, idąc prosto do drzwi hotelu. Drewno tekowe drugiej klasy, mizerny bambus, personel w podniszczonych garniturach, tapicerka z brązowego skaju, podłoga z zielonego plastiku, dekadenska starość, emanująca z recepcjonistów i kelnerów restauracji, która znajdowała się przy hallu. Wszystko to przypominało hotelik dla prowincjuszy. Dżinsowe spodnie wszelkich odmian, cudzoziemcy o wyglądzie amerykańskich profesorów z biednych uczelni, młodzi francuscy post-hipisi, damy faisandées w sandałach, z umięśnionymi różowymi łydkami. Nawet białka oczu recepcjonistów nie były białe, coś pomiędzy czerwienią i mętną, ropną żółcią. Tubylcy patrzyli z obojętnością na konwencjonalny ubiór Carvalha. Detektyw podszedł do recepcji i zapytał o Archita i Teresę.

- To moi przyjaciele, są teraz w Bangkoku i myślałem, że może tu się zatrzymali.

Recepcjonista powiedział coś po tajsku do małej, rozczochranej kobiety, która roześmiała się detektywowi w twarz, najwyraźniej kpiąc sobie z niego.

- Nie znamy ich.

- Jestem pewien, że byli w tym hotelu.

- W tym hotelu zatrzymuje się dużo ludzi i nie musimy wszystkich znać.

- Zajrzyjcie do księgi hotelowej.

Wzruszyli ramionami, nie okazując najmniejszej chęci szukania księgi.

- Niech pan sprawdzi na ścianie, po lewej, obok stolika. Może zostawili jakąś wiadomość.

Na ścianie nazbierało się sporo ogłoszeń. „Lekcje francuskiego, pokój siedemdziesiąt sześć”. „Karen i Leo czekają na ciebie w pokoju dziewięćdziesiąt osiem”. „Sprzedam maszynę do pisania «Olympia», Mónica”. Detektyw zatrzymał wzrok na ogłoszeniu: „Jungle Kid, najlepszy przewodnik po prowincji Shan”, jednak czyjaś ręka dopisała poniżej: „Nie ufaj Jungle Kidowi, zostawi cię w samym środku dżungli”. Carvalho postanowił zagrać w rosyjską ruletkę i zapytać recepcjonistę o Jungle Kida, gdy usłyszał za swoimi plecami:

- Czy to pan niedawno przyjechał z Hiszpanii?

Carvalho odwrócił się i ujrzał przed sobą Taja w garniturze z żółtawej bawełny i źle zawiązanym krawacie: jego twarz wyglądała młodzieńczo, ale kurze łapki i siwizna na lewej skroni zdradzały wiek, a rozchylone usta koloru lila układały się w coś na kształt uśmiechu.

- Pan się nazywa Jose Carvalho Tourón?

Wyciągnął z kieszeni kartkę i z trudem odczytał nazwisko detektywa.

- Tak.

- Proszę o paszport.

Mężczyzna wylegitymował się dokumentem ze zdjęciem, tonącym w oceanie tajskich liter.

- Nic nie rozumiem.
- Tutaj jest napisane, że nazywam się Uthain Charoen i jestem oficerem policji.
- I ja mam w to uwierzyć?

Taj roześmiał się i powiedział z łagodnym uśmiechem:

- Radzę panu wierzyć.

Carvalho wyjął z kieszeni paszport i podał go policjantowi. Dostrzegł kątem oka, że recepcjoniści obserwują całą scenę, opierając łokcie o kontuar.

- Bardzo dobrze, panie Carvalho. Jestem do pana dyspozycji. Czego pan szuka w „Malasya”?
- Znosi się na małe przesłuchanie. Zaczyna pan od pytań.
- Proszę mi wybaczyć. To skrzywienie zawodowe. Zapomnijmy o tym. Wydaje mi się, że zamieszkał pan w „Dhusit Thani” i pewnie nie chce się pan tutaj przenieść.
- Ten hotel wygląda na bardziej zabawny.
- To zależy, jakie pan lubi rozrywki.

Carvalho nie ruszał się z miejsca, czekając, aż Charoen coś zaproponuje.

- Pańskiej przyjaciółki nie ma w hotelu.
- A gdzie jest?
- Tego nie wiem.

- Tak naprawdę to szukałem Jungle Kida.

Charoen uniósł brwi, oceniając odpowiedź Carvalha.

- Dopiero pan przyjechał do Bangkoku, a już zna pan Jungle Kida. Szybko się pan uczy.
- Może Jungle Kid wie to, czego my obaj nie wiemy: gdzie jest Teresa.
- Nie wie, na szczęście dla niej i dla pana.

Charoen skłonił się uprzejmie, wskazując drzwi wyjściowe. Detektywowi wydało się, że inspektor wymienia porozumiewawcze spojrzenie z potężnym mężczyzną siedzącym na jednym z brązowych foteli z plastiku. Był to starszy, ale silny mężczyzna, powieki spaniela zakrywały skośne oczy, czaszka była całkowicie wygolona, a ostre wąsiki układały się nad mięsistymi wargami. Wyszli z hotelu: po lewej stronie reklamował się krawiec - zamówienia ekspresowe - naprzeciw drzwi był parking dla hotelowych samochodów, a po prawej wyjście na ulicę i szyld baru „Lisboa”. Charoen ruszył w kierunku baru, robiąc przejście dla Carvalha i zapraszając go dworskimi gestami pazia. Kiedy byli na miejscu, inspektor wskazał stolik i zamówił dwie szklanki mekongu.

- To whisky z ryżu, jeżeli nigdy pan tego nie pił, na pewno panu posmakuje. A może już próbował pan mekongu, teraz albo w czasie poprzedniej bytności w Bangkoku?

- Wiedział pan, że już byłem w Bangkoku?
- Dysponujemy archiwum, niezbyt dobrym, ale wystarczającym jak na nasze potrzeby. Bangkok nie jest centrum świata, ale mimo wszystko jest jednym z najważniejszych miast Azji.

Kelner przyniósł dwie szklanki wypełnione pokruszonym lodem i płynem, którego kolor przypominał whisky. Carvalho znów poczuł smak mekongu, whisky o lekkim, ryżowym, przyjemnym smaku

- Smakuje panu?
- Zawsze mi smakował.
- Cudzoziemcy od razu zakochują się w mekongu. Jest tani i tak zdrowy jak szkocka whisky.

Charoen przesunął dłoń po włosach, potem jego ręka opadła łagodnie, zatrzymując się na szklance.

- Ciekaw jestem, co pan zamierza robić w Bangkoku.
- Przede wszystkim chcę wiedzieć, w jaki sposób mogę odnaleźć Teresę Marsé i zabrać ją do Hiszpanii.
- Odnalezienie tej pani jest możliwe, ale niech pan sobie wybije z głowy zabranie jej do kraju. W grę wchodzi morderstwo.

- Wątpię, żeby Teresa zabiła tego chłopca.
- Dowiedział się pan też o morderstwie? W takim razie wie pan, o kogo chodzi?
- Nie rozumiem wagi, jaką przypisujecie gangsterowi, synowi innego gangstera.

Charoen przymrużył oczy i uśmiechnął się, jakby przepaszając za słowa, które zaraz wypowie.



- Gangster gangsterowi nierówny. W niektórych częściach Stanów Zjednoczonych gangsterzy zostają nawet burmistrzami albo szefami związków zawodowych. Jungle Kid nie jest zwyczajnym gangsterem i policja tajlandzka mogłaby mieć kłopoty, gdyby Jungle Kid się na nią obraził.

- Gdzie można go znaleźć?

- Tutaj.

- Tu? W tym barze?

- Nie. Ale był bardzo blisko nas. Siedział w hallu, kiedy miałem przyjemność pana powitać.

Obraz mężczyzny o wygolonej czaszce nałożył się na twarz starego dziecka, należąca do Charoena.

- Ukłonił mu się pan, gdy wychodziliśmy.

- Rozpoznałem go, nic więcej. Nigdy nie rozmawiałem z Jungle Kidem.

- Traktuje go pan z rezerwą.

- To raczej on zachowuje dystans. Rozmawia z moimi szefami, nie ze mną.

- Jest przewodnikiem turystów.

- Tak. ale zawsze ma rezerwację na loty do Rangún, Bangkoku. Taipei. Hongkongu, Paryża, a zanim zamknie granicę z Laosem, spędzał pół tygodnia w Vientiane. To nie jest zwykły przewodnik ani zwykły gangster.

- I mimo to siedzi w tej hotelowej norze?

- Ma wielką rezydencję w Kuomingtanie, miasteczku założonym przez 91. Dywizję Czang Kaj-szeka, ale kiedy jest w Bangkoku, czuje się najlepiej w „Malasya”. To normalne. Ja na przykład urodziłem się w biednej części miasta, na lewym brzegu Chao Phraya. obok kanału Bangkok Yai. Dzisiaj mieszkam w centrum, mam bieżącą wodę i światło, rozumie pan? Ale tak naprawdę jestem chłopakiem z Bangkok Yai.

Carvalho bawił się, rozprawdzając po stole kałużę whisky i lodowatej wody. i z brzegu mekongowej rzeki zapytał:

- Trzeba będzie szukać Teresy bez pomocy Jungle Kida?

- Tak. Bo w tym przypadku Jungle Kid nie pomógłby ani panu. ani policji. Chce się zemścić.

Charoen zaczął opowiadać historię, którą Carvalho słyszał już w ambasadzie. Detektyw próbował wyobrazić sobie scenę, w której Teresa zaproponowała Architowi kradzież kamieni. Nigdy nie zrobiłaby tego w Barcelonie, Rzymie albo Paryżu, bo wiedziała, że istnieją tam środki przymusu, znała ich kolor i język. Ale historia z Architem wydała się jej przygodowym filmem, w której występują Chińczycy, a nad zakończeniem czuwa Paramount albo Metro Goldwyn Mayer; odległość z Bangkoku do Barcelony albo do Masnou była zbyt duża, by Teresa mogła rozumować logicznie lub kierować się zasadami moralnymi. Archit? Kim był ten chłopak, na pozór nikczemny, który z miłości do cudzoziemki posunął się do złamania swojego kodeksu moralnego, do zbrodni, a może nawet sam skazał się na śmierć?

- Jaki jest ten chłopak?

- Kogo pan ma na myśli?

- Archita.

Charoen wzruszył ramionami.

- To smutna historia, jak tylu milionów innych dzieci w Azji. Od dziecka musiał walczyć na ulicy o przetrwanie. Jego ojciec jest narkomanem, który w swoim czasie nie potrafił wykorzystać żadnej szansy. Nawet wtedy, gdy Archit miał potężnych przyjaciół i chciał mu pomóc. Ojciec jest śmieciem. Jest już bliski śmierci. Na rozkaz Jungle Kida odcięto mu narkotyki.

- Nie mogą umieścić go w szpitalu?

- W Tajlandii trzeba stać w kolejce, żeby dostać się do szpitala, a ten gnijący staruch nie miałby na to siły. Poza tym nie wiem, co zrobiłby Jungle Kid, gdyby stary znalazł się w szpitalu.

- Jungle Kid.

- Dużo pan o nim jeszcze usłyszyci. Mam nadzieję, że nie zabawi pan u nas zbyt długo. Tajlandia jest uroczym krajem dla turystów, ale wygada brzydko, gdy pozna się ją od strony rynsztoka.

- Muszę odnaleźć Teresę. Ktoś musi wiedzieć, gdzie oni są.

- Z pewnością.

- Archit na pewno poprosił o pomoc przyjaciół albo krewnych.

- Wszystkich już sprawdziliśmy.

Charoen spoważniał, akcentując moralną nieugiętość policjanta. Wyczekiwał w napięciu, aż Carvalho sam wyjawia plan działania.

- Co mi pan radzi, Charoen?

- Niech pan wróci do domu i pozwoli nam działać.

- Tego nie mogę zrobić.

- Wobec tego niech pan idzie naszym tropem, może dopisze panu szczęście. Przyniosłem listę przyjaciół Archita i miejsc, w których często bywał.

- Przyjaciele mogą mu pomóc w ucieczce z kraju.

- Nie ma już takich przyjaciół.

Powiedział z brutalną pewnością siebie, tonem, jakim ogłasza się egzekucję.

- Prawdopodobnie nikt nie będzie mógł im pomóc i powiem panu jeszcze jedną rzecz, którą może pan interpretować wedle uznania. Jeżeli znajdzie ich pan, w co wątpię, ale jeżeli pan ich w końcu znajdzie, proszę pamiętać o jednej rzeczy: niech pan nie próbuje wyciągać ich z kraju na własną rękę. a przede wszystkim, niech pan nie próbuje wyciągać ich obojga. Ktoś musi zapłacić za morderstwo.

- Archit?

- Archit.

- Poza tym są jeszcze diamenty.

Charoen milczał przez chwilę, świadomy efektu, jaki wzbudzą jego słowa, jeśli nie odpowie od razu.

- Diamenty nie stanowią już problemu. Po zabójstwie Archit i Hiszpanka oddali je właścicielom. Próbowali ich zmiękczyć. Mówię to panu w tajemnicy, zdaje się, że ambasada nic o tym nie wie.

- Ale tamci nie dali się ubłagać.

- Przynajmniej nie Jungle Kid.

Charoen wyjął z kieszeni zmięte papiery, wybrał z nich jeden i wręczył go detektywowi.

- To jest lista miejsc i osób. Na pana miejscu sprawdziłbym jego znajomych. Zapewniam pana, że miejsca nie mówią, ale od niektórych osób może się pan czegoś dowiedzieć. Z przyjemnością będę panu towarzyszył w tych spotkaniach.

- Wolalbym pracować na własny rachunek.

- Myli się pan. Pomożemy panu.

- Nie sądzę, żebym potrzebował pomocy.

- Bez tego nic pan nie zdziała.

Charoen wstał, powtórzył machinalny gest, dotykając dłonią włosów, i skłonił się lekko. Detektyw zaczął studiować kartkę, otrzymaną od policjanta, nagle przypomniał sobie, że nie ustalił daty następnego spotkania i wyszedł z baru w poszukiwaniu Charoena. Policjant właśnie wsiadał do białego samochodu. Carvalho zawołał go.

- Nie umówiliśmy się na spotkanie.

- Nietrudno jest odnaleźć cudzoziemca w Bangkoku.

Charoen znów się uklonił, wsiadł do samochodu i natychmiast ruszył. Carvalho stał na środku ulicy, obserwowany przez ciekawskich, niechłujnych boyów z „Malasya”. Jeden z nich podszedł do detektywa, oferując dziewczyny, które najwyraźniej pracowały w hotelu. Carvalho odmówił i boy zaproponował mu chłopców. Detektyw nie odpowiedział i ruszył w stronę swojego hotelu; jeden z boyów poszedł w ślad za nim. Carvalho lepił się od potu, zatęsknił teraz za małym basenem „Dusit Thani” i syrenim śpiewem klimatyzacji. Obecność prześladowcy wprawiała go w zły humor. Tamten miał nad nim przewagę, choćby dlatego, że się nie pocił, na pewno będzie towarzyszył mu przez cały czas, a jeśli nie on, to inny Azjata, cała Azja będzie śledzić daremną wędrówkę Carvalha. Powrót do „Dusit Thani” oznaczał marnowanie pieniędzy pani Marsé i czasu, który powinien poświęcić na szukanie Teresy. Wyszedł na szeroką aleję i na horyzoncie zobaczył Sathorn Road, drogę szybkiego ruchu, prowadzącą w stronę rzeki lub do labiryntowego parku Lumpini. Ulice były pełne Tajów, zgromadzonych wokół przenośnych kuchni, z których unosiły się opary ryżu i bulionów z warzywami, kurczakiem i chudą wieprzowiną, przyciągające niebieskie muchy. Obok kuchenek rury wydechowe indywidualnych i zbiorowych tuk-tuków wyrzucały piekielny dym. Twarze wydawały się identyczne, i to wrażenie wzmacniał jeszcze niezrozumiały język szyldów, choć czasem sklepy przemawiały po angielsku, reklamując znane firmy. Nagle detektywowi wydało się, że nigdy nie odnajdzie Teresy, że właśnie w Bangkoku zrozumie w całej pełni tę przestrożę: nie można znaleźć igły w stogu siana.

- Ploszę pana, ploszę pana!

Odwrócił się i zobaczył Jacinto, stojącego na schodkach klimatyzowanego autokaru.

- Zwiedzamy świątynie. Byliśmy już w świątyni Złotego Buddy, a teraz idziemy do Szmalagdowego Buddy.

Carvalho spojrział na pasażerów autokaru: Hiszpania pokazywała palcami żółtych Azjatów, maszerujących ulicami. Detektyw mógł uciec przed prześladowcą, chroniąc się w miłym chłodzie klimatyzowanego autokaru, pod warunkiem, że zwiedziłby świątynie Bangkoku, które kojarzyły mu się z walencjańskimi kukłami, inkrustowanymi kawałkami materiału w różnych kolorach: białym, pomarańczowym, zielonym i czerwonym; musiałby wysłuchać komentarzy ludzi, którzy biorą poważnie teatralne objaśnienia kleru katolickiego, ale kpią sobie z teatralnych objaśnień buddyjskich mnichów, padają na kolana przed nieskalanym ramieniem świętej Teresy, ale umarliby ze śmiechu, gdyby Jacinto powiedział im, że pod ogromną świątynią zakopany jest ząb Buddy.

- Wybacz, Jacinto, jestem zmęczony, właśnie szedłem do hotelu.

- Niech pan wsiada. Będziemy przejeżdżać obok.

W autokarze przyjęto Carvalha z pewnym zaciekawieniem. Usiadł w kącie obok kawalerów, sceptycznych wobec masy buddyzmu, która zwaliła im się na głowę.

- Jak tam?

- Świątynie, strasznie nudne.

- My jesteśmy zwierzętami nocy.

Roześmiali się. Jeden z kawalerów nachylił się do Carvalha, mrugnął porozumiewawczo i powiedział:

- „Atami”. Niech pan nie zapomni tej nazwy.

Carvalho myślał przez chwilę, że zagadkowa rada ma związek ze sprawą Teresy Marsé. Ale rekomendacja miała także swoją drugą część:

- „Mona Lisa” jest bardziej elegancka. Ale najlepsze babki są w „Atami”.

Carvalho podziękował za radę i zapisał na kawałku kartki nazwę „Atami”. Potem przyjrzał się mieszkańcom autokaru i nagle zobaczył jednego z mężczyzn, którzy uczestniczyli w nocnej eskapadzie. Mężczyzna udał, że go nie zna, i odwrócił wzrok.

Inicjatywa należała do Bromura. Biscuter spacerował melancholijnie po placu Arco del Teatro. Bromuro zawołał go, pochylony w pozycji pucybuta nad mokasynami właściciela „Alp Sport”, sklepu z artykułami sportowymi, który niedawno otwarto na ulicy Escudillers.

- Biscuter, jesteś blady jak śmierć, chłopie.

- A jaki mam być? Prawie nie wychodzę z domu. A jak wyjdę, to nie wiem, co ze sobą robić. Jestem sam, przez cały dzień tylko łączę w górę i w dół. A jak zostaję w biurze, to nie wiem, czym się zająć. To samo na ulicy.

Bromuro miał dobry dzień, kręcił młynka szczotką z przodu i z tyłu, a jego chude ciało w cudowny sposób trzymało się na zgiętych nogach.

- Popatrz tylko, jaki połysk, Biscuter.

Spoglądał z ukosa, żeby sprawdzić, czy jego umiejętności wywołały jakieś wrażenie na śmiertelnie poważnym kliencie, pogrążonym w lekturze gazety.

- Jak się nudzisz, Biscuter, to zjeżdż i pogadaj sobie ze mną. Gdzie jest Pepe? .

- W Tajlandii.

- By go cholera wzięła. Daleko go zaniósł.

- A ty nie możesz do mnie wpaść?

- Ja muszę być z klientami.

I uśmiechnął się do niewzruszonego klienta, pokazując żółte, wyszczerbione zęby.

- Mam w lodówce ossobuco i wcale nie wiem, kto to zje.

- To zwierzę jest jadalne?

- Tak się nazywa łydka wołowa, golonka, tylko że kroi się ją w inny sposób, w plastry.

- I jest dobra?

- Wyśmienita.

- Pan na pewno kiedyś próbował ossobuco, prawda?

Klient odłożył gazetę, spojrzął ze zdumieniem na dwa ludzkie wraki, rozmawiające ze sobą. mruknął potakująco i wrócił do swojego papierowego domku.

- No to zajrzę do ciebie, Biscuter, bo ostatnio jadam kiepsko i mało. Nie mam zaufania do tego, co się teraz sprzedaje i gotuje, więc jem tylko surowe warzywa i jestem zdrow jak ryba, ale czuję taki głód, jak nie wiem co.

- Wobec tego idę na górę, zagrzeję jedzenie.

Biscuter rozchmurzył się, szybko przemierzył Ramblas i wbiegł na schody biura, przeskakując po dwa stopnie. Nie zamknął za sobą drzwi, tylko poszedł prosto do małej lodówki i wyjął z zamrażalnika aluminiowy garnek, w którym spały dwa plastry ossobuco z grzybami. Ogień zaraz obudził bestię, a zapach szalwii i czosnku wypełnił biuro. Biscuter podszedł do drzwi, by powitać Biscutera. Nos pucybuta pokrywały pryszczki i drobne żyłki.

- Cholera, Biscuter, gotujesz zupełnie jak moja matka. Pachnie tak, jak jedzenie matki.

Biscuterowi nie spodobał się ten komentarz, oczy zaszyły mu mgłą i musiał pobiec do swojej klitki, by wysuszyć nieodzowne łzy.

- Co się z tobą dzieje?

- Niedawno umarła mi matka.

- Współczuję ci, Biscuter. Pepe nic mi nie mówił, gdybym wiedział, poszedłbym na pogrzeb.

Biscuter odłożył na bok papiery Cawalha, rozłożył dwie płócienne serwetki i słomianą podstawkę, na której postawił garnek z dymiącym ossobuco. Później przyniósł z kuchni dwa talerze z kopkami ryżu pilaw, szklanki i butelkę czerwonego wina „Torres Danta Digna”, napoczętą przez Carvalha, z której Biscuter nalewał sobie szklaneczkę do obiadu, nie ośmielając się tykać wina przy kolacji.

- Rany Boga, i do tego markowe wino! Od dawna Pepe nie podarował mi butelki. Ależ ten facet pije.

- A jak lubi jeść, - dodał chwilę potem, pakując sobie do ust pół kilo mięsa.

- Mówisz, że to twoje dzieło, Biscuter? Masz złote ręce. Jak założę restaurację, zgłoszę się do ciebie.

Biscuter przytaknął, oceniając wzrokiem fizyczną ruinę, jaką był Bromuro; prześwitująca łysina pełna była zmarszczek, żyłek, krost i plam po świerzbie.

- Przepraszam bardzo.

Biscuter i Bromuro odruchowo zakryli dłońmi talerze, jakby chcieli je ochronić albo ukryć, i spojrzeli na intruzkę.

- Nazywam się Marta Miguel i szukam pana Jose Carvalha.

Biscuter wytarł wysmarowane tłuszczem wargi, zmrużył oczy i powiedział ołowianym głosem, wydobywającym się z głębi gardła:

- Pana Carvalha nie ma. Wyjechał.

- Na jak długo?

- Tego się nie da określić - powiedział Biscuter, rysując w powietrzu gest, jakim zaprasza się żonę pułkownika, niedawno przyjętą do londyńskiego klubu.

- Nie chcę panom przeszkadzać. Daleko wyjechał?

- Do Bangkoku. Został wezwany w jednej ze spraw, które prowadzimy. Czasami musimy podróżować. Bo, jak mówi pan Carvalho, wiatr w Kalkucie może wywołać grypę w Tarrasie.

- Święte słowa - wtrącił Bromuro, który właśnie odzyskał nóż i widelec i trzymał sztucce w pozycji „prezentuj broń”, chcąc rzucić się najedzenie, jak tylko sytuacja wróci do normy.

- Proszę sobie nie przeszkadzać, bo zimne jedzenie nie jest nic warte. Smacznego.

- Skosztuje pani?

- Właśnie jadłam, dziękuję.

- Za pozwoleniem, proszę pani - uprzedził Bromuro i pochłonął resztę ossobuco, pozostawiając w całkowitej samotności kość i szpik.

- Jeżeli nie mają panowie nic przeciwko temu, wrócę później albo zaczekam, chciałabym wiedzieć, kiedy wraca pan Carvalho i czy nie zostawił dla mnie jakiejś wiadomości.

- Już skończyliśmy.

- Nic już nie zostało?

Biscuter odpowiedział na pytanie Bromura, przynosząc z kuchni resztki mięsa, sosu i białego ryżu.

- Jak słowo daję, Biscuter, nie jadłem tak, odkąd Pepino zaprosił mnie do „Agut d'Avignon”. ale nie czułem się dobrze w tym towarzystwie, bo chociaż założyłem krawat, a może właśnie dlatego, że miałem to świniństwo pod szyją, wyglądałem jak szubienicznik. Masz coś na deser, Biscuter?

- Są bezy z Ronda.

- Cholera, Biscuter, ja tak przepadam za bezami.

- Tylko że są trochę wysuszone.

- Lepiej będą smakować. Wbrew pozorom wysuszona beza ma lepszy smak, a ja coś o tym wiem, miałem być synem ciastkarza, bo pierwszy narzeczony mojej matki miał ciastkarnię w Atienza.

Widząc, z jaką prędkością Bromuro pożera bezy, Biscuter podarował mu całe pudełko i przyglądał się, jak pucybut opróżnia butelkę wina i wyciera sobie usta rękawem marynarki à la księżę Walii. Na rękawach, podobnie jak na rękach Bromura, znać było ślady starej, solidnej pasty do butów, które pojawiły się tam w czasach, gdy czyścibut wyciągnął marynarkę z kubła na śmieci.

- Jak nowa - podziwiał marynarkę Bromuro.

- Znalazłem ją, kiedy Fraga był ministrem spraw wewnętrznych.

- Mam w domu garnitur ojca. On był pana wzrostu. Mogę panu ten garnitur sprezentować. Gdzie mogę pana znaleźć?

- Z przyjemnością przyjmę, proszę pani. Zawsze jestem tutaj, na dole, albo zapyta pani kogokolwiek na południowych Ramblas, jestem najstarszy z tych, co pracują na cudzy koszt.

- Jak to na cudzy koszt? - zastanowił się strapiiony Biscuter.

- Zawsze pracuje się na cudzy koszt, Biscuter, nie zapomnij nigdy tej prawdy, ani osoby, która ci to powiedziała.

Biscuter zabrał się do uprzątnięcia stołu, próbując wyobrazić sobie, w jaki sposób robią to kelnerzy z wytwornych restauracji. Wszystko z powodu Marty Miguel, która tkwiła nieruchomo na krześle, z rękami na złączonych kolanach i tyłkiem nie do końca przylepionym do siedzenia. Biscuter wyrzucał sobie, że zaproponował tej pani najpierw kawę, potem drinka, a na końcu carajillo<sup>27</sup>. Najbardziej bolała go strata carajillo i przeklinał za to samego siebie, układając w zlewie stos brudnych talerzy, myśląc o tym, jak postępować z damą pod nieobecność szefa. Przejrzał się w oksydowanym lustrze, wiszącym w jego pokoju nad małą umywalką, zmoczył dłonie i spróbował poskromić snopy szczeciniastych włosów blond, które wznosiły się w kierunku stratosfery. Pogrzebał w plastikowej szafie, zamykanej na zamek błyskawiczny, wyciągnął z niej trykotowy krawat i zawiązał go wokół ptasiej szyi. Potem wrzucił na siebie starą sztruksową marynarkę Carvalha, przerobioną przez krawca, wyczyścił buty tą samą szczotką, której używał do czyszczenia ubrania, i wrócił do Marty Miguel z miną wyrażającą coś pomiędzy szacunkiem i obawą.

- Czym mogę pani służyć? - powiedział, usadzając się z całą naturalnością na obrotowym fotelu Carvalha.

- Jest pan pewien, że pan Carvalho nie zostawił dla mnie żadnej informacji?

- Pani godność...

- Marta Miguel.

- Nic mi to nie mówi. Kiedy widziałem go ostatnim razem, wspominał mi o wielu rzeczach, możliwe, że zapomniałem. Sprawdź w szufladzie z bieżącymi sprawami.

Otworzył szufladę i ujrzał trzy butelki orujo w całej okazałości.

- Niestety, nic nie ma. Ale może wyjaśni mi pani, w czym rzecz.

- Rzeczywiście, nic konkretnego nie wiadomo. Ale myślałam, że może pan Carvalho rozmawiał z panem o mojej sprawie. Nie jestem klientką. Jestem przyjaciółką.

- Mój szef traktuje klientów jak przyjaciół i... przyjaciół jak klientów, chciał już dodać, ale pomyślał, że to nonsens, i ugryzł się w język.

- Policja naprzykrza mi się, bo byłam świadkiem, a właściwie towarzyszyłam osobie, którą później zamordowano. Może pan czytał w gazecie. Chodzi o zabójstwo tej blondynki, Celi Mataix.

---

<sup>27</sup> Kawa z alkoholem - najczęściej anyżówką, koniakiem lub rumem (przyp. tłum.).

- Cholera, już sobie przypominam, sprawa butelki szampana. Przypominam sobie, że szef bardzo się tym interesował i teraz rozumiem, dlaczego, pani jest jego przyjaciółką i jasne, że ta sprawa leżała mu na wątrobie. Robi wrażenie wyrachowanego człowieka, co to nie myśli o innych, ale niech pani zauważy, on zawsze o wszystkim pamięta, potrafi być miły dla wszystkich. Dla mnie, dla panny Charo, dla Bromurą. Otworzył mi książeczkę oszczędnościową w Caixa i wyznaczył mnie na swojego spadkobiercę, co pani o tym myśli? Nie chodzi o to, żebym dużo po nim odziedziczył, ale o ładny gest. Poza tym zawsze pyta, czy czego nie potrzebuję. Nawet żebrak nie założyłby tych butów, Biscuter, musimy je zmienić, i nie ustąpi, aż sobie nie sprawię nowych. A jem to samo, co on. Sam sobie kupuję jedzenie, sam gotuję i jem. Tyle że nie mam pensji, ale opłacił mi ubezpieczenie, jakbym był regularnym pracownikiem. A przecież ja o nic go nie prosiłem. Wszystko wyszło od niego. Załatwił mi to pan Enric, jego przyjaciel z Vallvidrera, który jest administratorem, i dzięki temu w przyszłości będę miał emeryturę. Czasem sam nie wierzę w moje szczęście. Ale miałeś farta, Biscuter.

- Policja znowu zaczyna być uciążliwa. Czepiają się porządnym ludzi.

- Mnie pani tego nie musi mówić. Teraz jestem uczciwym człowiekiem, ale dawniej lubiłem pożyczać sobie samochody, zwłaszcza te ładniejsze. Jak tylko zniknął jakiś samochód, zawsze winny był Biscuter, i zawsze kazali mi zjadać tę żabę, choćbym był niewinny. Kiedyś mnie przyskrzynili z gordini, idę podpisać zeznanie i widzę, że oskarżają mnie o kradzież wszystkich samochodów, które parkują na ulicy Pelayo. I nie podpisałem...

- Przykro mi, że zabrałam panu czas. Już idę.

- Wcale mi pani nie przeszkadza. Zrobię coś dla pani. Chwileczkę.

Dwa złożone palce Biscutera wskazywały dokładnie tę chwilkę, której potrzebował. Chwył telefon i wykręcił numer.

- Panno Charo, Biscuter przy aparacie. Odwiedziła mnie pewna pani, serdeczna przyjaciółka szefa. Nazywa się Miguel. Nie, Miguel to nazwisko. Czy przed wyjazdem szef wspominał coś o tej pani? Powtarzam, Marta Miguel. Marta Miguel.

Biscuter zmarszczył prawą brew, przygotowując się na rewelacje Charo.

- Co to za żarty, Biscuter? Odkąd to Pepe opowiada mi o swoich romansach albo interesach?

Prawa brew Biscutera odzyskała pozycję horyzontalną.

- A więc nic pani nie wyjawiał.

- Wyłącz się już, Biscuter, i nie dzwoń do mnie, żeby mi opowiadać o twoim szefie. Mam go powyżej uszu.

Rozmowę przerwał szloch, potem Charo odłożyła słuchawkę. Biscuter udał, że wciąż rozmawia, pożegnał się i z ciężkim westchnieniem odłożył aparat na swoje miejsce.

- Przykro mi, ale nie możemy pani pomóc.

Marta Miguel zamyśliła się i Biscuter powtórzył swoją konkluzję.

- Dziękuję panu za wszystko. Może ta dziewczyna coś by sobie przypomniała, gdybym porozmawiała z nią osobiście.

- Z przyjemnością dam pani adres i numer telefonu panny Charo.

Biscuter zapisał adres na jednej z kartek, jakich Carvalho używał do robienia notatek, i podał ją Marcie Miguel.

- Mieszka niedaleko stąd, w nowych domach przy ulicy Peracamps. Nowe, tak się mówi... Wydają się nowe w porównaniu z innymi domami, ale mają już ponad dziesięć lat.

Marta schowała kartkę do torby przewieszanej przez ramię. Ucisnęła dłoń Biscutera i wyszła na schody, nie wiedząc dokładnie, po jakich schodach schodzi, ani w jakim celu. Znalazła się na Ramblas, dała się ponieść fali przechodniów, idących na południe, w stronę portu. Skręciła w prawo, dotarła do Reales Atarazanas i zatrzymała się przez chwilę, obserwując perspektywę ulicy Peracamps, barwną aplikację na szarym płótnie Chińskiej Dzielnicy. Wyjęła z kieszeni kartkę, którą dostała od Biscutera, i zaczęła szukać domu Charo, a gdy już go znalazła, postanowiła ocenić wysokość budynku, jakby to było ważne albo miało związek z jakimś istotnym szczegółem, który wyleciał jej z pamięci. Przeszła na drugą stronę, żeby popatrzeć na dom z perspektywy. Dziewczyna mieszkała pewnie na poddaszu, w oknach widać było rośliny, kwiaty, a nawet drzewko. Poszła w górę ulicy, przemierzyła Conde del Asalto i znalazła się w szarych wnętrznościach Barcelony, sama nie wiedząc, czego szuka. Zatrzymała się na Robadors, ale spojrzenia kilku mężczyzn, wałęsających się bez celu, wyгнаły ją na ulicę Hospital, w stronę ogrodów, gdzie po raz pierwszy spotkała się z Carvalhem. Jej auto stało na parkingu Gardunya, na cmentarzu samochodów, czekających na

popołudniowe ożywienie targu Boqueria. Powietrze było przesycone smrodem śmieci, nagromadzonych w pojemnikach, odpady wżarty się w asfalt i chodnik jak historyczna zgnilizna. Cztery starzy, brudni mężczyźni o wyglądzie łachmaniarzy rozpalili ognisko i rozmawiali o tym, co udało im się zdobyć w trakcie drobiazgowych poszukiwań w wielkich pojemnikach na śmieci, z których korzystali sprzedawcy z targu: długa bułka, brudne i nieświeże liście sałaty, miękki pomidor, parę jabłek, kurza szyjka. Jeden z mężczyzn obwąchiwał prawie pusty flakonik perfum, potem dał go swoim kolegom, żeby i oni poznali ten krótkotrwały, darmowy cud, ukryty na dnie buteleczki. Inny mężczyzna zdał sobie sprawę z obecności Marty, która patrzyła na nich osłupiałym wzrokiem. Powiedział coś do kolegów i cztery ciemne twarze, cztery pary zaczerwienionych oczu, cztery głowy, zwieńczone skorupą zrobioną z włosów, zimna, snu, rosy i nicości, zwróciły się do kobiety, by obserwować ją, jakby była kubłem, w którym można coś znaleźć. Cała agresja, na jaką mogli się zdobyć, zawierała się w spojrzeniu, bo te pokonane zwierzęta nie były w stanie posunąć się dalej. Marta zbliżyła się do mężczyzny, który stał najbliżej parkingu, i podała mu sto peset ponad barierką. Usta otworzyły się, by powiedzieć „dziękuję, królowo”, ale oczy mówiły wyraźnie, że nic nie rozumieją.

„Wczoraj Tajlandia otrzymała od rządu Stanów Zjednoczonych łódź patrolową, która ma wesprzeć wysiłki, zmierzające do likwidacji piractwa w Zatoce Syjamskiej”.

Basen „Dusit Thani” zdawał się potwierdzać dobre stosunki między rządami Stanów Zjednoczonych i Tajlandii, o których informował „Bangkok Post”. Carvalho odłożył gazetę i zadumał się nad tym, czego szukają w Bangkoku ci ogłupiali Amerykanie: rano kąpali się, zostawiali swoje żony na basenie, wracali do nich wieczorem i znów brali kąpiel, by odświeżyć się po całodziennej wędrówce. Turyci byli w przeważającej części Europejczykami lub Australijczykami, młodzi Amerykanie, jak się wydawało, przyjechali po to, żeby grać w tenisa, a grubi weterani robili interesy, w przerwach zaś wystawiali swoje zdeorientowane ciała na ostatnie promienie słońca, jakie zdołały przeniknąć przez szczelinę między wysokimi ścianami hotelu. Ciała, które przekroczyły już pięćdziesiątkę, znużenie i obojętność na twarzach, rytuał burbonu z lodem, pocałunek przed kolacją, opalone i lepiej od nich zakonserwowane kobiety, jakaś uwaga, książka McLeana. Młodzi, wysocy Amerykanie spacerowali po hotelowym hallu, popisując się opalenizną i rakietami tenisowymi, albo kładli się na podłodze, wykonując ćwiczenia relaksacyjne. Personel hotelu musiał tolerować te wybryki, omijając ciała rozłożone między walizkami, pilotami wycieczek i grupami weteranów, którzy stąpali ostrożnie, by nie nadepnąć na tenisistów Imperium. Carvalho ocenił korpulentne kształty zielonookiej czarnulki, która powitała swojego męża tak, jakby żądała od niego wyjaśnień, dlaczego przegrał wojnę w Wietnamie. Detektyw miał pod ręką szklankę mekongu z lodem, a z drugiej strony „Bangkok Post”. Rozkoszował się falą chłodnego powietrza, dochodzącą od sztucznego wodospadu. Nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, kim jest mężczyzna, który przystanął obok drewnianego leżaka, bo wiedział z całą pewnością, że to Charoen. Zaczekał na słowa policjanta.

- Więc jednak wybrał pan Tajlandię turystyczną.
- Odwodniłem się. Pot przeżarł mi pasek od zegarka.
- Nie ruszył się pan z hotelu.

To nie było pytanie, lecz stwierdzenie, wyrażające swego rodzaju zawód. Tylu ludzi było przygotowanych do śledzenia Carvalho, a on przez cały czas siedział w hotelu.

- Lista, którą mi pan dał, nie jest zbyt jasna. Figuruje na niej więcej barów i sklepów niż osób, a co do osób, to nie wiem, od kogo zacząć.

- Mogę panu pomóc.
- Nie wątpię.

- Na tej liście jest jedno szczególnie ciekawe nazwisko. Warto, żeby pan dzisiaj spotkał się z tą osobą.

Carvalho wyciągnął kartkę z podręcznej torby i podał ją Charoenowi.

- Proszę powiedzieć, o kogo chodzi.

- Lubi pan kuchnię wietnamską?

- Nie mam przyjemności jej znać.

- Niedaleko stąd jest wietnamska restauracja. Nazywa się „Annam”. Radzę panu pójść tam dzisiaj na kolację.

Charoen zwrócił mu kartkę i rzucił okiem na posępnych ludzi, odpoczywających wokół basenu.

- O ósmej - dodał Charoen i powiedział tym samym tonem: - Pyszny jest ten hotel.

- Może mi pan powiedzieć, skąd się tu wzięło tylu Amerykanów?

Charoen wybuchnął śmiechem.

- Wszędzie ich pełno.

- Co tu robią?

- Doradzają, pilnują. Bangkok jest ich stolicą w tej części Azji. Co by się z nami stało, gdyby nie Amerykanie?

- Bronią was przed piratami.

- I przed komunistami. Znowu pojawiła się partyzantka w dżungli na południu. Nasz premier niedawno pojechał do Chin, a tutejsi komuniści wykonują polecenia Sowietów. Przedostają się do kraju z Kambodży albo z Laosu, a teraz hałasują, żeby wywrzeć nacisk na premiera. W Hiszpanii są komuniści?

- Zostało kilku.

- Są uzbrojeni?

- Nie. Całkowicie rozbrojeni.

- I co robią?

- Przegrywają wybory.

- Komuniści nigdy nie przegrywają.

- Ci wszyscy Amerykanie walczą z płatnymi komunistami?

- Nie. Kontrolują też handel narkotykami.

- Walczą z narkotykami?

- Nie. Walczą z przemysłem narkotyków do Stanów Zjednoczonych. Nie obchodzą ich narkotyki, które idą do innych państw, do Europy, Australii. Słyszał pan o DEA? To jest stałe przedstawicielstwo amerykańskie w Bangkoku, które zwalcza przemyt heroiny ze Złotego Trójkąta do Stanów Zjednoczonych. Tylko to jedno ich obchodzi. Czasem negocjują z przemytnikami. Znają pola uprawne i tajne laboratoria lepiej niż my wszyscy. No, może prawie wszyscy - poprawił się Charoen. - Połowa Tajlandii walczy z heroiną, a druga połowa ją produkuje, połowa Tajlandii walczy z handlem żywym towarem, a druga połowa z tego żyje. Od szczytów władzy po drobnego pośrednika. Jeden generał wsadza handlarzy do więzienia, a inny ich stamtąd wyciąga, bo kieruje przemysłem, rozumie pan? W efekcie mamy pewną równowagę. Myśli pan, że byłoby widać dobro, gdyby nie istniało zło?

W jego słowach nie było sarkazmu, a jedynie szacunek dla obiektywnej prawdy, ten sam szacunek, z jakim Jacinto informował swoją turystyczną klientelę i ta sama szczerść, którą słyhać było w głosie pilota, kiedy tego ranka wskazał brzuch jednego z turystów i powiedział:

- Wąż. Pan ma wąż w ślodku.

- Co pan ma na myśli?

- W Tajlandia, gdy ktoś widzi głuby człowiek, mówi: ten człowiek ma wąż w brzuchu.

Charoen powiedział po prostu, że cały kraj ma węża w brzuchu.

- W takim razie o ósmej, w "Annam".

- Pan tam będzie?

- Nie. Ale niech się pan nie martwi.

- Mam zapytać o kogoś konkretnego?

- Nie.

Charoen skłonił się lekko i odszedł po schodach, znajdujących się obok wodospadu. Carvalho zebrał rzeczy i poszedł do pokoju. Wziął prysznic, położył się na łóżku i pozwolił, by pochłonał go mrok, ciemna pustka, a jedynym punktem odniesienia był matowy blask ekranu telewizora. Zapalił lampkę na nocnym stoliku i przejrzał listę: Bancha Soponpanich, bokser, przyjaciel Archita z dzieciństwa, siłownia „Lampun” albo stadion „Lumphini”. Thida, była narzeczona Archita, numer czterdzieści dwa w salonie masażu „Atami”. Rodzice Archita, Damnoen Saduak, godzina drogi samochodem z Bangkoku. Czy lepiej zrobić pierwszy krok, czy czekać, aż Charoen coś mu zaproponuje? Policjant używał Carvalha jako przynęty, czekając, aż Archit i Teresa spróbują skontaktować się z nim, lub któryś z krewnych chłopaka wyjawi mu coś, co zataił przed policjantem. Restauracja „Annam” znajdowała się bardzo blisko hotelu, w samym centrum kurewstwa, choć detektyw nie znalazł jej w żadnej z ulotek, świadczących o tym, że w Bangkoku może zjeść wszystko,



poczynając od nogi słonia, a kończąc na paelli w hiszpańsko-francuskiej restauracji. Nie mógł działać wbrew Charoenowi, jedynym wyjściem było czekać i przy pierwszej okazji przejąć inicjatywę. Odpowiadało mu odgrywanie roli Europejczyka przytłoczonego sytuacją, uwięzionego w dialektyce przyjemności i obowiązku. Carvalho wspominał z respektem Charoena. Wyjrzał przez balkon. Wymoczona brunetka leżała obok basenu w promieniach księżyca, a jej mąż pływał z umiarem godnym krokodyla. Dama podniosła głowę i dojrzała Carvalha stojącego za firanką. Wydało mu się, że na twarzy woskowej lalki pojawił się uśmiech, było jednak zbyt ciemno, żeby się o tym przekonać, a pływający mąż mierzył metr dziewięćdziesiąt i musiał ważyć jakieś sto dwadzieścia kilo. Za ciężki.

Bangkok zdawał się tonąć w ciemnościach, jaśniej było tylko na uliczkach, do których ściągali turyści jak muchy do spoczonej skóry. „Annam” znajdował się jednak w dość ciemnym zaułku, anemia żarówek dotknęła także wnętrza lokalu, przypominającego tanią restaurację dla robotników, którzy mają mało czasu na jedzenie i żadnej ochoty, by patrzeć na to, co im podano. Klientela restauracji ograniczała się do szaro-białej mniszki, Azjatki, która siedziała w towarzystwie trzech Azjatów i śmiała się jak wesółą świętą, i starej kobiety, oglądającej zapamiętałe tajlandzki serial; stara nie wiedziała nawet, co ma na talerzu. Na sali było więcej obsługi niż klientów. Dwie leniwe dziewczyny ociągały się z obsługaniem Carvalha, nie chcąc stracić ani minuty serialu, a stara kobieta - najwyraźniej ich matka - nawet nic udawała, że zajmie się klientami. Usadowiła się naprzeciwko telewizora z mocnym postanowieniem, że nie ruszy się z miejsca. Dobra wola anemicznego kelnera z poparzoną twarzą nie wystarczała, by Carvalho uwierzył, że w „Annam” można było coś zjeść, choćby podle. Wreszcie dziewczyny przyznały detektywowi status klienta i zawiadomiły o tym matkę. Kobieta odwróciła się w jego stronę, zastanawiając się, skąd pochodzi ten samotny przedstawiciel Zachodu. Postanowiła wybadać go na własny rachunek i osobiście zaniósł mu kartę.

- Próbował pan fondue po wietnamsku?

- Nie.

- Polecamy. Fondue można znaleźć w każdej wietnamskiej restauracji w Nowym Jorku albo San Francisco.

- Nie jestem Amerykaninem.

- Francuz?

Nie dała mu czasu na odpowiedź. Z jej ust wypłynęła rzeka francuszczyzny, bardziej recytowanej aniżeli mówionej, wyrażająca wielką nostalgię za Sajgonem. Do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego miała restaurację w Sajgonie. Później przewidziała rozwój wypadków i wyjechała z całą rodziną. Westchnęła z rezygnacją. Bangkok nie był Sajgonem. Kto nie mieszkał w Sajgonie przed rewolucją, ten nie wie, czym była Azja, powiedziała madame Rony, przedstawiając się jako wdowa po francuskim sierżancie, który zmarł w zeszłym roku, nie wiadomo, na jaką chorobę. Carvalho nie chciał wyprowadzać jej z błędu i odpowiadał po francusku, próbując wymawiać zgłoski w dopuszczalny sposób. Fondue po wietnamsku była odpowiednikiem fondue bourguignonne, ale zamiast smażyć mięso na oleju, gotowało się w lekkim rosole kawałki kalmarów, krewetek, kurczaka i wieprzowiny, po czym wrzucało się do niego spaghetti, ryż i kapustę. Każdy kawałek mięsa czy ryby doprawiało się mocnymi, ostrymi sosami. Taki rosół z kapustkami i spaghetti jadło się łyżką. Mogłoby to być inspirujące i wesołe danie, gdyby lokal był lepiej oświetlony, gdyby dziewczyny nie piszczły z emocji, śledząc wyczyny pretensjonalnego bohatera telewizyjnego serialu, gdyby elektryczna miska, w której wrzał rosół, nie była z matowego aluminium, gdyby podczas kolacji mniszka nie śmiała się na całe gardło z pieprznych i teologicznych żartów, gdyby porcje mięsa były nieco obfitsze, a w oceanie rosół znalazło się mniej wody. Jeszcze jedno zdarzenie zepsuło mu kolację: pochłaniał właśnie chińskie spaghetti, gdy przy jego stoliku zjawili się czterech tubylców przebranych za włoskich mafiosów.

- Proszę z nami.

- Nie skończyłem kolacji.

Jeden z mężczyzn wyłączył wtyczkę aluminiowej miski. Kolacja była skończona. Carvalho ogarnął wzrokiem inne stoliki, chcąc sprawdzić, jakie wrażenie wywarli gangsterzy na pozostałych klientach. Ludzie mówili ciszej, ściszyli także telewizor, ale było oczywiste, że nie obchodzi ich to, co może przytrafić się samotnemu cudzoziemcowi.

- Przysłał was Charoen?

Chwycili go pod ramię i wskazali najkrótszą drogę do wyjściowych drzwi. Carvalho wyjął z kieszeni zwitek banknotów i próbował pójść w stronę szefowej, żeby zapłacić za kolację, ale gangsterzy

zatrzymali go, zabrali mu pieniądze, a jeden z nich odliczył sześćdziesiąt bahtów i zostawił je na stole. Rachunek był zapłacony. Zwrócili mu pieniądze i popchnęli w kierunku drzwi.

- Jak nie zmienicie manier, to turyści was zostawią - powiedział Carvalho na swoje nieszczęście. Gdy tylko znaleźli się w półmroku uliczki, dostał mocny cios w potylicę i usłyszał tuż przy uchu ostry głos: niech będzie cicho i nie robi problemów. Ta scena przypomniła mu wojenne filmy amerykańskie, w których japoński sierżant gnębi amerykańskich oficerów, policzkuje ich i mówi bezczelnie, prosto do ucha, słowa tanaka tanaka, czy coś w tym rodzaju. Czekał na nich dodge, przypominający zubożałą królewską komnatę. Carvalho zdał sobie sprawę, że oprócz czterech zbirów miało mu jeszcze towarzyszyć dwóch innych, szofer i nieprzyjemny chłopak, który na powitanie splunął mu w twarz. W czasie drogi przez labirynt ciemnych ulic, która wydała mu się kapryśną włóczęgą, usłyszał kilkakrotnie tanaka tanaka albo coś podobnego, co jego instykt śmierci doskonale rozumiał. Wreszcie samochód zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami, wydobytymi z mroku przez reflektory samochodu. Drzwi otworzyły się i samochód wjechał na podwórze, na którym ktoś wcześniej bawił się, gromadząc wszystkie możliwe śmieci Bangkoku. Carvalho, ponaglany szturchańcami, wszedł na frontowe schody budynku, przemierzył korytarz, którego ściany i podłoga były wyłożone czerwonym aksamitem. Na końcu korytarza znajdował się mały pokój, stało w nim tylko jedno krzesło, umieszczone w geometrycznie wyznaczonym centrum, zapowiadające przesłuchanie, w którym detektyw nie miałby wiele do powiedzenia, za to otrzymałby cenne rady. Nie było jednak pytań. Posadzono go na krzesło, jeden z mężczyzn wydał okrzyk, podskoczył i wymierzył mu kopniaka w bark, przewracając go na ziemię razem z krzesłem. Zaraz spadł na niego grad ciosów i okrzyków, które miały go tylko nastraszyć.

Ktoś pomógł mu się podnieść i detektyw postawił krzesło w tym samym miejscu, usiadł i rozejrzał się wokół, przyjmując do wiadomości sytuację bez wyjścia. Jeden z Azjatów zbliżył twarz do jego twarzy, jak gdyby chciał go pocałować, i wykrzyknął po angielsku, że madame chce z nim porozmawiać, żeby słuchał uważnie madame, bo w przeciwnym razie tej samej nocy skończy w kanale.

- Już raz wrzucili mnie do kanału, w Amsterdamie - zauważył Carvalho, uśmiechnięty i dowcipny, i pięść gangstera wylądowała na jego uchu, co zezłościło detektywa, był to bowiem gest niepotrzebny i niewdzięczny wobec jego uprzejmego zachowania. Otworzyły się drzwi, których wcześniej nie widział, i do pokoju weszła otyła kobieta z utlenionymi włosami, wielkimi ustami umalowanymi szminką ubrana w chińską suknię z wycięciem, sięgającym bioder; spod sukni wystawały grube nogi w pończochach do kolan. Któryś z bandytów przyniósł fotel, by dama mogła spocząć. Usiadła naprzeciw Carvalha.

- Nie przedstawiono nas sobie.

- Madame La Fleur.

- Kolejna francuska madame. Czy pani także pochodzi z Sajgonu?

Kobieta miała nalaną twarz, zdradzającą prymitywny charakter, a zabójcze oczy kobry nie patrzyły na Carvalha jak na istotę ludzką. Detektyw zaprotestował po francusku przeciw temu, jak go potraktowano, i ostrzegł, że poskarży się inspektorowi Charoenowi.

- Cha-ro-en! - wyrzuciła z siebie, jakby mówiła gów-no.

- Charoen nie ma nic do powiedzenia. Ja tu rządzę.

Ktoś złapał Carvalha za włosy i szarpnął do tyłu.

- Niech pani powie swoim chłopcom, że już nie muszą mnie straszyć. Jestem wystarczająco wystraszony.

- Radzę panu się bać, póki jeszcze pan może. Niech pan mnie teraz posłucha: będzie pan szukał swojej przyjaciółki i tego sukinsyna, ale jeżeli chce pan wyjechać żywy z Bangkoku, musi ich nam pan oddać.

- Moglibyśmy dojść do porozumienia.

Puścili jego głowę i Carvalho dotknął dłonią obolałej czaszki.

- Dam wam chłopaka, jeżeli pozwolicie mi zabrać dziewczynę.

Madame potrząsnęła głową ale widać było w jej oczach, że zastanawia się nad propozycją. Była to scena targu, jak gdyby spierali się o cenę słonia z drewna tekowego albo dwukaratowe-go rubinu.

- Ta mała kurwa zasługuje na karę. Niech pan ich poszuka, później porozmawiamy.

Madame dała do zrozumienia, że audyencja się skończyła. Kiedy ruszyła do wyjścia, Carvalho usłyszał, jak jej uda ocierają się o siebie.

- To wszystko zmontował Charoen? - zapytał Carvalho, a kobieta odwróciła się, by jeszcze raz wyrzucić z siebie sylabizowane Cha-ro-en, brzmiące jak synonim gów-na.

Przejażdżka w okolicach kanałów wywołała w nim napięcie podwójnej natury: przygotowywał się na wypadek, gdyby rzeczywiście wrzucili go do nocnego kanału; poza tym jeden ze strażników traktował jego ucho jak mikrofon, do którego histerycznym, nieprzyjemnym głosem wykrzykiwał całe mnóstwo okropności. W końcu samochód zatrzymał się w jednym z najciemniejszych miejsc na świecie, w strefie, do której światło słoneczne nie dochodziło chyba od czasów gwałtownego oddzielenia Ziemi od Słońca. Carvalho zdołał wygrzebać się z samochodu i próbował przyzwyczaić się do ciemności, nagle dostał kopniaka w nerki, upadł i zaczął staczać się po miękkim zboczu, cuchnącym spalenizną. Pogodził się z myślą, że zaraz znajdzie się w kanale, a kiedy zatrzymał się na wzgórku miękkiej materii, rozlatującej się na kawałki pod wpływem uderzenia, zamarł w oczekiwaniu na rozwój wypadków, zastanawiając się, dlaczego nagle ogarnęło go uczucie wstrętu, nie związane z bólem. Zdał sobie sprawę, że otacza go smród. Ze wszystkich stron dochodził fetor zgnilizny. Carvalho wyciągnął zapalniczkę i zdał sobie sprawę, że został wyrzucony na wysypisko śmieci: ujrzał siebie jako cuchnącego Guliwera w krainie śmieci. Zobaczył nad sobą wzgórze, po którym się stoczył, wyżej zaś obietnicę gwiaździstego nieba. Nie sposób było wybrnąć z tej sytuacji, nie ponosząc ostatecznych konsekwencji, i detektyw zaczął wspinać się na czworakach po zboczu, chwytając rękami śmieci, szukając zagłębień, by móc odpychać się nogami. Dotarł do błotnistej dróżki, położonej za osiedlem zrobionym z puszek, i gdy tylko zagłębił się w uliczki, próbując uzyskać jakąś orientację, wszystkie wychudłe, nocne psy rozpoczęły koncert, wyrażając zgodnie swoje weto. Baraki z puszek stały jedne przy drugich, niektóre były opuszczone, w innych zaś panowała konspiracja snu i ciszy. Zobaczył w dali zarys linii elektrycznej i ruszył w tamtą stronę, oświetlając sobie drogę zapalniczką. Nagle trafił na kanał, oddzielający go od linii, która okazała się trakcją kolejową. Pięćdziesiąt metrów dalej odkrył przejście zbite z desek, które trzeszczały niemiłosiernie pod jego butami. Wspiął się do trakcji kolejowej po niedużej, kamiennej skarpie. Po prawej stronie widział światła Bangkoku. Poszedł wzdłuż torów w kierunku miasta, myśląc, że uda mu się złapać taksówkę na którejś ze stacji. Pierwsza stacja wydała mu się równie opuszczona jak całe przedmieście albo on sam. Jediną żywą istotą była ogolona na zero staruszka, śpiąca na stercie gazet. Wokół było to samo blaszane miasto, ciemne i milczące, nic nie wskazywało na ludzką obecność. Szedł dalej wzdłuż torów, dotarł aż do przejścia, prowadzącego do asfaltowej jezdni. Postanowił zaczekać tam i zatrzymać pierwszy samochód, jaki się pojawi. Minęła go furgonetka z morzem niezrozumiałych napisów, ale szofer nie zwrócił uwagi na konwencjonalne ruchy autostopowicza. Carvalho usiadł na ziemi w świetle żarówki, poruszanej przez słaby wiatr, wyjął cygarniczkę z kieszeni marynarki i zafundował sobie „Condal seis”. Należy ci się, powiedział do siebie. Zapalił cygaro ze smakiem i po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że w najgorszym razie zaczeka w tym miejscu aż do świtu, kiedy przy dziennym świetle będzie mógł zorientować się w swoim położeniu i zadzwonić do hotelu po taksówkę. Jego ubranie cuchnęło targiem Chatuchak, jak gdyby wszystkie odpady gniły na jego ciele. Zdjął marynarkę i zostawił ją na ziemi w pewnej odległości od siebie, co zmniejszyło nieco smród. Usiadł pod drzewem, ryzykując, że spotka jakąś nocną kobrę, która surowo go potraktuje. Oparł obolałe plecy o konar drzewa, jakby to była najwygodniejsza poduszka, i powieki zaczęły przekazywać jego senne SOS. Nagle usłyszał pisk hamulców i skoczył na równe nogi, czekając na rozwój wypadków. Samochód zatrzymał się nie opodal, Carvalho z trudem rozpoznał Charoena w świetle reflektorów.

- Charoen?

- Tak, to ja. Szukamy pana od kilku godzin. Zadzwonili do nas, mówiąc, że zostawili pana gdzieś w okolicy.

Carvalho podniósł z ziemi marynarkę i podeszedł do otwartych drzwiczek samochodu.

- To było miłe z pana strony. Trafił pan w dziesiątkę, polecając mi tę wietnamską restaurację. Spróbowałem nowej potrawy, którą postaram się przyrządzić na swój sposób po powrocie do Barcelony. Bulion był zbyt wodnisty, a krewetki za małe. Ostrzegam, że cuchnę jak nieboskie stworzenie. Po dobrej kolacji lubię wytarzać się w śmieciach.

Charoen przytrzymał drzwiczki i Carvalho wsiadł do samochodu. Szofer odwrócił się w jego stronę z uśmiechem, pytając, jak się czuje. Detektyw odwzajemnił uśmiech i odparł, że ma się świetnie. Charoen zajął miejsce obok szofera i dał mu instrukcje po tajsku. Samochód ruszył przez wyludnione miasto. Zapadło milczenie. Była czwarta nad ranem i detektyw miał wrażenie, że Charoen śpi, ale ten wyprowadził go z błędu, odwracając się do niego z pytaniem:

- Pobili pana?

- W restauracji?

Charoen uśmiechnął się i dał do zrozumienia gestem, żeby Carvalho nie żartował i był rozsądny.

- Być może rozważniej byłoby zaczekać, aż zawiezie mnie pan do hotelu, ale powiem panu od razu, że jutro mam zamiar złożyć w ambasadzie oficjalny protest przeciw panu i osobom, które zastawiły na mnie pułapkę. Bo mam nadzieję, że wiezie mnie pan do hotelu.

- Owszem, odwiozę pana. Nie wiedziałem, co się stanie, ale sądziłem, że spotkanie z madame La Fleur przyda się panu w poszukiwaniach. Ta kobieta bywa bardzo użyteczna.

- Czy ona też jest członkiem „Mai pen rai”?

- Tak.

- Wiedział pan, jak oni mnie potraktują?

- Nie.

Audiencja była zakończona. Charoen oparł głowę na brzegu siedzenia i spróbował dopasować ciało do kształtu oparcia. Carvalho poszedł w jego ślady. Odprężył się, szczęśliwy, że tylne siedzenie jest do jego dyspozycji, i rozłożył się na całej długości. Chwilę później zapadł w drzemkę. Charoen obudził go, potrząsając za ramię.

- Jesteśmy na miejscu.

Carvalho podniósł się szybko. Byli przed drzwiami „Dusit Thani”. Odźwierny o wyglądzie Piotrusia Pana żył poza czasem, a może hotel dysponował całą kolekcją takich portierów.

- Ma pan dla mnie jakąś nową propozycję?

Charoen wzruszył ramionami.

- Po tym, co się wydarzyło, nie śmiem panu niczego sugerować.

- Więcej śmiałości, chłopie. Może zostanie jutro na basenie, żeby popływać i opalić się. W moim kraju zbliża się zima, poza tym dosyć już się najeździłem. Mogę wrócić, przedstawić raport i powiedzieć, że sprawa jest w dobrych rękach.

Charoen słuchał z natężoną uwagą tego, co mówił Carvalho. Zdawał się przeżuwać w myślach słowa detektywa. Nagle zapytał:

- Czy jest pan bliskim przyjacielem Teresy Marsé?

- Co to jest dla pana „bliska przyjaźń”?

Charoen złączył ze sobą palce, jak gdyby oddawały się przerywanej i szybkiej kopulacji: bawiąc się palcami na wysokości oczu Carvalha, roześmiał się nerwowo i zapytał:

- Pieprzyliście się?

„Pan ma wąż w brzuchu”, przypomniał sobie detektyw i wybuchnął śmiechem. Charoen uznał to za potwierdzenie, rozłożył ramiona i uśmiechnął się.

- Wobec tego nie wyobrażam sobie, żeby mógł się pan jutro opalać.

- Jestem na nią zły, bo zostawiła mnie dla tego alfonsiaka.

- Jak pan ją znajdzie, spuści jej pan lanie i nigdy więcej tego nie zrobi.

Carvalho wszedł do hotelu, chcąc jak najszybciej zrzucić z siebie cuchnące rzeczy. Rozebrał się i włożył garnitur do plastikowej torby z pralni. Zobaczył zarys basenu, ledwie widoczny w pierwszym świetle brzasku. Założył kąpielówki, otworzył drzwi do ogrodu i wszedł do wody po schodkach, żeby nie robić hałasu. Pływał tak długo, aż doszedł do siebie i pozbył się smrodu, potem położył się przy brzegu w naj płytszym miejscu. Miał do swojej dyspozycji poranek, kawałek azjatyckiego nieba widoczny między ścianami „Dusit Thani”, trochę wytresowanej dżungli w kamieniach sztucznego wodospadu, wrażenie lata mimo hiszpańskiej jesieni i wodę, kojącą jego ciało. Poczł radość zwierzęcia, które żyje w harmonii z ziemią, westchnął z satysfakcją i zrozumiał, że bez wątpienia Raj Ziemi znajduje się między Zwrotnikiem Raka a Zwrotnikiem Koziorożca.

Carvalho po raz kolejny przekonał się, że świat jest mały, kiedy odkrył, że siłownia „Lampun” jest taka sama, jak wszystkie inne siłownie w jakimkolwiek miejscu na świecie. Znajdowała się przy Phetchaburi Road, drodze szybkiego ruchu, podobnej do dróg szybkiego ruchu w jakimkolwiek zachodnim mieście, przebudowanym zgodnie z potrzebami samochodów. Gladiatorzy o złamanych nosach byli trudni do rozróżnienia, a ich żargon i sposób bycia wywodziły się z amerykańskich filmów, nie zaś z tradycji tajlandzkiego boksu. Jedynym specyficznie tajlandzkim elementem było to, że przed

rozpoczęciem treningu lub walki chłopcy klękali, chwyтали się za ręce i pochylali głowy w stronę określonego punktu sali. Czuło się zapach potu, kurzu, środków odkażających, pryszniców, a także mięśni, energii i oswojonej przemocy. Zjawienie się Carvalha w trakcie ćwiczeń wywołało nastrój oczekiwania. Bokserzy przerwali nawet symulowaną walkę na ringu, a starszy mężczyzna w grubym dresie przywitał detektywa. Kiedy przybysz zapytał o Banchę Soponpanicha, na twarzy szefa siłowni pojawił się grymas niesmaku i sarkazmu. Bancha, powiedział pogardliwie, i gestem dał do zrozumienia, że nie można liczyć na spotkanie z tym bokserem.

- Rzadko tutaj przychodzi. Teraz to on jest artysta.

Roześmiał się i powiadomił obecnych, że cudzoziemiec szuka Banchy. Bokserzy przyjęli tę wiadomość salwą śmiechu, a dwaj mali chłopcy, którzy ćwiczyli na ringu, zaczęli miotać się i skakać bez żadnej koordynacji, jakby boksowali się, tańcząc walca. Przedstawienie musiało być bardzo zabawne, bo wśród powszechnej wesołości jeden z bokserów aż się popłakał. Bancha, Bancha, powtarzali, pokazując się nawzajem palcami i trzęsąc się ze śmiechu. Carvalho zaczekał, aż minie pierwsza fala wesołości, a kiedy zauważył, że pantomima chłopców traci tempo, zwrócił się ponownie do szefa siłowni.

- Muszę z nim porozmawiać. Czy pan wie, gdzie on mieszka? Walczy na stadionie „Lumphini”?

- On, na „Lumphini”? Takie pajace nie mają wstępu na „Lumphini” ani na „Rajdamnoen”. To są miejsca dla prawdziwych bokserów, a nie dla tancerzy. Czasem walczy w jednej ze wstępnych walk, ale nigdy z poważnymi przeciwnikami. Tym bardziej teraz.

- A to dlaczego?

- Bo robi za błazna w Garden Rose. Ja go wszystkiego nauczyłem i kiedy widzę, jak pajacuje, to zdaje mi się, że sam jestem pajacem.

Powiedział coś po tajsku do pozostałych bywalców siłowni i zaczął poruszać się jak baletnica. Znow wszyscy wybuchnęli śmiechem. Weseli ludzie, pomyślał Carvalho, i odczekał, aż śmiechy przycichną.

- Co robi Bancha w Garden Rose?

- Mówi, że walczy, ale tak naprawdę, to tylko pajacuje. Przywożą tam turystów, żeby zobaczyli trochę tańca, słonie, popychające pień drzewa, i czterech błaznów, którzy udają, że walczą na pięści albo na szpady. Ale to zwykły kit. Bancha bawi się w to i dlatego już nigdy nie będzie bokserem.

- Czy pan wie, gdzie mieszka albo gdzie go mogą znaleźć?

- Niech pan pojedzie do Garden Rose. Ludzie, którzy tam pracują, mieszkają na miejscu. Rano myją słoniowi jaja, a po południu pajacują.

Stary bawił się świetnie, śmiał się do rozpuku z własnych dowcipów, kołysał ciałem do przodu i do tyłu, uderzając się dłońmi po udach.

- Jak dojechać do Garden Rose?

- To jakieś czterdzieści mil stąd. Koniecznie musi pan to zobaczyć. Wszyscy turyści byli w Garden Rose. Na pewno z pańskiego hotelu codziennie wyjeżdża jakaś wycieczka. Jeżeli pojedzie pan taksówką, zapłaci pan drożej, a jazda autobusem pana zmęczy. Wy, Europejczycy, nie wytrzymujecie podróży naszymi autobusami, za to nam bardzo odpowiada wasze metro. Byłem cztery lata w Nowym Jorku, przyjacielu.

Wycieczki z „Dusit Thani” wyruszyły już do Garden Rose, pojechała także hiszpańska grupa Carvalha. Taksówka kosztowała sto osiemdziesiąt bahtów za godzinę, na całą wycieczkę musiałby zatem wydać jakieś pięćset bahtów, dwa i pół tysiąca peset, w Hiszpanii ta suma wydałaby mu się śmiesznie niska, ale w Bangkoku, ogarnięty handlową gorączką, próbował zbić cenę. Jednak szef hotelowych taksówek odmówił negocjacji.

- Ceny są stałe - powiedział, jak gdyby ganił Carvalha za to, że je palcami.

- Niech pan znajdzie taksówkarza, który nie będzie mnie zarzucał katalogami kamieni i jedwabiu.

- Taksówkarze mają prawo oferować klientowi, co chcą. To wchodzi w zakres usługi.

Mimo wszystko taksówkarz dostał chyba instrukcje od swojego szefa, bo przez większą część drogi milczał, a później zapytał tylko Carvalha, skąd pochodzi. „Z Barcelony”, odparł detektyw, wierząc, że to miejsce wyda się taksówkarzowi nieznanym punktem w odległej galaktyce. Ku zdziwieniu Carvalha, słowo „Barcelona” wzbudziło jednak entuzjazm Taja.

- Barcelona. Maradona - wykrzyknął taksówkarz i powtórzył kilkakrotnie to słowne skojarzenie, odwracając głowę w stronę Carvalha i wypuszczając kierownicę. Samochód tańczył na szosie.

- Barcelona. Maradona.

- Tak. Barcelona. Maradona.

- Barcelona. Maradona.

Carvalha zmęczyło ciągłe uśmiechanie się i potwierdzanie, że Barcelona i Maradona są tym samym, przysunął się więc do okna, by widzieć, jak Bangkok zostaje w tyle, dżungla wychodzi z ukrycia, a w brudnych kałużach lotosy ukazują przepych swoich biało-różowych kwiatów. Kolor drewna tekowego nadawał ton ciemnej skórze ludzi, barwie domów, był tłem dla bujnego piękna dzikich orchidei lub prymitywnych, naturalnych zieleni, które nie miały nie wspólnego z zielenią chłodnej części świata.

- Chce pan zobaczyć walkę mangusty z kobrą? Możemy zatrzymać się po drodze. Przedstawienie w Garden Rose zaczyna się później.

- Co potrafi mangusta?

- Mangusta jest jedynym zwierzęciem, które nie boi się kobry. Na wsi wszyscy ludzie trzymają w klatce mangustę. i kiedy do domu podchodzi kobra, czuje mangustę i ucieka.

Carvalho z początku oponował, ale taksówkarz wciąż zachwalał walkę, przeszedł nawet na tajski, monologując w ekspresyjny sposób, a detektyw słuchał go bez zrozumienia. Taksówka zatrzymała się przy parkanie, szofer poszedł po bilety. Wrócił, otworzył drzwiczki, żeby oszczędzić pracy detektywowi, i z uśmiechem pokazał wejściówki. Musiał bardzo lubić walki zwierząt, bo dla siebie też kupił bilet. Za parkaniem było podwórze, dalej zagroda z daszkiem chroniącym przed deszczem i drewniane ławki, otaczające małą scenę. Ceremonią kierował pulpit, przy którym stał tubylec z mikrofonem w dłoni, przemawiając jak komentator sportowy. Za spikerem widniały powiększone fotografie, przedstawiające części ludzkiego ciała, ukąszone przez kobrę, na dole zaś leżały białe torby, niektóre ze śladami krwi, w których trzymano gladiatorów. Mangusta kręciła się jak szalona wewnątrz wyborczej urny, umieszczonej w rogu sceny. Carvalho dostrzegł wśród publiczności turystów z Majorki, których poznał w samolocie. Jasnowłosa pilotka miała podkrążone oczy i chude nogi. Spiker wiedział, że wśród widzów są Hiszpanie, i zapowiadał walkę po angielsku i włosku; kiedy jednak zaczął opisywać anatomię węża, a treser pokazał widzom genitalia zwierzęcia, tajski komentator powiedział, że kobra ma dwa fiuty, dowodząc, że jakiś Hiszpan nauczył go najważniejszego słownictwa. Ale dla Carvalha prawdziwym widowiskiem była soczysta Amerykanka, siedząca po przeciwnej stronie sceny. Jej twarz wyrażała oczekiwanie, następnie zaskoczenie, zgrozę i współczucie, i detektyw przeżył w ten sposób brutalny spektakl, w którym kobry mogły żałować tego, że się w ogóle urodziły. Treser wystawił je na pośmiewisko, uderzając zwiniętym w rulon „Bangkok Post”, poza tym niektóre węże miały zakrwawione gardła, bo wycięto im organ wydzielający jad, inne zaś, które go zachowały, wbijały zęby w szkło, żeby można było pokazać jad bladym twarzom, pełnym odrazy i niezdrowej ciekawości. Później, już bezzębne i poranione w poprzednich walkach, trafiały do przezroczystej klatki mangusty, wystawione na jej okrucieństwo: z początku próbowały uniknąć walki i uciec przed napastnikiem, w końcu jednak brały na siebie rolę jadowitej kobry i pozwalały, by wściekła bestia gryzła je do krwi, a kiedy były już bliskie śmierci, ludzka ręka wyciągała je z potwornej urny i wkładała na powrót do torby, gdzie czekały na kolejną walkę, na kolejną grupę turystów, którzy obserwowali węże, jakby miały one wypalić winstona za pomocą jednego ze swoich fiutów, a z innej części ciała wyciągnąć piłeczkę pingpongową, błyszczącą od wydzieliny.

Ruszyli w drogę, taksówkarz komentował z zachwytem widowisko, jakby Carvalho potrzebował dodatkowego objaśnienia.

- Kobra nie chce walczyć, bo wie, że przegra. Ale nic ma innego wyjścia. Kobra jest zła. Co roku w Tajlandii od ukąszeń ginie dwieście osób.

W Garden Rose jest dwadzieścia tysięcy różnych krzewów, oświadczył taksówkarz. Detektywowi wystarczyłby jeden.

- Garden Rose należy do jednego generała. Kazał to zrobić generał, który był burmistrzem Bangkoku. Tutaj prawie wszystko jest własnością generałów.

Taksówkarz podał mu ulotkę reklamową Garden Rose: turystyczna, wiejska Tajlandia w pigułce, dwadzieścia tysięcy krzewów róż, pięć hoteli, dwa baseny, sportowe łódki, narty wodne, pokaz pracujących słoni, wielki teatr z boksem tajskim, tańce... a wszystko „nad brzegami bukolicznej rzeki Kachin”.

- Kto pracuje w Garden Rose?

- Pracownicy mieszkają na miejscu. Trzeba mieć dobre papiery, żeby móc tutaj pracować, byle kogo nie przyjmują. A oni robią wszystko. Rano pracują w ogrodzie, a po południu boksują albo tańczą. Muszą się znać na wszystkim.

„...Nad brzegami bukolicznej rzeki Kachin”. Przymiotnik „bukoliczny” mógł odnosić się tylko do świata greko-rzymskiego. Choć tropikalna rzeka nie może być bukoliczna, Kachin zbliżała się do sielankowego ideału. Była to szeroka, powolna, słodka rzeka, niosąca w swym nurcie girlandy roślin, oderwanych od brzegów. Carvalho zapytał, jak się nazywają te rośliny, poddane fatalnemu biegowi rzeki. Taksówkarz nie wiedział, zwrócił się o pomoc do grupy kolegów, którzy pili coś przez słomkę z buteleczek o aptekarskim wyglądzie.

- To są wodne hiacenty. Rzeka wyrwa je i wlece za sobą przez wiele kilometrów.

- A co oni piją?

- Tonik. Bardzo dobry, bardzo słodki. Krzepi. Ma w sobie miód. Dobry dla zdrowia.

Carvalho powiedział taksówkarzowi, żeby na niego zaczekał, i zagłębił się w parku Garden Rose. Jednak taksówkarz dogonił go i zaproponował obiad w bardzo dobrej restauracji, bardzo dobrej, powtórzył. W niektórych budynkach mieściły się sklepy z turystyczną tanioczą i rzemiosłem artystycznym, inne miały być pamiątkami przeszłości, wszystkie jednak cechowało dostojne rzekomo narodowej i tradycyjnej architektury. Carvalho wszedł do restauracji polecanej przez taksówkarza i poczuł się urażony, gdy maître podał mu jedyne menu dnia: rosół, lubina na sposób rzymski i kurczak z warzywami. Przypominało to menu przyjęcia, wydane przez drobną katalońską burżuazję, ale maître posadził Carvalho na tarasie z widokiem na rzekę i warto było zaakceptować jedzenie w zamian za powtarzający się wodny cud, ciche samobójstwo hiacyntów, które umierały z radością. Rosół był dowodem na to, co detektyw już od dawna przeczuwał: bulion z kostek zdobył międzynarodową sławę. Co się tyczy lubiny, wyszalała się w czarnych wodach Zatoki Syjamskiej albo Oceanu Indyjskiego i smakowała jak panierowana ropa naftowa, kurczak zaś został utuczony kartonowymi pudłami i nie oczyszczonym gipsem. Carvalho prawie nie tknął tych gastronomicznych przestępstw, a maître był chyba przygotowany na trudniejsze próby, bo odniósł pełne talerze bez najmniejszego komentarza.

Na drugim brzegu Kachin rosła dżungla, bez ogrodzenia i biletów wstępu. Palmy, bananowce, gigantyczne róże chińskie, drzewa mango i darieny, chaty z drewna i blachy. Wody rzeki zabierały gówno dziecka, zmęczenie mężczyzn, którzy myli się po pracy, namydlony tłuszcz z dziewczęcych włosów, pielęgnowanych oliwką kupioną w aptece, łódzie, przypominające cienkie i martwe łupiny wodnych owoców.

- Jak dobrze, jak dobrze. Jaki ten świat mały - mówił Jacinto, analizując powtórne spotkanie z Carvalhem. - Jak pan tutaj przyjechał?

- Taksówką.

- Taksi jest dłgie. Z nami taniej. Zadowolony? Tutaj jest dobre jedzenie. Europejskie.

- Ten teren należy do generała. W Tajlandii wszystko należy do generałów.

Jacinto uśmiechnął się.

- Jak byłem w Hiszpanii, w Alicante, bo ja studiowałem w Alicante, w Hiszpanii też rządził jeden generał. Chce pan iść z głupą? Przedstawienie załaz się zacznie.

Carvalho dołączył do swojej grupy. Jeden z kawalerów fotografował się z wężem, owiniętym wokół szyi. Parę razy ukradkiem pocałował węża, wywołując nerwowe ochy zachwyconych starszych pań. Hiszpanie, Japończycy, Australijczycy, Francuzi i Amerykanie zajmowali miejsca pod dachem pięknego amfiteatru, wzorowanego na typowym domu tajskim. Na scenie rozpoczęła się defilada: na czele maszerował słoń, dalej tancerze, bokserzy, fechtmistrze, gracze w takraw, treserzy kogutów, mężczyźni, niosący fragmenty dekoracji do kolejnych przestawień. Delikatne tajskie dziewczęta, przypominające lalki ze sklepu z pamiątkami, tańczyły ludowe tańce, gdy nagle ogromny, pijany Amerykanin wskoczył na scenę, chcąc do nich dołączyć. Został grzecznie odprowadzony na swoje miejsce przez personel porządkowy, później jednak próbował uczestniczyć w szermierce, kiedy zaś zainstalowano ring, z uporem ciągnął za liny, chcąc sprawdzić ich wytrzymałość. Chłopcy z obstawy kierowali go na miejsce, on zaś dawał im dolary, nie zapominając też o artystach, dzięki temu udało mu się doprowadzić do tego, że wszyscy statyści przedstawienia bacznie go obserwowali, czekając, aż pojawi się na scenie. Carvalho opuścił swoje miejsce i usiadł w pierwszym rzędzie, a na ring wyszli bokserzy w kimonach, ukłękli, pomodlili się, zdjęli kimona, ukazując żelazną muskulaturę, przysłoniętą naszyjnikami z jaśminów; wokół ich ramion i głów zawiązano kolorowe paski, amulety przynoszące szczęście. Czterech muzyków - flet z Jawy, czynele i dwa bębny o głębokim tonie - zaczyna grać melodię, która wspiera pierwsze, taneczne ruchy bokserów, staje się coraz bardziej gwałtowna,

towarzysząc zaciętej walce. Można uderzać gołą stopą, pięścią, nogą, łokciem, ale tylko powyżej równikowej linii pasa. Pojedynek pod stylizowanym dachem amfiteatru Garden Rose był pokazem dla turystów, nie zaś prawdziwą walką. Po trzech symulowanych walkach obsługa zabrała się do demontowania ringu, a bokserzy wycofali się w głąb sceny. Carvalho chciał pójść za nimi, ale jeden z mężczyzn, którzy opiekowali się pijanym Amerykaninem, zagroził mu drogę.

- Chciałbym porozmawiać z Banchą. Przysyła mnie przyjaciel.

Mężczyzna podniósł głowę i naprężył mięśnie.

- Niech pan zaczeka.

Poszedł na sam koniec sceny i zamienił kilka słów z jednym z bokserów. Obaj spojrzeli w stronę Carvalha, ochroniarz wrócił, a bokser wciąż obserwował cudzoziemca.

- Pyta, jaki przyjaciel pana przysłał.

- Archit.

Nowa narada i bokser robi krok w tył, by znów bacznie przyjrzeć się nieznajomemu. Pośrednik prosi Carvalha gestem, żeby się zbliżył, i wskazuje boczną stronę sceny. Detektyw przechodzi obok tancerek o pobielonych twarzach, siedzą w kucki, ich lekkie ciała nie zdradzają wieku. Dwaj mężczyźni czekają na niego w kącie proscenium. Na scenie grupka dziecięcych mężczyzn gra w takraw, podając sobie piłkę wszystkimi częściami ciała z wyjątkiem rąk. Pijany Amerykanin przeszkadza w grze, chce się przyłączyć, może nawet zapłacić, jednak jego stróż przywraca mu status widza, choć przyjmują dolary i przyjacielskie skargi.

- Przychodzi pan w imieniu Archita? Kiedy go pan widział?

Z daleka wydawał się chłopcem, z bliska widać było, że jest dojrzałym mężczyzną, z twarzą pokrytą bliznami i smokiem wytatuowanym na piersi.

- Chcę się z nim widzieć.

Bancha beszta pośrednika po tajsku. Mówi, że go oszukał, że tego człowieka nie przysłał Archit. Później bokser odwraca się na pięcie i odchodzi w stronę tylnego wyjścia.

- Charoen mi pana polecił. Inspektor Charoen.

Bancha zatrzymuje się i odwraca głowę. W jego oczach widać przerażenie kobry, która spotyka mangustę, i ktoś mógłby powiedzieć, że blizny są pamiątką po ranach, odniesionych przez bezbronno węża.

- Nie widziałem Archita. Nie wiem, gdzie on jest.

- Przychodzę sam. Chcę pomóc Architowi.

- Nie widziałem Archita. Nie wiem, gdzie jest. Bardzo pana proszę.

- Mogę mu pomóc w ucieczce.

Bokser mówi coś warczącym głosem i dwóch mężczyzn staje pomiędzy nim a Carvalhem. Dwa mordobicia w ciągu dwudziestu czterech godzin to stanowczo za dużo. Detektyw ustępuje pola, Bancha również się cofa i znika w tylnych drzwiach.

Pośrednik chwytając detektywa za ramię i zmusza go do powrotu na widownię.

- Publiczność nie może tutaj stać.

Carvalho strząsa dłoń ochroniarza i przyspiesza kroku, by wrócić na swoje miejsce. Graczy w takraw zastąpiły teraz koguty. Carvalho nie chce oglądać historycznej rzeźni, jaką urządzają mali mordercy. Nagle widzi Charoena, który rozmawia z Banchą, obaj spoglądają w stronę detektywa. Wydaje się, jakby policjant chciał przekonać boksera i Carvalho widzi, jak wołają go gestami. Bancha wychodzi mu naprzeciw, podaje rękę na powitanie, uśmiecha się i mówi, przyjacielski i skory do pomocy:

- Jak się mamy, przyjacielu? Źle pana zrozumiałem. Dlaczego nie powiedział mi pan, że jest pan przyjacielem Uthaina Charoena? Przyjaciele Uthaina Charoena są moimi przyjaciółmi.

Charoen słuchał i potakiwał. Carvalho mógłby przysiąc, że powtarzał w milczeniu słowa Banchy. Jak brzuchomówca.

Archit był kiedyś bardzo dobry, ale dziś już nie jest dobry. Był dobrym synem, ale teraz jest już tylko mordercą. Bancha w ciągu kilku minut stał się bardzo wymowny i z wielką gorliwością potępiał Archita, biorąc Charoena na świadka.



- Nie widziałem go ani nie chcę go widzieć. On wie, że spełniłbym swój obowiązek.

Charoen przytakiwał, próbując przekonać Carvalha. Widzi pan? Widzisz, gówniany Europejczyku?

- Nie kontaktował się z panem od chwili ucieczki?

- Nie. Nigdy. Nigdy. On tego nie robi. Wie, że spełniłbym swój obowiązek i zadzwoniłbym do inspektora Charoena. Od razu.

Bancha odgrywał słowa za pomocą gestów, przystawiał sobie do ucha niewidzialny telefon, żeby dzwonić do Charoena. Inspektor zostawił Carvalha i Banchę na osobności, zapewne po to, by mogli rozmawiać bez przymusu. Kiedy oddalił się na wystarczającą odległość, detektyw powiedział półgłosem:

- Proszę mi powiedzieć to, co pan wie. Nic nie powiem Charoenowi.

Jednak Bancha powtórzył jeszcze głośniej:

- Gdyby Archit mnie szukał, od razu zadzwoniłbym do inspektora.

Carvalho spojrział na boksera z pogardą i ułożył usta tak, jakby splotował. Ale wyraz twarzy Banchy nie zmienił się, bokser wciąż energicznie potakiwał.

- Nie jesteś żadnym przyjacielem, ty jesteś gorszy od mangusty.

Carvalho chciał powiedzieć „kobra”, ale powiedział „mangusta”. Być może wybór pożytecznego zwierzęcia zbił z tropu Banchę, a może bokser miał już dosyć tej sytuacji. Skłonił się ceremonialnie, krzyżując ręce na piersi, i odszedł. Jego miejsce natychmiast zajął Charoen.

- Widzi pan? Archit został sam. Bancha to odpowiedzialny człowiek, który staje po stronie prawa.

- Od jak dawna tutaj pracuje?

- Niedawno zaczął.

- Kto zaproponował mu tę pracę? Pan?

- Nie pamiętam. Może i tak. Może ja go poleciłem.

- Widzę, że nie chce mi pan ułatwić zadania.

Charoen uśmiechnął się drwiąco:

- Już mówiłem. Sprawa nie jest taka prosta.

Jeden generał ściga handlarzy narkotyków, inny przemycia heroinę. Równowaga. Podobnie było z postępowaniem Charoena: zdradził nazwisko Banchy, ale nie dopuścił do tego, by przyjaciel Archita porozmawiał z Carvalhem i mógł rzeczywiście pomóc w śledztwie. Publiczność opuszczała amfiteatr i zajmowała miejsca na widowni zrobionej z bambusa, pokrytej słomianym dachem, na którym widniał szyld: „Spectator Stand for Elephant at Work”. Słonie pracowały przy stawie, przenosząc konary drzew, a treser kłutł zwierzęta żelaznym prętem. Carvalho uznał, że na dzisiaj ma już dosyć tajlandzkich emocji i postanowił poszukać taksówkarza. Charoen poszedł jego śladem.

- Chciałby pan poznać rodziców Archita? Tylko oni mogliby wiedzieć, gdzie się ukryli uciekinierzy. Już ich przesłuchaliśmy, przysięgają, że nic nie wiedzą.

- Jeżeli przysięgali, że nic nie wiedzą, to co mogą mi powiedzieć?

- Chwileczkę.

Charoen położył mu dłoń na ramieniu i poruszył głową, jakby chciał rozwiać podejrzenia cudzoziemca.

- Pojedziemy razem, przedstawię pana i odjadę. Sam pan z nimi porozmawia. Ojciec umiera, nie ma dostępu do narkotyków. Obiecałem mu heroinę, jeżeli mi powie, gdzie jest jego syn, i nic nie powiedział. To nędzny człowiek, zawsze taki był, gdyby miał jakąś wiadomość, na pewno by mi ją zdradził, bo jest w stanie sprzedać Archita i całą rodzinę. Ale chcę, żeby przekonał się pan o tym na własne oczy, a może panu uda się coś wskórać.

- Jedziemy tam od razu?

- Nie, jutro. Mieszkają za Bangkokiem, w Ratchaburi, przy kanale Damnoen Saduak. Przyjadę po pana do hotelu. Wcześniej rano.

Carvalho czuł, że jego ciało domaga się szybkiego powrotu do hotelowego basenu i szklanki mekongu z lodem. Taksówkarz próbował odzyskać zmarnowany czas i zaferował mu katalogi kamieni szlachetnych i jedwabiu, pojawił się też nowy artykuł - połączone, mosiężne orchidee. Detektyw odpowiedział warknięciem na te propozycje. Obserwował pozycję słońca i rozważał, czy o zachodzie promienie słoneczne zdołają przeniknąć przez szczelinę między ścianami hotelu. Odblask tropikalnego słońca wystarczał, by skóra Carvalha zmieniła kolor. Detektyw zastanowił się, dlaczego

tak bardzo chce się opalić, skoro w lecie, w Hiszpanii, nie mógł wysiedzieć na słońcu nawet pięciu minut, i doszedł do wniosku, że w ten sposób zapewnia sobie zwrot kosztów podróży.

Amerykańskie damy były na swoim miejscu, jakby od wczoraj nie ruszyły się z leżaków: brunetka w czarnym maillot, ukrywającym nadwyżki tłuszczu, jasnowłosa kobyła z opuchniętymi kostkami, grubaska w meksykańskiej sukience, która przyklejała się do mokrej skóry, ukazując olbrzymi kuper, biznesmen-pedał ze swoim złocistym chłopcem, małżeństwa w starszym wieku, rozkoszujące się wieczornym chłodem i kojącym wodnym balsamem. Carvalho wymienił ukradkowe spojrzenia z brunetką w maillot, szybko jednak zmęczył się tą zabawą i odblakiem słońca, wszedł do windy i pojechał na dach, gdzie znajdował się kort tenisowy, sauna i sala do squasha. Dwaj opaleni młodzieńcy grali w tenisa, a w sali czterech fanatyków ćwiczeń fizycznych waliło zapamiętałe w piłkę. Carvalho zamówił w barze mekong z lodem i wszedł do sauny, sam nie wiedząc, po co. I znów znalazł pragmatyczne wyjaśnienie - żeby zrekompensować sobie podróż, wykorzystać wszystkie hotelowe usługi. Wciąż jednak nie potrafił się odprężyć, zaczął chodzić w kółko po saunie, sądząc, że w ten sposób wypoci się, a gdy był już całkiem mokry, uznał, że osiągnął należytą korzyść, wyszedł z sauny, wziął prysznic, wypił do końca mekong, zostawił graczy w squasha, walczących ze ścianą i chuchrowatych tenisistów, bawiących się piłką w idiotyczne „moja, twoja”, tuż przy siatce, jakby próbowali pobić światowy rekord w jedzeniu jajek na twardo. Słońce nie dochodziło już do basenu, pojawili się za to małżonkowie, którzy pływali leniwie jak krokodyle i pokrzykiwali z entuzjazmem, obserwowani obojętnie przez swoje żabie kobiety. Z pewnością niektórzy z nich pachnieli prochem i potrafili na pierwszy rzut oka odróżnić rodzaje heroiny. Teraz przypominali chłopców Marka Twaina, byli uradowani swobodą jaką daje woda, uwolnieni od swojego ciężaru, roli, zmęczenia samymi sobą.

Carvalho czuł niesmak po proteinowym obiedzie w Garden Rose i zapragnął czymś to sobie wynagrodzić, zapytał więc o chińską restaurację, która zasługiwałaby na to szlachetne miano. Piotruś Pan, Bell Captain i rudy Szkot nie byli jednomyślni; ten ostatni, wiecznie pijany grubas, pił wyłącznie na strzelnicy hotelowego baru i mówił po tajsku na tyle dobrze, by porozumieć się z kelnerami. Carvalho uznał, że opinia Szkota nie jest uzależniona od prowizji i posłuchał jego rady:

- Polecą panu „Bangkok Maxim” albo „Chiu Chau” w hotelu „Ambassador”, ale niech pan lepiej pójdzie do „Gran Shangarila”, niedaleko stąd, to wysmienity lokal.

Na parterze „Shangarili” znajdowała się ogromna, tania restauracja, w której znaczny procent miliardowej ludności chińskiej walczył za pomocą pałeczek ze swoim wilczym apetytem. Na wyższych piętrach lokal coraz bardziej zbliżał się do parametrów drogiej restauracji, kelnerki nosiły długie, pąsowe suknie z wycięciem, odsłaniającym piękne azjatyckie nogi w pantofelkach na wysokim obcasie. Przed Carvalhem przedefilował wózek z kaczką po pekińsku i detektyw podążył za aromatem aż do małego stołu, który mu wskazano. Uprzejmy pragmatyzm Azjatów objawił się w tym, że samotnemu cudzoziemcowi przydzielono zniewieściałego kelnera, który pytał Carvalha o gastronomiczne życzenia, prawie muskając jego twarz, trzepotał rzęsami narzeczonej Kaczora Donalda i mówił po angielsku jak guwernantka o dzikim temperamencie. Detektyw zamówił porcję prażonego ryżu po kantońsku, pół porcji małż w sosie ostrygowym i kaczkę na herbacianych liściach Long Jing Ya, wysmienitą potrawę, której nazwa brzmiała równie dobrze po hiszpańsku, jak po chińsku. To piętro restauracji pełne było Chińczyków o wyglądzie bogaczy i Chińczyków o wyglądzie nuworyszy. Właściciele głównych źródeł bogactwa, Chińczycy z Tajlandii, jak wszyscy chińscy imigranci w południowo-wschodniej Azji, opuścili swój kraj w ciągu ostatnich dwustu lat. Wgnani przez głód, i narzucili wolę przetrwania wrodzonemu lenistwu dzieci tropików. Chińczyk, dyrygujący kolacją w towarzystwie dwóch kompanów, bardziej od niego dyskretnych, był właśnie nuworyszem - gorliwie podzielił gotowaną rybę z algami, zebrał sporą liczbę pałeczek na talerzach zajmujących cały stół, pochłonął pięć porcji białego ryżu. trzymając miskę tuż przy ustach, by ani jedna chwila, ani jedno ziarenko nie zmarnowały się w krótkiej podróży pałeczek pomiędzy miską a gardłem. Ten Chińczyk jadł. przywołując pamięć, i to nic tylko swoją, ale także zbiorową pamięć ludu. który uciekał od głodu; w osobiwy sposób budził wiarę w historyczną rolę apetytu. Carvalho w najlepszym nastroju przyjął półmiski ryżu, małż i kaczkę, które przed nim postawiono. Kaczka była dla niego nowością, zapytał więc kelnera, jak się ją przyrządza, piękny młodzian wymawiał się mówiąc, że nie zna się na kuchni, za to maître może udzielić wszelkich wyjaśnień. Maître powiedział, że kaczkę należy przyrządzać ze świeżą herbatą, najlepiej z chińskiej prowincji Zhe-jiang, ale kiedy jej brakowało, używano wysuszonej herbaty, najlepszej, najbardziej aromatycznej. Kaczkę nacierało się solą i cukrem, a następnie moczyło z imbirem, cynamonem, anyżem gwiazdkowalym, liśćmi herbaty, dodając szklankę wina shao hsing. Do marynaty wlewało się szklankę wody i kaczka gotowała się w parze wodnej przed dwie godziny. Później należało schłodzić kaczkę i przygotować rondel z herbatą Long Jing, w której ptak

miał się gotować przez cztery minuty. I już był prawie gotowy. Wystarczyło przyrumienić kawałki kaczkę na oleju arachidowym i podać je na gorąco.

- Chce pan spróbować shao hsing? To idealne wino do tego dania.

Wino czy cokolwiek to było, łagodny jerez o żółtawym odcieniu doskonale pasował do potrawy i Carvalho pogratulował sobie wyboru, zapalając cygaro „Conda! seis”; wcześniej, na deser, zjadł liczi w syropie i chińskie orzechy. Zostawił napiwek, ale trzepoczący rżęsami kelner posmutniał, gdy detektyw wstał i pożegnał się z nim, nie całując go w usta. Przed wejściem do restauracji czekał chór alfonsów z fotografiami kwitnących dziewcząt. Carvalho dał się porwać taksówce, która prawie zajechała mu drogę, i rozkazał szoferowi:

- Do salonu masażu „Atami”.

Taksówkarz wysadził go na końcu uliczki, wychodzącej na Phetchaburi Road. Na neonie widniały tylko tajskie litery i Carvalho pomyślał z niepokojem, że przyjechał do innego salonu masażu. Za drzwiami panował żółty półmrok: mnóstwo Azjatów obojga płci siedziało w cieniu naprzeciwko witryny, oświetlonej jak akwarium, gdzie usadzono kilka tuzinów kobiet. Carvalho nie miał czasu, by je ocenić, ani zorientować się, jak są ubrane: recepcjonista zaczepił go, wzgardził tym, co oferowała pierwsza witryna, i zaprosił na górę, gdzie znajdowały się najlepsze propozycje salonu. W czasie wędrówki po schodach nietrudno było zauważyć, że salon oszczędza prąd; Carvalho i recepcjonista spotkali grupki tubylców, mężczyzn i kobiet, którzy przerywali rozmowę, by uśmiechać się złośliwie do cudzoziemca. Na ostatnim piętrze przez ciemny korytarz dotarli do innej, bardziej okazałej witryny: siedziało tam parę tuzinów kobiet, półnagich i wymalowanych, o brzoskwińowej skórze, oświetlonych magicznym, rajskim światłem. Widząc potencjalnego klienta, dziewczyny zaczęły wydawać z siebie wabiące głosy.

- Body body? - zapytał recepcjonista, łącząc w powietrzu dwa palce, jak to zrobił Charoen, kiedy zapytał, czy Carvalho był kochankiem Teresy Marsé. Detektyw odparł, że chce najlepszą i najbardziej kompletną usługę, pośrednik zażądał dwóch tysięcy bahtów. Carvalho przyglądał się numerom, zawieszonym na piersiach dziewczyn, które przywoływały go gestami i piskiem, wreszcie odnalazł numer czterdzieści dwa i powiedział swojemu przewodnikowi, że polecono mu niejaką Thidę. Czterdzieści dwa, potwierdził sutener. Dla Carvalha wszystkie dziewczyny były identyczne, miały tak samo zarysowane brwi, różowe policzki, makijaż, akcentujący biel skóry kobiet z północy, z których większość była pochodzenia chińskiego, a najlepsze urodziły się w Pasang lub Lamphun, jak informowała ulotka reklamująca Chiang Mai. Wskazał numer czterdzieści dwa i zaczął targować się z sutenerem, ale w połowie negocjacji zrobiło mu się wstyd i dał za wygraną, choć poczuł się oszukany, myśląc o sile nabywcy bahta i o tajlandzkim produkcie narodowym brutto. Dziewczyna wyszła z akwarium, wydawała się teraz drobniejsza, jakby szkło witryny było powiększające, a światła upiękшыły krągłości miniaturowej kobietki. Wstęp nie był zbyt zachęcający. Tajka wybrała jeden z plastikowych, dmuchanych materaców, ułożonych na korytarzu, i wprowadziła Carvalha do podupadłego apartamentu, którego wyposażenie stanowiły łóżko i wanna. Położyła materac obok wanny i zapytała detektywa dobrze znanym gestem, czy zapłacić za masaż z dymaniem czy bez dymania.

- Fucking? Fucking? - zapytała głosikiem przeziębionej pensjonarki. Odpowiedział mruknięciem, które ona odczytała jako potwierdzenie. Zgodnie z azjatycką filozofią płatnego seksu, dziewczyna przybrała minę gejszy i zajęła się nagim ciałem Carvalha. Rozpoczął się masaż tajski. Thida wbijała żelazne palce w punkty strategiczne ciała, które skarżyło się bezgłośnie i rozpaczliwie, sprawdzała także sprężystość kończyn dolnych, stosując całą gamę środków, od pieszczoty po próbę oderwania nóg od korpusu. Carvalho dzielnie zniósł te praktyki, a twarz dziewczyny nie zdradzała najmniejszej niechęci, Tajka chciała tylko wypaść dobrze w oczach cudzoziemca, którego polecił jej inny klient. Jej małe piersi harmonizowały z wąskimi biodrami, a delikatne ręce odpowiadały szczupłym nogom, nic nie naruszało niewinnego wyrazu twarzy dziewczyny, przedwcześnie wymalowanej uczennicy. Palce Tajki zakończyły masaż i zajęły się szyją i skroniami Carvalha, próbując przekazać energię, którą Thida starała się wyzwolić, poruszając całym ciałem. Następnie chwyciła detektywa za rękę, pomogła mu wstać i zaprowadziła do wanny, napełnionej gorącą wodą. Mężczyzna zanurzył się w Jordanie, a masażystka wybrała jedną z kostek mydła, ułożonych na podłodze. Było to doskonałe mydło, przypominające legendarne „Lagarto”, dzięki któremu od ponad stu lat hiszpańskie ubrania były czyste. Mimo swojej kubicznej formy mydło okazało się delikatne. Dziewczyna namydliła ciało Carvalha od stóp do głów, poświęcając szczególną uwagę penisowi, który zniknął w górze piany, zaraz jednak palce Thidy wydobyły go na światło dzienne, wykręciły, rozciągnęły, odciągnęły napletek, by mydło dostało się do wszystkich zakamarków; po tych zabiegach członek przypominał zwiędły

owoc. Dziewczyna zmyła mydło polewając Carvalha wodą z dzbana i poprosiła, by wyszedł z wanny i położył się na dmuchanym plastikowym materacu, na którym rozproszona wcześniej ciepła mydlana pianą. Znowu zanurzył się w pianie, jak panierowany kotlet, z przodu i z tyłu, Thida również pokryła swoje ciało pianą, nim zaczęła ślizgać się po jego ciele. Docierała do najbardziej ukrytych zakamarków, nie przekraczała terytorium ciała, poruszając się niczym sanie, choć czasem jej prędkość napawała go lękiem, że nie zdoła wyhamować na czas i uderzy się o wannę. Czterdziestka dwójka kilka razy wskazała swoje małe piersi, stwierdzając skromnie:

- Małe. Niedobrze. Niedobrze.

Carvalho nie zdołał wydać z siebie głosu, by zaprotestować, choć taką miał intencję, zauważył jednak, że zmysłowy masaż i dotyk łona dziewczyny pobudziły do życia jego penisa, który wydobył się z odrętwienia i ruszył na spotkanie żywej kostki mydła. Thida poruszała się zgodnie z własnym, niemożliwym do przekazania rytmem, wreszcie przerwała masaż, podniosła się i wytarła Carvalha, a następnie zaproponowała mu, żeby wrócił na łóżko. Rozłożył się wygodnie, a jego ulubiony syn zajął pozycję wertykalną, zaintrygowany masażem, któremu został poddany. Thida spojrzała na penisa i zapytała Carvalha z grymasem wstrętu na twarzy, czy chce, żeby zrobiła mu laskę. Mówiła, że brzydzi się tym, ale w zamian za dodatkowy prezent może mu obciągnąć, przed prawdziwym rżnięciem, za które już zapłacił. Detektyw, sam nie wiedząc, dlaczego, wybrał właśnie ten moment, by wypowiedzieć jej imię i zapytać:

- Wiesz, gdzie jest Archit? Muszę go odnaleźć. Jestem jego przyjacielem.

Thida poruszała się na czworakach, z wysuniętymi ustami, coraz bliżej penisa, i nagle przeistoczyła się w nastroszonego kota, a w jej oczach widać było paniczny strach. Patrzyła teraz na Carvalha jak na śmiertelnie niebezpieczne zwierzę, które znalazła w łóżku, wycofała się i skoczyła na równe nogi, zatrzymując się w odpowiedniej odległości od detektywa. Carvalho podniósł się z łóżka.

- Nie znam żadnego Archita. Nie wiem, kto to jest Archit.

Zdał sobie sprawę ze swojej żalosnej sytuacji - był nagi, wyciągał ręce w stronę Thidy, prosząc ją gestem, żeby uspokoiła się i odpowiedziała na jego pytanie. Uznał, że lepiej będzie wejść ponownie w rolę klienta i rozkazał dziewczynie, by usiadła na łóżku. Thida zbliżała się do niego wolno, cały czas patrząc na drzwi, jakby z tej strony miała przyjść zbawcza pomoc. Detektyw usiadł przy niej.

- Szukam Archita, bo chcę mu pomóc w ucieczce z kraju. Przecież byłaś jego narzeczoną.

- Ale już nie jestem. Niech zostanie z tą kobietą, co go wplątała w kłopoty. Nie chcę nic o nim wiedzieć.

- Pamiętaj o jednej rzeczy: jeżeli będziesz chciała pomóc Architowi, skontaktuj się ze mną. Mieszkam w hotelu „Dusit Thani”.

Wyjął z kieszeni spodni kawałek kartki i sto bahtów. Napisał swoje nazwisko, nazwę hotelu i numer pokoju, wręczył banknot dziewczynie, która na sam widok kartki potrząsnęła głową. Ubrali się, wcześniej dziewczyna zapytała go, czy chce dokończyć masaż. Carvalho podziękował, mówiąc, że ma reumatyzm i szkodzą mu kąpiele w pianie. Przed wyjściem włożył kartkę z adresem do kieszeni kimona i zanurzył się w półmroku korytarza, gdzie stali leniwi gapie, którzy roześmiali się na widok cudzoziemca i wśród powszechnej wesołości wymienili żartobliwe uwagi. Thida wyszła za nim, wynosząc dmuchany materac. Potem podeszła do akwarium, w którym półnagie kobiety-ryby rozmawiały o swoich sprawach; po drugiej stronie witryny nie było już żadnego klienta.

Wrócił do hotelu i zdążył jeszcze zobaczyć film o perypetiach byłego agenta FBI, z Walterem Matthau i Glendą Jackson. Na jednym z tajlandzkich kanałów pokazywano konkurs, równie nudny jak konkursy telewizji hiszpańskiej, inny kanał proponował serial rodzimej produkcji, którego bohaterką była groźna dziewczyna-wojowniczką, uzbrojona w miecz. Detektyw wrócił do kultury zachodniej, wybierając kanał wideo, i usnął, mając w oczach zarys twarzy Glendy Jackson; obudził się o świcie, słysząc tajemnicze buczenie, którego z początku nie potrafił zidentyfikować. Charoen powiedział, że przyjdzie po niego wcześniej rano, a sądząc po zwyczajach tubylców, musiało to oznaczać siódmą lub ósmą. Carvalho ucieszył się na myśl o american breakfast, chciał spełnić marzenie głodnego drapieżnika, atakując półmiski pełne jedzenia, choć w ostatniej chwili pohamował swoją żarłoczność, wiedziony wrodzonym, hiszpańskim lękiem przed tym, co powiedzą ludzie. Klienci amerykańscy, a tym bardziej francuscy, nie mieli podobnych obaw; ci ostatni wciąż wierzą, że Azja musi im zapłacić za klęskę pod Dien Bien Phu, a cały świat za Waterloo. American breakfast w kraju Trzeciego Świata łączy w sobie kompleksy kolonizatora i podbitego narodu, żarłoczności i głodu, instynkt drapieżcy i przewyciężenie kompleksu ofiary, dlatego szwedzkie stoły w tych krajach są zawsze wyśmienite.

Carvalho przypomniał sobie szwedzki stół w hotelu nad Zatoką Syjamską, w sylwestrową noc. Homary zdawały się wspinać po kolumnach z orchidei, a nieprzebrana obfitość owoców morza z Zatoki Syjamskiej przemieniała stół w prawdziwe muzeum rybokultury; obok rosły kilometry roast-beefu, góry sałatki z kraba i parki narodowe owoców tropikalnych. Carvalho pochłonał owoce, jajka na szynce, spróbował solonych ryb i wypił pół litra amerykańskiej kawy. Wyszedł z restauracji uśmiechnięty, z cygarem w ustach. Charoen dzwonił właśnie do jego pokoju i odłożył słuchawkę na widok rozpromienionego detektywa. Wskazał mu otwartą drogę pośród Europejczyków przebranych za turystów, czekających na pilotki, na swoje niańki; otworzyły się automatyczne drzwi hotelowe i upał przykleił się do skóry Carvalha, przypominając mu, że wraca do tropików. Auto policjanta zanurzyło się w gęszcz ulicznego ruchu i wyjechało z miasta, respektując reguły gry innych samochodów. Charoen siedział obok kierowcy, zwrócony w stronę Carvalha, który samotnie zajmował tylne siedzenie.

- Domyślam się, że nie rozumie pan naszych drogowskazów, informuję więc, że jedziemy w kierunku południowo-zachodnim. Od Samut Sakhon będziemy jechać brzegiem zatoki, a potem, w Samut Songkhram, skręcimy w stronę Damnoen Saduak. Tam znajduje się inny pływający targ, który odwiedzają turyści, chociaż bardziej popularny jest Dao Kanong, w Bangkoku. Niedaleko Damnoen Saduak jest przystań, popłyniemy stamtąd łodzią do domu rodziców Archita. Mieszkają na jednym z bocznych kanałów. Ostrzegam, że wiele z tego, co pan zobaczy, nie będzie się panu podobać.

Ziemista woda, zaatakowana przez wybujałą roślinność, matka potężnych wodnych bizonów, szarych i lśniących, towarzyszyła im w czasie jazdy przez ryżową równinę, na której widać było wodne młyny i sylwetki niedużych ludzi o ciemnej cerze. Po godzinie podróży przybyli do drewnianej przystani, gdzie czekała na nich piroga, zaopatrzona w silnik przymocowany do rufy, którego przedłużeniem była długa rura, zakończona małą śrubą. Policjant manewrował rurą jak sterem, prowadził ostro, bez ceregieli: łódź płuła wodą na inne łodzie, należące do chłopów, którzy przyplływali na targ z owocami i warzywami, opryskiwała łodzie-kuchnie, paleniska na węgiel tamaryndowy, rondle, chochle i łyżki, należące do pływających kucharek, kobiet w czerni, które posługiwały się wiosłem lub chochłą i, obojętne na bezczelność zmotoryzowanych czółen, przemierzały swą codzienną drogę; brzegi kanałów były umocnione czarnymi kamieniami lub konarami, właśnie tam zbierały się odpadki z domów na wodzie, zbudowanych na cienkich, drewnianych palach, które wyrastały z wody jak kacze łapy. Carvalho zapytał Charoena, jak nazywają się niezwykle stabilne łodzie, policjant napisał na kartce hang yao...

- Mniej więcej tak to brzmi.

Policyjne kanoe opuściło główny kanał i skręciło w boczny kanalik, gdzie więcej było szarańczy i śmieci niż wody, po chwili zatrzymało się obok połatanego w kilku miejscach domu. Z pomocą Charoena i kierowcy Carvalho zdołał wyskoczyć z łodzi bez utraty równowagi, znalazł się na dole schodków, zrobionych z wyszczerbionych desek. Inspektor zdjął buty, zachęcając go, by zrobił to samo. Schody prowadziły do wejścia, które nie miało drzwi, a cały dom podzielony był na trzy poziomy. Zachodni dekorator wewnątrz określiłby pierwszy poziom jako „strefę wilgotną”: tutaj mieszkańcy domu myli się, zmywali garnki, gotowali, jedli i przechowywali wszystko, co służyło do gotowania i jedzenia. Drugi poziom był sypialnią spało się na podłodze, a jedyną dekoracją stanowiły zdjęcia przodków i wieszaki z ubraniami do codziennego użytku. Na górze mieścił się ołtarzyk z Buddą i kwiatami, uzupełnienie miniaturowej świątyni, znajdującej się na zewnątrz domu, która ma chronić mieszkańców przed złymi duchami. Carvalho nie miał jednak czasu, by przyjrzeć się religijnej części domu, miał bowiem przed sobą czerniałe ciało starego człowieka, którego oczy i usta otwierały się konwulsyjnie, jak u morskiego stwora, próbującego chwytać powietrze. Żywy szkielet leżał na kocu z szarej bawełny, obok niego siedziała w kucki stara kobieta, która ledwie uniosła wzrok, by spojrzeć na Charoena i Carvalha. Można było powiedzieć, że stara patrzyła w głąb siebie, wcale nie interesowała się gośćmi, ani też nie zwracała uwagi na swojego towarzysza niedoli. Inspektor pozdrowił ją upraszczającą tradycyjną formułą przywitania, i przemówił do niej stanowczym tonem, wskazując czasem Carvalha. Detektywowi nie spodobał się ton głosu policjanta. Czuł obawę, że ciało starego rozpadnie się pod wpływem wibrujących słów Charoena. Inspektor zostawił starą i zaproponował cudzoziemcowi, żeby spróbował z nimi porozmawiać.

- Rozumieją angielski?

- Nie sądzę. Będę tłumaczył.

Carvalho powtórzył, że jest przyjacielem kobiety, która towarzyszy Architowi, i chce im pomóc, musi ich odnaleźć. Stara wysłuchała w milczeniu tłumaczenia Charoena. Inspektor położył jej na ramieniu szponiastą rękę i powiedział coś, co brzmiało jak obelga. Odpowiedź starej tylko rozdrażniła Charoena, zacisnął mocniej szpony na ramieniu kobiety. Carvalho chwycił napastliwą dłoń policjanta, który natychmiast zmienił ton, stając się nagle pobłażliwy.

- Robię to tylko dla jej dobra i po to, żeby pan zrozumiał, jaka jest uparta. Do męża już nic nie dociera, jest jak drewniana kłoda, której nie poruszyłaby cała heroina Bangkoku. Obrzydliwy yonqui. Ona ma przytomny umysł, ale odmawia współpracy. Wszystkiego już próbowałem.

Carvalho wzdrygnął się na myśl o metodach, które wypróbował Charoen. Policjant wzruszył ramionami, odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi, mówiąc:

- Niech pan spróbuje. Może powiedzą panu coś, czego mnie nie chcieli wyznać.

Charoen wskoczył na stopień, dotarł do drzwi i zaczął schodzić do łódki, nie czekając na odpowiedź. Carvalho został sam z kobietą w domu, w którym nikt nie życzył sobie jego wizyty, on zaś nie miał nic do powiedzenia domownikom. Portrety na ścianach opowiadały o przeszłości, pełnej żołnierzy, ślubów i narodzin, jak zdjęcia, które otrzymał w spadku po rodzicach, przedstawiające wielu nieznanym; pamięć o tych ludziach została zabrana do grobu. Carvalho poczuł, że kobieta go obserwuje. Twarz zniszczona przez czas i cierpienie nie wyrażała już obojętności, ale pewne zaciekawienie. Oczy starej mówiły mu, że kobieta może się z nim porozumieć, a przynajmniej mogłaby się porozumieć.

- Pani rozumie angielski, prawda?

- Trochę.

- Jestem przyjacielem kobiety, która uciekła z pani synem. Przyjechałem z bardzo dalekiego kraju, jeszcze dalszego niż Indie czy Ameryka. Rozumie pani?

Carvalho mówił i gestykulował jak starzy rapsodzi, jak pan Daurella. Jego dłonie wyruszały do Hiszpanii i wracały do Tajlandii, by uzmysłwić kobiecie odległość, jaką musiał pokonać w poszukiwaniu Teresy.

- Wysłali mnie rodzice Teresy. Rodzice, tak jak pani.

Ani przez chwilę obraz starego Marsé nie zmniejszył emocjonalnej siły słów, które wypowiadał Carvalho.

- Muszę ich znaleźć, zanim tamci się do nich dobiorą.

I wskazał drzwi.

- Muszę ich znaleźć przed Charoenem.

- On jest zły. To zły człowiek - powiedziała kobieta słabym głosem.

- To policjant.

- Pan jest policjantem?

- Nie. Jeżeli coś pani wie, proszę mi to powiedzieć. Przysięgam, że nic nie powiem Charoenowi.

Stara znów zatopiła się w sobie, jakby zapominając o detektywie. Ciało jej męża zaczęło się trząść, a z gardła wydobyło się echo jęku, który zrodził się w jakimś zakątku szkieletu. Carvalho uklonił się i ruszył do wyjścia. Zaraz jednak poczuł na ramieniu dłoń starej. Kobieta wstała z niewiarygodną zręcznością i poprosiła go gestem, żeby zbliżył się do ołtarza.

- W Tam Krabok mieszka święty człowiek, nazywa się Chin Ramsun.

Kobieta złączyła dłonie i zrobiła ruch, jakby wypuszczała gołębice, namawiając Carvalha do podróży.

- Gdzie jest Tam Krabok?

- To święte miejsce i tam mieszka święty człowiek.

Stara opuściła detektywa i usiadła przy umierającym mężu. Carvalho minął ją i nie odwrócił głowy, by nie zamienić się w słup soli.

Wyszedł z domu na schodki i potrząsnął głową, rozkładając ręce w geście ostatecznej bezsilności. Inspektor skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”. Detektyw odzyskał buty. Charoen splunął do kanału, nitka śliny była niezwykle długa, jak słaby i lepki strumień moczu.

- Przekonałem się, że oni nic nie wiedzą. Ona zresztą wolałaby poświęcić męża niż zdradzić syna. Ostatnim razem prawie ją utopiłem tam, w kanale, żeby puściła farbę. I nic. Na pewno nic nie wie. To niemożliwe.

Carvalho był żywym obrazem rozpacz.

- Nie wiem, za co się brać.

Charoen roześmiał się.

- Już panu mówiłem. Przyjechał pan na darmo. Powiedziałem to osobiście ambasadorowi. Jeżeli my czegoś nie znajdziemy, to nikt tego nie znajdzie.

Kanoe zawiozło ich z powrotem na przystań. Charoen zaprosił Carvalha na obiad w przydrożnej gospodzie:

- Jesteśmy blisko morza, na pewno dobrze tutaj zjemy.

Biały ryż był tłem dla potraw z kalmarów, krewetek, warzyw na czosnku z możliwym dodatkiem winogretu, tak pikantnego, że puchły od niego wargi, sosu pomidorowego, przypominającego keczup, i sosu z ryby, który jest tajlandzką solą. Charoen i kierowca jedli wolniej, zostawiając najlepsze kęski dla cudzoziemskiego gościa. Policjant ciągle wracał do tępego oporu matki Archita, opowiedział także historię małżeństwa. Rodzice Archita byli chłopami w północno-wschodniej części kraju, najbiedniejszym regionie Tajlandii. Kiedy Archit był małym chłopcem, przenieśli się do Bangkoku, gdzie ojciec zajął się tresurą kogutów, matka zaś pracowała jako sprzątaczką w różnych instytucjach państwowych. Nagle ojciec polubił heroinę i cała rodzina zesłała na psy.

- Gdy Archit zaczął pracować...

Charoen przerwał, wybuchając serdecznym śmiechem.

- Przepraszam. No więc w pewnym momencie Archit poznał wpływowych ludzi i próbował pomóc ojcu, ale ze starym było coraz gorzej, a teraz jest na dnie. Zostało mu parę dni życia.

Wzruszył ramionami.

- Śmieci powinno się wyrzucać od razu.

- Wczoraj spotkałem się z Thidą, z byłą dziewczyną Archita.

Charoen zrobił pokerową minę, z której Carvalho wydedukował, że już o tym wie.

- Coś panu powiedziała?

- Nie. Muszę zrobić bilans. Jeżeli Jungle Kid i Chinka czekają, aż ja się czegoś dowiem, to znaczy, że wiedzą tyle, co pan i ja, czyli nic. Skoro nawet krewni Archita nic nie wiedzą albo nie chcą powiedzieć, to co mogę zrobić? Z drugiej strony nie powinienem dawać za wygraną po kilku dniach poszukiwań. Nie po to podróżuje się tyle kilometrów i robi się nadzieję tylu ludziom, żeby wrócić z pustymi rękami. Charoen, niech mi pan coś doradzi.

Wypowiedział to zdanie przyjacielskim tonem, a nawet położył dłoń na ramieniu policjanta. Pożałował swojej wylewności, bo Charoen spojrzał z lękiem na agresywną dłoń cudzoziemca i podniósł wzrok, patrząc w oczy detektywa. Carvalho zrobił najbardziej niewinną minę, na jaką było go stać.

- Niech pan pamięta, że pana ostrzegałem - powiedział Charoen.

- A jeśli bym pojechał do Chiang Mai?

- Do Chiang Mai? A po co?

- Tam ginie ślad uciekinierów. Może uda mi się coś znaleźć. Muszę wypełnić zadanie do końca, a przy okazji zwiedzę kraj.

Charoen patrzył na Carvalha badawczo, chcąc sprawdzić, czy słowa detektywa czegoś nie ukrywają.

- Ładnie jest w Chiang Mai?

- To coś zupełnie innego. Jest bardziej autentyczny, bardziej szczerzy niż Bangkok, ale też bardziej nudny. Tamtejsi ludzie są szczególnie. Kiedy Amerykanie walczyli w Wietnamie, posiłki stacjonowały w Chiang Mai; chciano zorganizować sieć domów masażu i prostytutki, jak w Bangkoku. Niech pan sobie wyobrazi, że lokalne władze Chiang Mai nie zgodziły się. Nie chciały postępu.

Charoen wybuchnął śmiechem, ale zaraz spoważniał.

- Spora część gówna w tym kraju jest zasługą cudzoziemców, chociaż nie wszyscy cudzoziemcy chcieli nas zeszmacić. Na przykład Jim Thompson. Zna pan historię Jima Thompsona?

- Nie.

- Był agentem wywiadu amerykańskiego, pochodził z Nowego Jorku. Z zawodu był architektem, ale w czasie drugiej wojny światowej pracował w służbach specjalnych. Po wojnie znalazł się w Tajlandii, zainteresowały go rzeczy z jedwabiu, kraj mu się spodobał. W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym osiedlił się w Bangkoku. Zdał sobie sprawę, że rękodziełem z jedwabiu zajmuje się kilka rodzin, mieszkających na kanale Bank Krua, starej dzielnicy Bangkoku. Zorganizował Thai Silk Company, podstawę współczesnego przemysłu jedwabniczego, i stworzył w Bangkoku wielki dom, łącząc kilka domów, należących do tradycyjnych rodów tajskich. Dzisiaj mieści się tam muzeum, które może pan zwiedzić, żyje w nim duch Jima Thompsona.

- Umarł?

- Zniknął. To było tajemnicze zniknięcie, w Malezji, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Tajlandia uznaje Thompsona za jednego z twórców gospodarczej niezależności. Był wyjątkiem. Udowodnił, że głodnemu człowiekowi nie należy dawać ryby, ale nauczyć go, jak ma ją złowić.

- Gdzie zniknął Thompson?

- Na Wzgórzach Kameron. Zna pan Malezję?

- Nie.

- Wszystko, co zrobił Thompson, było dobre. Nawet jego dom przynosi korzyści dla kraju. Pieniądze z biletów wstępu przeznaczają się na szkołę dla ociemniałych w Bangkoku.

- Widzę, że wzrusza pana ta historia.

- W przeciwieństwie do większości cudzoziemców, nie przyjechał do Tajlandii, żeby nam coś zabrać, poza tym pokazał, że mamy wartościowe rzeczy, o których wcześniej nie wiedzieliśmy.

Czy Charoen był tym samym policjantem, który torturował w kanale matkę Archita? Jak mógł być jednocześnie nacionalistą i funkcjonariuszem służącym władzy, kontrolowanej przez obce mocarstwo, które wykorzystuje i pogłębia korupcję?

- Ale jak poradziłobyście sobie bez cudzoziemców? Amerykanie bronią was przed komunistami, a turyści dają wam pracę.

- Możemy sami się obronić i utrzymać bez turystyki. Tajlandia zawsze była niezależnym krajem, o wyższym poziomie życia niż sąsiednie państwa. Mamy doskonałą ziemię, nizina centralna między Bangkokiem a północą daje nam wszystko, czego potrzebujemy do życia, poza tym pojawiła się ropa. Po raz pierwszy w historii Tajlandii stała się zjednoczonym narodem dzięki osobie króla, ponieważ dzisiaj wszystkie ludy Tajlandii akceptują monarchię, a królowie zbudowali pałace na północy, południu, zachodzie i wschodzie, jakby chcieli powiedzieć: tu jest nasz dom, to jest nasz kraj, kraj Tajów, Chińczyków, Khmerów, Hindusów, Malajczyków, wszystkich, którzy mieszkają i pracują w Tajlandii.

Carvalho musiał powstrzymać się od śmiechu, ponieważ nacionalistyczny slogan Charoena przypomniał mu inny kraj. Kiedy byli już blisko Bangkoku, detektyw oświadczył inspektorowi, że chciałby wsiąść w chińskiej dzielnicy.

- Co pana tam ciągnie?

- Zwykła ciekawość. Chcę zobaczyć, czy bardzo się zmieniła.

- Jest taka sama, jak dawniej. To idiotyczne miejsce, same sklepy jubilerskie i magazyny, w których sprzedają taczki i gumowe węży. Nie ma po co tam jechać.

- Chcę rozprostować nogi i przemyśleć parę spraw. Chyba pojedę do Chiang Mai.

- Kiedy?

- Zapytam pilota mojej wycieczki. Wyjazd z grupą jest tańszy.

- Niech pan mnie wcześniej uprzedzi.

- Myśli pan, że to konieczne?

Charoen zrozumiał ironię Carvalha i roześmiał się, bardzo z siebie zadowolony.

Kłopot z chińską dzielnicą Bangkoku dotyczył klasyfikacji. Uporządkowanie panoramy, upstrzonej ofertami handlowymi, było dla Carvalha estetycznym koszmarem; detektyw postanowił przełożyć zwiedzanie dzielnicy do następnej wizyty w Bangkoku i ograniczył się do zakupów: zaopatrzył się w jednym z magazynów w dużą, taną walizkę, kupił też chiński kalendarz dla Biscutera i jedwabną bluzkę dla Charo; dla Bromura miał zamiar kupić w ostatniej chwili butelkę mekongu, a dla Fustera, kolekcjonera czapek, chciał zdobyć w Chiang Mai typową czapkę Mien. Włożył wszystkie prezenty do walizki, złapał taksówkę i wrócił do hotelu z walizką na kolanach, żeby szpieg Charoena łatwo ją zauważyli. Zadzwoił z pokoju do przedstawicieli barcelońskiego biura podróży, pytając o planowaną wycieczkę do Chiang Mai. Były miejsca, ale Carvalho musiał zostać w Bangkoku jeszcze jeden dzień. Zarezerwował miejsce, po czym poszedł do ambasady. Poprosił o spotkanie z urzędniczką, z którą rozmawiał poprzednim razem, kobieta pojawiła się za wielkimi drzwiami, które oddzielały przedsionek od głównych biur ambasady. Gdy Carvalho oświadczył jej, że wyjeżdża do Chiang Mai, urzędniczka poczuła się oszukana, choć dyplomatycznie starała się to ukryć.

- Niczego się tutaj nie dowiedziałem.

- Bardzo mi przykro.



- Chciałbym państwa prosić o przysługę. Czy mógłbym otrzymać informację o miejscu, które nazywa się Tam Krabok? Po drugie, czy mogą państwo nie przekazywać tej informacji Charoenowi?

- Powinien był pan zacząć od drugiego pytania, bo wyjawiał pan w nim zagadkę, zawartą w pierwszym.

Urzędniczka miała rację. Złapała detektywa na błędzie i stała się bardziej uprzejma: wróciła po kilku minutach ze wszystkim, co znalazła o Tam Krabok.

- To połączenie świątyni, klasztoru i szpitala, mieszka tam wspólnota mnichów buddyjskich. Zajmują się leczeniem narkomanów poprzez terapię, która jest jednocześnie medyczna i religijna. Tyle o tym wiemy. Klasztor znajduje się za Ajuttia, między Saraburi a Lopburi, blisko miejsca, w którym krzyżują się szosy. Jeżeli chce pan tam pojechać bez wiedzy Charoena, musi pan uważać na osobę, która pana zawiezie. Klasztor nie jest często odwiedzany, a wszyscy taksówkarze są konfidentami.

- Wystarczy, że dotrę tam przed Charoenem.

Kobieta odprowadziła go do drzwi.

- Jest jakaś szansa?

- Wiem tyle, co pani. Imię, nazwa miejsca. Nic więcej. Mówiono mi o świętym, który tam mieszka. O kogo może chodzić?

- Pewnie o mnicha.

- Tak właśnie myślałem.

Uściskał rękę urzędniczce i wyszedł na Wireless Road w pełni wieczornego splendoru. Już po raz drugi minął gigantyczny ogród ambasady amerykańskiej, niemalże państwo w państwie, poszedł wzdłuż parku Lumpini i przeciął Rama IV Road, tuż obok placu, nad którym górował szerniawy pomnik króla z wielką głową. Za placem czekał na niego hotel, ojczyzna z klimatyzacją i basenem, do której wrócił jak wygnaniec. Recepcjonista wręczył mu razem z kluczem jakąś kartkę. Wiadomość od Charoena.

„W Chiang Mai zatrzyma się pan w hotelu «Chiang Mai Inn». Skontaktuje się pan z moim kolegą Chuapiboonem. Do zobaczenia”.

Charoen chciał pokazać, że kontroluje poczynania Carvalha i przestrzegał go przed próbą zdobycia niezależności. Detektyw schował kartkę. Wrócił do pokoju, założył kąpielówki, zabrał plażowy ekwipunek i wyszedł na basen. Hotelowi goście czekali na zachód słońca. Rozkoszował się latem, pływając w zimnych wodach ocienionej części basenu; później położył się na słońcu, czując, jak kolejne szklanki mekongu z lodem wywołują w nim przyjemne odrętwienie. Obudził się z uczuciem, że coś się zmieniło: wokół była noc, światło elektryczne, samotność opuszczonego basenu i dźwięk pianina, dochodzący z głównej sali hotelu, lekkostrawna muzyka umilająca czas przed kolacją, Echa Paryża, Georges Feyer, Zwiędłe liście. W pokoju czekała na niego niemiła niespodzianka: zrewidowano jego rzeczy, bez pedanterii, ale z wystarczającą dokładnością, by widać było ślady rewizji. Intruzi wycisnęli nawet pół tubki pasty do zębów, na szklanej półce pozostał biały robak, lśniący i uparty. Weszli do pokoju, przewrócili wszystko do góry nogami i z odległości kilku metrów obserwowali Carvalha, śpiącego na basenie. Wyglądało to na demonstrację siły i przestrożę, lecz jej autorem nie mógł być Charoen. Madame La Fleur? Jungle Kid? Carvalho zdenerwował się, zaryglował drzwi wychodzące na ogród i na korytarz, napełnił wannę ciepłą wodą i wziął kąpiel z dużą ilością piany, co rozluźniło go tak bardzo, że poczuł się przygnębiony. Był oddzielony od świata, od innych ludzi, nie mógł liczyć na żadną pomoc, otaczały go ofiary i kaci, patrzący na niego jak na intruza w teatrze. Tylko dobre jedzenie mogło odegnać widmo depresji. Ubrał się i postanowił wybrać jakąś dobrą restaurację, wiedziony nieświadomym impulsem zwiedził handlową część hotelu w poszukiwaniu sklepu, w którym mógłby kupić nóż. Jedyne noże, jakie mu oferowano, były pseudoantykami, którymi rzekomo posługiwały się ludy z północy; taki nóż nie mieścił się do kieszeni i nie miałby żadnego efektu odstraszającego. Detektyw musiał się uzbroić, wyszedł na Silom Road, chcąc znaleźć otwarty sklep. Prawie wszystkie sklepy sprzedawały żywność i souvenirs. Wyjawiał sprzedawcy pamiątek swoje życzenie, ten zaś uśmiechnął się tajemniczo i podał mu fajkę do opium. Widząc zakłopotanie klienta, sklepikarz chwycił opiumowy instrument, pociągnął mocno z obu stron i fajka otworzyła się, ukazując swoją duszę - cienki i naostrzony sztylet. Detektyw nie zdołał rozszyfrować podwójnej natury opiumowych fajek, sprzedawanych w hotelowych sklepach z pamiątkami, dlatego z przyjemnością rozkładał zabawkę na części. Wybrał sztylet, który wydawał się najbardziej groźny i pasował do najdroższej fajki, i targował się ze sklepikarzem tak długo, aż uzyskał cenę o połowę niższą od początkowej. Fajka nie mieściła mu się do kieszeni kurtki ani spodni, a

niebezpiecznie byłoby nosić sztylet bez futerału. Włożył ją za pasek od spodni, zaraz jednak fajka zaczęła go uwierać i może dlatego doznał olśnienia, pojął, że zrobił głupstwo, dał się ponieść niekontrolowanemu impulsowi, poczuciu, że jest bezbronny i niepewny własnego losu. Zatrzymał zmotoryzowany tuk-tuk, ulice nocnego Bangkoku były puste i zachciało mu się nagle pojechać odkrytym pojazdem do restauracji z owocami morza, polecanej przez hotelowy folder.

Wszedł do restauracji i natychmiast pożalował swego wyboru, ujrzał bowiem przed sobą rząd mężczyzn i kobiet, uciętych na wysokości pachwiny przez nieubłagane stoły; wyglądali, jakby siedzieli w kukki. Carvalho zdał sobie sprawę, że było to złudzenie, ponieważ w rzeczywistości goście restauracji siedzieli na niskich ławkach, wyciągając nogi pod stołami. Ta niewytłumaczalna dbałość o formę nie zdołała jednak zepsuć wyśmienitej kolacji: rozpoczęła ją porcja owoców morza gotowanych w szybkowarze, kulminacją zaś był krab, którego mięso przyrządzono w jego własnej skorupie, z aromatycznym dodatkiem anyżowego kwiatu i klasycznym spaghetti z ryżu. Carvalho był już gotów zabrać się do sałatki z owoców tropikalnych, gdy nagle światło przygasło, a cała jasność, rozproszona dotąd w restauracji, skupiła się na scenie, na której zaczęli się pojawiać mężczyźni i kobiety w strojach tancerzy, maskach potworów i książąt, w wysokich kapeluszach, pokrytych złotymi blaszkami. Lektor objaśniał publiczności historię i charakterystykę tańców, na sali siedzieli głównie Europejczycy, próbujący zrozumieć język subtelnego gestów i mimiki: szyja, nadgarstki, ramiona i pozycja nóg były zgodne z alfabetem umiaru, z wyrafinowaną kulturą mowy ciała. Nagle, w czasie komicznej historii o królu-rogaczu, szukającym niewiernej królowej, jeden z tancerzy wyskoczył ze sceny jak z katapult, lądując tuż przy stoliku Carla. Maskę przedpotopowego potwora z japońskiego filmu zbliżyła się do twarzy detektywa i, wśród powszechnej wesołości, król-rogacz obliżał się i wytarł sobie usta rękawem, dając do zrozumienia, że pożarł cudzoziemca. Odurzyły Carla wyziewy mekongu, dobywające się z ryczącej paszczy króla, a kiedy wróciło światło, ujrzał przy jednym z najbliższych stolików madame La Fleur ze swoimi czterema gangsterami. Inni goście jedli i rozmawiali; madame La Fleur i jej towarzysze tylko patrzyli. Patrzyli na Carla.

Jeden ze zbirów wyciągnął nogi z grobu, wstał i pokonał wszystkie przeszkody, dzielące go od Carla. Skłonił się ceremonialnie, łącząc dłonie na piersi.

- Madame La Fleur zaprasza pana do swojego stolika.

Być może uznał, że nie dość dobrze wyjaśnił sens zaproszenia, bo zaraz dodał:

- Trunki za darmo.

I nie była to ironia, lecz dodatkowa propozycja, równie konkretna, jak kurtuazyjna. Carvalho wolał spotkanie w miejscu publicznym i choć wydało mu się, że uprzejmy posłaniec był tym samym zabijaką, który poprzednim razem napluł mu w twarz, to jednak postanowił wyciągnąć nogi z grobu i podążyć za mężczyzną. Ukłonił się madame La Fleur i wyciągnął nogi pod stołem, dotykając nóg gangsterów. Madame La Fleur wciąż udawała szefową azjatyckiego gangu, choć próbowała powstrzymać się od pogardliwego grymasu i nawet uśmiechnęła się do Carla.

- Trunki są tutaj drogie?

- To jest droga restauracja - odpowiedziała madame La Fleur, broniąc się przed komentarzem Carla.

- Wobec tego przyjmuję pani zaproszenie jako zwrot kosztów pralni. Tamtej nocy pani chłopcy wyrzucili mnie na śmietnisku.

- Myli się pan. Sam się pan przewrócił. Tak mi powiedzieli, a oni nigdy nie kłamią.

- Cholera, a może oni mają rację. Czasami trudno powiedzieć, czy poruszasz się, czy też jesteś przez kogoś poruszany.

- Rozważyłam pańską propozycję. Możemy dojść do porozumienia. Pan zabiera kobietę, a my dogadamy się z Architem. Jesteśmy gotowi do współpracy.

- Jak to? Wiecie, gdzie ich szukać?

- Jeszcze nie. Ale oni będą próbowali skontaktować się z panem i wiedzą, że śledzi pana policja i my. Jeżeli wycofam ludzi, którzy nad panem czuwają, oni któregoś dnia zrobią pierwszy krok, sami albo przez pośrednika.

- Zdaje się, że nie mają już nikogo. Nawet matka Archita nie wie, gdzie się ukrywają.

- Tak się tylko wydaje, ale któryś ze znajomych może sobie nagle coś przypomnieć albo oni sami wyjdą z kryjówek.

- Czy ktoś może ukrywać się bez waszej wiedzy?
- W Bangkoku to raczej niemożliwe.
- A poza Bangkokiem?
- To trudne, ale możliwe, przynajmniej przez jakiś czas.
- Jadę do Chiang Mai.
- Już o tym wiemy.
- Myśli pani, że znajdę tam jakiś trop?
- Nie chodzi o to, żeby pan ich znalazł, ale o to, żeby oni znaleźli pana.
- Jeżeli się ze mną skontaktują, co powinienem zrobić?
- Zawiadomi nas pan i zrobimy wymianę: kobieta za Archita.
- Czy Charoen się zgadza? A co z Jungle Kidem?

Kobieta zmieniła się na twarzy, przechodząc od uśmiechu do grymasu wstrętu.

- Cha-ro-en, bez przerwy pan mówi o Cha-ro-e-nie. Niech pan się nim nie przejmuj.
- A Jungle Kid?
- Jungle Kid chce pomścić swojego syna, którego zabił Archit.
- Jak mogę skontaktować się z wami w Chiang Mai?
- Przed wejściem do hotelu „Chiang Mai Inn” zobaczy pan sporo tuk-tuków, stojących obok sklepu jubilerskiego. Zapyta pan o Tochirakarna, kierowcę tuk-tuka.
- Przed hotelem. Mówiła pani, że nie będziecie mnie już śledzić, żeby wzbudzić zaufanie Archita.
- Nasz człowiek nie będzie pana śledził. Jest kierowcą tuk-tuka, to wszystko, od dziecka pracuje przed drzwiami „Chiang Mai Inn”.

Carvalho wypił szybko szklaneczkę mekongu.

- Jutro zostanę przez cały dzień w Bangkoku, po raz pierwszy będę spokojny, bo nie będzie mnie pani prześladować, ale nie bardzo wiem, gdzie pojechać. Co mi pani radzi?

Madame La Fleur zniżyła głos, mówiąc coś po tajsku do swoich ludzi.

- Z przyjemnością oddam do pana dyspozycji szofera, pojedzie z panem na jakąś wycieczkę. Może pan się wykąpać w Pattaya albo zobaczyć most na rzece Kwai, proponuję panu te dwa miejsca, bo wiem, że zna pan już Garden Rose. Chciałby pan zwiedzić farmę krokodyli?

- Nie, dziękuję. To zwierzę nie budzi mojego zaufania. Właśnie, jestem bardzo ciekaw, skąd pochodzi pani nazwisko. La Fleur to francuskie nazwisko. Wyszła pani za Francuza?

- Mój ojciec był Francuzem.

Madame La Fleur nie miała ochoty rozmawiać ani o swoim ojcu, ani o sobie, i spojrzała z niecierpliwością na szklankę Carvalha, w której zostało jeszcze trochę whisky. Carvalho dopił tę resztkę, skłonił głowę, wy dobył nogi spod stołu i kiedy stał już nad ławami, patrząc z góry na swoich fundatorów, madame La Fleur zapytała:

- Pattaya czy most na rzece Kwai?
- Film już widziałem.
- Pattaya?
- Pattaya.
- O dziewiętej mój człowiek odbierze pana z hotelu.

Sztyletowa fajka wbijała się w bok Carvalha, sprawiając mu nieznośny ból. Detektyw chciał jak najszybciej wyjść z restauracji i zrobić bilans tego, co się wydarzyło, przewidując zarazem możliwe wersje przyszłości. Szybko dotarł do drzwi, poruszony swoim strachem, ale już na ulicy zaakceptował uprzejmą propozycję taksówkarza i wszedł do samochodu, choć w czasie drogi obawiał się, że taksówka może zawieźć go tam, gdzie każe madame La Fleur. Taksówkarz odwiózł go jednak na miejsce, powierzając opiece Piotrusia Pana z „Dusit Thani”. Detektyw, uradowany powrotem do domu, dał kierowcy napiwek, ten zaś złożył mu ukłon, jaki byłby stosowny wobec samego króla Tajlandii. Sufit hotelowego pokoju oznajmił detektywowi, że wszystko, co dotąd zrobił, było nieuniknione. Sprzedał Archita, nie mając go, w zamian za Teresę, której też nie miał, a odkąd przyjechał do Bangkoku, był śledzony przez wszystkie konkurencyjne gangi. Teraz znalazł już sposób na swoich przeciwników, z wyjątkiem Jungle Kida.

Obudził go wewnętrzny budzik. Według jego przypuszczeń, budzik znajdował się w jakimś kącie mózgu, na pewno w lewej półkuli, bezpośrednio połączony z lewym nadgarstkiem, na którym zwykle nosi się zegarek. Była siódma, ręczny zegarek przyznał rację budzikowi, detektyw miał zatem dość czasu, by zjeść śniadanie, popływać pół godziny w pustym basenie i zobaczyć w łazienkowym lustrze kontrast pomiędzy skórą, zakrytą przez kąpielówki, a resztą ciała, która była wystawiona na promienie wschodzącego lub zachodzącego słońca Azji. Punktualnie o dziewiątej zadzwonił telefon. Recepcjonista powiadomił go, że zamówiony samochód już na niego czeka. Samochód i kierowca. Był nim uprzejmy posłaniec z poprzedniej nocy, który opluł go w czasie pierwszego spotkania z madame La Fleur. Miał na sobie ciemne spodnie i jedwabną koszulę z długimi rękawami, zapiętą pod szyją, i wyglądał jak profesjonalny szofer. Tanecznym krokiem podszedł do niebieskiego sedana i otworzył drzwi, zapraszając Carvalha do środka wytwornym gestem, który zrobił wrażenie na kolejnym Piotrusiu Panu. Detektyw usadowił się na siedzeniu, wyłożonym białą skórą, a świeżo upieczony szofer, nim zamknął drzwiczki, pociągnął za dźwignię i przed Carvalhem wyłonił się oświetlony barek, zaopatrzone w dwie szklanki, butelki szkockiej i tajlandzkiej whisky i kubek z lodem. Gangster nie komentował tego, co już powiedział gestem, zamknął drzwi, zajął miejsce przy kierownicy i zapytał Carvalha, czy woli jechać autostradą, która biegnie w głąb lądu, czy też nadmorską drogą, rozpoczynającą się w Pat Nam. Detektyw wybrał trasę nadmorską. Ruszyli. Od początku kierowca dzielił swoją uwagę pomiędzy drogę i Carvalha, patrząc w lusterko wsteczne i uśmiechając się do swojego pasażera.

- Francuz?

- Hiszpan.

- Ach, hiszpański Francuz.

I zanim Carvalho zdecydował, czy warto wyprowadzać go z błędu, gangster zaczął śpiewać:

Frère Jacques, frère Jacques,  
dormez-vous, dormez-vous,  
Sonnent les matines, sonnent les matines.  
Ding dang dong, dlng dang dong.

Zatrzymali się w Chonburi, szofer poradził detektywowi, żeby spróbował tutejszych ostryg. Najlepsze ostrygi Tajlandii zbierają się pomiędzy Chonburi a Sattahip, mówił kierowca, to duży port, zbudowany w czasie wojny wietnamskiej dla amerykańskich okrętów wojennych. Detektyw pochłonął ostrygi podlane piwem, choć szofer próbował spełnić jego obłąkane życzenie, by w miasteczku nad Zatoką Syjamską zdobyć butelkę chablis albo przynajmniej rieslinga. Wrócili do samochodu, kierowca zaproponował kolejny postój w Si Racha, mieście słynącym z wyśmienitego jedzenia, które jest jednocześnie centrum eksportu orchidei.

- Orchidee dla madame? - zapytał gangster, wypuszczając kierownicę i rysując w powietrzu opływowe kształty. Carvalho odrzucił propozycję. Minęli opustoszałe plaże, które spodobały się detektywowi, ale szofer obiecywał mu raj Pattaya, gdzie można oglądać koralowe dno i najpiękniejsze kobiety Tajlandii - nalegał, modelując dłońmi powietrze. Detektyw chciał wypełnić czymś ten dzień i zanurzyć się aż do dna w studni absurdu, jaką była podróż w towarzystwie oprawcy, przebranego za anioła. Wizyta Carvalha w Pattaya napędzała kierowcę poczuciem narodowej dumy. Z pewnością jednak detektyw pożałował, że nie zatrzymał się na plażach Naklua, ponieważ na pierwszy rzut oka Pattaya wydała mu się czymś w rodzaju tropikalnego Benidormu<sup>28</sup> z nieco mniejszą liczbą turystów z Madrytu, choć słyhać było tu i ówdzie, jak seplenią, ubrani w słomkowe kapelusze i koszulki z nazwą Pattaya odbiła na sitodroku. Samochód wjechał na bulwar w kształcie łuku, kończący się w Boatel Point. Carvalho postanowił się tutaj zatrzymać, założył kąpielówki i, przebrany za plażowicza, poszedł pośród tropikalnych drzew na spotkanie morza o łagodnym, ciepłym błękiecie. Położył się na hotelowym ręczniku i chętnie przyjął trzy szklanki szkockiej, serwowane przez szofera w czasie dwóch godzin plażowania. Potem pozwolił się zaprowadzić do restauracji, na taras, osłonięty słomianym dachem, gdzie podano mu sałatkę z ryżu i ostryg, a także piękną rybę, przypominającą ukleję, trochę za bardzo przypieczoną na tamaryndowych węglach. Obok ryżowej sałatki postawiono butelkę chablis, Carvalho spojrzał pytająco na szofera, ten zaś odpowiedział uśmiechem, zadowolony z

---

<sup>28</sup> Hiszpański kurort niedaleko Alicante (przyp. tłum.).

dobrze spełnionego obowiązku. Znalazł wino w restauracji „Barbos”, kupił ją i kazał schłodzić w plażowej knajpcie, która, jak sądził, spodoba się detektywowi. Carvalho obawiał się, że tropikalne słońce obedrze go ze skóry, postanowił więc zakończyć sesję opalania i zwiedzić centrum turystyczne Pattaya, znajdujące się obok przystani dla motorówek z przezroczystym dnem, które obwoziły po zatoce turystów, zachwyconych koralowymi cudownościami. Zatrzymał się przy straganie z muszlami i przedmiotami z masy perłowej, kupił muszlę, która zachowała głos morza w swoim wnętrzu, a gdy odwrócił głowę, zobaczył, że szofer dyskutuje gniewnie z dwoma podejrzanymi typami w krótkich spodenkach i plażowych czapkach. Carvalho zachował bezpieczną odległość, obserwując z ukosa, jak dwaj mężczyźni wskazują małą knajpę, znajdującą się obok wypożyczalni motorów. Szofer przytrzymał obu typów i popchnął ich lekko, posyłając tam, skąd przyszli. Mężczyźni odpowiedzieli z równą gwałtownością, odpychając kierowcę, broniącego im dostępu do Carvalha. Szofer podniósł połę koszuli, wyciągnął zza pasa pistolet i przyłożył lufę do pleców najbliższego typa. Ten drugi też się zatrzymał, obaj zaczęli wycofywać się, przeklinając uzbrojonego mężczyznę. Wreszcie odwrócili się i poszli w kierunku knajpki, w końcu zniknęli w jej wnętrzu. Tymczasem kierowca schował pistolet i zbliżał się do Carvalha z pełnym oddaniem uśmiechem.

- Czego chcieli?
- Kto?
- Faceci, z którymi pan rozmawiał.
- Pytali, gdzie mogą znaleźć jakieś dziewczyny.

Roześmiał się i znów narysował w powietrzu figurę kobiety.

Coś jednak zmieniło się w jego zachowaniu. Śpieszył się, wyprzedził nawet Carvalha, narzucając mu swój rytm, najwyraźniej chciał jak najszybciej wrócić do samochodu. Od czasu do czasu oglądał się za siebie i Carvalho zauważył, że szofer nie tylko sprawdza, czy idzie za nim jego klient, ale przede wszystkim obserwuje horyzont, choć detektyw widział tam tylko masę opalonych turystów w niepowtarzalnych kreacjach. Kierowca poprosił go z uśmiechem o chwilę cierpliwości, podszedł do telefonu i zadzwonił, gestykulując i krzycząc wściekle do słuchawki. Wrócił do Carvalha wyraźnie zaniepokojony i powiedział, że w drodze powrotnej zabiorą dodatkowego pasażera. Nagle zmarszczył czoło, detektyw odwrócił się i zobaczył, jak przez tłum przeciskają się dwaj mężczyźni, którym szofer przed chwilą groził pistoletem.

- Niech pan wróci do samochodu. Muszę coś załatwić.

Carvalho posłuchał. Przeszedł jakieś trzydzieści metrów, obejrzał się. Kierowca czekał na środku chodnika na dwóch typów, szykując się do walki. Kiedy mężczyźni, podchodzący z przodu, byli już blisko, dwóch innych typów zablokowało go z tyłu, i wspólnymi siłami zmusili szofera, żeby poszedł w stronę bocznej uliczki. Carvalho wahał się, czy pomóc kierowcy, czy lepiej nie wtrącać się w nie swoje sprawy; w każdym razie samochód nie był zbyt przydatny, bo kluczyki miał szofer. Detektyw nie miał jednak broni, postanowił więc zostać na swoim miejscu. Z uliczki wypadło nagle kilka przerażonych osób i nogi Carvalha otrzymały sygnał do biegu. Przedał się przez tłum, dotarł w końcu do ciała, leżącego w kałuży krwi. To był szofer, krew płynęła z otwartego brzucha, a także z ust i ran na twarzy, zmiążdżonej przez okrutne ciosy. Detektyw stanął jak wryty, poczuł nagle czyjąś obecność, ktoś wyszeptał mu do ucha „spokojnie”, co jeszcze bardziej go sparaliżowało, cień wyprzedził go i podszedł do ciała. Mężczyzna, który go uspokajał, pochylał się nad rannym, sprawdził, czy jeszcze żyje, i odwrócił głowę, prosząc gapiów o pomoc. Zaczął podnosić ciało, inni dołączyli do niego, jednak przy wyjściu z uliczki autor akcji ratunkowej odłączył się od grupy, niosącej rannego. Przybysz podszedł do Carvalha i pokazał mu kluczyki, które wyjął z kieszeni szofera.

- Zdażyłem. Jedziemy stąd.
- Kto pana przystał?
- On sam do mnie zadzwonił, kiedy sprawy zaczęły się komplikować.
- Dla kogo pan pracuje?
- Dla madame La Fleur.

Mężczyzna w tym samym czasie objaśniał sytuację detektywowi, zmuszał go do szybkiego marszu i rozglądał się na boki. Nie wyszli na główną aleję, ale dotarli w pobliżu samochodu bocznymi uliczkami.

- Niech pan za mną biegnie.

Carvalho nie zauważył nawet, w którym momencie mężczyzna wyciągnął pistolet i zaczął biec z bronią w dół ulicy. Wypadli na główny deptak, przebiegli trzydzieści metrów, jakie dzieliły ich od auta, torując sobie drogę pośród turystów, i wskoczyli do samochodu. Kierowca wycofał energicznie samochód i ruszył w kierunku przeciwnym do drogi na Bangkok. W czasie tego manewru Carvalho

zdołał zobaczyć grupkę mężczyzn, biegnących za samochodem. Rozpoznał dwóch z nich, ubranych w szorty, inny zaś, mocno zbudowany mężczyzna, z wygoloną czaszką, poruszający się jak szybkie zwierzę, mógł być tylko Jungle Kidem.

- To był Jungle Kid?

- Tak.

- Przecież miał dobre kontakty z madame La Fleur?

- Ja nic nie wiem. To są problemy szefów. Miałem wyciągnąć pana z kłopotów i zawieźć do Bangkoku.

- A pański kolega?

Mężczyzna nie odpowiedział, był pochłonięty jazdą, chciał jak najszybciej wydostać się z labiryntu błotnistych drózek, które doprowadziły ich do tylnej części obwodnicy Pattaya.

- Umarł?

- Tak.

- Będą nas ścigać.

- Nie. Zrobili już to, co chcieli.

Cholerni idioci, pomyślał Carvalho, ale zaraz podziękował Bogu, że samochód jest szybki, a kierowca nie odzywa się, tylko zerka co jakiś czas w lusterko wsteczne. Detektyw rozłożył się na siedzeniu tak, by móc obserwować samochody, które ich wyprzedzały albo bezskutecznie próbowały wyprzedzić.

Zaryglował drzwi do pokoju. Otworzył walizkę przywiezioną z Hiszpanii i tę drugą, kupioną w chińskiej dzielnicy. Włożył większość rzeczy do hiszpańskiej walizki, do drugiej zaś tylko to, czego potrzebował na dwudniową podróż. Zszedł do hallu i zaczekał, aż wypełni się turystami w wieczorowych kreacjach, potem zbliżył się do Bella Captaina i wyjaśnił, że wybiera się w podróż, ale wróci do „Dusit Thani” i chciałby zostawić walizkę w hotelu. To wyjaśnienie i sto bahtów przekonały Bella Captaina, Carvalho wrócił do pokoju, a pięć minut później boy odebrał walizkę. Czuł się głodny i nasączony mekongiem, nie chciał jednak wychodzić z hotelu, skorzystał więc z room service, który podawał wyłącznie zachodnie potrawy. Zamówił sałatkę z krabów, steak Sirloin i owoce, przekonując się po raz kolejny, że hotelowy pokój jest najsmutniejszym miejscem na ziemi. Sprawdził zamki w drzwiach, włożył opiumową fajkę pod poduszkę i usnął, oglądając kolejny rozdział opowieści o wojowniczej dziewczycy. Przed snem udało mu się odkryć, że poczucie komizmu azjatyckich filmowców do złudzenia przypomina parafialny teatrzyk z czasów jego dzieciństwa.

Rankiem Jacinto przyszedł po niego i powiedział ze swoim charakterystycznym, sepleniącym akcentem, że pięciu turystów z hiszpańskiej grupy wybiera się do Chiang Mai. Czterej członkowie wyprawy siedzieli już w furgonetce, podstawionej zamiast autokaru. Były to dwa katalońskie małżeństwa, które spokojnie przyjęły serwis informacyjny:

- W Hiszpanii były wyboly. Wygiął Felipe González, duża większość. Felipe González, socjalista. Felipe González, socjalista - stwierdził, a może zapytał Jacinto.

Wycieczkowiec skinęli głowami.

- A Convergència i Unió? Nie wie pan, ile zdobyła miejsc? - zapytała jedna z kobiet, narażając się na krytykę swoich towarzyszy.

- I ara, Remei. Com vols que aquí sàpiguen què és Convergència i Unió?<sup>29</sup>

- Bé que està enterat del resultat dels socialistes.<sup>30</sup>

Jacinto ze stoickim spokojem przyjmował dowody historycznej mądrości i głupoty, zawarte w komentarzach Katalończyków.

- A komuniści? - zapytał Carvalho.

- Nic. Nic. Mało posłów. Mówili w telewizji.

---

<sup>29</sup> Posłuchaj, Remedios. Skąd oni mogą wiedzieć, co to jest Convergència i Unió? (przyp. aut.).

<sup>30</sup> Ale wynik socjalistów to mógł zapamiętać (przyp. aut.).

- Prepara't pels impostos, Quimet<sup>31</sup> - wykrzyknęła jedna z kobiet, druga zaś wybuchnęła śmiechem ofiary historycznego potopu. „Bangkok Post” nie przedstawiał jeszcze wyników wyborów w Hiszpanii, ale przyłączał się do złych wieści o komunistach, informując, że wojska malajskie zlikwidowały czterech partyzantów, a małżeństwo tajlandzkich działaczy komunistycznych oddało się w ręce policji - byli studentami medycyny w latach siedemdziesiątych, kiedy na uczelniach panował zamęt, później zaś należeli do rozmaitych grup partyzanckich, które przenikały do kraju z Laosu. Carvalho pokazał artykuł Taj owi.

- Dużo studenci poszli do dżungla w tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dwa i siedemdziesiąt trzy, bo policja i wojskowi zabijali.

Katalończykom nie spodobało się, że tajlandzcy wojskowi zabijali komunistów, kręcili głowami z dezaprobatą a jeden z mężczyzn powiedział do Carvalha, szukając poparcia:

- Tego się nie robi, nie uważa pan?

- Rzeczywiście. Tego się nie robi.

Jacinto twierdził, że popularność wojskowych gwałtownie spadła od czasu mordów dokonanych na strajkujących i manifestantach, masakry, której przyczyną był strach, że po nieuchronnym upadku Wietnamu w Tajlandii również wybuchnie ludowa rewolucja. Pilot przemawiał beznamiętnie, tym samym tonem, jakim polecał korzystne sklepy z szafirami albo bardziej wyrafinowane masaże.

„Według oficjalnych źródeł wczoraj w Bangkoku były działacz studencki i jego żona, którzy ukryli się w dżungli w latach 1975 i 1976, aby przyłączyć się do komunistów, oddali się w ręce oficerów Oddziału Akcji Bezpieczeństwa Wewnętrznego”, tak zaczynał się artykuł w „Bangkok Post”. Student uniknął prześladowań ze strony ultrapravicowej junty, chroniąc się w Paryżu, Pekinie, w końcu w Laosie, gdzie walczył w partyzantce w Phuphan, w północno-wschodniej części kraju, używając pseudonimu „towarzysz Khem”. Historia kobiety była podobna. Uciekła z Bangkoku po masakrze czerwonych w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym, przez sześć lat walczyła w dżungli, w końcu poddała się. Carvalho zastąpił palmy pirenejskimi jodłami i przed oczami stanęła mu twarze hiszpańskich komunistów, postarzałe, rozmyte, jak gdyby należały do topielców, którzy zginęli w oceanie normalności. Przez czterdzieści lat siedzieli w dżungli, żeby w końcu zdobyć pięć mandatów.

Kiedy na lotnisku Carvalho wyskakiwał z furgonetki, Jacinto uprzejmie zajął się jego walizką.

- Mało waży. Mały bagaż.

- Nie lubię jeździć z dużym bagażem.

- Za duża walizka na taki mały bagaż.

Carvalho wzruszył ramionami, odebrał walizkę, a kiedy jego grupie wręczano bilety do Chiang Mai, wydało mu się, że pilot patrzy z ukosa na walizę, w której podróżowały powietrze, neseser, zmiana bielizny i kąpielówki.

Carvalho leciał do Chiang Mai w towarzystwie bogatych i dobrze odżywionych Francuzów, na ich twarzach widać było ślady dobrego wina, które wypili przez całe życie, po intensywności fioletowych żyłek można było nawet ocenić markę i rocznik spożytych trunków. Obserwował przez okienko urodzajne niziny środkowej Tajlandii, nie kończące się pole ryżowe, które ciągnęło się aż do gór na północy i końca tego świata, gdzie zaczynał się inny, kraina Shan i Laos, zamykające drogę do Chin. Wiele lat wcześniej odbył tę samą podróż samolotem pełnym tubylców, którzy wracali do domu z prezentami kupionymi w stolicy, a w drodze powrotnej ci sami Tajlandczycy załadowali samolot kogutami w koszykach i torbami świeżo uciętych darienów. A teraz samolotem lecieli Francuzi, Japończycy, kilku Katalończyków i Tajlandczyków, wszyscy w młodzieżowych ciuchach z „Corte Inglés”, i tylko piękna Malajka o ustach dziwki nie pasowała do wytwornego towarzystwa. Grzebała we włosach męża, wynajdywała wszy i zabijała je za pomocą szczypczyków, które wyciągnęła z torebki z krokodylej skóry, choć świetlny napis nakazywał zapiąć pasy, bo samolot podchodził do lądowania w Chiang Mai.

Carvalho czekał na swoją walizkę, gdy nagle zobaczył dwóch mężczyzn. Pomyślał najpierw, że są policjantami, ale kiedy się zbliżyli, zauważył, że jeden z nich nosi identyfikator agencji. Był to pilot, nie znał angielskiego, ale mówił po francusku i zapewniono go, że hiszpańscy turyści znają francuski. Towarzyszył mu pan Chuapiboon - policjant niezwłocznie oddał się do dyspozycji Carvalha i przekazał pozdrowienia od Charoena, z którym przed chwilą rozmawiał przez telefon. Pilot powiedział, że czeka na nich furgonetka, którą pojadą na pierwszą wycieczkę, żeby zobaczyć pracujące słonie i zwiedzić wieś Mien.

---

<sup>31</sup> Przygotuj się na wyższe podatki, Quimet (przyp. aut.).

- Bardzo chciałbym z panem porozmawiać, panie Chuapiboon, ale mam też zamiar wykorzystać podróż i zobaczyć trochę kraju.

- Przewidziałem tę okoliczność i pozwolę sobie dołączyć do wycieczki, po drodze będziemy mogli porozmawiać.

Człowieczek nosił kremowy garnitur, w tym samym kolorze, co białka jego oczu. Pilot schylił się po walizkę Carvalha, ale detektyw schwycił ją w porę i powiedział, że chce zostawić ją w hotelu. Nie było to jednak możliwe. Bagaż można zostawić w samochodzie, pojedą do hotelu po wycieczce. Katalonki zajęły miejsca jak najbliżej pilota, zadając mu pytania w nowym języku, opartym na inteligentnej sztuczce: zaczynały słowa po katalońsku, a kończyły je po francusku. Metoda działała, dzięki temu potwierdziła się teza Erica Fustera, że kataloński przypomina wszystkie inne języki, a może nawet jest źródłem indoeuropejskiego. Ich mężowie rozdzielili między siebie role - jeden patrzył przez okno w milczeniu, drugi zaś komentował wszystko z punktu widzenia swoistej koncepcji filozoficznej: kiedy wróci do siebie na wieś, nie będzie mógł uwierzyć, że tyle widział. Od pierwszego dnia pobytu w Bangkoku był podekscytowany faktem, że palmy istnieją naprawdę, widział też soję, rosnącą na skraju drogi, odkrył, że orchidee są tajlandzkim geranium, a słonie podnoszą trąbą kłody drzew. Tarzan i Sabu nie byli więc snem jego dzieciństwa lub barwnymi litografiami, lecz możliwą rzeczywistością. Entuzjazm wiejskiego sprzedawcy był pokrzepiający w porównaniu do całego mnóstwa bzdur, jakie padały z ust bezczelnych Hiszpanów, którzy widzą śmietnik Azji, ale zapominają o swojskim gównie. Sklepiarz chciał, by inni podzielali jego radość, a do „innych” zaliczał nie tylko żonę i przyjaciół, ale również samego Carvalha, chcąc wzbudzić w detektywie zachwyt dla sielankowych obrazków - kobiety Mien, ubrane w tradycyjne stroje, pogodni chłopcy, maszerujący poboczem drogi. Carvalho dzielił swoją uwagę między euforię paszтетnika: Guaita, guaita, Maria! Mare meva. Sembla que ho somii<sup>32</sup>, a paplaninę policjanta, który siedział obok.

- Jak kamień w wodę. Mogę panu udowodnić, że ich tutaj nie ma. Mogę to wykazać naukowo - dodał policjant, marszcząc brwi, a jego oko przypominało żółty romb.

Carvalho zatrzymał się na ścieżce, prowadzącej do miejsca, gdzie słonie miały popisywać się zręcznością, przystanął przed młodzieńcem, który siedział w kucki, gorliwie przemieniając kłocki drewna tekowego w zgrabne słonie, słonie-gazele, jeśli porównać je z milionami okropnych słoni-pamiętek, sprzedawanych w całej Tajlandii. Mężczyzna był świadomy estetycznej wartości swoich prac i nie chciał obniżyć ceny, Carvalho kupił w końcu słonia, zafascynowany manualnym talentem rzemieślnika; równie silne wrażenie robiły na nim wprawne rzeźniczki albo kelnerzy, potrafiący wyjąć ości z ryby. Kontemplacja pracy rzemieślnika zamieniła psalmidę Chuapiboona w dźwiękowe tło, które odtąd towarzyszyło detektywowi w drodze przez mostek na drugą stronę rzeki, gdzie na turystów czekały słoniątka, żebrzące o banany i pieszczoty. Dorosłe słonie, skute łańcuchami, czekały na moment, gdy treserzy wprowadzą je do rzeki i rozpocznie się rytuał mycia, bacznie obserwowany przez turystów: piasek z rzeki, szczotka, woda i twardy pręt, wymuszający posłuch. Później był pokaz przenoszenia kłoców drewna. Pilot utrzymywał, że po zakończeniu prezentacji słonie przewozi się do pracy w górach, wypełniły już bowiem swoją rolę słoni-aktorów, odgrywających spektakl dla turystów, którzy chcą odzyskać kraj swojego dzieciństwa.

- Jeśli pan pozwoli, przygotowałem plan działania, który będzie ostatecznym dowodem na to, że uciekierów nie ma w Chiang Mai.

- Skonsultował się pan z Charoenem?

- Oczywiście, wyraził na to zgodę.

Plan polegał na tym, by Carvalho pokazał się na najbardziej uczęszczanych szlakach turystycznych. Dzisiejsza wycieczka była już niezłym początkiem, ale detektyw musiał w najbliższych dniach przejść gólgotę - miał zwiedzić osadę Karen i wsie, znane z rzemiosła artystycznego, wspinać się na dwieście dziewięćdziesiąt schodków świątyni Doi Suthep, chodzić w kółko po Nocnym Targu, a przede wszystkim rozmawiać z kierowcami tuk-tuków i taksówkarzami, mówiąc, że jest cudzoziemcem, szukającym zaginionych przyjaciół.

- Jeżeli tylko są w Chiang Mai, znajdą pana.

Po występie słoni Hiszpanie pojechali w góry asfaltową szosą, która w pewnej chwili skończyła się, przechodząc w polną drogę. Byli coraz dalej od miasta. Carvalho przypominał sobie podobną wycieczkę do ukrytej osady Mien, otoczonej polami makowymi, gdzie można było kupić opium i opiumowe fajki. Furgonetka mijała bananowce, plantacje soi i pola ryżowe, zbliżając się do wsi Mien,

<sup>32</sup> Popatrz, Mario, ja chyba śnię! (przyp. aut.).



w której mieli zobaczyć hafciarki przy pracy i inne przykłady tradycyjnego rzemiosła. Plemię Mien, jak mówił pilot, pochodzi z południa Chin, z Yunnan. Tam od niepamiętnych czasów zajmowali się produkcją opium, z powodu prześladowań politycznych i etnicznych końca wieku przenieśli się na północ Birmy, Tajlandii i Laosu, przywożąc swoją dawną kulturę. W dzisiejszych czasach, dodał przewodnik, rząd tajlandzki pomaga im osiągnąć zysk z innych upraw, na przykład bawełny, i z wyrobów rzemieślniczych, a wszystko po to, by porzucili opium.

- To prawda?

Policjant kilkakrotnie skinął głową, chcąc rozwiać wszelkie wątpliwości detektywa.

- Ale przecież narkotyki są dostępne, w Złotym Trójkącie znajdują się tajne laboratoria, produkujące heroinę.

- Nie możemy wszystkiego widzieć.

- W Birmie, Tajlandii, a nawet w Laosie są generałowie i ministrowie zamieszani w handel narkotykami.

- Teraz, wszystko jest pod kontrolą.

- Ale produkcja nie ustaje.

- Wszystko jest pod kontrolą - upierał się policjant.

Dotarli do osady Mien, gdzie zaatakowały ich kobiety ubrane w tradycyjne stroje, proponując fajki z blachy i drewna do palenia tytoniu i opium, fajki-sztylety i fajki zwykłe, kosztowne i tanie. Kobiety mówiły w swoistej odmianie angielskiego, opartej na bezokolicznikach i gestykulacji. Małe czarne świnię, dzieci, które wyglądają jak narysowane tuszem, drobne, milczące kobiety, siedzące w drzwiach swoich górskich domów, przy prehistorycznym krośnie albo prymitywnej ramie tkackiej. Nie ma ani jednego młodego człowieka, z wyjątkiem ospałego nauczyciela, który siedzi w otwartym oknie szkoły, z sali dobiega chórny głos dzieci narysowanych cienką kreską, śpiewających francuską piosenkę: Sur le pont d'Avignon.

- Dlaczego śpiewają po francusku?

- W tych okolicach było dużo francuskich misjonarzy. Nawet nie tak dawno - powiedział przewodnik.

Katalończycy podziwiali samych siebie za to, że udało im się dotrzeć do Złotego Trójkąta, z drugiej strony współczuli ludziom żyjącym w takich warunkach. A mężczyźni? Gdzie się podzieli mężczyźni? Pilot wskazywał góry.

- Są na polach ryżowych.

- A nie opiumowych? - zapytał Carvalho z uśmiechem współnictwa.

- Opium, mało. Nielegalne. Dzisiaj już się tyle nie uprawia.

W drodze powrotnej czworo Katalończyków wysiadło przed swoim hotelem, a Carvalho został odwieziony do „Chiang Mai Inn”. Policjant powiedział mu półgłosem, że od tej chwili nie powinni pokazywać się razem, by Archit i Teresa mogli się do niego zbliżyć. Carvalho zainstalował się w pokoju hotelowym, a potem zanurzył w wodach basenu, tuż obok francuskich weteranów, którzy zabawiali się, próbując zdjąć sobie kąpielówki; ich żony, rozłożone na leżakach, komentowały sukcesy i porażki. Detektyw leżał przez chwilę w słabym słońcu popołudnia, wrócił do pokoju, włożył neseser do plastikowej torby, do której wrzucił też ubranie i kąpielówki, zamknął pustą walizkę w szafie, zawiesił na klamce kartkę z napisem „Nie przeszkadzać” i wyszedł z hotelu, chcąc, żeby go widziano. Wynajął tuk-tuka i wdał się w rozmowę z kierowcą, informując go o najważniejszej przyczynie swojej podróży. Objechał dzielnicę złotników i sklepów z wyrobami z drewna tekowego, po czym wrócił do centrum Chiang Mai i poprosił, by wysadzono go na Nocnym Targu, rozciągającym się po obu stronach Chiang Mai Road. Ktoś wpadł na pomysł, żeby otworzyć niemiecką restaurację w głębi Targu, pośród kramów z pamiątkami, używanym ubraniem, zabawkami dla dzieci Mien, które zaglądały do toreb, zawieszonych na plecach matek. Carvalho podziwiał nożyki do obcinania birmańskich cygar, zielone cygara o smaku i zapachu lekarstwa, dziecięce instrumenty-zabawki, kamienie szlachetne, szklane koraliki, misy ze srebrną biżuterią, hinduskie malowidła na ceracie, czapki Mien - detektyw właśnie taką kupił dla Fustera - lakę z Chiang Mai i z Birmy, drobne kobiety o niemal białej skórze, delikatne, porcelanowe. A gdy zapadła noc, Carvalho dał się upolować taksówkarzowi, który zaproponował mu to, co zwykle: dziewczyny, masaże, chłopców, czego dusza zapagnie.

- Przykro mi - uśmiechnął się Carvalho. - Muszę wyjechać w pilnej sprawie do Bangkoku.

- Teraz?

- Teraz.

- Nie ma samolotu. Nie ma pociągu.

- Wiem.

Taksówkarz wyskoczył z samochodu i podszedł do Carvalho. Może go zawieźć do Bangkoku. Teraz, od razu? Od razu, Carvalho miałby nawet czas, żeby pójść do hotelu i zabrać swoje rzeczy, w tym czasie on zawiadomi rodzinę. To niemożliwe. Carvalho bardzo się śpieszy. Jego żona nagle zachorowała i chce dotrzeć jak najszybciej, poza tym muszą ustalić cenę. Ale detektyw usadowił się już w taksówce, a szofer ruszył, olśniony perspektywą zarobku.

- Trzy tysiące bahtów.

- Tysiąc.

Negocjacje przedłużyły się, kierowca zdążył pożegnać się ze swoją rodziną, krzycząc coś z samochodu do kobiety, która pokazała się w oknie domu z blachy i drewna. W końcu zmęczone strony ustaliły cenę na tysiąc siedemset bahtów i Carvalho ułożył się na tylnym siedzeniu. Przez kilka minut kontemplował zamysłoną twarz kierowcy, którą oświetlał ogień birmańskiego cygara - podarunku od klienta. Od czasu do czasu szofer popijał z butelki pobudzający trunk z ziół i miodu. Było ciemno, choć oko wykol, i szofer wyglądał jak żółte widmo, emanujące własnym światłem, jedynym światłem na pustej drodze, na której minęli tylko ciężarówkę. Zanim usnął, Carvalho wyobraził sobie, że samochód drąży korytarz w materii nocy, pełnej roślin i zwierząt, zмага się z ciemną siłą, próbującą powstrzymać jego turkoczący pęd.

Obudził go pisk hamulców. Półprzytomny szofer mrugał powiekami i ścisnął kierownicę, by nie stracić kontroli nad autem. Udało mu się opanować samochód, odwrócił się do Carvalho z uśmiechem na zmęczonej twarzy. Powiedział, że przejechali już Nakjon Sawaan, jadą drogą numer jeden i są blisko Bangkoku; jeżeli takie jest życzenie Carvalho, mogą zatrzymać się w Ajuttia i poznać dawną stolicę. Detektyw spojrział na mapę: Ajuttia znajdowała się bardzo blisko klasztoru Tam Krabok i zyskałby na czasie, jadąc tą samą taksówką i skręcając w Sing Buri w stronę Lopburi. Postanowił jednak trzymać się swojego pierwotnego planu, nie zostawiać wyraźnych śladów, dać Charoenowi do rozwiązania łamigłówkę, i chociaż musiał nadłożyć kawał drogi, zdecydował się wrócić do Bangkoku i zmienić taksówkę. Wjechali do stolicy, szofer zapytał Carvalho, gdzie chce wysiąść.

- Siam Center.

Taksówka zahamowała przed schodami centrum handlowego, otaczającego hotel „Siam”, szofer odkręcił nową butelkę, wypił spory łyk, wysiadł z auta, zrobił kilka skłonów, żeby się rozruszać i spojrział podejrzliwie na plik banknotów, przygotowywany przez Carvalho. Kiedy detektyw wręczył mu tysiąc siedemset bahtów, taksówkarz rozpoczął jeremiadę, skarżąc się na długą i męczącą podróż, po której czeka go jeszcze powrotna jazda. Carvalho chciał uciąć tę rozmowę i dodał dwieście bahtów, czym zasłużył sobie na uśmiech i poważny, ceremonialny ukłon szofera. Wbiegł na schody, włączył się chwilę po sklepach, w pewnej chwili przyspieszył kroku. Zatrzymał taksówkę, dojechał nią do Pomnika Zwycięstwa, tam ustalił z innym taksówkarzem kurs za wycieczkę do klasztoru. Przedstawił się jako włoski dziennikarz, który chce napisać reportaż o leczeniu narkomanów. Tam Krabok był chyba tematem narodowej debaty, bo taksówkarz zaraz opowiedział detektywowi historię świętych mężów, dwóch mnichów, którzy prowadzą klasztorny szpital.

- Wszystko zrobili sami. Na początku mieli tylko teren, który dostali od jednego generała.

- Jeszcze jeden generał?

- Tak, generał lotnictwa. Ci mnisi to święci. Najpierw byli policjantami, a potem wstąpili do klasztoru. Ja też byłem mnichem przez parę miesięcy, ale nie miałem powołania i zrezygnowałem.

Od tej chwili Carvalho wypatrywał w tłumie mnichów w szafranowych szatach, z miskami do zbierania jałmużny, o którą nie proszą.

- Zdarza się, że nie przyjmują jałmużny od niektórych ludzi.

Detektyw miał już dosyć pejzażu okolic Bangkoku, a podróż do Saraburi zdawała się nie mieć końca. Od poprzedniego dnia nie miał nic w ustach, postanowił więc zatrzymać się w przydrożnej restauracji i coś zjeść, zamówił kurczaka w sosie curry z białym ryżem i smażone banany zawinięte w liście. O trzeciej po południu dotarli do klasztoru. Po drodze minęli pacjentów szpitala, ubranych w różowe spodnie i bluzy, którzy nieśli puste wiadra.

- Niedługo wyjdą.

- Skąd pan to wie?

- Poznają po kolorze ubrań. Kiedy przychodzą do klasztoru, ubierają się na białe, później na biało-różowo, a gdy są już prawie wyleczeni, na różowo.

Nic nie przypominało klasztoru ani szpitala. Carvalho ujrzał skupisko funkcjonalnych konstrukcji z drewna, cegły, ale też z cementu i blachy, zanurzonych w przepychu tropikalnej roślinności. Na pierwszy rzut oka nie sposób było stwierdzić, gdzie mieści się część szpitalna, miejsca przeznaczone na modlitwy albo ubikacje. Poza tym detektywowi wydało się, że mnisi nie pasują do młodszego personelu, mężczyzn i kobiet, oddających się powolnej, upartej pracy: wielu z nich budowało nowy pawilon, przed którym rosła góra kamieni, a na jej szczycie siedział młody mnich i cierpliwie rozbijał większe głazy; inni znosili wodę do cystern, jeszcze inni krząpali się w kuchni na wolnym powietrzu, pokrytej słomianym dachem. Mnisi w nieokreślonym wieku, starcy z koszami na głowach, schodzący błotnistą ścieżką z ostrożnością artretyków, dzieci, goniące wygłodniałe psy, młoda matka, która jedną ręką miesza jedzenie w garnku, a drugą kołysze dziecko, odganiając niebieskie muchy, schludne ubóstwo misji, azjatyckie Pozo del Tio Raimundo<sup>33</sup>. Mnich, który powitał Carvalha, okazał się sekretarzem przeora; miał na ramieniu barokowy tatuaż. Splunął obficie na grządkę orchidei, nawożonej łupinami kokosa, a czerwony kolor jego śliny zdradzał przyzwyczajenie do żucia betelu. Był pogodnym człowiekiem o twarzy ascety, z której nie sposób było odczytać wieku. Z dumą tłumaczył detektywowi to, co działo się w klasztorze, zaczął od początku, od momentu, gdy niewolnicy narkotyków przybywają do szpitala, pragnąc się wyleczyć. Rozbierają się, oddają wszystko mnichom i otrzymują zieloną albo białą kartę, zależnie od tego, czy mieli przy sobie pieniądze, czy nie. To jest ich dowód tożsamości. Od tej chwili wkraczają do świata, w którym nie istnieją pieniądze: chorzy będą oddawać się modlitwie, pić wywary z ziół i wymiotować, a to, czego nie oczyszczą wymioty, uleczy modlitwa. Mnisi dysponują statystyką - w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym przyjęto najmniej chorych, a w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim najwięcej, od dwustu dziewięćdziesięciu do siedmiu tysięcy, nie da się tego wytłumaczyć, w tym roku mieliśmy już prawie tysiąc dwieście przyjęć. Tam właśnie mieszkają chorzy, we wspólnym budynku, podzielonym na dwie części, w którym grupuje się pacjentów w zależności od stopnia wyleczenia. Na deskach, ułożonych niepewnie na drewnianej listwie, siedzi w kucki czterdzieści lub pięćdziesiąt żółtych kościotrupów - drżą konwulsyjnie, zasłaniają się kocami ze zgrzebnej wełny, chroniąc się przed okrutnym wewnętrznym zimnem i matowymi oczami patrzą na cudzoziemca, świadka ich nieszczęścia. Przed budynkiem stoi starszy, mocno zbudowany mężczyzna o gniewnym wyrazie twarzy, kontrastującym ze słodczą wytatuowanego mnicha.

- Później przedstawię pana przeorowi - mówi przewodnik Carvalha, zniżając głos.

- Mam do pana prośbę, słyszałem o jednym mnichu, który tu mieszka, chciałbym przekazać pozdrowienia od jego rodziny. Nazywa się Chin Ramsun.

Wytatuowana ręka wskazuje mnicha, który rozbija kamienie na szczycie wzniesionej przezeń góry.

- Mogę się z nim przywitać?

Wytatuowany mnich kłania się i odchodzi. Carvalho idzie w stronę upartego kamieniarza: jego młot za każdym razem trafia w odpowiednie miejsce, spadając na kamienie jak powolny grom. U stóp góry detektyw woła mnicha po imieniu. Kucie młota ustaje, Carvalho spotyka przenikliwe i nieufne spojrzenie Azji.

- Chciałbym z panem porozmawiać.

Mnich podnosi się, jest smukły jak topola, zaczyna schodzić ostrożnie, by nie spowodować kamiennej lawiny. Carvalho obawia się o jego nagie stopy, jednak mężczyzna schodzi ze zręcznością alpinisty. Jest wysoki, ma jajowatą głowę, mocne mięśnie i oczy o żółtym odcieniu, wskazującym na długotrwały post. Składa ukłon detektywowi i przyjmuje konfidencjonalny ton, zapraszając gościa na spacer, jak najdalej od wytatuowanego mnicha.

- Wiem o panu od matki Archita.

Carvalho opowiada o podróży, o tym, co udało mu się dotąd zrobić - spotkanie z rodzicami Archita, fortel z wyjazdem do Chiang Mai, pewność, że Charoen jeszcze go nie wykrył. Musi odnaleźć Archita i kobietę, właśnie teraz, gdy z całą pewnością nikt go nie śledzi. Mnich słucha go uważnie, a potem mówi z pozorną niedbałością w głosie i gestach:

- Przyjmuję pozdrowienia i proszę, żeby kontynuował pan swoją wizytę. Byłoby bardzo podejrzane, gdybyśmy teraz rozpoczęli długą rozmowę. Kiedy pan skończy, poproszę przełożonych o zgodę na wyjazd do Saraburi, żeby zrobić zakupy, i skorzystam z pana uprzejmości, zajmując miejsce w taksówce.

---

<sup>33</sup> Uboga dzielnica Barcelony (przyp. tłum.).

Carvalho chce jednak wiedzieć, pyta więc mnicha, zanim pożegna się z nim i wróci do swojego przewodnika:

- Proszę mi chociaż powiedzieć, czy pan wie, gdzie oni są.
- Chyba wiem.

Wytatuowany sekretarz prowadzi Carvalha do największego z budowanych domów, przed którym stoi grupka robotników, rozmawiająca z jakimś mnichem. Przewodnik przykłęka, kłania się z rękami złożonymi jak do modlitwy, wstaje i zamienia kilka zdań ze świętym. Potem daje znak detektywowi, żeby się przybliżył, i Carvalho pozdrawia przeora, pochylając głowę. Mnich jest człowiekiem mocnej postury, żółtawe białka jego oczu wskazują na długi post, a czarno-siwe włosy są ostrzyżone na jeża. Przeor wyjmując spod kołnierza swojej tuniki paczkę amerykańskich papierosów i pali bez skrępowania. Chce przedstawić cudzoziemcowi swoją kolekcję tradycyjnych piosenek z Tajlandii i całego świata. Wchodzą do wielkiego budynku, zdejmują buty i wspinają się po granitowych schodach z plastikową poręczą; docierają do głównej części pawilonu, podzielonej brązowymi ściankami z okleiny. Umeblowanie stanowią magnetofony, głośniki i szafy z nie istniejących już biur. Przeor wyciąga partytury, które sam sporządził zgodnie z europejskim zapisem nutowym, i które teraz, w obecności Carvalha, porównuje z transkrypcjami piosenek. Na metalowych sztabach wiszą setki taśm magnetofonowych.

- Zebrałem ponad sto tysięcy piosenek z całego świata - mówi przeor z dumą, stonowaną nieco przez buddyjską pokorę, której pozbawieni są inni mnisi, wychwalający dzieło człowieka, który jeszcze trzy lata temu nic nie wiedział o muzyce, a ma do dyspozycji tylko stary fortepian. Piosenki przeora z Tam Krabok są teraz sławne w całej Tajlandii, mówi wytatuowany mnich i prosi swojego szefa, żeby pokazał detektywowi partyturę jakiejś włoskiej piosenki. Z pewnością siebie właściwą komuś, kto zna się na rzeczy, przeor sięga do szuflady, wyjmując kasetkę i podaje ją gościowi. Una picolissima serenata. W tym czasie dwaj młodzi mnisi włączają kasetę z tradycyjną muzyką nagrałą przez przeora. Detektywowi wydaje się, że już ją słyszał w Bangkoku, ale może jego słuch reaguje podobnie jak wzrok, wrażenie przebywania wśród identycznych ludzi odpowiada uczuciu, że bez przerwy słyszy się to samo. Carvalho chwali pracę, cierpliwość i skromne środki, użyte do stworzenia tego dzieła, i święty spogląda na niego z wdzięcznością, jego twarz łagodnieje. Idą razem w stronę wyjścia, przeor bierze cudzoziemca za ramię i wspomina, że zna Włochy z czasów, kiedy służył w marynarce. Najpierw bytem marynarzem, a potem policjantem, mówi przeor. A później po prostu odkryłem to, co Budda nazwał „analitycznym sensem uwarunkowanej produkcji”. Egzystencja warunkuje narodziny, narodziny zaś warunkują istnienie bólu, starości i śmierci. Nie można pokonać starości i śmierci, ale można walczyć z bólem, zwłaszcza jeśli jest zależny od woli. Walczymy o to, by w ludziach zniszczonych przez narkotyki znikła wola cierpienia, którą pomylili z pragnieniem przyjemności.

Takie było ostatnie słowo mnicha. Przeor poprosił Carvalha, żeby wysłał mu egzemplarz gazety, niezależnie od rodzaju publikacji, i odszedł do innej części klasztoru. Wytatuowany mnich odprowadził detektywa do wyjścia, gdzie czekał na nich Chin Ramsun, który z pokorą zwrócił się do sekretarza. Rozmawiali przez chwilę, przewodnik zdawał się być skonsternowany.

- Brat Ramsun musi pojechać do Saraburi, żeby kupić potrzebne rzeczy. Czy byłby pan tak łaskaw i zabrał go ze sobą?

Carvalho zgodził się, uważając, by jego słowa i gesty nie wyrażały entuzjazmu, a jedynie wielkoduszność.

- Jeszcze jedno. Czy pański reportaż ukaże się bez zdjęć?

Detektyw przyznał, że specjalny wysłannik, który ma napisać reportaż, powinien podróżować z fotografem.

- Byłbym zapomniał. Mój fotograf jest niemieckim specjalistą, który mieszka w Bangkoku i dziś nie mógł ze mną przyjechać. Będzie tutaj za pięć, sześć dni i proszę, żeby przyjęli go panowie równie serdecznie jak mnie.

- Powitamy go z radością - powiedział wytatuowany mnich, składając głęboki ukłon, który Carvalho próbował naśladować, cofając się w stronę taksówki. Zdążył ostrzec Ramsuna, żeby nic nie mówił w obecności taksówkarza. Szofer uklęknął przed mnichem i pochylił się, łącząc dłonie na piersi. Chwilę później byli już na głównej drodze. Carvalho poprosił kierowcę, żeby zatrzymał się przy pierwszym lepszym barze, bo chce mu się pić. Po chwili detektyw i mnich siedzieli już przy chybottliwym stole, zaraz zjawił się bosa dzieciak z piwem dla Carvalha i szklanką wody dla Ramsuna.

- Tydzień temu Archit przesłał mi wiadomość. Chciał się ze mną zobaczyć. Spotkaliśmy się na polach, pół kilometra od klasztoru, przyszedł z tą kobietą, którą pan nazywa Teresą. Archit jest moim młocnym bratem. Moi rodzice byli chłopami z północnego wschodu, jak rodzice Archita. Matka umarła niedługo po moich narodzinach i wychowała mnie matka Archita. Zanim zostałem mnichem, wiodłem bardzo złe życie, byłem jednym z pacjentów klasztornej szpitala i kiedy się wyleczyłem, zostałem w klasztorze. Postanowiłem zostać mnichem. Muszę panu powiedzieć, że znam dobrze świat Archita, bo w pewien sposób jest nadal moim światem, zachowałem w sobie jego część, dlatego, że w nim żyłem, a dzisiaj jestem świętym. Archit i jego kobieta byli w rozpacz. Bali się policji, zemsty ze strony „Mai pen rai”, a przede wszystkim Jungle Kida. Nie mogli uciec przez Bangkok ani wyjechać do Laosu i Kambodży, bo granice są zamknięte od czterech czy pięciu lat. Nie mogli też przedostać się nielegalnie do tych krajów, bo tam ich sprawa nie byłaby rozumiana, trafiliby do więzienia albo zostaliby repatriowani. Granica z Birmą również jest niepewna. W końcu poradziłem im, żeby pojechali do jakiegoś nietypowego miejsca, spędzili tam kilka dni, a potem próbowali przekroczyć granicę z Malezją, w ten sposób mogliby dostać się do Penang. a stamtąd do Singapuru i do Europy. Należało rozwiązać dwa problemy: dać im nową tożsamość i wskazać miejsce, dokąd mieliby się udać. Rozwiązałem pierwszą trudność, wysyłając ich do mojego przyjaciela do Bangkoku i poradziłem im wyspę na Zatoce Syjamskiej. Ko Samui, którą znam dobrze, bo odbyłem nowicjat w klasztorze Dużego Buddy, obok plaży Bophut. Ko Samui nic została jeszcze włączona do oficjalnych szlaków turystycznych, policji jest mało, poza tym policjanci są bardziej tolerancyjni, bo przyjeżdża tam dużo młodzieży, niedobitki tych, których nazywacie hippies. Powiedziałem, żeby przeczekali kilka dni, a potem przekroczyli granicę z Malezją w Sadao.

- Wobec tego są teraz na Ko Samui.

- Logicznie rzecz biorąc, powinni być jeszcze na Ko Samui i za kilka dni spróbują się dostać do Sadao.

- Czy można tam dolecieć samolotem?

- Na szczęście nie. Listy pasażerów samolotu można łatwo kontrolować. Trzeba dojechać pociągiem aż do Surat Thani, tam wziąć taksówkę do portu Ban Don i płynąć trzy godziny statkiem.

- To nie jest pułapka na myszy?

- Czasem po to, żeby wymknąć się z wielkiej pułapki, trzeba wpaść w małą.

- Jak mogę dostać się na Ko Samui bez wiedzy Charoena i „Mai pen rai”?

- Dam panu mój kontakt w Bangkoku, załatwię panu nowe dokumenty i zarezerwuję bilet na pociąg.

Mnich wstał i wyszedł do łazienki, chwilę później poszli razem do taksówki. Kiedy samochód ruszył, Ramsun położył na dłoni cudzoziemca zawiniątko z płótna, oderwanego od tuniki, które, jak domyślał się Carvalho, zawierało jakiś papier.

- Proszę przekazać to płótno mojemu przyjacielowi.

Pożegnanie w Saraburi było krótkie, oczy Chin Ramsuna nie wyrażały szczególnego wzruszenia, gdy powiedział:

- Wierzymy, że nienawiść, pożądanie i strach rozniecają na świecie ogień. Tak było zawsze i tak zawsze będzie. Archit jest ofiarą pożądania, nienawiści i strachu, i umrze jako ofiara. Przykro mi, ponieważ kocham go i kocham jego matkę. Niech pan nie zapomni tego, co panu teraz powiedziałem.

Carvalho zapamiętał słowa mnicha, pomogły mu one znieść paplaninę taksówkarza, który popisywał się swoją wiedzą o Tam Krabok.

- Widział pan, jak wymiotują na oczach wszystkich? Nie? Jasne. Tylko rano to robią. Chory przykłęka przed kubłem, pije zioła i wymiotuje do kubła, w ogrodzie, na oczach wszystkich.

- Ależ ty jesteś głupiutka.

Rosa Donato popchnęła lekko dziewczynę na środek przedpokoju, tak, aby Marta Miguel mogła ją ujrzeć w całej okazałości.

- Jest strasznie nieśmiała. Marto, przedstawiam ci Merche, od dzisiaj będzie moją sekretarką, moją prawą ręką.

Marta Miguel ucałowała dziewczynę w oba policzki i cofnęła się, by obejrzeć ją od stóp do głów.

- Ładniutka.

- A jaka bystra. Wejdz dalej, przyszły już dziewczyny i ten kretyn Juli Rigol, już się zresztą zdążył upić. Nie znasz go? To ten malarz koni, co się ożenił z akrobatką.

Marta przekroczyła próg salonu, który podzielony był na dwie części - pokój przeznaczony do słuchania muzyki i czytelnię, „bo ja uwielbiam czytać, szaleję za książkami”, powtarzała Rosa Donato, wydymając wargi, czym jeszcze bardziej podkreślała drobne zmarszczki wokół ust.

- Należ sobie czegoś, Merche, może się w końcu rozruszasz. Teraz siedzi cicho jak myszka, ale w interesach to prawdziwa lisica, jest gorsza ode mnie.

Merche roześmiała się, słysząc, że jest taka perfidna. Dla Marty Miguel była zbyt szczupłą, przypominała typ Audrey Hepburn, w jakim zawsze gustowała Rosa Donato; jej namiętność do Celi Mataix była wyjątkiem.

- To nie jest normalne przyjęcie. Macie przed sobą dwie kobiety podejrzane o dokonanie zabójstwa, Martę i mnie. Ależ namolna jest ta policja, słuchajcie.

Tłumaczka powieści feministycznych, laureatka pierwszej nagrody w konkursie na najlepszą powieść napisaną w Murcji, stary malarz koni i jego żona. była akrobatką. wybuchnęli śmiechem, słysząc dowcip Rosy Donato.

- Gdzie pani była w dniu przestępstwa? Jacy oni są głupi, przecież to nie był dzień, tylko noc. Przyczepili się, i to w dodatku do Marty, tylko dlatego, że wyszła jako ostatnia. Przesadzają, naprawdę. Napijmy się, nie śpijcie, dzisiaj pijemy za pierwszy dzień Merche w tym gronie, to prawdziwy klejnocik.

Napełniła kieliszki szampanem „Juvé y Camps” Reserva Familiar i oznajmiła, że jeśli mają ochotę na trochę bardziej wytrawnego szampana, całkiem wytrawnego, dla smakoszy, to przygotowała butelkę wyśmienitego „Brut Nature Torelló”. Kieliszki uniosły się w górę i malarz wykrzyknął: „Za zdrowie Merche!”. „Za zdrowie Merche!”, powtórzyli inni. Wypili szampana, spoglądając po sobie, Rosa patrzyła na Merche, a Marta na Rosę. Nowa przyjaciółka gospodyni usiadła na kanapie, Rosa przysiadła się do niej, najpierw położyła jej rękę na kolanie, następnie objęła dziewczynę ramieniem, wreszcie przyciągnęła ją do siebie i pocałowała w usta.

- Jesteś prześliczna. \*

- Pewnie, że tak.

- Ale u ciebie ładnie, Rosa! - zauważyła akrobatka. Sądząc po jej fatalnej formie fizycznej, pewnie niejedną raz spadła z trapezu.

- Mam niewiele rzeczy, ale wszystkie pierwsza klasa. To wszystko znalazłam dzięki temu, że mam sklep, bo wiem, co rzeczywiście warto kupić, a czego nie. Poza tym wszystko inwestuję w dom i w siebie. Po co trzymać pieniądze? Sami widzicie. Nastali socjaliści.

- A ja głosowałam na socjalistów - powiedziała pisarka.

- Ja też - dodała tłumaczka.

Była akrobatka również głosowała na socjalistów, podobnie jej mąż i Marta Miguel. Rosa Donato wybuchnęła śmiechem, aż się zakrztusiła.

- Ale historia! I ja też! Wszyscy głosowali na socjalistów.

- Powiedziałam sobie: niech się dzieje wola boża. Dla mnie to było jak rosyjska ruletka. Nie wiem, czy będą lepiej rządzić, wystarczy, żeby nie rządzili gorzej od tamtych.

- A ja jestem zachwycona Guerra.

- Felipe to dobry chłopak, ale Guerra jest geniuszem, ma coś takiego w sobie, coś specjalnego, że... nie do wyjęcia, jak to się teraz mówi.

Merche patrzyła na jednych i drugich, przytakiwała i nalewała szampan do kieliszków.

- Najdziwniejsze jest to, że w Barcelonie nie widać było radości ze zwycięstwa socjalistów. Parę dni temu pisała o tym Esther Tusquets w „La Vanguardia”.

- Czytałam to, ale ona jest komunistką, więc się wścieka.

- Nie zgadzam się, tak czy owak artykuł był dobry. To fakt, że tu nie było takiej radości, jak w Madrycie.

- No pewnie, bo katalońscy socjaliści wiedzą, że wybory wygrał Felipe González, a to ma swoją cenę.

- Nie tykajcie mojej Katalonii! - podniósł głos malarz. - Bo przede wszystkim jestem Katalończykiem.

- A ja przede wszystkim jestem kobietą - dogryzła mu Donato.

- Kobietą katalońską - powtarzał malarz z alkoholowym uporem.

- Jeszcze może euroazjatycką. Martita, kochanie, zdaje się, że te żarłoki nie zostawiły ci kanapek.

- I tak było mało - powiedziała z samobójczą szczerością akrobatka.  
- Ale skąd, było prawie trzy kilo. Martita, zjrzyj do lodówki, może coś tam jeszcze zostało. Merche, zaprowadź ją.

Kobiety wyszły do kuchni, gdzie dobiegł je głos Donato:

- Uważajcie, żeby się nie zgubić, bo dom jest duży.

Marta oburzyła się:

- Co ona sobie myśli?

- Nie zwracaj na nią uwagi, tylko żartuje.

Głosik Merche był tak słaby, jak jej kruche ciało. Dziewczyna otworzyła lodówkę i schyliła się. Marta zobaczyła jedwabistą szyję, ciemne kędziorki, wymykające się spod upiętych włosów, i położyła jej dłoń na plecach, delikatnie, jak gdyby chciała pomóc. Z tyłu zagrzmiął głos Donato:

- Weź tę rękę.

Marta wzdrygnęła się, odwróciła głowę i ujrzała przed sobą wściekłą Rosę.

- Tak myślałam, ty masz lepsze ręce, do wszystkich się kleisz.

Donato odciągnęła Merche i trzasnęła drzwiami lodówki.

- Ty wracasz do salonu, a ciebie nie chcę tu widzieć.

Stojąc w drzwiach, Rosa Donato warknęła zajadle:

- Ostrożnie z rękami, bo później to się źle kończy.

- Za kogo ty się masz? Myślisz, że jesteś królowa Saby?

Donato chciała wyjaśnić sytuację, wróciła do przedpokoju, zbliżyła twarz do twarzy Marty i syknęła:

- Płacę i jem, co moje, rozumiesz?

- Co ty wygadujesz? To był tylko czuły gest.

- Zachowaj swoje czułości dla matki, bardzo by się jej przydały.

Marta wymierzyła policzek Rosie, która natychmiast odpowiedziała tym samym. Stały przez chwilę naprzeciwko siebie, Marta odwróciła się i poszła w stronę wyjścia, ścigana złowrogim spojrzeniem Donato. Dopiero teraz, po wyjściu z domu, idąc przez ogród z basenem, należący do małej społeczności bogatych sąsiadów, Marta Miguel pojęła w pełni to, co się stało. Chłód pierwszej listopadowej nocy złagodził gorączkę, wywołaną szampanem i potyczką z Donato. Czuła niepohamowaną wściekłość, była zła na siebie i na Rosę. Chwilę później była nieostrożnym kierowcą starego seata 127, pędzącego w stronę centrum. Dzięki sprzyjającym światłom przejechała za jednym zamachem Vía Augusta i przez ulicę Balmes dotarła do Plaža Catalunya i Ramblas. Zaparkowała samochód w pobliżu kościoła świętej Moniki. Noc wypełniła się rytmicznym stukotem obcasów. Marta maszerowała na krótkich, mocnych nogach w stronę domu, w którym mieszkała Charo. Zatrzymała się pized budynkiem, ponownie zmierzyła wzrokiem jego wysokość, tym razem jednak podjęła decyzję, podeszła do drzwi i nacisnęła guzik domofonu. Po dłuższej chwili usłyszała kobiecy głos:

- Kto tam?

- Czy to pani Charo? Tu Marta, przyjaciółka Pepe. Muszę z panią natychmiast porozmawiać.

- O tej godzinie? Jest druga w nocy.

- To bardzo pilne.

- Coś się stało Pepe?

- To pilne, błagam panią.

- No dobrze. Niech pani wejdzie.

Buczący dźwięk domofonu przyprawił ją o dreszcze.

- To nie pora na wizyty - powiedziała Charo z niepokojem w oczach obrzękłych od snu, z tuszem rozmazany na powiekach. Miała na sobie niemal przezroczysty szlafrok. Przeszły do małego salonu, Marta Miguel zauważyła niedopałek cygara w popielniczce, obok stała butelka whisky i dwie szklanki z odrobiną wody. zabarwionej resztkami trunku.

- Bardzo panią przepraszam, ale pani przyjaciel jest teraz w podróży, a ja po prostu musiałam z panią porozmawiać. Wyjechał tak szybko. Pytałam już o to jego współnika.

- Jakiego współnika?

- Taki szczupły chłopak, łysawy, z włosami o, tak...
- Biscuter. Wspólnik, niech będzie. I co on pani powiedział?
- Mówił, że pani może coś o tym wiedzieć.
- Ale on mnie o to pytał przez telefon, teraz sobie przypominam, i powiedziałam, że Pepe nic mi nie mówił.
- Myślałam, że chciała pani zachować dyskrecję, ale gdyby spróbowała sobie pani przypomnieć...
- Nic mi o pani nie mówił, ani o nikim innym. Nie opowiada o swojej pracy, spotykamy się tylko wtedy, kiedy mnie potrzebuje, a ostatnio nie wiem, co się z nim dzieje, rzadko się widzujemy.

Charo zdała sobie sprawę z przygnębienia Marty.

- Niech się pani rozchmurzy. Może napije się pani drinka.
- Obudziłam panią.
- I tak nie będę mogła zasnąć, tak że kieliszek dobrze mi zrobi.

Charo poprosiła Martę, żeby usiadła. Poszła do kuchni po czyste szklanki i kostki lodu. Kiedy wróciła, Marta siedziała na kanapie, zasłaniając oczy ramieniem. Gdy usłyszała brzęk lodu, cofnęła ramię, chwyciła szklankę i przysunęła lodowe szkło do zamkniętych powiek, jakby chciała sprawić ulgę oczom zamienionym w dwa złośliwe guzy.

- Co pani jest? Żle się pani czuje?

Krótkie włosy Marty były potargane i niezbyt czyste. Znużenie, alkohol i migrena podkreślały nieregularność jej rysów, lśnienie obwisłych warg, obraz zwierzęcia marnej rasy, zmęczonego samym sobą.

- Oni zawsze mają fart. Są tacy błyskotliwi. Mają tyle pieniędzy. Tylu przyjaciół.
- O kim pani mówi?
- O nich.

Zgięte ramię Marty próbowało ogarnąć plemię zwycięzców, do którego ona sama z pewnością nie należała.

- Pani ich nie zna. A może tak, bo wszyscy są jednakowi. Słyszała pani o sprawie butelki szampana? O tej kobiecie, która została zamordowana w swoim domu?

- Tak. Czytałam o tym. Pobieźnie, ale czytałam. Pepe prowadzi tę sprawę?
- Nie. Ja się tym zajmuję.

Wybuchnęła śmiechem.

- I to jeszcze jak!

Marta Miguel nie mogła wytłumaczyć swojej wesołości tej czarnulce o mięsistych wargach i dużych, podkrążonych oczach z kurzymi łapkami. Badala reakcję Charo.

- Byłam w jej domu w noc morderstwa. Wszystko kręciło się wokół Celi, tej, co umarła. Celia była wielką przyjaciółką Rosy Donato, którą przed chwilą zwymyślałam od najgorszych. Atmosfera była okropna, pełno pretensjonalnych typów, ale była tam Celia, a ja od tylu lat pragnęłam się z nią spotkać. Widziała pani zdjęcie w gazecie? Nie wyszła na nim zbyt korzystnie, ale przecież nie była już dziewczynką tylko kobietą jak ja, miała ponad czterdziestkę. Wysoka blondynka o przepięknych włosach, twarz dziewczyny z Florencji - nie wiem, po co to mówię, wcale nie wiem, jakie są dziewczyny z Florencji - ciało, poruszające się jak muzyka, cudowna skóra, brzoskwiniowa, jak to mówią pisarze. Myślę, że z biegiem lat stała się jeszcze piękniejsza. Kiedy ją poznałam, była piękną dziewczyną, ale brakowało jej tego specjalnego czarunku, jaki daje dekadencja, właśnie, dekadencja. Celia Mataix zaczynała już się rozkładać, jak ja, jak Donato, jak pani. Ale ona zaczynała gnić, będąc absolutną piękną. Pamiętam ją tak, jak gdybym ją widziała dwadzieścia parę lat temu na uniwersytecie. Pani skończyła studia?

- Nie.

- Zawsze miała ze sobą świeżą różę, nosiła golfy, takie, jakich nigdy nie mogłam nosić - dawniej były dla mnie za drogie, a teraz zdałam sobie sprawę, że mam krótką szyję. To rodzinne. Mój ojciec też miał krótką szyję, podobnie moja biedna matka. Jest kaleką. Biedaczce zostały tylko oczy i skóra.

- Strasznie mi przykro.

- Pani mi współczuje, bo pani ma dobre serce. Ale oni nic nie czują. Nie muszą przeżywać uczuć. Mają rację, bo od dziecka wiedzieli, że świat jest zrobiony na ich miarę i wystarczy rozumieć go z punktu widzenia swoich własnych interesów. Ona była taka sama, myślę o Celi, ale miała w sobie



jakąś słabość. Nie była rekinem. Była krucha. Czasem trafiają im się takie istoty, pasożyty, które oni muszą żywić i ukrywać, żeby nie wystawiały na pośmiewisko klasy społecznej czy rasy, bo przecież oni są już rasą, i to jeszcze jak. Tworzą tak cyniczną, tak dominującą klasę społeczną, że w końcu przekształcają się w rasę, i wypominają ci na każdym kroku, każdym słowem i gestem, że nie jesteś jedną z nich, choćbyś była warta sto razy więcej od nich, choćbyś tyrała po nocach, żeby wiedzieć to, co oni, nawet więcej, niż oni. Ale niezależnie od studiów nigdy nie dowiesz się, co tak naprawdę ich wyróżnia - szanują samych siebie i pomniejszają osiągnięcia innych ludzi, a to jest zdolność, której nam brakuje. Możemy być silne, mieć pieniądze, nawet kulturę i władzę, ale zawsze będziemy przeproszać, żeśmy się urodzili.

- O kim pani mówi?

- O nich. O tej hołocie.

- Co z tym ma wspólnego Pepe?

- Szukał mnie, bo zainteresował się tą zbrodnią, a kiedyśmy się spotkali, zlekceważył mnie i puścił sprawę na żywioł.

Marta Miguel nalala sobie drugą whisky. Podniosła szklanekę, wznosząc w milczeniu toast za zdrowie Charo, i wypila trunek dwoma haustami. Widziała Charo jak przez zasłonę dziwacznej wilgoci, dziewczyna wydała się jej ładna, bliżej czterdziestki niż trzydziestki.

- Pepe nie powinien zostawiać pani samej. Jest pani młoda i bardzo piękna.

- Dziękuję. Niby na niego narzekam, ale przecież on ma swoją pracę, a ja mam swoją.

Marta przechyliła się do przodu i położyła rękę na kolanie Charo, wystającym spod fałd szlafroka. Charo spojrzała na dłoń Marty, na jej obrzękłą twarz, po której błędził lubieżny, głupawy uśmiezek. Odsunęła nogę, ale ręka wciąż kleiła się jak przyssawka. Wtedy Charo chwyciła rękę Marty i odsunęła ją.

- Przykro mi. proszę pani. ale nie lubię damskiej minety.

Marta przez chwilę trzymała rękę w powietrzu. Potem cofnęła ją i westchnęła.

- Nie lubi pani damskiej minety.

Roześmiała się.

- Jasna sprawa. Jeszcze jedna whisky i sobie idę, słowo honoru.

- To nie znaczy, że panią wyrzucam.

- Przechodziłam obok, tylko wstąpiłam, żeby się z panią przywitać.

Śmiała się z własnego żartu.

- Najgorsze jest to, że nic nie mogę im zrobić. Są na wszystko uodpornieni.

- Jutro wszystko wyda się pani inne. Musi pani wypocząć. Jak pani tu dotarła?

- Samochodem. Mam samochód.

Dodała z przesadną satysfakcją:

- Jestem pierwszą właścicielką samochodu w mojej rodzinie.

- Nic powinna pani teraz prowadzić. Chce pani, żebyśmy zadzwoniła po taksówkę?

- Mam samochód i wrócę do domu samochodem - wykrzyknęła wściekle Marta Miguel, wstając z kanapy, gotowa walczyć z Charo o prawo do jazdy własnym samochodem. Podeszła do drzwi z udawaną pewnością siebie, stawiając wielkie kroki, już na progu wysunęła wargi, by pocałować Charo w policzek.

- W każdym razie dziękuję. Pani mnie rozumie. Czy mogłybyśmy z czasem zostać przyjaciółkami?

Nie czekała na odpowiedź. Otworzyła szeroko drzwi i zatrzasnęła je z hukiem. Próbowwała powstrzymać wymioty aż do wyjścia na ulicę. Jak tylko winda ruszyła w dół, Marta wyrzuciła z siebie kwaśny strumień.

„Niech pan poszuka Khao Chonga na Przystani Oriental. On będzie wiedział, co się działo z naszymi przyjaciółmi i pomoże panu ich odnaleźć”.

Carvalho zapamiętał tę notatkę, ale na wszelki wypadek zapisał na ręce, pod zegarkiem, nazwisko podane przez Ramsuna. Dotarł do przystani na wielkiej rzece Chao Phraya, zbliżała się noc, ale Khao Chong musiał być na miejscu, jako szef biura, zajmującego się wynajmowaniem łodzi pływających po kanałach. Leżał w hamaku zbyt dużym jak na jego drobne ciało, chłodząc się słomkowym

wachlarzem. Carvalho wręczył mu skrawek płótna z ubrania Chin Ramsuna i Khao Chong skoczył na równe nogi, jakby zobaczył stary plan miejsca, w którym zakopany jest skarb kapitana Kida. Wszedł do drewnianej chaty, zapraszając detektywa do środka. Carvalho opowiedział swoją historię i powtórzył zalecenia, otrzymane od Chin Ramsuna. Musiał ustalić, gdzie ukryli się uciekinierzy i dotrzeć tam wcześniej, niż to zrobią ich prześladowcy.

- Gdziekolwiek pan pojedzie, będzie pan musiał zarejestrować się w hotelu, i Charoen albo sam Jungle Kid łatwo pana odnajdą. Potrzebuje pan paszportu i wizy, którą posługują się cudzoziemcy. Jaką narodowość pan wybiera?

- Włoską.

- Jutro rano przyjdzie pan po wizę.

- Gdzie są Teresa i Archit?

- Jutro dowie się pan wszystkiego, dam panu odpowiednie środki, żeby tam dojechać. Potrzebuję dwóch tysięcy bahtów i pańskiego paszportu, żeby skopiować zdjęcie. Gdzie pan spędzi noc?

- Czy jest jakiś hotel, w którym nie żądaliby ode mnie dokumentów?

- Takie są właśnie najgorsze. Za pół godziny miałby pan na głowie Charoena i Jungle Kida. Niech pan przenocuje tutaj.

Stary wskazał materac, leżący na podłodze.

- Dam panu wodę i coś do jedzenia.

Wrócił po półgodzinie, przynosząc butelkę wody mineralnej i dwie kanapki z angielskiego chleba z sałatką, majonezem, tuńczykiem i ostrą papryką.

- Jeżeli pan się nudzi, to mogę przysłać dziewczynę.

- Nie mógłbym jej tu odpowiednio przyjąć.

Carvalho wskazał ciasne wnętrze chaty.

- Ładna dziewczyna, bardzo czysta, zdrowa i pojętna.

Detektyw wyobraził sobie barak, wypełniony udawanymi jękami, i stanowczo odmówił.

- Jak wszystko dobrze pójdzie, będzie pan mógł opuścić Bangkok jutro o czwartej. Muszę się pośpieszyć. Radzę, żeby pan się stąd nie ruszał, ktoś może pana zobaczyć. Przystań Oriental to bardzo popularne miejsce.

- W nocy też?

Amfitrion roześmiał się, zachowując dla siebie ostateczny sens tego śmiechu.

- W nocy zmienia się klientela. Przychodzą bogacze z Bangkoku i zaproszeni goście z zagranicy. Pływają łodziami po kanałach, mają jedzenie, picie, muzyków, piękne dziewczęta. To wielka przyjemność, którą powinien pan kiedyś poznać.

- Któregoś dnia wrócę do Bangkoku, żeby się zabawić.

Stary odszedł. Detektyw położył się na materacu i wezwał na pomoc boga snu, zaraz jednak odwiedziły go wszystkie komary Chao Phraya, chcąc się najeść jego kosztem. Uznał, że jeśli wstanie, będzie mógł lepiej bronić się przed atakami owadów i zaczął krążyć po chacie, jak gdyby była celą. Za oknem przesuwały się krusze łódki, muskając wodę, oświetlone lampami naftowymi, jak żałobne motyle tajemnego kultu śmierci w wodach rzeki. Słabe oznaki życia na zacumowanych barkach odzwierciedlały bierność ludzi, którzy mogą żyć w każdym miejscu i czasie. Grymasy nocnych zwierząt na twarzach dorosłych i dzieci, dym, smażone mięso, garnki zanurzone w wodzie, nawoływania, odgłosy zabawy i kłótni, czasem odbłask biało-czarnego telewizora w barakach na palach i wszechobecna melodia, której słuchała cała Tajlandia, Sangharila, kombinacja muzyki tradycyjnej i łagodnego rocka, śpiewana żalosnymi głosikami małych zwierząt, żyjących w kloace świata. Może była to piosenka przeora Tam Krabok, który o tej godzinie zaczynał pewnie długie, muzyczne czuwanie przed fortepianem o wyblakłej, brązowej barwie, otoczony pięcioliniami i zeszytami, zapisując z dokładnością maniaka starą pieśń khmerską i Que viva España; tymczasem Chin Ramsun wciąż kuł kamienie, siedząc na sztucznej górze w świetle księżycy Saraburi i Lopburi, księżycy Bangkoku, Chiang Mai, Ko Samui, Jungle Kida, Teresy, Archita, Charoena.

A gdyby tak księżyc przemienił się w donosicielski reflektor, wskazujący dokładnie, gdzie w tej chwili jesteście, pomyślał Carvalho.

Odbity w wodzie sierp księżycy wyglądał jak podzielony na części kil albo nóż, który rozcina pejzaż, palmy i zarośla. Czasem przepływał barkas, pełen kwiatów, muzyki i śmiechu, a jedna z łodzi miała nawet orkiestrę z wokalistką. Ciekawe, co teraz robi Charo? A Biscuter? Zjedli obiad samotnie, a

może Charo poszła do baru z „Andaluzyjką” albo jakąś inną zubożałą przyjaciółką. Nagle stanęła mu przed oczami masywna postać Marty Miguel - siedziała na katedrze, opowiadając, z jakim trudem zdołała utorować sobie drogę, w jednej ręce trzymała kanapkę z kalmarami na sposób rzymski, w drugiej zaś wskazówkę, którą podkreślała tezy profesorskiego wykładu. W Barcelonie była trzecia po południu i być może Marta Miguel sprawdzała godzinę na ręcznym zegarku, siedząc w celi więzienia Trinidad. Tamtej nocy Carvalho po raz pierwszy przestraszył się, że morderca wyzna mu swoją zbrodnię. Marta próbowała rozgłosić swoją zbrodnię, jakby chwaliła się, że spała z Celią Mataix. Sama Celia była dla Carvalha niespełnioną niewinnością musiała bowiem żyć i odpowiedzieć na ostateczne pytania.

Wystrojone pary przybywały na przystań. Ważne osobistości z Bangkoku, na palcach pierścienie z szafirami z wygrawerowaną datą zachodni współnicy, pary, zawieszane między dojrzałością i starością podekscytowane przygodą na nocnej rzece. Bogaci Tajlandczycy zachowywali się jak bogaci Katalończycy z Camprodón lub S'Agaró albo bogaci mieszkańcy Madrytu z Somosaguas, albo bogaci Andaluzyjczycy z Jerez. Amerykanie zaś zachowywali się po prostu jak Amerykanie, wiktali się w sieć subtelnych grzeczności starej kultury, wiedząc zarazem, że, wcześniej czy później, będą musieli za to zapłacić, tak jak pijany Amerykanin z Rose Garden zapłacił za prawo do upicia się, bycia ordynarnym, ośmieszania tajskiej kultury. Carvalho usłyszał lub zobaczył kolejne wycieczki białych, operową publiczność, która szuka podniecającej woni zgniłych roślin, zapachu rzeki, oświetlonej przez księżyc i żarówki na barkach.

Przysnął, obudziło go miauczenie, dochodzące ze zbocza, które opadało ku rzece. Nobliwy jegomość o srebrzystych włosach schodził do wody w otoczeniu dwóch tajskich paziów, trzymających go za ręce. Paziowie śmiali się i miauczeli coś w swoim języku, jegomość pozwalał się prowadzić niczym dobrotliwy, otyły król. O krok od rzeki paziowie rozpięli pas, podtrzymujący królewskie spodnie, które opadły jak złuszczonej skóra. Jeden z paziów zajął się penisem Jego Wysokości, drugi zaś pomógł mu zdjąć marynarkę z alpaki, dzięki czemu król mógł wznieść ręce ku niebu i oklaskiwać księżyc. Paż, który opiekował się królewskim penisem, szarpnął przebudzoną żmiję i jegomość, mając stopy zaplątane we własne spodnie, runął na kolana do wody, tymczasem paziowie pobiegli w górę, zabierając marynarkę, lekką zdobycz. Król nie od razu zdał sobie sprawę, że jest tylko okradzionym starcem, półnagim, klęczącym w wodach obfitej, potężnej i gnijącej rzeki, a kiedy pojął wreszcie, co się stało, odzyskał posturę władcy świata, który obraża wszystkich swym tubalnym głosem. Poprawił południową część ciała, nakładając skórę spodni, i zaczął wspinać się po zboczu porośniętym resztkami roślin, a gdy dotarł na szczyt, stanął w świetle kołyszącej się żarówki, która na przemian ukazywała i zakrywała dyszącą twarz. Był białym, grubym mężczyzną, zbyt powolnym jak na tropikalny kraj, który mógł kupić, ale którego nigdy nie zrozumie. Uświadomił sobie, że został pokonany, i powstrzymał się od krzyku urażonej dumy. Poszedł w kierunku świateł Oriental, szukając godności, którą stracił nad rzeką i pieniędzy, zdeponowanych w hotelowej kasie pancерnej.

Detektywowi nie udało się zasnąć, zapadł tylko w drzemkę. Od czwartej rano siedział na sienniku, pytając samego siebie, co go przygnało do tego głupiego baraku, stojącego nad głupią rzeką.

- Guzik mnie to obchodzi. Honorarium jest marne, a ona wcale mnie nie obchodzi.

Poruszać się czy być poruszonym. Dotarło do niego echo utraconej erudycji, przypomniał sobie fragment wiersza, chyba Becketta, który w swoim czasie zrobił na nim wrażenie.

„Nie poruszasz się. Jesteś poruszany”.

Khao Chong zjawił się o siódmej rano z dobrze schłodzoną buteleczką narodowego trunku i kanapką z tuńczykiem i sałatką. Carvalho spróbował tej ambrozji - miała smak toniku dla dziewczynki, poddanej pierwszym próbom miesiączki. Khao Chong mówił ostrożnie, doskonale równoważąc formę i treść. Carvalho musi opuścić chatę, ponieważ za chwilę nadciągną hotelowe wycieczki, które najpierw spacerują łodzią po rzece, a później są zabierane na pływający targ, gdzie najlepsi sprzedawcy Azji ogoławają turystów z pieniędzy. Do południa wszystko będzie gotowe - paszport, wiza, bilet na pociąg do Surat Thani.

- Kupiłem dla pana bilet w pierwszej klasie. Będzie pan sam w przedziale sypialnym, z klimatyzacją. Policja nie kontroluje szczególnie tych przedziałów, bo podróżują w nich głównie ważne osobistości. Niech pan zawiadomi szefa pociągu, że chce pan wsiąść w Surat Thani. Następnie weźmie pan taksówkę do Ban Don, tam spróbuje pan wsiąść na pierwszy prom na Ko Samui. To mniej więcej trzygodzinna podróż. Kiedy dopłynie pan do portu Ko Samui, musi się pan dostać do „Nara Lodge”. To są nowe bungalowy, zbudowane obok świątyni Dużego Buddy. Tam wysłałem pana przyjaciółkę,

posługuje się nazwiskiem Corli. Poradziłem Architowi, żeby zamieszkał w którymś ze skromniejszych domków obok „Nara Lodge”. Chłopak podróżuje z paszportem tajlandzkim jako student Pong Sarasin.

Gdy Carvalho skończył kanapkę, Khao Chong wycofał furgonetkę, tak, by tylne drzwi znalazły się na wysokości drzwi chaty. Detektyw wszedł do furgonetki, nie będąc przez nikogo widziany, i usiadł na podłodze. Khao Chong pojechał w stronę Charoen Krung Road, według planu Bangkoku, który Carvalho porównywał teraz z prawdziwym miastem, chcąc wiedzieć w każdej chwili, gdzie się znajduje. Podróż trwała pięć minut. Furgonetka minęła rampy przeładunkowe Dworca Centralnego, skręciła w boczną uliczkę i zatrzymała się przed magazynem z wyrobami z drewna tekowego. Khao Chong powtórzył manewr, by detektyw mógł przejść do magazynu. Tam czekała na nich dziewczyna o włosach ufarbowanych na kasztanowo. Zaprowadziła ich do pomieszczenia na zapleczu, gdzie był stół i mała kuchenka.

- Poczeka pan tutaj do odjazdu pociągu. Wszystkie punkty wylotowe w Bangkoku są obstawione przez policję i konfidentów. O wpół do czwartej przyjdzie po pana mój przyjaciel i zaprowadzi do wagonu. Niech się pan o nic nie martwi. Przejdzie pan do pociągu jak duch, nikt pana nie zauważy.

Khao Chong roześmiał się i spojrzał na Carvalha wyczekująco, jak gdyby detektyw miał teraz przejąć inicjatywę. Cudzoziemiec zrozumiał bez słów. Wyjął portfel i zapłacił ustaloną cenę, następnie wręczył staremu sto bahtów, ale Khao Chong odmówił przyjęcia napiwku:

- Nic na tym nie zarabiam. Chin Ramsun jest moim przyjacielem i świętym człowiekiem, i wiem, że to, o co mnie poprosił, jest słuszne. Jeżeli cena wydała się panu wygórowana, to chcę przypomnieć, że nielegalne dokumenty są drogie we wszystkich krajach i będzie pan podróżował w przedziale z klimatyzacją, bardzo wygodnym. Będzie pan mógł spać przez całą noc.

- O niczym innym nie marzę.

- Zostawiam pana z tą dziewczyną, ale muszę uprzedzić, że nie jest dziwką.

To nie była kpina ani prowokacja, tylko obiektywna prawda.

- Cudzoziemcy myślą, że wszystkie Tajki przez cały dzień robią masaże. Niektóre to robią, ale inne wcale nie.

Uśmiechnął się na pożegnanie i odszedł. Carvalho rzucił okiem na wyposażenie swojej nowej celi. Co można robić w kuchni, mając do dyspozycji tylko stół i dwa krzesła? Jeść albo gotować. Carvalho nic chciał przeciwstawić się logice sytuacji i zapytał dziewczyną, czy może coś ugotować na kuchence i czy ona zechciałaby kupić dla niego parę rzeczy. W dialektycznej walce między zakłopotaniem a grzecznością wzięła górę kurtuazja i dziewczyna nie tylko zaofiarowała się zrobić zakupy, ale też pomogła detektywowi odnaleźć w pamięci angielskie słowa, na przykład na określenie karczochów, które widział na targu, a nawet na polach w okolicach Chiang Mai. Kiedy dziewczyna wyruszyła do sklepu, detektyw zdjął ze ściany patelnię i zamachnął się nią jak mieczem. Nagle przypomniał sobie, że na listę zakupów nie wpisał oliwy z oliwek. Był zirytowany swoim roztargnieniem, pomyślał, że zbyt daleko odszedł od angielskiego i kuchni.

Dziewczyna położyła na stole paczkę ryżowego makaronu, pokrojoną wieprzowinę i kurczaka, kalmary, małe krewetki, puszkę pomidorów, dwie papryki, cebule, czosnek, a gdy Carvalho, pełen poczucia winy, poprosił ją, żeby kupiła jeszcze oliwę z oliwek, Tajka uśmiechnęła się i wyszła, by wrócić po chwili z buteleczką płynu, który swoją cynową barwą przypominał oliwę z oliwek. Dziewczyna powiedziała, że w Tajlandii oliwę kupuje się w aptekach i stosuje do pielęgnacji włosów. Carvalho powąchał tonik do włosów, spróbował go, zanurzając palec w miksturze, przekonując się, że jest to autentyczna oliwa z oliwek. Urządził przedstawienie, biegając z nożem w dłoni wokół stołu, zamienionego w deskę do krojenia - przygotowywał zasmażkę, mył kalmary, obierał krewetki i zaczął gotować rosół na skorupkach krewetek i kurzych kościach.

- Chociaż pani trudno to będzie zrozumieć, mam zamiar zrobić danie, które nazywa się fideuá, ostatnio jest modne w Walencji, prowadzi nawet nierówną walkę z tradycyjną paellą. Nigdy nie przyrządzano go z delikatnym makaronem ryżowym, będzie pani oglądać premierę uniwersalnej wersji fideuá, którą zrobię za pomocą tych składników i tymi rękami.

Carvalho mówił po hiszpańsku i gestykulował z ożywieniem, jak gdyby jego towarzyska wszystko rozumiała. Dziewczyna śmiała się jak podczas występu Jerry'ego Lewisa i detektywowi po raz pierwszy spodobało się, że ktoś się z niego śmieje. Postanowił grać do końca rolę kulinarnego błazna.

- Najpierw trzeba podsmażyć mięso i zrobić na oliwie gęstą, odwodnioną zasmażkę, według kanonów wyłożonych przez Josepa Pla, wielkiego pisarza katalońskiego, który z pewnością został przełożony na tajski. Do zasmażki z cebuli, pomidora i papryki dodaje się mięso wieprzowe, kawałki kurczaka i kalmara, a krewetki wrzuca się w ostatniej chwili. W tej smażeńinie dusi się teraz normalny makaron, ale biorąc pod uwagę, że makaron ryżowy, który mi pani przyniosła, jest bardzo delikatny,

zachowam go na ostatni moment i wleję wrzący rosół do smażeniny, żeby smaki mogły się mieszać. Następnie wrzucam makaron i obrane krewetki. Zanim zdejmę patelnię z ognia, dodaję odrobinę czosnku z oliwą. Potem zostawiam tę mieszaninę na parę minut.

Nastąpił oczekiwany cud i na patelni powstało subtelne fideuá, któremu delikatny makaron z ryżowej mąki nadał niemal roślinną konsystencję. Na początku przedstawienia dziewczyna płakała ze śmiechu, później zainteresowała się daniem i choć nie przyjęła zaproszenia do stołu, zaczekała, aż Carvalho zacznie jeść, a wtedy sama spróbowała potrawy, na stojąco, najpierw z obawą na niepewnych wargach, potem z entuzjazmem, gdy okazało się, że fideuá smakuje doskonale. Detektyw powiedział, że zaraz po powrocie do Hiszpanii opatentuje potrawę, która z pewnością zostanie dobrze przyjęta przez Włochów i mieszkańców Walencji, łączyła bowiem kulturę paelli, ryżu i makaronu w niezwykle syntezę, jaka nie przyszła do głowy prorokom nowej kuchni.

Po kuchennej euforii Carvalho popadł w melancholię, miał też uczucie, że robi same głupstwa. Opadł bezwładnie na krzesło. Dziewczynę zaskoczyło milczenie cudzoziemca, przed chwilą tak gadatliwego, i uznała, że nie jest już potrzebna. Od czasu do czasu zaglądała jednak na zaplecze i uśmiechała się do Carvalha, okazując nieocenioną solidarność z postrzelonym Europejczykiem. Nagle w drzwiach kuchni pojawiła się ospowata twarz potężnego mężczyzny. Z cielska wyrosły ręce jak bochny chleba, które rzuciły na stół dwa paszporty, bilet na pociąg i talon hotelowy „Nara Lodge”.

- Przyjdę po pana za dwie godziny.

Wrócił dwie godziny później, tym razem w mundurze listonosza lub kolejarza. Było wpół do czwartej, Carvalho poszedł pieszo na stację w towarzystwie autentycznego kolejarza. Minęli parking z podcieniami, przeznaczony dla taksówek i furgonetek towarowych, i dotarli do wejścia na perony, na wysokości toru numer jeden. Pociąg do Songkhla czekał już na stacji, kolejarz wskazał cudzoziemcowi pierwszy wagon. Carvalho zanurzył się w chłodnej atmosferze klimatyzowanego wnętrza, która łagodziła skórę na twarzy, wyżartą przez pot. Kiedy się odwrócił, jego towarzysz był już przy nim. podał mu walizkę, otworzył drzwi do przedziału i napisał jakieś nazwisko na tabliczce, umieszczonej na metalowej ramie niż przy drzwiach.

- Właśnie pana zarejestrowałem, panie Calabró. Niech pan nie zapomni o walizce przy wysiadaniu z pociągu. Może jej pan potrzebować.

Kolejarz zniknął. Carvalho spojrzał ze zdumieniem na walizkę. Mógłby przysiąc, że fałszywy czy prawdziwy kolejarz nie miał jej ze sobą w drodze na stację. Detektyw otworzył walizkę i znalazł w niej piżamę, dzinsy, dwie koszule i sprzęt do nurkowania. Wsadził do niej wszystko, co miał w plastikowej torbie i oddał się rozkoszy chłodu, kontemplując krajobraz za oknem, czując pierwsze szarpnięcia pociągu, który mierzył się z samym sobą.

Bangkok nie chciał zniknąć. Wciąż pokazywał swoje wstydlive tyły, przegniłe baraki i kanały, terytorium, które Carvalho zwiedził po ciemku po swoim pierwszym spotkaniu z madame La Fleur. Te domy-widma położone przy kanałach były więc prawdziwe, podobnie jak ich mieszkańcy, znużeni Azjaci, co chronią się pod współczującym cieniem przepysznych drzew, kanały o stojącej wodzie z pływającą na wierzchu roślinnością dzieci, grające w badminton na pomiędzy martwymi szynami, zgniłe, zielonkawe wody, i nagle pojawiała się zapowiedź dżungli, ścieżki, które prowadzą do słońca, tygrysa lub Errola Flynna z kaskiem, zamaskowanym palmowymi liśćmi. Carvalho poczuł się dobrze we własnej przestrzeni, w aseptycznym przedziale z plastikową tapicerką i opuszczaną umywalką. Podwójne szkło wielkiego okna zniekształcało widok krajobrazu i detektyw musiał wyjść na korytarz, by móc śledzić zachód słońca przez pojedynczą warstwę szkła. W sąsiednich przedziałach podróżowały tajlandzkie pary, uderzająco podobne do par dwudziestolatków z Miranda de Ebro, które wracają do domu po kilku dniach spędzonych w Madrycie. Był też ważny oficer, którego walizkę przyniósł ordynans-bagażowy, i mężczyzna o wyglądzie biznesmena, który przez całą drogę jadł tę samą zupę, zamówioną w wagonie restauracyjnym. Detektyw miał wrażenie, że w innym przedziale dojrzał clergymana, ukrytego za firankami.

Opuścił wagon wybrańców losu i znalazł się w drugiej klasie, gdzie kuszki były drewniane, a przez otwarte okna wpadało z radością gorące powietrze, zapraszając większość europejskich podróżnych do wyjścia na korytarz. Carvalho zobaczył w drzwiach łazienki olbrzymią glinianą kadź na wodę, najwyraźniej ten wagon zachował się od czasu, gdy Somerset Maugham opiewał w swoich książkę Azję, która była już na wymarciu, Azję bliższą epoki Ho Szi Mina niż Rudyarda Kiplinga. Następny wagon był ucieleśnieniem zasad utylitaryzmu, modelem wydajności. Naprzeciwległe siedzenia obite zielonym plastikiem mogły przemienić się w łóżko dla dwóch osób, nad nimi unosiły się prycze, które jeden z kolejarzy spryskiwał DDT, szukając gniazd pluskw albo partyzantki wszy. Carvalho przebił

się przez chmurę środka owadobójczego, by dotrzeć do wagonu restauracyjnego, w którym personel i stołownicy uprawiali starą sztukę jedzenia w podróży. Detektyw dosiadł się do kilku Tajlandczyków, którzy właśnie kończyli kolację i butelkę mekongu, rozprawiając w konwencjonalny sposób o tym, co zrobili albo zrobią w przyszłości; w ich oczach widać było alkoholowe rozrzewnienie, wyglądali na odprężonych, co zdarza się tylko pasażerom pociągu. Carvalho zamówił sałatkę owocową i porcję kurczaka na mięcie i goździku. Był jedynym przedstawicielem Zachodu w wagonie restauracyjnym i zdał sobie sprawę, że właśnie z tego powodu czuje się nieswojo, inni podróżni gawędzili albo jedli kolację, nie zwracając uwagi na szpiega obcej rasy. Wrócił do przedziału, kolejarz obsługujący jego wagon zapytał, czy może już posłać łóżko. Carvalho poprosił go, żeby dał mu znać, gdy dojadą do Surat Thani. Kolejarz potwierdził kilka razy, że nie zapomni, jednak detektyw wręczył mu na wszelki wypadek dwadzieścia bahtów. Tajlandczyk podziękował tradycyjnym ukłonem, równie stosownym wobec Buddy, jak wobec hojnego klienta.

Detektyw rozebrał się i wskoczył pod prześcieradło. Czuł w całym ciele pęd pociągu, cieszył się myślą że jest wewnątrz zabawki, która toruje sobie drogę do swego przeznaczenia; turkot pociągu czasem usypiał go, a czasem wyrwał ze snu. Wskazówka zegarka zbliżała się do czwartej, o tej godzinie pociąg miał dojechać do Surat Thani. Carvalho obudził się na dobre o wpół do czwartej nad ranem, zdążył się jeszcze wykąpać i przyjąć w najlepszej formie zaspanego kolejarza, ten zaś, bez czapki i mundurowej marynarki wyglądał jak rozbudzony oberżysta. Detektyw wyszedł na korytarz. Zobaczył nagle, jak z sąsiedniego przedziału wysuwa się najpierw czubek walizki, potem cała walizka, trzymana przez wysokiego księdza w sutannie, który spojrzał z ciekawością na Carvalha, a następnie zaczął kontemplować węglowy pejzaż nocy. Minęła czwarta i nie dotarli jeszcze do Surat Thani; kolejarz, już w przepisowym ubraniu, zawiadomił księdza, a później detektywa, że pociąg ma pół godziny opóźnienia. Ksiądz zbliżył się do Carvalha z jakimś przedmiotem w ręce. Detektyw zajął pozycję obronną, opierając się mocno na nogach. Ksiądz poczęstował go papierosem. Miał zachodnie rysy i śniadą skórę, co Carvalho przypisał nie tylko słońcu, ale też metyskiej krwi.

- Jedzie pan do Surat Thani? - zapytał po angielsku.

- Nie, na Ko Samui.

- Turysta?

- Owszem.

Ksiądz pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Niech pan się ma na baczności. Atmosfera nie jest tam zbyt dobra. Nie wszystkie miejsca Ko Samui są godne polecenia. Amerykanin?

- Nie, Włoch.

Ksiądz otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się radośnie.

- Włoch! Tak jak ja!

Potok włoskich słów wypłynął z ust mężczyzny urodzonego w Palermo. Skąd pochodzi Carvalho?

Z Mediolanu, odparł w najlepszej włoszczyźnie, jaką mógł sobie przypomnieć, zastrzegając jednak:

- Od wielu lat pracuję w Nowym Jorku i prawie zapomniałem włoskiego.

- Ze mną jest podobnie. Od dwudziestu lat jestem misjonarzem w Bangkoku. W tych dniach składam wizytę w parafiach tej części kraju. Jadę do Ban Don. Właśnie, na Ko Samui jest katolicki ksiądz, dam panu jego dane, może pan się z nim spotkać.

Na szczęście ksiądz miał dużo do powiedzenia i z powodu śpiących pasażerów obaj mówili szeptem, dzięki czemu Carvalho mógł ukryć niedostatki swojej włoskiej wymowy. Zbliżali się do światła, detektyw wywnioskował z tego, że dojeżdżają do jakiejś ważnej stacji. Kolejarz otworzył drzwi, łączące korytarz z platformą do wysiadania. Carvalho skierował w tamtą stronę swoją walizkę, ksiądz poszedł w jego ślady. Pociąg tracił prędkość, wreszcie zatrzymał się ze zgrzytem kół. Wagon pierwszej klasy był ostatni i pasażerowie musieli przeskoczyć przez kamieniste umocnienia podkładów, a później dojść między torami do ścieżki, prowadzącej na stację. Kiedy byli na miejscu, ksiądz zaczął żegnać się z Carvalhem, dając mu radę:

- Jeżeli weźmie pan taksówkę do Ban Don, niech pan nie płaci więcej, niż siedemdziesiąt bahtów. Między pięćdziesiąt a siedemdziesiąt.

- Skoro ksiądz wybiera się do Ban Don, możemy pojechać razem.

Ksiądz czekał na tę propozycję, uśmiechnął się z satysfakcją. Dwudziestu paru turystów kłębiło się wokół taksówkarzy.

- Zaczekajmy, aż cudzoziemcy napchają im kieszenie. Potem załatwimy tańszy kurs.

Carvalho odwrócił się, by obserwować odpoczynek pociągu i pierwsze znaki zapowiadające odjazd, widoczne w otoczeniu bestii, zaniepokojonej swoim własnym warkotem. Nie można już było powiedzieć, że lokomotywa gwizdże: wyrzucała teraz z siebie bezosobowe prychnanie, szydercze, harde i stanowcze, skierowane do spóźnionych pasażerów.

- Gotowe. Już mam taksówkę.

Ksiądz przywołał gestem Carvalha, wpatzonego w lokomotywę. Pociąg drgnął, jakby chciał sprawdzić swoją zdolność do ruszenia z miejsca, przesunął się lekko, a potem westchnął głęboko, by napiąć mięśnie i wprowadzić je w ruch, nabrać szybkości, zamienić twarze podróżnych wyglądających przez okna w nieruchome portrety. Z walizką w ręku Carvalho zaczął iść w kierunku księdza, wciąż patrząc na cud odjeżdżającego pociągu. Dostrzegł nagle cień w jednym z okien, zamrugał powiekami i zawrócił w stronę pociągu. Przez podwójną szybę ostatniego wagonu, w którym przyjechał do Surat Thani, zobaczył jakąś kobietę i uznał, że jest uderzająco podobna do Teresy Marsé.

Ksiądz rozmawiał z taksówkarzem po tajsku, określając zdecydowanie cenę za kurs. Szofer patrzył z żalem na swoich kolegów, którym dopisało szczęście i zabrali cudzoziemców, nie mówiących po tajsku.

- Niech pan wsiada. Co się stało? Ma pan zmartwioną minę.

Carvalho wciąż medytował nad wyblakłym obrazem, który dojrzał za szybą. Bez wątplenia było to złudzenie wzrokowe.

- Jestem jeszcze trochę śpiący.

Całe Surat Thani spało, z wyjątkiem karawany taksówek, która wyruszyła w stronę Ban Don. Ksiądz ubolewał nad tym, że Carvalho będzie musiał długo czekać na prom.

- Radzę, żeby popłynął pan promem o dziewiątej rano. Jest najszybszy, chociaż podróż trwa trzy godziny. Tylko co pan robi do tego czasu? Może pan odpocząć w hotelu.

- Przespaceruję się po Ban Don.

- Niewiele jest do zobaczenia. Ten port nie ma własnego stylu. Jedyna ciekawa rzecz to bazar.

Znow ostrzegł Carvalha, by na Ko Samui miał oczy szeroko otwarte. Wyspa była niegdyś rajem na ziemi i w pewnym sensie wciąż nim jest, ale zaczęli ją odwiedzać turyści, młodzi ludzie, szukający prawdziwie rajskich doświadczeń.

- Niektórym nie wystarcza rajski krajobraz i przywożą sobie strzykawki i heroinę. Kąpią się nago, wywołując zgorzenie miejscowych.

- W państwie masażu ludzie oburzają się na nudystów?

- Tak, chociaż to się wydaje niewiarygodne. Oni dokładnie wiedzą, czym jest rozpusta, przeznaczona wyłącznie dla turystów. Niektórzy cudzoziemcy chcą się osiedlić na Ko Samui. Mieszka tam jeden Hiszpan, Martinez.

Carvalho wyczuł insynuację w słowach księdza.

- I co z tym Martinezem?

- Niech pan zapyta o niego na Ko Samui. Może pan zapytać katolickiego księdza. On panu powie. Martinez buduje dla siebie bungalow.

Był żonaty z Włoszką albo z Tajką. Carvalho nie dosłyszał, bo jego uwagę przykuło światelko, które pojawiło się nagle na drodze; dalej stały postaci w mundurach, dające znaki taksówce.

- Kontrola wojskowa. Cała strefa jest mocno kontrolowana.

- Dlaczego?

- Komuniści. Znowu pojawili się partyzanci. A dalej na południe, w prowincji Pattani, działa malajska partyzantka islamska.

Samochód zatrzymał się i latarka wtargnęła do środka, oślepiając pasażerów. Po chwili wycofała się, ustępując miejsca pistoletowi maszynowemu. Żołnierz wdał się w rozmowę z księdzem, Włoch wysiadł z auta, otworzył bagażnik, po czym dwóch żołnierzy sprawdziło walizki. Ksiądz wrócił do samochodu i pojechali w dalszą drogę.

- Mam już tego dość. Zawsze to samo.

- Partyzantka jest silna?

- Nie sędę. Komuniści też nie chcą jej wzmocnić. Nie przyszła jeszcze pora na Tajlandię. Czasem używają partyzantów, żeby przypomnieć, że jeśli chcą, mogą pokrzyżować plany rządowi i Amerykanom.

W każdym razie, jak stwierdził ksiądz, komunistów jest więcej niż katolików. Kraj jest w przeważającej części buddyjski, Tajlandia stworzyła jednak swoistą wersję religii, w której tradycyjny buddyzm łączy się z trwałymi elementami animizmu. Dowodzą tego malutkie świątynie, przypominające zabawki, które stawia się przed domami.

- Buddyzm, animizm i amerykański styl życia, który przywożą nie tylko sami Amerykanie, ale też Japończycy, a przyjmuje się wśród ludności za sprawą Chińczyków. Chińczycy walczą o rynek jak sam diabeł. To wcielone diabły.

Taksówka wjechała na ciemne ulice Ban Don i dotarła do portu, gdzie pierwsi przechodnie krążyli wokół promów, gotowych do codziennej pracy. Choć ksiądz jechał dalej, Carvalho uparł się, że zapłaci, prosząc Włocha, by przyjął tę skromną ofiarę na rzecz ewangelizacji Azji.

- My, salezianie, robimy, co możemy. Ale nie jest lekko. Jeśli nie ma się po swojej stronie wielkiej siły, trudno jest prowadzić działalność duszpasterską.

Obok taksówki czekał na Carvalha przedstawiciel jednej z kompanii przewozowych. Poprosił detektywa, by skorzystał z jego usług. Detektyw dał mu wszelkiego rodzaju gwarancje. Salezjanin, wychylając się z auta, poradził mu po raz ostatni:

- Niech pan zaczeka w tym oświetlonym barze. O tej porze lepiej tędy nie spacerować.

Taksówka odjechała, Carvalho posłuchał rady księdza i ruszył w stronę knajpy, gdzie rzeczy powoli odzyskiwały swoje miejsce. Rozpalono pod kuchnią, kelnerki przecierały stoły brudną szmatą i podawały pierwsze śniadania portowym robotnikom i sprzedawcom z targu. Carvalho dostał kubek kawy i tajlandzką odmianę racucha, która przeniosła go do madryckiej kawiarni. Świtało. Noc rozpuszczała się w lesie palm i hewei, przyciętych jak skrócona wersja smutnej bajki, a dzienne światło z wolna odsłaniało uśpioną ulicę pełną małych sklepików, patrzącą na spokojną zatokę, na lekkie łodzie motorowe, załadowane wyspiarkami, które przyplęły na zakupy. Carvalho poszedł ich śladem, aż do targu, który robił się tłoczny i krzykliwy, zielone małże, czarne ostrygi, nerwowe ziarenka pieprzu, mikroskopijne krewetki, ciemne wnętrzości wieprzowe, półmetrowe szparagi, jak gdyby substancja chciała nabrać cech swoiście azjatyckich; tylko ukleje wyglądały tak, jakby przyplęły z Morza Śródziemnego.

Między ósmą a dziewiątą rano zaczęli przychodzić cudzoziemcy. Gromadzili się wokół budki, w której sprzedawano bilety na prom. Atakowali ich nie tylko pośrednicy z promów, ale też mężczyźni proponujący bungalowy na Ko Samui, którzy chcieli zapewnić sobie komplet przed wypłynięciem w morze. Podróżnicy z plecakiem i kolczykiem w uchu nie mieli nic wspólnego z klientami z „Dusit Thani”, przypominali raczej turystów z „Malasya”, na promie zaś tubylcy powracający na Ko Samui zmieszali się z przedstawicielami zachodniej kontrykultury, odbywającymi podróż do absolutu, z młodymi parami heteroseksualnymi i homoseksualnymi, na przykład z malutkim rudzielcem i Tajem, studiującym słownik tajsko-francuski. Były też podstarzałe pary emerytowanych profesorów, z siwymi, gładkimi włosami, skołtunionymi od twardych poduszek w tanich hotelach, z opuchniętymi kostkami śmiertelnie zmęczonych zwierząt; starcy otwierali szeroko oczy, by przekonać się, czy przedostatni sen o egzotyce jest realny, patrzyli przez okna, za którymi poruszało się niebo zachmurzone jak pergamin, wyspy, co z daleka wydawały się górami pokrytymi drapieżną roślinnością, a z bliska były zwykłymi wysepkami, dobrymi dla rozbitków i Robinsonów. Jeden z pośredników rozmawia z chłopakiem rudego, Tajem, który za wszelką cenę chce się nauczyć języka swojego kochanka. Nagle rozmowa przechodzi w słodki, nieco melancholijny śpiew, wprawiający w zachwyt tajską dziewczynkę, która przez całą drogę kręci się w miejscu, oglądając rozporek džinsów i ławkę, by sprawdzić, czy nie pojawiła się plama, znak haniebnej miesiączki; matka pociesza ją mówiąc, że niedługo dopłyną do Ko Samui. Mijają wyspy ukryte we mgłę i wreszcie widzą Ko Samui, wyspa wypełnia cały horyzont, tam zmierza teraz prom, wybierając przystań, na której czekają turyści, tragarze z owocami kokosowymi, pośrednicy z bungalowów i kierowcy tuk-tuków.

Carvalho wyskoczył na molo i ruszył w stronę osady, by zapytać, który z zaparkowanych tuk-tuków jedzie do „Nara Lodge”.

Żaden, odpowiedzieli zapytani wyspiarze, a sama nazwa „Nara Lodge” wzbudziła w nich respekt i rezerwę. W końcu jeden z kierowców zgodził się zabrać Carvalha jako dodatkowego pasażera, ostrzegając, że będzie go to więcej kosztować, bo do „Nara Lodge” jest bardzo daleko, znajduje się poza normalną trasą. Detektyw zajął miejsce między parą francuskich nastolatków a rudym Europejczykiem i jego kochankiem, z przodu siedziało amerykańskie małżeństwo z dziewczynką i trzy cyncate Holenderki, a dwóch Tajów wisią na stopniach. Tuk-tuk przemierzył krótką drogę, dzielącą



port od dżungli, pełnej palm, bananowców i hewei, co jakiś czas zatrzymywał się, wysadzając pasażerów przy bungalowach z ciemnego drewna: zbudowane na lekkich pomostach wokół restauracji spoglądały w stronę morza, na girlandy białego piasku i morskiej piany, które otaczały potężną dżunglę, ścieżki czerwonej ziemi i łupiny kokosowych orzechów. Wszyscy z wyjątkiem Carvalha wysiedli, wreszcie tuk-tuk zatrzymał się przed jedynym osiedlem domków w budowie, przed którym widniał szyld „Nara Lodge”, wymalowany literami w stylu wschodnim. Zaczęło padać. Cztery dziewczynki w białych bluzkach i czarnych spódnicach powitały cudzoziemca, którego najwyraźniej nie oczekiwały, i powiadomiły go ze śmiechem, że jest jedynym gościem hotelu.

- Nikogo więcej nie ma?

- Była jedna cudzoziemka, ale wczoraj wyjechała - powiedział młody mężczyzna, wyglądający na administratora hotelu. Mówił władczy tonem, a odkąd się pojawił, dziewczynki zachowywały się powściągliwie.

- Włoszka?

- Tak.

- Czy dzisiaj będzie jeszcze jakiś prom do Ban Don?

- Nie. Dopiero jutro o dwunastej.

Przeszedł między nakrytymi stolikami na taras z widokiem na morze, z którego można było zejść na plażę i drewnianą przystań. Po lewej stronie zatokę zamykał cypel, na którym stał ogromny Budda, odwrócony plecami do morza, otoczony domkami o czerwonych dachach, zbudowanymi na wystających z wody kaczych łapach. Na horyzoncie różaniec niedostępnych wysp, w dali posępny widok Ko Pha Ngan, wyspy większej od Ko Samui. Po lewej girlandy piasku i palm, dochodzące aż do cypla, inne bungalowy, znajdujące się poza terenem „Nara Lodge”. Słońce próbowało przebić pergamin nieba. Carvalho ujrzał nagle jedyny, doskonały pejzaż morski, jaki mógł dotąd oglądać tylko na Formentor, na Patmos, na północnym wybrzeżu Jamajki albo w Port Lligat, przy dużym zamgleniu - plaże końca podróży, przeznaczone dla zahipnotyzowanych podróżników, którzy kontemplują morskie non plus ultra.

Mój Boże, powiedział patrząc na morze, jak gdyby był zagubioną rybą, która dotarła do brzegów ojczyzny, jak gdyby utożsamiał się z pejzażem, rekompensując w ten sposób gorzkie poczucie klęski, wywołane nieobecnością Teresy; we wszystkim była słodycz, obietnica oddania, słodkie były głosy dziewcząt, rozmawiających za jego plecami i nieunikniona Sangharila, rozbrzmiewająca w głośnikach ogrodu. W najczystszej głębi horyzontu mieściło się wszystko, co myślał do tego czasu i co mógł pomyśleć w przyszłości, wszystko, co przeżył i to, czego już nie chciał poznać. Jestem tu. Tutaj będę. Istnieję tutaj, tutaj będę istniał. Roześmiał się w duchu z tej egzystencjalistycznej czkawki, co nie powstrzymało ruchu wyobraźni, domagającej się szczęśliwego zakończenia - chciał zostać tutaj na zawsze z Biscuterem, Charo, Bromurem i Fusterem, z kimś, kogo można zaprosić na sałatkę z turbota i smażone banany, pod szeroko otwartym okiem rozgwieżdżonej nocy tropików.

Tymczasem nie było nic do jedzenia. Może kanapkę, zaproponowała dziewczyna, która odprowadziła go do domku z klimatyzacją, to znaczy z wentylatorem. Nikogo nie oczekiwaliśmy. W domkach obok jest otwarta restauracja. Carvalho zostawił walizkę, wyszedł z ogrodzonego terenu „Nara” i poszedł ścieżką z czerwonej ziemi aż do palmowego zagajnika, gdzie w półkolu rosły bungalowy, zwrócone w stronę morza - chybotliwe konstrukcje drewniane, których jedynym umeblowaniem były moskitiery. Pośrodku półkola stała restauracja, młody mężczyzna i trzy kobiety jedli obiad, rozmawiając po francusku. Chłopak miał nieodzowny kolczyk w uchu, oliwkową cerę, wielkie oczy, chciwie patrzące na wszystko dookoła; gołe ramiona wystawały z dżinsowej kurtki, przerobionej na kamizelkę. Trzy kobiety przeżuwały resztki smażonej ryby. Miały wygląd nauczycielek akademickich, które od maja sześćdziesiątego ósmego postarzały się o dziesięć lat. Prowadziły uczoną rozmowę o Ko Samui i jego mieszkańcach, okazało się, że chłopak bardzo dobrze zna wyspę, one zaś słuchały go jak inteligentnego i dokładnego przewodnika, wędrując czasem oczami, by sprawdzić, czy przy stoliku obok siedzi jeszcze ciekawski cudzoziemiec. Rozmowa zesłała na narkotyki i chłopiec opowiedział kobietom, jak w Phuket użył zainfekowanej igły i zaraził się żółtaczką. Od tego czasu nie kłuł się, a na Ko Samui odnalazł spokój, który poprzedza spotkanie z samym sobą. Na twarzy jednej ze słuchaczek pojawiła się cała kolekcja tików, przysłuchując się rozmowie o igłach i narkotykach zaczęła gładzić swoje ramiona, osłaniając zagłębienie w zgięciu łokcia, najlepsze miejsce na ukłucie.

Carvalho zjadł ryż z warzywami, sos ostrygowy i smażoną rybę, zbyt przysmażoną, która zachowała jednak część swojego smaku. Następnie wrócił do „Nara” i zamówił taksówkę, żeby zwiedzić wyspę. Zaproponowano mu furgonetkę hotelową, do której wsiadł kierowca, jedna z kelnerek i jeszcze jeden mężczyzna; Carvalho zastanawiał się, czy byli towarzyszami podróży, eskortą czy świtą. Furgonetka minęła cypel Dużego Buddy i skręciła w stronę wschodniego wybrzeża, o które rozbijały się wściekle fale przygnane przez wiatr. Wyszło słońce i Carvalho zapragnął wykąpać się na plaży pełnej wielkich, szarych kamieni. Przy wejściu stała tablica z napisem „Lamai Beach”, na straganach z bananami, orzechami kokosowymi i morską biżuterią sprzedawano też pocztówki, które przedstawiały uzupełniające się obrazy: skałę w kształcie fallusa i kamienny srom z wyraźnie widoczną łechtaczką. Członkowie orszaku zaprowadzili Carvalha na skalistą plażę, by udowodnić, że pierwowzory pocztówek istnieją naprawdę. Detektyw szybko rozebrał się i walczył teraz z atakami fal, a jego przewodnicy pękali ze śmiechu, nie śmiali się jednak z niego ani z kamiennych genitaliów, lecz z nagich cudzoziemców dobranych w pary, którzy krążyli po skałach w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Wesołość wywołały zwłaszcza duże piersi szczupłej kobiety, którą Carvalho widział wcześniej na promie.

Po kąpieli ruszyli w drogę. Towarzysze detektywa zaproponowali, że zawiozą go do wodospadów Na Muang i Hinlard. Byli tam już inni turyści: pod wodną zasłoną Na Muang stały anglosaskie perszerony, pozwalając, by strumienie wody rozbijały się o ich ciała, po czym chroniły się w głębokim, naturalnym basenie, w którym pływały walkirie o ciężkich biustach, prześwitujących przez jedwabne bluzki; kiedy wynurzały się z wody, majtki, improwizowane bikini, były welonem, przylegającym do sromu, pokrytego pajęczą siecią włosów łonowych.

Carvalho zmierzył się z gwałtownym strumieniem wodospadu, a później popłynął z prądem do skał - naturalnych falochronów, ciesząc się jak chłopiec, którego siłę potwierdziła natura. Wynurzał głowę z nowo narodzonych wód, by obserwować horyzont przejrzystego nieba i dżunglę, przyglądając się radosnym istotom, uciekinierom ze świata rozczarowania. W Hinlard woda tworzyła strumień, który wylubił niegdyś w skałach naturalne baseny. Tam detektyw chwycił się skały, pozwalając, by wody pieściły jego ciało - ciepłe wody tropików, płynące na spotkanie miejscowych dziewcząt, które namydlały się poniżej pasa, nie zdejmując sukienek, szukając najbardziej delikatnych miejsc swoich ciał. Oparty na skale, czując na plecach ciężar wody, Carvalho kontemplował zielony splendor raj, do którego płynęły strumienie wodospadu.

Kiedy wrócili do „Nara”, słońce szukało wstydliwie swego miejsca pomiędzy chmurami. Obsługa zapaliła kolorowe żarówki w jadalni, oddanej do dyspozycji jedyne gościa.

Carvalho zszedł na plażę, ruszył po białym piasku na zachodnią stronę wyspy, starając się nie deptać małych, prawie przezroczystych krabów, które uskakiwały mu spod nóg i znikwały w piasku. W dali zobaczył chłopca i trzy kobiety, które spotkał w południe: szli gęsiego, on z pewnością siebie tubylca, prowadzącego rodzinę przez dżunglę, one z wyraźnym postanowieniem, by nie okazywać niepokoju, jednak z nich wszystkich emanowała słabość uciekinierów, zagubionych w lesie, którzy szukają swojego miejsca na ziemi. Carvalho wrócił do „Nara” i z trudem wybrał miejsce wśród pustych stolików, wreszcie usiadł naprzeciw morza, wysp, zachodu, Buddy. Ktoś stanął przy nim, zasłaniając mu widok. Był to młody administrator, pozdrowił Carvalha ceremonialnie i pytał, czy jest zadowolony ze swojego bungalowu i czy wycieczka się udała. Dodał, że cały personel pustego hotelu jest do jego dyspozycji i zaproponował wyprawę na ryby następnego dnia.

- Nie możemy za daleko się ruszać, bo na wschodnim wybrzeżu jest burza. Ale możemy popłynąć do wyspy, która jest naprzeciwko, wykapiemy się, złowimy parę ryb.

- Przykro mi, ale nie mogę zostać. Przyjechałem tutaj, żeby spotkać się z przyjaciółką, ale ona już wyjechała.

Administrator posmutniał z powodu przykrości, jakiej doznał Carvalho.

- Ta kobieta wyjechała nagle. Przedtem mówiła, że chce zostać dłużej. Może przestraszyła się zielonej ryby.

- Ryby?

- To taka zielona ryba, która skacze nad powierzchnią wody i może ugryźć, ale żeruje tylko w połowie drogi między wyspą i plażą. Mówiłem jej, że nie ma się czego bać, ale ona wyjechała bardzo przestraszona.

- Była sama?

Chłopak roześmiał się, a potem spojrzał uważnie na Carvalha, jakby zastanawiał się, czy warto szczerze odpowiedzieć.

- Ta kobieta jest pana bliską przyjaciółką?

- Tak.

Znów język palców, spółkujących w powietrzu.

- Nie.

- Dobrze. Więc powiem panu, że miała towarzystwo, ale jej przyjaciel nie mieszkał w hotelu, tylko w domku obok. A może poznali się tutaj. W każdym razie wszędzie chodzili razem i wybraliśmy się na ryby we troje.

- Myśli pan, że wyjechała, bo wystraszyła się ryby?

- A dlaczego by nie?

Carvalho wzruszył ramionami. Administrator usiadł naprzeciw niego i wyciągnął z kieszeni mapę Ko Samui.

- Prom wypływa dopiero w południe. Ma pan czas, żeby wybrać się na ryby na drugą wyspę, a potem odwieziemy pana do portu. Szkoda, że nie może pan zostać dłużej, aż poprawi się pogoda. Moglibyśmy zrobić wycieczkę łodzią wokół wyspy.

- Jaką łodzią?

Administrator wskazał barkas, przycumowany do drewnianego pomostu. Obok niego znajdowała się mieszkalna barka, z komina unosiła się kolumna dymu z kuchenki.

- Z łodzi korzystają tylko klienci hotelu.

- Zawsze jest tak mało ludzi?

- To przez porę deszczową.

- Szkoda.

- Sam pan podróżuje? Od wielu dni?

Carvalho skinął głową.

- Niedobrze jest samemu podróżować. I spać w samotności. Chciałby pan dziewczynę na noc?

W tej propozycji nie było cienia złośliwości ani współnictwa. Carvalho wskazał zmęczone kelnerki.

- Któraś z nich?

- Nie. Przeprowadziłbym ją ze wsi. Bardzo ładna. Bardzo czysta. Bardzo zdrowa.

Carvalho rozważał ofertę, patrząc na nieporuszoną twarz rozmówcy.

- Niech pan się zastanowi, tymczasem podamy panu kolację. Przyrządziliśmy rybę, złowioną dzisiaj rano.

Ryba była za bardzo przysmażona, ale Carvalho pochwalił kolację, zasługując na wdzięczność swojego amfitriona.

- Jutro moglibyśmy złowić takie lyby. Wcześniej rano. Miałby pan czas na wszystko.

Po kolacji Carvalho usiadł na tarasie, twarzą do morza, za jego plecami personel grał w karty albo oglądał telewizję. Błyskawica przecięła niebo na dwie prawie symetryczne części, ciężkie krople ciepłego deszczu ożywiły zapachy świeżo skoszonej trawy i ciężkich od owoców palm bananowych. Detektyw poczuł za plecami obecność administratora.

- Na pewno nie chce pan żadnej dziewczyny?

Carvalho nie miał odwagi, by odpowiedzieć słowami. Potrząsnął głową, nie odwracając się w stronę Taja.

Wycieczka na ryby przerodziła się w zbiorową wyprawę na czele z administratorem. Razem z Carvalhem płynął szyper i dwaj młodzi pomocnicy. Barkas zbliżył się do najbliższej wyspy i zacumował, a następnie wiosłowa szalupa z detektywem podpłynęła na plażę. Carvalho pływał do woli wokół wyspy, nurkował, podziwiając rafę koralową, nie mógł jednak przewyciężyć obawy przed tym, że nagle pojawi się zielona ryba. Później barkas wrócił na głęboką wodę i wszyscy członkowie załogi zajęli się łowieniem: używali tylko żyłki z haczykiem i ciężarkiem, przymocowanej do korka, który przyciskali do pokładu nagą stopą. Żyłka szybko wysuwała się z rąk, szukając swojego miejsca w głębinach, błyskała między palcami, które zwalniały ją i napinały, słuchały jej, próbując wyczuć moment, gdy ryba połknie przynętę. W ciągu pół godziny administrator zadał straszliwą śmierć trzynastu rybom, czym zyskał sobie uznanie innych członków wyprawy. Detektywowi udało się jedynie zaczepić haczyk o kamienie i rośliny, porastające morskie jezioro. Poza barierą rafy koralowej morze

rosło, tworząc wodną górę za plecami wyspy, jakby chciało pokazać siedzącemu Buddzie, że potrafi działać w różny sposób.

- Tam za rafą rekiny.

Spokój administratora nie miał nic wspólnego z opieszałością. W pewnej chwili spojrzął na niebo i zarządził koniec łowienia. Pomocnicy podnieśli kotwicę i barkas ruszył w powrotną drogę. Carvalho chwycił się przedniego masztu, by znaleźć się bliżej fal, rozbijających się o dziób łodzi. Właśnie wtedy ujrzał zieloną, fosforyzującą rybę: wynurzyła się, mignęła w powietrzu i spadła do wody, by za chwilę ponownie wyskoczyć i zniknąć w końcu w głębinach, daleko przed linią przybrzeżnej płytkizny. Słyszając krzyk Carvalha, administrator przybiegł na dziób i zdołał jeszcze zobaczyć ostatni skok ryby.

- Właśnie ta ryba wystraszyła pana przyjaciółkę.

Kiedy dotarli do „Nara”, detektyw odebrał swój bagaż i poszedł do recepcji, gdzie czekał na niego hotelarz, a dalej furgonetka, która miała odwieźć go do portu.

- Wraca pan do Bangkoku?

- Możliwe.

- Mogą być kłopoty z biletami w Surat Thani. Niech pan lepiej zarezerwuje bilet w jakiejś agencji w Ban Don.

Mężczyzna zachowywał się teraz z dużą rezerwą. Wreszcie, kiedy Carvalho wsiadał już do furgonetki, hotelarz podał mu jakiś papier.

- Pana przyjaciółka wyjechała, bo przestraszyła się zielonej ryby, ale przed wyjazdem dostała coś takiego.

Był to pomięty telegram, na którym można było przeczytać:

„Khao Chong chory. Ramsun”.

Carvalho podziękował, nie rozumiejąc do końca wiadomości. Oczy administratora śledziły uważnie jego twarz, ale detektyw schował się w furgonetce i ponownie przeczytał telegram. Ruszyli, Carvalho zaczął wyobrażać sobie, jak mnich Ramsun wysłał telegram, a stary Khao Chong zostaje zatrzymany przez Charoena, schwytyany przez ludzi Jungle Kida lub madame La Fleur. To wszystko musiało się stać zaraz po wyjeździe Carvalha, a może stary od rana walczył z prześladowcami, by umożliwić mu wyjazd z Bangkoku. W każdym razie Carvalho nie miał żadnej pewności, że nie został już namierzony.

Krótką podróż do portu wydała mu się nieznośnie długa, podobnie jak oczekiwanie na prom z Surat Thani. Niebo znów zmarszczyło się jak pergamin, nagle na ziemię spadł strumień wody, czym wcale nie przejęli się robotnicy, wyładowujący z ciężarówek orzechy kokosowe, które miały trafić do ładowni. Wreszcie Carvalho znalazł się na promie, zdając sobie sprawę, że skład pasażerów jest niemal identyczny jak w drodze na wyspę. Detektyw zaczął obserwować śniadą dziewczynę: czytała po włosku książkę o kiczu, pozwalając się adorować atletycznemu, jasnowłosemu młodzieńcowi o wyglądzie kontuzjowanego bejsbolisty. Tuż przed zejściem na ląd Carvalho odkrył dwie holenderskie piękności blond, rozłożyste jak materace, o pełnych kształtach i różowej skórze ciepłych zwierząt. Był rozdrażniony, uświadomił sobie, że jego podróż jest bezcelowa, a pośpiech daremny, oburzał go żółwi rytm promu i kolejne wyspy, które udawały ląd. Już w Surat Thani zdał sobie sprawę, że jeśli chce odnaleźć trop uciekinierów, musi pojechać porannym ekspresem, w tym samym kierunku, co kobieta, którą dojrzał przez szybę, nie wierząc, że jest Teresą Marsé; musi również poszukać szefa wagonu na ostatniej stacji, w Songkhla, i zapytać go o parę uciekinierów. Do odjazdu pociągu brakowało ponad dwunastu godzin. Carvalho pomyślał nagle, że Europejka, która sama lub w towarzystwie Taja wsiada do pociągu o czwartej nad ranem, ale nie jedzie do Bangkoku, tylko w przeciwnym kierunku, z pewnością wzbudziła ciekawość kolejarzy i kasjerów. Wziął taksówkę w Ban Don i po półgodzinie był już w Surat Thani. Próbował wyjaśnić kierownikowi stacji, że szuka przyjaciół, którzy z nim podróżują wyprzedzili go trochę i koniecznie musi ich odnaleźć. Opisał dokładnie Teresę, pokazał też jej zdjęcie, ale szef stacji potrząsnął głową. Nie chodziło mu jednak o fotografię.

- Wczoraj w nocy nie było mnie tutaj. Mój pomocnik z nocnej zmiany obsługiwał ten pociąg.

Gdzie w takim razie jest pomocnik? W knajpie obok stacji: w dzień pracuje tam jako kelner, a w nocy jest kierownikiem stacji; tylko Chińczyk może wpaść w podobny obłęd pracy. Sto bahtów ożywiło pamięć wszechstronnego pracownika.

- Wysoka kobieta, w nocy.

- Jechała z mężczyzną z Tajlandczykiem.

Kolejarz tylko powtórzył pierwsze zdanie, dodając słowa Carvalha:

- Wysoka kobieta, w nocy. Jechała z mężczyzną z Tajlandczykiem.

- Dokąd?
- .- Nie wiem.
- To nie pan sprzedawał jej bilet?
- Tak. Kupiła bilet do Songkhla, ale co potem, to nie wiem.

Śmiał się, dopowiadając w myślach dalszy ciąg historii. Carvalho wrócił do taksówki i zaproponował kierowcy, żeby zawiózł go do Songkhla. Taksówkarz gestykulował ze zmienną intensywnością zależnie od momentu negocjacji. Wreszcie stanęło na tysiącu bahtów i maszyna rejestrująca, którą detektyw miał w głowie, odjęła z puli honorariów pięć tysięcy peset. Kupił butelkę mekongu i opróżnił ją po pięćdziesięciu kilometrach jazdy. Miał już dość podróży, Teresy, Archita, samego siebie. Dzięki tajlandzkiej whisky mógł odśpiewać „Duszę, serce i życie” tak, jak nie śpiewał od dwudziestu lat, a później usnął, chrapiąc głośno, co bardzo rozbawiło taksówkarza. Obudził go pisk hamulców, usłyszał podniesione głosy, kilku żołnierzy otoczyło samochód i brutalnie wyciągnęło kierowcę. Otworzyli tylny bagażnik, Carvalho wysiadł z auta z paszportem w ręku. Kilka metrów dalej żołnierz o wyglądzie oficera wrzeszczał na taksówkarza. Nagle oficer zamilkł, taksówkarz złożył mu ceremonialny ukłon, a żołnierze poprosili cudzoziemca, by zajął swoje miejsce. Taksówka ruszyła. Kierowca wyjaśnił detektywowi łamaną angielszczyzną że znajdują się blisko Phatthalung, w strefie pełnej bandytów i komunistów.

- Bandyci?
- Tak, bandyci. Kradną samochody i autokary. Dlatego żołnierze. Bandyci są zawsze. Komuniści tylko czasem.

Według mapy jechali wzdłuż zatoki, znajdującej się za dżunglą gęstą jak noc, a w Songkhla czekało na nich otwarte morze. Taksówkarz odwracał się co jakiś czas i uśmiechał do Carvalha, próbując nucić piosenkę, którą cudzoziemiec śpiewał kilka godzin wcześniej. Ale jego klient był już innym człowiekiem, żołądek podchodził mu do gardła, przeczuwał atak bólu i próbował temu zaradzić, szukając po kieszeniach tabletek „Ziloric”, które nosił przy sobie jak amulet i spóźnioną pomoc na wypadek, gdyby zaczęły bić pioruny.

Trudno było dotrzeć do Songkhla, trudno było też wyjechać z tego miasta marynarzy i białych minaretów, ozdobionych kafelkowymi hełmami. Senny i skacowany Carvalho wyglądał jak strach na wróble i w takim stanie pytał taksówkarzy ze stacji kolejowej, czy nie wieźli przypadkiem dziwnej pary. Wszyscy kierowali go na ulicę Patalung, gdzie znajdowała się baza taksówek. Bez wątplenia korporacja była bardzo bogata, sądząc po rzeźbionych drzwiach ze szlachetnego drewna i wyniosłej pozie Chińczyka, który kierował całym interesem. Mężczyzna przyłożył grube palce do skroni, jakby Carvalho prosił go o wyrecytowanie imion wszystkich cesarzy chińskich. Pokazywał stos papierów leżący na stole, otwierał szuflady wypełnione papierami, otwierał teczki, w których były papiery, zapraszając detektywa, by ten znalazł igłę w stogu siana.

- To wcale nie takie trudne. Chodzi o cudzoziemkę i Tajlandczyka, którzy wynajęli taksówkę.
- Dokąd chcieli jechać?
- Do Malezji. Umówiliśmy się w Penang, żeby wybrać się razem na Wzgórza Kameron.
- Wzgórza Kameron! Bardzo piękne. Będziecie potrzebować specjalnego sprzętu i przewodników. Bardzo piękne. Ale pana przyjaciele nie musieli jechać autem, mogli równie dobrze podróżować autobusem. Autobusy dojeżdżają do granicy z Malezją, stamtąd wyruszają inne, jadą do Alor Setar, a nawet do Butterworth, do portu, z którego można przeskoczyć do Penang.
- Nie ma innej trasy?
- Druga trasa jest bardzo niebezpieczna, prowadzi przez krainę Pattani, a mamy niespokojne czasy. Ludzie się burzą.
- Dostaje pan informacje od wszystkich taksówkarzy z Songkhla?
- Nie, ale nasza korporacja jest najsilniejsza i obsługujemy prawie wszystkie kursy poza strefą miejską.
- Czy trudno byłoby znaleźć w tych papierach wzmiankę o kursie sprzed dwudziestu paru godzin?
- Proszę wrócić za pięć godzin.

Prośba Carvalha nie miała sensu. Po wyjściu z biura detektyw nabrał podejrzenia, że pięć godzin wystarczy, by sprowadzić mu na głowę Charoena albo Jungle Kida. Gdyby Chińczyk miał jakieś dane i chciał udzielić mu informacji, już dawno by to zrobił. Carvalho wrócił na stację, skąd odjeżdżały

autobusy w stronę Sadao, i pokazał zdjęcie Teresy mężczyźnie zarządzającemu garażami, sprzedawcy biletów i całemu chórowi kierowców i pracowników, który zgromadził się wokół fotografii. Jeden z mężczyzn stuknął w zdjęcie palcem.

- Jechała z nami do Hat Yai.

Carvalho spojrział na mapę i stropił się. Dlaczego Hat Yai? Dlaczego zatrzymali się kilkadziesiąt kilometrów od granicy?

- Kobieta chora. Była bardzo chora.

- Ktoś z nią był?

- Tak. Tajlandczyk. Tajlandzki przewodnik.

- Oboje wysiedli w Hat Yai?

- Tak. Oboje.

Wydawało się, że cudzoziemca nie obchodzi już ta sprawa. Schronił się na bazarze, położonym na tyłach stacji i tam zaczekał na autobus. Wsiadł do niego na minutę przed odjazdem, jako ostatni pasażer i jedyny przedstawiciel Zachodu w tłumie Tajów i Malajczyków, podróżujących z koszami pełnymi owoców, kurczakami i przenośnymi piecykami na węgiel made in Italy. Jechali w cieniu hewei, przemierzając krainę ciemniejszą niż ta, którą dotąd poznał, ciemniejsi byli ludzie, dżungla i ziemia, ciemne były wyroczone o finale tej podróży: czuł za plecami oddech Jungle Kida, nie Charoena, bo gdyby to Charoen dotarł do Khao Chonga, to albo starzec wytrzymałby dzielnie wszystkie próby, albo Carvalho zostałby już dawno zatrzymany, w Ban Don lub na Ko Samui. Kiedy autobus dotarł do Hat Yai, Carvalho ogarnęło przygnębiające uczucie, że znalazł się w tyłku świata, najwyraźniej nie ma nic do zrobienia w miasteczku, którego mieszkańcy sprzedają lateks, cynę albo bilety na walki byków; jakiś dzieciak, mrużąc niby-angielskie słowa, podawał mu ulotki, reklamujące najlepszą w Azji zupę z rekina, serwowaną w restauracji „Haivathene”. Detektyw usiadł na tarasie restauracji i zrobił niemiłą niespodziankę właścicielowi, prosząc o butelkę wody mineralnej, żeby połknąć dwie pastylki „Ziloric”, bo zaczynał czuć, że jego lewe kolano wypełnia się ostrymi szkiełkami. Restaurator miał nieciekawą minę nie tylko dlatego, że Carvalho zamówił tak mało - jego dwukolorowa twarz była pokryta białymi plamami, pamiątką po kwasie. Detektyw opowiedział historię przyjaciół zagubionych w Tajlandii i postanowił uzależnić swoje dalsze kroki od opinii powściągliwego właściciela, pytając, co może robić w Hat Yai ktoś, kto jest chory i przyjechał autobusem.

Pójść do lekarza, odparł restaurator z lakonicznością godną wody mineralnej. Carvalho zapłacił, zostawiając napiwek dwukrotnie większy niż rachunek za wodę. Dwukolorowa twarz złagodniała, właściciel skrzywił usta w uśmiechu i zaproponował konsultację u lekarza, który przyjmuje tuż obok stacji. Gabinet znajdował się u zbiegu dróg, między Hat Yai i Chana. Lekarza nie było, ale kobieta, która otworzyła okratowane, oszklone drzwi, przyjrzała się fotografii i potwierdziła skinieniem głowy.

- Była tutaj. Bardzo chora.

- Sama?

- Nie. Z mężczyzną. Bardzo chora. Doktor powiedział, że jest bliska śmierci.

- Umieścili ją w szpitalu? Gdzie jest teraz?

- Nie chcieli tu zostać. Pojechali dalej.

- Do Sadao?

- Nie. Sama odprowadziłam ich do drzwi. Pojechali do Chana.

Była tego całkiem pewna, pomimo wątpliwości Carvalho.

- Pojechali samochodem.

- Taksówką?

- Nie. To nie była taksówka. Mężczyzna prowadził. Pojechali do Chana. Taksówki z Hat Yai jadą tylko w stronę Songkhla. Nikt nie ma odwagi podróżować do prowincji Pattani. To był ich samochód. Zielony.

- Jak mogę dotrzeć do Chana?

- Autobusem. Z taksówkami jest trudniej.

I było trudno, aż do granicy pięciuset bahtów. Kiedy Carvalho doszedł do tej sumy, taksówkarz uklonił mu się jak swojemu szefowi i uruchomił auto, którego podwozie ledwo mogło utrzymać karoserię, a opony wyglądały tak, jakby miały pęknąć po pierwszym kilometrze. W Chana powiedziano im, że zielony samochód pojechał dalej, w stronę Thepha lub Pattani. Taksówkarz zażądał dodatkowego paliwa, oprócz początkowych pięciuset bahtów. Carvalho dorzucił drugie pięćset, co

pozwoili mu nie tylko kontynuować podró¿, ale te¿ zatrzymywaó siê w ka¿dej dziurze i pytaó o zbiegów. Nie przyjàł jeszcze do wiadomoœci, ¿e Teresa naprawdê mo¿e byó chora; obawiaó siê. ¿e przyczynà choroby jest rana, odniesiona w potyczce z przeœladowcami. Czuli trwo¿e, chcàc wypeœnió zadanie do koñca, a zarazem niepokoió siê o ¿ycie swojej przyjaciółki. Twarze Ernesta i matki Teresy stawaóy mu przed oczami jako wystarczajàcy powód, by kontynuowaó poszukiwania, obwiniaó go tak¿e o niepowodzenie misji. Zatrzymali siê przed grupà domków, kilka kilometrów za skrêtem w stronê Thepha, taksówkarz znów musiaó wejœó w rolê tłumacza. Spojrzaó na Carvalha posmutniaóymi oczami.

- Sà tutaj. Kobieta umarła.

Wieœniacy wskazywali d¿unglê, gdzie staó zielony samochód, opuszczony wœród hewei.

- Zmarła kobieta jest na koñcu tej drogi. Trzeba przejœó małą rzeczkê.

Taksówkarz wyciàgnàł z samochodu baga¿, tymczasem Carvalho zamienió siê w sòp soli, nie zareagowaó nawet wtedy, gdy kierowca wycofaó auto i ruszyó w stronê Hat Yai. Detektyw zostaó sam z gadatliwymi wieœniakami, którzy próbowali dopowiedzieó historiê kobiety, on jednak nie rozumiaó ich ani nawet nie sòuchaó. Uœwiadomió sobie z całą jasnoœcià, ¿e taksówka odjechaó, zielony samochód nale¿y do pary uciekinierów; byó oczywiste, ¿e bédzie mógl poznaó ostateczny sens swojej dlu¿giej i daremnej podró¿y, jeœli pójdzie œcie¿kà, a¿ do koñca.

Przez maóe okienko przenikaó do œrodka promieñ sòlca, posrebrzony przez wilgoó, promieñ, mo¿na by powiedzieó, mokry od deszczu, który dochodzió do niewidzialnej granicy tu¿ obok prowizorycznego óó¿ka. Tkwió na nim nieruchoma ludzka postaó, a obok, na podódcze, siedziaó w kucki jakiœ mê¿czyzna, obejmowaó røkami kolana, a jego gòwa zwisaóa bezwòladnie. Carvalho podszedó do pryczy i kiedy pochylaó siê nad ciaóem, czòwiek podniósó siê i detektyw ujrzàł brodatà twarz rudzielca o mêtnych oczach, najpierw zdziwionych, póóniej uœmiechnietych. Usta mê¿czyzny przemówiły:

- Doktor Livingstone, nieprawda¿?

Carvalho wytrzymaó spojrzeò i nie odpowiedziaó. Znów spojrzeó na twarz martwej kobiety. To nie byó Teresa, ale twarz postarzaóej dziewczynki budzióa litoœó: siwe odrosty zdecydowanie wypieraóy farbowany blond, który zdołaó utrzymaó siê tylko na koñcach wòsów. Maóe, okràgòe oczy byóy zamkniête, dziurki drobnego nosa zatkaóo biaóymi szmatkami, kawaóeczkami brudnej koszuli mê¿czyzny. Ciaóo ginéóo pod póóóótkým przeœcieradóem z grubego pòótna.

- Znaó ją pan?

- Nie. A pan?

- Widziaóem jej œmieró, tak jak inni widzieli jej narodziny. Trafióem tutaj z powodu rasizmu. Bo ona byóa biała i umieraóa w wiosce peónej Azjatów.

- Jak tutaj dotarła?

- Przyjechaliœmy razem. Przywiozóem ją samochodem, który wynajêła.

Wybuchnaó œmiechem.

- Umieraóa i baóa siê prowadzió auto w Tajlandii. Mówióa, ¿e Tajowie je¿d¿à jak wariaci.

Znów rozeœmiaó siê ochoczo, a potem przesunàł røkê po twarzy, by zmazaó uœmiech, poczuó sennoœó i zimno.

- Byóa Niemkà, zdaje siê. Mówióa po francusku jak Niemka albo Holenderka, albo belgijska Flamandka, która ma antyfrancuskie przesàdy. Ja jestem Francuzem. Domyœlió siê pan po akcencie? Ale na serio. Mówiê po angielsku bez zarzutu, nieprawda¿? Jestem normalien. Wie pan, kto to jest normalien? Tak? Za to pan ma jankeski akcent. Jest pan Amerykaninem? Nie? Ja byóem ekonomistà zanim wyjechaóem do Afganistanu, ¿eby rozprostowaó nogi.

Podniósó siê z trudem i butelka mekongu, którą trzymaó na kolanach, upadóa na krzywà podóogê, potoczyóa siê do drzwi i zniknêła. Francuz pomachaó butelce na póóegnanie i podszedó do legowiska.

- Źegnaj, przyjaciółko. Próbowaliœmy razem dojsó donikàd.

Alkohol wyginaó na wszystkie strony jego ciaóo, jak gdyby byóo pozbawione koœci. Francuz gestykulowaó żywo, jakby ganió za coœ Carvalha.

- Biedaczka nie wiedziaóa, dokàd pójsó i powiedziaóem jej: kiedy siê nie wie, dokàd pójsó, trzeba wybraó pomiêdzy drogà narodzin i drogà œmierci sòlca. To nigdy nie zawodzi. Kobiety zawsze

wybijają drogę narodzin. Są matkami. Wciąż są uwarunkowane instynktem macierzyńskim i wolą świty od zmierzchów.

Znów wybuchnął gwałtownym śmiechem.

- Idiotki!

Zniżył głos, wściekły na samego siebie, że obraził majestat śmierci.

- Była biała i taka bezradna i smutna, że powiedziałem sobie, François, nareszcie trafiła ci się biała. Nie jadłem białego mięsa, odkąd byłem w Goa, to już prawie rok, od roku włóczę się po Birmie i Tajlandii. Nazywam się François Pelletier Lussac. A pan?

- Pepe Carvalho.

- Pepe? Meksykanin? Argentyńczyk? Chilijczyk?

- Hiszpan.

- Mon Dieu! Hiszpan! Avez-vous un château en Espagne?

Twarz Francuza znalazła się na pierwszym planie, zbliżyła się do twarzy Carvalha. Detektyw poczuł mocny alkoholowy odór, cofnął twarz, a potem zrobił krok w tył. Pelletier wahał się, czy poświęcić uwagę zmarłej, czy cudzoziemcowi, w końcu poszedł do drzwi na zgiętych kolanach. Wsparty o futrynę, odetchnął głęboko świeżym, niedawno wypranym powietrzem.

- Co tutaj robisz, François Pelletierze Lussac?

Powtórzył to zdanie, modulując głos na różne sposoby - mówił tonem przyjęcia dyplomatycznego, teatru Racine'a, pytania Brigitte Bardot, bezczelnego policjanta, wyszkolonego w Dzielnicy Łacińskiej, dziecka, które zgubiło się w lesie, zrędlivej żony, namiętnej narzeczonej, Boga. I kiedy znalazł właściwy ton głosu Boga, pytającego: Qu'est-ce que tu fais ici, François Pelletier Lussac?, powtórzył kwestię, krzycząc na całe gardło, by powiadomić Tajów, pracujących na polach, że w końcu ktoś ważny zaniepokoił się o jego los. Potem Pelletier odwrócił się do Carvalha i powiedział:

- Tylko jedna nacja jest bardziej zbyteczna od Francuzów: Hiszpanie.

Zaczekał dobrą chwilę na ripostę Carvalha i gdy domyślił się, że detektyw nie ma zamiaru odpowiedzieć, zrobił dwa kroki w jego kierunku, udając zawadiacką pewność siebie.

- Zapomniał pan języka w gębie? Ma pan w żyłach wodę zamiast krwi? Nie oburza się pan, kiedy ktoś zniesławia święte imię pańskiej ojczyzny? Bacznosc!

Carvalho nie posłuchał go, Pelletier sam stanął na bacznosc z niewidzialnym karabinem na ramieniu i przemaszerował po całym pokoju.

- Prezentuj broń!

Wręczył zmarłej karabin i jakaś nieznaną siłą odepchnęła go od łóżka, wyskoczył jak z katapulty z rękami skrzyżowanymi na piersiach, uderzył plecami o ścianę i osunął się powoli na ziemię, wreszcie usiadł na podłodze z rozsuniętymi nogami, pokonany przez zmęczenie lub senność. Carvalho pochylił się nad nim, rozchylił mu ostrożnie powieki. Francuz uśmiechnął się:

- Jeszcze jestem żywy, co się pan boisz. Daj mi pan spać. Nie śpię od pięciu dni. Biedaczka tyle czasu umierała i nie mogła umrzeć.

Carvalho podszedł do legowiska, zbadał je dokładnie, stwierdził, że zmarła jest naga i leży pod czymś w rodzaju płóciennego prześcieradła. Nie znalazł żadnego dokumentu. Nagle przypomniał sobie o samochodzie i wybiegł z domku. Przeszedł prowizoryczny mostek nad małym kanałem, który udawał strumień. Auto stało na swoim miejscu, obok płotu, za którym buszowały bure świny. Carvalho znalazł w schowku pokwitowanie wynajmu, wystawione na Olgę Schiller Bulową, urodzoną we Frankfurcie 27 października 1936, zamieszkałą w Bonn. Detektyw zanotował dane na odwrocie wizytówki, na innej zapisał krótką notatkę o śmierci Olgi Schiller i pogrzebaniu zwłok w osadzie, położonej piętnaście kilometrów od Pattani. Wyciągnął z portfela małą kopertę, na której napisał nazwę adresata: Ambasada Niemiec, Bangkok. Włożył wizytówkę do koperty i schował ją do kieszeni. Jeżeli będą zwlekać, ciało zacznie się rozkładać i wszystkie insekty Tajlandii, Birmy, Malezji i całych Indochin zlecą się do chaty, szukając tak smakowitej padliny. Zawołał Taja w chwili, gdy ten wchodził lub krył się w swoim domku, i zapytał go, kto sprawuje najwyższą władzę w wiosce. Człowiek nie rozumiał po angielsku i detektyw narysował coś w rodzaju żołnierza albo policjanta. Taj wygłosił długą przemowę, z której Carvalho zrozumiał tylko gesty. W osadzie nie było policjanta. Posterunek był dalej, mężczyzna pokazał na zachód. Jak można zapytać o władzę? Jak przełożyć władzę na język gestów, a przede wszystkim, jak można stopniować język władzy? Łatwo jest wyrazić gestem majestat króla albo cesarza, ale jak można pokazać władzę wójta? Carvalho przypomniał sobie, że podstawowym elementem językowym Wschodu jest uśmiech, uśmiechnął się więc, nie bez wysiłku,



słyszając, jak zgrzytają zardzewiałe więzadła mięśni. Po wielu uśmiechach i zapraszających gestach Taj poszedł z cudzoziemcem do żałobnej chaty. Wszedł ostrożnie do środka, zatrzymując się tuż za progiem. Ogarnął wzrokiem trzy elementy sceny - śpiącego Francuza, umarłą i Carvalha. Detektyw pokazał mu na migi, że kobieta jest martwa i trzeba ją pochować. Taj najwyraźniej nie rozumiał, Carvalho wyszedł przed chatę, wydrążył kijem mały otwór w ziemi, wskazał najpierw wnętrze domku, a potem otwór, po czym zasypał go ziemią. Taj kiwnął głową, powtórzył coś kilka razy i odszedł na zwinnych nogach. Miał gołe stopy o skórze stwardniałej na kamień. Wszystko mogło się zdarzyć. Albo nic. Tak czy owak, jedyną więzią, jaka łączyła Carvalha z kobietą, była kultura, a związek kulturowy zawsze prowadzi do poczucia winy. Trzeba było pochować Niemkę. Niech to zrobi Francuz, kiedy obudzi się po przepiciu, albo miejscowi, gdy szwadrony much rzucą się na wioskę. Carvalho wszedł do chaty, by ujrzeć po raz ostatni obraz pokonanej Europy, usłyszał jednak gwar zbliżających się ludzi. Jego rozmówca wracał w towarzystwie starego mężczyzny, do którego zwracał się z szacunkiem, i czterech czy pięciu innych ludzi. Tajowie pozdrowili uroczyście Carvalha, a gdy zaprosił ich do środka, znów mu się uklonili. Stary zbliżył się do zmarłej z pobożną powagą, pozostali wieśniacy otoczyli Francuza, wymieniając dowcipne i hałaśliwe uwagi o jego etylowym śnie. Pelletier obudził się, zrozumiał całą sytuację, przetaił oczy z pajęczyny snu i otworzył je z uśmiechem. Stary próbował dowiedzieć się czegoś od Carvalha. Detektyw rozumiał, że chodzi o przyczynę śmierci kobiety, ale nie potrafił mu odpowiedzieć. Doszedł ich głos Francuza, który wciąż siedział w niewygodnej pozycji. Mówił po tajsku, na tyle sprawnie, że mężczyźni rozstąpili się, a stary słuchał go uważnie, po czym skinął głową i wygłosił objaśniającą mowę. Francuz zastanowił się przez chwilę, wstał i podszedł do Carvalha.

- Jak pan myśli? Pochowamy ją czy spalimy? Zaczyna się rozkładać.
- Dlaczego umarła?
- Była kompletnie przeżarta rakiem.
- Czy ktoś może w przyszłości zażądać zbadania zwłok?
- Ma syna, który studiuje w Niemczech. Mąż popełnił samobójstwo dwa lata temu.
- Syn.
- W takim razie trzeba ją pochować.

Francuz zwrócił się do starego i powtórzyły się ukłony, uśmiechy i obietnice.

- We wsi nie ma cmentarza dla cudzoziemców. Nie trafił tu nawet Marco Polo. Trzeba będzie wykopać grób obok rzeki. Pokażą nam miejsce. Czuje się pan na siłach?
- Mogę kopać.

Prowincja Pattani, wezbrana po deszczu, płynęła do morza. Carvalho żałował, że w okolicy nie ma mostu z poręczą, z którego można by było zobaczyć alef wody tak gęstej i żywej, jak gdyby rozpuściła się w niej cała czekolada świata. Jest przynajmniej samochód, pomyślał, patrząc z ukosa na auto, grzęznące w błocie przy ścieżce. Wciąż drżały mu ręce po tym, jak zmagął się z ziemią, by zwrócić jej ciało Olgi Schiller. Wrzucił pierwszą grudę ziemi, która przykryła twarz i oczy kobiety, i w tej samej chwili przeniknął go paniczny strach, czego nie zauważył nikt z obecnych, nawet pedantyczny Francuz, przerzucający ziemię ze słabością intelektualisty i racjonalistyczną dyscypliną. Tubylcy pomogli przy kopaniu dołu, a teraz obserwowali z ciekawością grzebanie zwłok. Kiedy było po wszystkim, detektyw rzucił łopatę, urny w rzece dłonie, ramiona i tors, woda zabrała ziemię, która przywarła do jego skóry, zajęła się nią z całą naturalnością, podobnie jak ziemia zaopiekowała się Olgą Schiller.

Co teraz zrobić? Droga Teresy przecinała się z drogą martwej Niemki i wszystko wskazywało na to, że Teresa i Archit próbowali przekroczyć granicę z Malezją, unikając dobrze znanych szlaków. Wieś znajdowała się w prowincji Pattani lub na jej obrzeżach i świadomość tego, że region może być kontrolowany przez islamską partyzantkę, zbijała Carvalha z tropu, niszczyła logikę czterech stron świata. Jechać wzdłuż rzeki do Pattani i wrócić do Bangkoku, a potem na Ramblas, albo przekroczyć granicę i pojechać tropem pary zbiegów. Zniszczona, przetarta na zgięciach mapa obracała się w rękach detektywa. Jakiś cień przesłonił Carvalha. Detektyw podniósł oczy. Pelletier też umył się w rzece i odzyskał wygląd schludnego Europejczyka, choć bez ubrania odpowiedniego do miejsca i czasu. Dżinsy były sztywne od brudu, koszula jankeskiego marines posłużyła za ręcznik, a w pociągłej, lisiej twarzy rudzielca wciąż tkwiły kolce starej, choć nierównej brody. Może schludne uczesanie przywracało Francuzowi tożsamość przyzwoitego Europejczyka, a może decydujące było

poczucie, że Pelletier ma już za sobą czuwanie przy zwłokach i pijaństwo. Jednak sięgał już po butelkę mekongu i podawał ją detektywowi.

- To najlepszy armaniak, jaki mogłem znaleźć.

Carvalho wypił chciwie, chcąc ugasić pragnienie i zmienić stan świadomości. Potem zmienił zdanie. Utrata jasności umysłu w ostatnim miejscu na ziemi oznaczała zbyt duże ryzyko. Oddał butelkę Francuzowi. Pelletier wypił łyk i zaproponował:

- Jest też coś na ząb.

- Gdzie?

- Niech pan zaufa mojemu wężowi. Poczulem i uwierzyłem. Niech pan mi zaufa, mój nos zaprowadzi nas do jedzenia.

Ruszyli ścieżką w stronę wsi, mijając strumyk, płynący przed chatą, zamienioną w kaplicę pogrzebową, po czym poszli wzdłuż rzeczki, szukając najbliższego skupiska domków. Pelletier zatrzymał się przed gankiem jednej z chat, na którym cała rodzina dziobała ryż z glinianych misek i jakiś dodatek, umieszczony w małych, wielobarwnych naczyniach. Francuz przemówił do starej kobiety, przewodzącej rodzinnemu zebraniu. Odpowiedziała mu uśmiechem i wzruszeniem ramion, po czym spojrzała uważnie na niskiego, mocno zbudowanego chłopaka, który poruszał się na zgiętych nogach, najwyraźniej obojętny na pertraktacje, prowadzone przez Pelletiera. Francuz zwrócił się do niego i mężczyzna po chwili wahania powiedział coś, co dla ucha Carvalha zabrzmiało jak gniewna odmowa, jednak Pelletier uśmiechnął się.

- Ryż z kurczakiem i bambusem, co pan na to? Nie znajdzie pan lepszego menu w restauracjach chińskich w Paryżu, tyle że tutaj dadzą nam dużo przypraw.

- Niech dodają, co im się podoba.

Carvalho był tak głodny, jakby nie jadł od stu lat. Pelletier usiadł na stopniu bocznych schodów, prowadzących na ganek, na którym jadła tajska rodzina. Przyłożył usta do butelki mekongu i pociągnął zdrowy łyk. Westchnął ciężko i podał whisky detektywowi, ten jednak odmówił.

- Trzeba chwilę zaczekać. Ryż musi się zagotować. Właśnie, jak pan stoi z pieniędzmi?

- Mam tylko czeki podróżne.

- Chce pan zapłacić tym ludziom czekami?

- Ma pan bahty?

- Niewiele. I trochę waluty birmańskiej. W Rangun zarabiałem na życie, ucząc francuskiego jednego przemytnika rubinów.

Francuz obrzucił Carvalha komicznie wyniosłym spojrzeniem.

- Niech pan się nie martwi. Jest pan moim gościem. Tak naprawdę to nie był handlarz rubinów, tylko nędzny jubiler, który miał babkę Francuzkę. Malowniczy typ. W Birnie można spotkać ludzi, których dziadkowie byli Anglikami. Ale babka-Francuzka, nigdy. To pewnie jest zabronione. A propos, Stanley, co pan tutaj porabia?

- Szukam źródeł Nilu.

- Ależ wy, Hiszpanie, jesteście roztrzepani.

- Szukam jednej kobiety.

- Uciekła z innym?

- Coś takiego.

- To pana żona?

- Nie.

- Coś podobnego! To już jest zboczenie. Zdarza się, że ktoś szuka legalnej małżonki, ale żeby szukać kochanki! Przesadził pan.

-Zajmuję się tym zawodowo. Jestem prywatnym detektywem.

- A ja się nazywam Martin Bormann.

- Mówię serio. Jestem prywatnym detektywem i szukam córki klienta.

Francuz patrzył bacznie na Carvalha, szukając jakiejś szczeliny na kamiennej twarzy. Detektyw wyjął portfel i pokazał mu licencję.

- Niesamowite! Moja mama nie uwierzy, jak jej opowiem. Dwadzieścia razy okrążyłem świat, gniję w najpodlejszych dziurach pod słońcem, tylko po to, żeby spotkać Philipa Marlowe'a w gównianym

miasteczku na Półwyspie Malajskim. Niespodzianki jeszcze się zdarzają. Przykro mi, że nie mogę stanąć na wysokości zadania. Jestem ekonomistą normalien, to znaczy, z kulturalnej elity francuskiej.

- Już mi pan to mówił.

- Kiedy?

- Niedługo po tym, jak żeśmy się poznali.

- Powtarzam się. Poza tym mówię głównie o sobie. Nie zawsze tak było. Zdarza mi się ostatnio. Pewnie mam duże problemy z tożsamością. Zatrąłem biednej Oldze ostatnie dni życia, wyjaśniając wpływ Pascala na Rhomera. Pan wie, kto to jest Rhomer?

- Niemiecki generał.

- Fascynujące. Niezupełnie. Reżyser filmowy. Nie widział pan *Ma nuit chez Maud*?

- Prawie nigdy nie chodzę do kina.

- To jest film o sensie życia.

- Hm. Mocna rzecz.

- To był ostatni film, jaki widziałem, zanim uciekłem z Paryża. Właśnie, spotkałem kilku Hiszpanów w różnych miejscach Hindustanu, nawet wcześniej, w Afganistanie, jeszcze przed wojną. W Goa poznałem bardzo malowniczego Hiszpana, filozofa. Madrycki szlachcic, co zawsze filozofował, nawet kiedy chlapał się na bosaka po błocie albo tańczył, poruszając na wietrze czarnym warkoczem. W Bombaju trafiłem na katalońskiego ekonomistę, dyskutowałem z nim długo o Schumpeterze i radykalnych ekonomistach amerykańskich. Nazywał się Martin Capdevila i chciał być maharadzą. Jeżeli dopnie swego, mam zapewnioną spokojną starość.

Carvalho ułożył się na schodach. Zmęczone ciało podziękowało za kamienne oparcie, oczy powędrowały w stronę błękitnych studni, oddzielonych od siebie białymi, ciężkimi chmurami. W jego polu widzenia ukazało się stado ptaków, sprawdzających, co też dzieje się w osadzie, która samowolnie wdarła się do dżungli.

- Czy pan wie, jak się nazywają ptaki Bangkoku?

Francuz ocknął się z zamyślenia.

- Jakie ptaki pan ma na myśli?

- Te, które po południu przysiadają na drutach elektrycznych. Nie widział ich pan? Jest ich całe mnóstwo. Przypominają hałaśliwe komary. Nie wiem nawet, czy ich świergot wyraża radość, głód, strach, czy też ogłaszają w ten sposób swoje panowanie nad miastem, zbudowanym przez ludzi.

- Wszystkie ptaki to wróble.

- Nawet orły?

- Orły to orły.

Stara podeszła do nich z blaszaną tacką na której były cztery gliniane miski i dwie drewniane łyżki. Jedzenie parowało, Carvalho porwał swoje porcje ryżu i kurczaka i wymieszał je z satysfakcją za pomocą łyżki z drewna tekowego, jakby cieszył się widokiem krajobrazu. Francuz jadł w sposób bardziej ortodoksyjny: łyżka ryżu, łyżka mięsa i trochę warzyw.

- Więcej w tym pieprzu niż kurczaka - narzekał Pelletier.

- Tajlandzkie jedzenie jest podobne do chińskiego, tyle że ma więcej przypraw. W tropikalnych krajach przyprawy zaostwiają apetyt, bo ludziom z powodu gorąca nie chce się jeść.

- Brak apetytu? Azjaci popisują się jedzeniem. Przez cały dzień chodzą po ulicy z miseczką ryżu. Próbował pan betelu? Pierwsi podróżnicy europejscy myśleli, że wszyscy miejscowi ludzie chorują na gruźlicę, bo mają usta pełne krwi. A to był kolor betelu. Ryż i betel. Ryż po to, żeby napęścić żołądek, a betel dla rozrywki.

- Azjatycka asceza.

- Gówno prawda.

- Buddyzm. Wyzwolenie z niewoli zmysłów.

- Przede wszystkim, Stanley, jesteśmy w strefie islamskiej, a buddyzm jest firmą, która produkuje eksportową ideologię na potrzeby podstarzałego Zachodu.

Pelletier skończył swoją porcję. Kiedy stara zbliżyła się do nich kocim krokiem, spoglądając z ukosa na swoich klientów, Francuz wręczył jej dwadzieścia bahtów. Kobieta sprawdziła banknot, zabrała tacę z pustymi miskami i odeszła, odprowadzona taksującym spojrzeniem Pelletiera.

Mężczyźni kontemplowali samochód z tą samą zakłopotaną miną. Francuz kopnął ze złością koło, po czym usiadł na masce.

- Co pan zamierza robić?

- Chciałbym dojechać do Penang. Trzeba skończyć coś, co się raz zaczęło. To ostatnia szansa, żeby ją odnaleźć. A pan?

- Powinienem zwrócić samochód w jakimś biurze kompanii Hertz. Ona wynajęła auto w Bangkoku tr/y albo cztery tygodnie temu i nikt nie zażąda od niej wyjaśnień, jeżeli go nie odda. Jak pan chce. Zrzekam się go na pana korzyść.

- Nie, to jest pańskie auto.

- Niezupełnie. Ale mam do niego moralne prawo.

Carvalho ruszył w stronę szosy.

- Niech pan zaczeka. Podrucę pana do jakiegoś miejsca, gdzie będzie pan mógł wynająć taksówkę albo złapać pociąg czy autobus. Woli pan wrócić do Hat Yai czy pojechać do Pattani? W Pattani jest lotnisko i może byłby jakiś lot do Penang, chociaż Penang to już Malezja.

- Mówiono mi, że prowincja Pattani jest niebezpieczna.

- Bajki wymyślane przez rząd, żeby trzymać ludzi w garści. Wymyślają komunistyczne albo islamskie partyzantki na południu, birmańskich bandytów na granicy z Birmą albo lewackie grupy przetrucane z Laosu i Kambodży. Jak pan widzi, jesteśmy w Pattani i nic się nie stało.

- Wolałbym uniknąć samolotów.

- Oh la la! Zaczyna się robić ciekawie. Co pan chce ukryć? Czym pan handluje? Niech pan wsiada. Wyciągnę pana z tej dziury.

Samochód wyjechał z dżungli i wskoczył na drogę w kierunku Hat Yai.

- Niech pan mi teraz nie umiera. Dwa trupy jak na jedną podróż to za wiele - powiedział Pelletier, widząc, jak Carvalho zgina kolana z grymasem bólu na twarzy.

- Już mnie prawie nie boli.

- Ale jednak boli. Co to jest?

- Podagra.

- Podagra? Choroba francuskich królów. Myślę sobie właśnie, hiszpański przyjacielu, że nie mam nic do roboty i może byłoby ciekawie przejechać granicę z Malezją i pojechać do głębokiej dżungli, gdzie nigdy nie powstała stopa białego człowieka. Liczę, że zapłaci pan za benzynę. Ten samochód dużo pali, a ja nie chcę nic uszczknąć z pieniędzy biednej Olgi. Ciekawi mnie pana podróż. Spotykasz nagle człowieka, który wymyśla sobie podróże i zagadki, żeby nadać sens swojemu życiu.

Nie myli się zanadto, pomyślał Carvalho. Czuł ulgę, przekonał się bowiem, że Teresa żyje, miał jednak wrażenie absurdu i bezcelowości, które ogarnęło go na Ko Samui, a teraz być może wzmocniło się przez niespełnione pragnienie, by pozostać na wyspie i patrzeć, jak mija następnych dwadzieścia godzin, następnych dwadzieścia lat. Tymczasem Francuz nie zwracał uwagi na Carvalha, ciągnąc swój neurotyczny monolog, pełen refleksji o sensie życia.

- Czasami myślę o powrocie do Paryża. W domu matki mam całą szafę garniturów. Moja była żona wyszła za nadzianego profesora, który dobrze wygląda we fraku i bez przerwy pokazuje się w „Jours de France”. Jeżeli tylko przejrzę moje książki i przeczytam „Le Monde Diplomatique” z ostatnich siedmiu czy ośmiu lat, będę na bieżąco i jestem pewien, że zaproponują mi jakąś dobrą pracę, zrobię minę syna marnotrawnego i udam, że wracam ze świata marksizmu i kontrkultury, bo przekonałem się, że jedyną prawdę posiada Milton Friedman i neoliberalizm ekonomiczny i polityczny. Hegemonia burżuazji utrzymuje się dzięki językowi i metodom, dostarczanym przez dysydentów z przeciwnego obozu, oraz dzięki temu, że synowie, którzy stali się w swoim czasie marksistami, buddystami albo narkomanami, wracają później do ojcowskiego domu.

Gadał bez przerwy, ściskając kierownicę w dłoniach. Carvalho udał, że śpi i ton monologu Francuza tracił na sile, aż zamienił się w mamrotanie, a później w piosenkę, którą Pelletier nucił dla samego siebie, by się nie nudzić lub utrzymać stan swobodnej koncentracji. Pierwsze cienie zaczynały kłaść się na szosie. Dotarli do Hat Yai, Pelletier skręcił na lewo, w stronę Sadao i granicy malajskiej. Carvalho, chroniony przez ciemność, otworzył oczy i spojrzął z ukosa na Francuza, który prowadził auto z uśmiechem, jakby śnił szosę i swoją rolę szofera. W Sadao zdjął rękę z kierownicy i potrząsnął ciałem Carvalha.

- Niech pan przygotowuje papiery. Zbliżamy się do granicy.

Carvalho wyjął z kieszeni dwa paszporty, zważył je w ręce i w końcu wybrał paszport włoski, chowając z powrotem hiszpański.

- To się nazywa właściwe przygotowanie do podróży. Może jadę obok grubej ryby międzynarodowej mafii? Skąd pan wytrzasnął ten drugi paszport, hiszpański przyjacielu?

- Włochy są moją drugą ojczyzną.

Najpierw napełnili bak na stacji; przypominającej samochodowe cmentarzysko, jak gdyby auta umarły, zżarte przez benzynę, którą tam sprzedawano. Od stacji zaczynała się kolejka samochodów i autobusów, czekających na kontrolę graniczną pod słabym światłem żółtych, pogrzebowych żarówek, poruszanych wiatrem. Tajlandzka policja oderwała z paszportów białą wizę i pozwoliła im przejechać bez żadnych uwag. Na granicy malajskiej musieli wypełnić prowizoryczne dokumenty wizowe, po czym zostali dokładnie skontrolowani. Niewielki bagaż Carvalha zaintrygował celnika i detektyw musiał wyjaśnić, że zostawił większość rzeczy w Bangkoku, dokąd zamierza wrócić po krótkim wypadzie turystycznym do Malezji.

- Jak pan widzi, chcę się wykąpać w Penang, dodał, potrząsając kąpielówkami.

- Nieżle pan wymyślił z tymi kąpielówkami - zauważył kąpiąc Pelletier, kiedy mieli za sobą granicę. - Nikt nie będzie podejrzewał faceta, co idzie przez świat z kąpielówkami w torbie. Chce pan prowadzić? Jestem zmęczony.

Carvalho przestraszył się, że straci jedyny sposób na gadatliwą naturę Pelletiera, zobaczył jednak jego oczy, obrzękłe, czerwone i bezmyślne, i zajął miejsce za kierownicą. Francuz usiadł obok niego, zamknął oczy i po chwili zasnął. Detektywowi wydało się, że jadą teraz szybciej, choć wskazówka szybkościomierza nie przekraczała prędkości, którą utrzymywał Pelletier. Minęli Jitrę, w której Carvalho doliczył się ledwie czterech światełek, a potem Akor Setar. Jeden z drogowskazów zapowiadał lotnisko i detektyw zapragnął wsiąść do samolotu i jak najprędzej zakończyć tę przygodę. Jednak Penang wydawał się logicznym celem podróży, a Carvalho wytrenował się w logicznym myśleniu.

Świtało, kiedy wjechali do Butterworth, Carvalho skręcił do portu, który mógłby być jakimkolwiek tajlandzkim portem, gdyby nie łatwe do zauważenia cechy Malajczyków - jaśniejsza skóra, okrągłe i jasne oczy, w porównaniu z bardziej skośnymi oczami Tajlandczyków i Chińczyków. Pelletier przeciągał się jak kot, układając się na siedzeniu, zmagając z ciasnotą samochodu. Carvalho dojechał aż do nadbrzeża i zapytał, skąd odpływają promy do Penang. Najbliższy prom odchodził za pół godziny. Detektyw zaparkował, mężczyźni wysiedli z samochodu, by rozruszać się po długotrwałym odretwieniu. Carvalho ruszył w stronę kiosku, gdzie sprzedawano bilety na prom.

- Niech pan zaczeka. Jeszcze nie wiem, czy z panem pojedę. Zdecyduję się w ostatniej chwili.

Detektyw kupił bilet i poszukał wzrokiem Francuza. Pelletier siedział na tarasie baru, pełnym pretensjonalnych, wiklinowych foteli i plastikowych stolików. Dienne światło wydobywało z mroku kształty statków, a zielona masa Penang wypełniała cały horyzont. Carvalho usiadł obok Francuza.

- Inny kraj, hiszpański przyjacielu. Inni ludzie. Inna kultura. Inna religia. Zdaje się, że Europejczycy bardzo interesują się islamem, odkąd odkryli, że są zależni od arabskiej ropy. Biedna Europa. We wszystko wierzy. W gruncie rzeczy kultura islamska i buddyjska są muzealną nadbudową w stosunku do praw ekonomicznych, które rządzą światem.

Monolog był nieunikniony. Carvalho ścisnął w dłoniach filiżankę kawy i przygotował się do słuchania.

- Przecież, w istocie rzeczy, dla tych Azjatów buddyzm i cała kultura buddyjska nie tworzą dystansu między ludźmi i w końcu przeradzają się w rutynę, tak jak rutyną był katolicyzm w epoce tomistycznej dyktatury, pozbawiony wewnętrznych sprzeczności. W rzeczywistości buddyzm nie uchronił ich przed korupcją i włączeniem do światowego systemu. Kiedy chce się zrozumieć historię, prawa materialne okazują się równie odpychające jak konieczne, dlatego trzeba wyrzec się próby zrozumienia historii. Niemoralność działania. Czy ktoś zdołał uniknąć niemoralności działania? Do czego prowadzi wszelkie działanie? Do własności, do posiadania rzeczy albo ludzi. Człowiek nie może działać bez agresji. Wszelka moralność jest obłudna. Dobro jest równoznaczne z sukcesem, a zło z klęską. W świecie zachodnim ta zasada osiągnęła swój punkt szczytowy, bo tak naprawdę wielki strażnik moralności w kulturze chrześcijańskiej, Bóg, jest już doskonałym trupem, i o tym wie cały świat, łącznie z rzymskim papieżem. Ale tutaj również udało się narzucić dialektykę zwycięstwa i klęski, zastępującą dobro i zło. Ci na górze są cynikami, i mówiąc o „tych z góry”, mam na myśli

establishment finansowy, polityczno-militarny i kulturalny, a ci na dole boją się stracić jeszcze więcej, niż do tej pory stracili. Prawdę mówiąc, ja nie uważam się za buddystę. Jestem taoistą.

- Gratuluję.

- Przemilczę pana kpiny. Taoizm daje mi szansę na wieczność, poza tym proponuje mi intelektualną bezstronność wobec tego, co wy nazywacie dobrem i złem, a co, koniec końców, oznacza sukces i klęskę. Odpowiada mi dualizm jin-jang i chcę żyć zgodnie z tao. To znaczy, zdaję sobie sprawę, że jestem Francuzem, głównianym normalien i moim jedynym wybawieniem jest życie zgodne z tao. Jak pan widzi, nie pozbyłem się dotąd judeo-chrześcijańskiego kompleksu winy.

- Tao jest modne?

- Co pan opowiada? Chyba pan zwariował albo wyciągnęli pana z garderoby „Titanika”. Nic nie jest modne. Kiedy wyjeżdżałem, w modzie był antymarksizm i nouvelle cuisine. Ale według moich informacji nawet i to się skończyło. Modne jest nie być modnym. Świat staje się coraz bardziej socjaldemokratyczny i w pewnym sensie jesteśmy w rozkwicie epoki tao. Według tao mędrzec rządzi w ten sposób, by ogołocić serce, napełnić brzuch, osłabić ambicję i wzmocnić ciało. Problem polega na tym, kto odgrywa rolę mędrca. Mitterrand? Reagan? Breżniew? Strach. Roztropny strach albo bojaźliwa rozwaga. Czym jest Bóg?, pytali filozofowie chrześcijańscy, gdy im pozwolono myśleć na własny rachunek. I zaczęli wymyślać dziwaczne odpowiedzi. Doszli nawet do tego, że Bóg jest pierwotnym élan, jak gdyby można było dotrzeć do pierwotnego élan! Kim jest ten mędrzec, co rządzi światem z rozwagą i strachem? Stopień zero rozwoju. Ja to panu mówię, jestem normalien i nosiłem teczkę z miękkiej skóry, wypełnione raportami o zapaści gospodarczej Południa. I nie trwało to dzień ani dwa. Ani tydzień czy miesiąc. Dziesięć lat. Kiedy zszedłem z barykad w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym, zatrudniłem się jako księgowy w firmie stowarzyszonej z Unilever. Miałem przyjaciela, który marzył o tym, żeby pojechać szlakiem Ulissesa. A ja postanowiłem pójść szlakiem Malraux i dotarłem tutaj. Ani śladu postaci z Malraux. Wszędzie pełno bojaźliwych Rosjan i Amerykanów, i Japończyków z aparatami fotograficznymi. Nic nie jest modne. Piosenkarze rockowi. To są bohaterowie naszych czasów.

- Brał pan udział w wydarzeniach majowych?

- Jak cała reszta. Wszyscy moi znajomi tam byli, pomagali wyrywać bruk, a potem, na barykadach, zostali wyleczeni przez Monoda. Geismar, Cohn Bendit, Seauvageot i Krivine zagarnęli lwią część, ale inni, o ile mogli, próbowali wyróżnić się z tłumu. Tę rewolucję robili ludzie, którzy chcieli zapobiec bezrobociu. Któregoś dnia wskoczyłem na samochód przed Geismarem i krzyknąłem: gówno, gówno, gówno! Geismarowi wcale się to nie spodobało. Właśnie. Zauważył pan, jak staro wyglądają rockowi bohaterowie? Wszystko jest zaprogramowane przez międzynarodowe koncerny. Nietrudno zauważyć, że dziesięć procent gwiazd rockowych popełnia samobójstwo albo umiera z przedawkowania. Rockowa poetyka? Gówno prawda. Koncerny mordują, żeby podtrzymać romantyczne napięcie. Interesuje się pan rockiem?

- Nie.

- Tao też pana nie obchodzi.

- Też nie.

- To jaki ma pan cel w życiu?

- Zestarzeć się z godnością.

- Idiota.

Francuz oparł się wygodnie na wiklinowym fotelu, jakby chciał zwiększyć dystans, dzielący go od Carvalha, widzieć lepiej swojego rozmówcę albo po prostu zaczerpnąć więcej powietrza, dotlenić się i przezwyciężyć ciemne spirale pijaństwa. Potem wyrecytował:

Istoty, które osiągnęły wiek dojrzały

zaczynają się starzeć.

Tak dzieje się ze wszystkim, co jest przeciwne tao.

A to, co przeciwne tao, szybko się kończy.

Pochylił się nad Carvalhem i stuknął go palcem w pierś.

- Pan już jest trupem. Jeżeli chce się osiągnąć nieśmiertelność, nie wolno wierzyć w starość. Kto zaczyna wierzyć w starość, zaraz umiera.

Wlał resztki mekongu do bambusowego kubka. Powąchał alkohol, przemógł odrazę i wypił jednym haustem, po czym wykrzyknął bełkotliwym tonem, równie mętnym jak jego oczy:

- Życie jest dochodzeniem do celu, a śmierć powrotem. Tak mówi tao.

- Czy tao mówi coś o ciężkim pićiu?

- To jest liberalna filozofia. W istocie opiera się na zasadzie laissez-faire, laissez-passer, wychodząc od głębokiego przekonania, że poczucie pełni jest dyspozycją duchową. Potrzebuję dwóch butelek tej cuchnącej cieczy, żeby osiągnąć duchową pełnię. I pomyśleć, że kiedy byłem agresywnym menadżerem, wystarczał mi kieliszek „Remy Martin”, zaraz po kawie. Czy pan wie, że ja przez dziesięć lat nosiłem kamizelkę?

Stało się to, czego Carvalho obawiał się najbardziej, co chciał zamknąć w małym kręgu, w którym zostaliby tylko on i Pelletier. Francuz podniósł się, trzymając w dłoni bambusowy kubek, dał znak drugą ręką co nie uszło uwagi mieszkańców najbliższych stolików. Jego oczy błyszcząły, podobnie jak nabrzmiałe wargi, patrzył nieruchomym, ołowianym wzrokiem w stronę wyśnionego świata. Zaczął deklamować:

Porzuć naukę i pozbędziesz się trosk.  
Jaka jest różnica między tak i nie?  
Jaka jest różnica między dobrem i złem?  
Nie można przestać się bać  
tego, czego boją się ludzie.  
Nie można wyczerpać całej wiedzy.  
Cały świat rozpala się i raduje  
jak wtedy, gdy ktoś widzi wielką ofiarę,  
albo wstępuje na wieżę wiosny.

Tylko ja pozostaję niewzruszony,  
jak nowo narodzony, co nie umie się śmiać.  
Jak ten, co nie wie, dokąd pójść,  
jak ten, co nie ma domu.  
Cały świat żyje w dostatku,  
tylko ja nic nie mam.  
Mój duch jest pomieszany,  
jakbym był głupcem.  
Cały świat jest rozjaśniony,  
tylko ja przebywam w ciemnościach.  
Wszyscy są przenikliwi,  
tylko ja niczego nie wiem.  
Jak ten, co zboczył z kursu na głębokim morzu.  
Wszyscy mają coś do zrobienia,  
tylko ja jestem bezużyteczny.

Tylko ja jestem obojętny na innych  
bo szanuję matkę, która mnie żywi.

Oderwał wzrok od wysokości wszechświata, by ocenić uprzejme uśmiechy pozostałych gości kawiarni i sprawdzić wrażenie, jakie wywarł na detektywie dwudziesty poemat tao, ale detektywa nie było już przy stoliku. Pelletier zachwiał się na nogach, jak gdyby Hiszpan był jego fizyczną podporą a nie tylko idealnym słuchaczem. Detektyw zapłacił przy barze za kawę i mekong, po czym ruszył w stronę promu, którego syreny zaczęły podnosić lament, a z kominów wydobywał się dym. Francuz czekał na niego przy schodach.

- Już pana pożegnam. W Penang robię się nerwowy. Dawniej to było ciekawe miasto, sami palacze opium, ale teraz palenie jest zabronione i sprzedają tylko batik, ohydny materiał, który podoba się Amerykanom i grubym Holenderkom.

Carvalho podał rękę Francuzowi. Pelletier wolał pewnie pożegnać się gestem albo słowem. Mimo to serdecznie uściśnął dłoń detektywa.

- Żegnaj, Hiszpanie, i powodzenia.

Carvalho widział z pokładu, jak Pelletier podszedł do zielonego samochodu, zajrzał do środka i wyciągnął swój bagaż, plecak, w którym mogły się zmieścić całe „Galeries Lafayette”. Ruszył najpierw w górę ulicy, a potem, po chwili wahania, zawrócił.

Na lotnisku w Penang nikt nie miał ochoty przeglądać listy pasażerów z ostatnich dni, by odszukać cztery nazwiska, podane przez Carvalho jako cztery różne osoby. Detektyw wyjął dyskretnie dwudziestodolarowy banknot, który natychmiast zniknął w dłoni jednego z biurokratów wydziału informacji; urzędnik oświadczył, że potrzebuje godziny na sprawdzenie nazwisk. Lot Penang-Singapur nie był krajowy, Penang należy bowiem do Federacji Malezji, a Singapur jest państwem niezależnym, Archit i Teresa musieli zatem okazać jakiś paszport, choć każdy może pokazać bilet z fałszywym nazwiskiem, a potem przejść do kontroli paszportowej, licząc na to, że policjant ograniczy się do stwierdzenia, czy zdjęcie przedstawia właściwą osobę. Nagle Carvalho poczuł impuls, którego nie zahamowała nawet szybka kalkulacja kosztów. Zapytał w okienku informacyjnym, czy może zadzwonić za granicę, do Europy, i dolarowy napiwek sprawił, że dziewczyna o wielkiej głowie zaczęła gorliwie badać unerwienia międzynarodowych kabli telefonicznych, aż po drugiej stronie zabrzmiał głos Biscutera.

- Biuro detektywa Carvalho.

- Biscuter, to ja.

- To pan, szefie? Dzwoni pan stąd? Już pan przyjechał?

- Dzwonię do ciebie z Penang, z Malezji.

- Słuchać pana, jakby pan dzwonił z Prąt, szefie. Nawet lepiej.

- Do rzeczy, Biscuter, bo zapłacę majątek. Jest coś nowego?

- Wróciła pani Teresa. Dzwoniła przed chwilą, żeby z panem porozmawiać, i bardzo się śmiała, jak jej powiedziałem, że pan jej szuka w Tajlandii.

- Bardzo się śmiała?

- Bardzo, proszę pana. Znowu wyjeżdża, żeby odpocząć. Adres mi zostawiła.

- Kurwa jego mać.

- A ja, szefie...

- Zaraz tam jadę.

- Zaraz?

Carvalho odłożył słuchawkę. Miał ochotę roztrzaskać telefon o ścianę i podrzeć na strzępy rachunek za rozmowę międzynarodową. Musiał wybierać - mógł polecieć do Bangkoku, żeby odebrać bagaż, narażając się na pytania oburzonego Charoena, albo zrezygnować z rzeczy i wrócić do kraju via Singapur. Gdyby jeszcze dzisiaj znalazł się w Bangkoku, zdążyłby na powrotny lot swojej grupy o wpół do jedenastej w nocy, odzyskałby bagaż, a nawet odniósłby niewielką korzyść z tej absurdalnej wyprawy. Wracając przez Singapur straciłby rzeczy i wszelką nadzieję na to, że państwo Marsé zechcą zapłacić mu jakieś dodatkowe pieniądze. Pierwszy samolot do Bangkoku odlatywał w południe, miałby zatem czas, żeby odebrać bagaż i dołączyć do grupy. Kupił znaczki na list do ambasady niemieckiej w Bangkoku, informujący o śmierci Olgi Schiller i miejscu, w którym została pochowana. Wrzucił list do skrzynki, kupił bilet lotniczy do Bangkoku, tłumiąc wściekłość, jaką budziło w nim samo wspomnienie Teresy. Zabijał czas, kontemplując zachłanność, z jaką turyści robili zakupy w strefie wolnocłowej lotów międzynarodowych - ubrania z batiku, figurki z drewna tekowego lub kości słoniowej, instrumenty muzyczne, koszarne pamiątki, wymyślone w światowej centrali, gdzie produkuje się wszystkie souvenirs z koralików i muszelki z masy perłowej. Wreszcie wsiadł do samolotu.

Podróż przez cały półwysep wydała mu się nieznośnie długa, obawiał się, że Charoen nie pozwoli mu nawet pojechać do hotelu i będzie czekał na niego na pasie startowym, przed samolotem.



Tak się jednak nie stało, Carvalho wyobraził sobie spotkanie godzinę później, gdy podejdzie do biurka Bella Captaina w „Dusit Thani” i zażąda swojego bagażu. Piotruś Pan nie rozpoznał go, a może był to już inny Piotruś Pan, w tym samym stylu. Carvalho wszedł do „Dusit Thani” i dotarł najkrótszą drogą do recepcji Bella Captaina. Wręczył mu pokwitowanie za bagaż. Jeden z boyów poszedł po rzeczy. Detektyw ogarnął wzrokiem znajomą scenerię hallu, te same typy ludzkie, czekające cierpliwie na tych samych pilotów, ci sami notable z Bangkoku, wystrojeni jak na przyjęcie weselne albo na zakończenie konferencji, te same amerykańskie damy, co niedawno wygrzewały się na basenie, a teraz wyfiokowały się i czekają, aż mężowie porwą je w wir nocnych przyjemności, które oni sami analizowali w ciągu dnia w biurach DBA. Wreszcie walizka zjawiła się i detektyw miał uczucie, że odzyskuje część swojej prywatności. Poprosił o pokój, gdzie mógłby wziąć prysznic i uporządkować rzeczy, przydzielono mu na godzinę jeden z pokoiów na pierwszym piętrze, wychodzących na basen. Carvalho założył kąpielówki, wyszedł do ogrodu i w całkowitej samotności wykąpał się po raz ostatni tego nieprawdziwego lata. Następnie przepakował walizkę, opróżniając tę, którą kupił w chińskiej dzielnicy. Wyszedł do hallu, zwrócił klucz, zapytał, czy jest jakaś informacja o zebraniu grupy przed wyjściem na lotnisko i powiedziano mu, że autokar przyjedzie o ósmej. Miał jeszcze kilka minut. Zaczął rozpoznawać twarze słupów soli, stojących w hallu, jednocześnie rozglądał się bacznie, czy nie pojawi się Charoen, zabijający Jungle Kida albo madame La Fleur. Nagle skądś wyłonił się Jacinto, który na widok Carvalha przezwyciężył powagę i uśmiechnął się radośnie.

- Maltwililiśmy się o pana. Pan wyjechał bez uprzedzenia z Chiang Mai.
- To przez jedną dziewczynę, Jacinto.
- Odnalazł pan zagubioną kobietę?
- Nie.
- Przykło mi.

Jacinto zebrał do kupy swoje owieczki. Niewiele osób z hiszpańskiej grupy zatrzymało się w „Dusit Thani”. Inni, którzy mieszkali w „Ambassadors” i „Narai”, czekali już w autokarze. Carvalho pożegnał rozświetloną wyspę „Dusit”, tymczasem autokar próbował dotrzeć do drogi, prowadzącej na lotnisko, jadąc najpierw przez Rama IV, a potem prosto, przez Phayathai Road. Fakt, że Charoen do tej pory nie wszedł mu w drogę, graniczył z cudem, jednak Carvalho nie chciał wywoływać wilka z lasu i pytać Jacinta, czy zawiadomił policjanta o jego zniknięciu. Jacinto przekazywał ostatnie instrukcje mocno opalonym Hiszpanom. Katalończycy z Chiang Mai, siedzący na fotelach, przywitali Carvalha: od tej pory detektyw starał się unikać ich towarzystwa, nie chcąc udzielać im wyjaśnień, choć wywnioskował ze złośliwych uśmiechów kobiet, że wszyscy znali już jego historię. Na lotnisku powtórzył się wyścig do biura odlotów, wywołany niekontrolowanym strachem, że nie wystarczy miejsc dla wszystkich. Jacinto chwycił Carvalha za ramię, odprowadził go na bok, z dala od ludzkiej powodzi, i wskazał mu kąt sali, w którym czekał Charoen.

- W tym czasie pójde odebrać pańską kaltę pokładową.
- Proszę dla palących. Przy oknie. W odpowiedniej odległości od ekranu, żeby było dobrze widać. I proszę nadać bagaż do Barcelony.

Nie słuchał odpowiedzi Jacinta. Ruszył pewnym krokiem w stronę Charoena, inspektor uklonił się z atencją i zaczął spacer po hallu, sądząc, że detektyw będzie mu towarzyszył.

- Jak się udała podróż?
- Nie mogę narzekać. W pewnym momencie zmęczyłem się już tym wszystkim i pojechałem na południe, żeby się opalić i wykąpać.
- Dobrze pan zrobił, zostawiając walizkę w hotelu. Lepiej podróżować bez bagażu.
- A co w Bangkoku? Bez zmian?
- Bangkok ciągle się zmienia. Mam dla pana nowiny. Ojciec Archita zmarł następnego dnia po naszym spotkaniu. To był naturalny zgon. Kilka dni później w rzece znaleziono zwłoki zarządcy Przystani Oriental, skąd odpływają łodzie, kursujące po kanałach starego Bangkoku. Nazywał się Khao Chong. Torturowano go, zamordowano, a potem - do rzeki. Khao Chong - powtórzył Charoen, jak gdyby chciał wyrzyć to nazwisko w pamięci Carvalha.

- Odnalazł pan zbiegów?
- Nie - odparł Carvalho, wytrzymując wzrok Charoena.

Inspektor nagle przystanął i uśmiechnął się zwycięsko.

- Widzi pan? Azja jest bardzo skomplikowana. Ale któregoś dnia znów się pokażą. Jeżeli się z panem skontaktują, niech pan im powie, że mogą uciec przed Charoennem, ale nie przed Jungle Kidem. Niech pan już idzie. Za chwilę zapowiedzą kontrolę paszportową.

Na plakacie reklamowym Swissair ptaki dotykały się dziobami, w tle były chmury i miły krajobraz. Zanim się rozstali, Carvalho zapytał inspektora:

- To pytanie może wydać się panu głupie, ale nie chciałbym wyjechać z Bangkoku bez odpowiedzi. Chodzi mi o nazwę ptaków, które tysiącami zlatują się o zmierzchu na główne aleje i obsiadają druty telegraficzne.

Charoen przytknął oczy, szukając odpowiedzi w pamięci, a może zastanawiał się, czy w pytaniu cudzoziemca nie kryje się kpina lub ukryta intencja. Swallow, odparł w końcu. Jaskółki, przetłumaczył w myśli Carvalho, drwiąc z samego siebie.

- Jaskółki. Po prostu jaskółki.

- Chińskie jaskółki. Kiedy przychodzi zima, przylatują z zimnych terenów Chin i osiedlają się w tropikach.

- Jaskółki - powtórzył Carvalho, jakby trudno mu było przyjąć do wiadomości tę prawdę, jakby nie potrafił wymazać z oczu Charoena ironicznego błysku, z jakim inspektor pożegnał się z nim po raz ostatni.

- Ja też głosowałam na socjalistów, no bo na kogo innego? Ci z PSUC wodzą się za łby, a PCE<sup>34</sup> jest niewyjściowa. Socjaliści przynajmniej mieli szansę wygrać i wygrali. Ale ja im nie wierzę. Było to już widać w sprawie Prawa Autonomii Uniwersytetu. Z początku Peces Barba był gotów rozwiązać problem nauczycieli kontraktowych, ale jak tylko został profesorem, coś w niego wstąpiło i zmienił zdanie. Tak czy tak mamy przesrane.

Marta Miguel odstawiła tacę z jedzeniem i straciła zainteresowanie rozmową w stołówce. Wstała i zbliżyła się do dużych okien, wychodzących na miasteczko uniwersyteckie. Zwiędłe trawy, drzewa огоłocone z liści, kościotrup natury, czekający na daleki cud wiosny.

- Przepraszam, Marto.

Odwróciła się. Stała przed nią studentka, wręczając jej teczkę.

- To jest projekt pracy, o której ci mówiłam.

- A o czym mi mówiłaś?

- Idee pedagogiczne Joaquina Costy.

- A tak, bardzo dobrze. Przejrzę to i coś ci o tym powiem.

Wróciła do stolika na kawę. Położyła obok teczkę.

- Co to jest? - zapytał Nacho Riells, historyk.

- Projekt pracy jednej studentki.

- „Idee pedagogiczne Joaquina Costy”. Coś mi to mówi. Powiedz twojej studentce, żeby poczytała sobie artykuły Tamamesa w „Tiempo”, tam się czegoś dowie o ideach pedagogicznych Joaquina Costy. Tamames ma swoje zasługi, przeszedł od marksizmu do regeneracjonizmu bez etapu fascynacji Gandhim.

Marta uśmiechnęła się w odpowiedzi na akademicki żart i odeszła, wymawiając się pracą w gabinecie. Stukot obcasów rozległ się w opuszczonych korytarzach popołudnia. Marta weszła do gabinetu, który dzieliła z dwoma kolegami z wydziału. Usiadła w swoim fotelu, oparła łokcie na stole, opuściła głowę na widełki dłoni i poddała się dręczącym myślom i pokawałkowanym obrazom. Prześladował ją nade wszystko obraz jej samej: jest dziewczynką, siedzi z rodziną przy stole w czasie ważnej uroczystości, chwali się skarbonką, podnosi ją, żeby pokazać, jaka jest ciężka, i nagle dostaje szturchańca od ciotki, głupiej ciotki Tadei, skarbonka spada na podłogę, rozbija się w kawałki, monety rozsypują się po podłodze, dziesięciocentymowe pieniądze z wizerunkiem caudillo albo niklowe monety z portretem lansjera na koniu, i ojciec wymierza jej policzek.

- Ta dziewczyna jest pomyłona.

Jestem pomyłona. Jesteś pomyłona, Marta, jesteś pomyłona. Nie miała czasu na medytację o samej sobie. Musiała jak najszybciej dotrzeć do Barcelony, kupić jeszcze majtki i gazę dla matki. W starych ceratowych majtkach pękła guma i co rano Marta musiała znosić widok łóżka umazanego suchym, zielonym gównem, które przekroczyło granice majtek. Znowu czekało ją wyjaśnianie aptekarzowi, muszą być duże, duże. Nie, nie dla grubego dziecka, chodzi o starszą osobę, bardzo szczupłą, i gaza, skrzynie pełne gazowych kompresów, które pomagały utrzymać przy życiu tę

---

<sup>34</sup> PSUC - Zjednoczona Socjalistyczna Partia Katalonii, PCE - Komunistyczna Partia Hiszpanii (przyp. tłum.).

roślinną istotę, przeciwdziałały otarciom i wrzodom. Dzień po dniu Marta zmieniała gazę, skarżąc się, ale wytrzymując to, czego nie mogły znieść kobiety, opiekujące się jej matką popołudniami, trudno jest teraz znaleźć chętnych do takich prac i za cenę, jakiej nie może zapłacić nauczyciel kontraktowy, adiunkt, jedynę zatrudnienie - kontrakt na pięć lat, aż wejdzie w życie Prawo Autonomii Uniwersytetu, które, jak dotąd, nie podobało się Pecesowi Barbie. Umyć matkę, podać jej kolację, poprawić egzaminy, przejrzeć projekt pracy magisterskiej, obejrzeć odcinek Dynastii, tej filmowej lury, rzucić okiem na ostatni numer „Zeszytów Pedagogicznych”, przeczytać swój własny artykuł o wpływie idei Montessori na rozwój pedagogiki w Drugiej Republice. Odetchnęła głęboko, by nabrać odwagi i podjąć decyzję. Wstała, jakby sama siebie zapraszała do wyjścia. Potem wszystko było nieuniknione: korytarze, marsz, auto, przejazd przez miasteczko uniwersyteckie, wyjście w kierunku autostrady Sabadell.

Przez chwilę wyobraziła sobie, jak zatrzymuje samochód przed drzwiami Wydziału Policji na Vía Layetana, wysiada i nie zamyka auta.

- Proszę pani, dokąd pani idzie, proszę pani! - krzyczeli strażnicy, ale ona była już na schodach i zatrzymała się dopiero w gabinecie komisarza Contrerasa.

- Wreszcie postanowiła się pani przyznać? Pytałem sam siebie, kiedy pani do nas przyjdzie. Przyzwoici ludzie nie mogą się z tym gryźć przez dłuższy czas.

- Przysięgam, że zrobiłam to w obronie własnej.

- W obronie własnej? Celia Mataix panią zaatakowała?

- Upokorzyła mnie. Byłam dla niej zerem, nawet gorzej, brudnym zwierzakiem, którego chciała wyrzucić z domu.

To za wiele jak na komisarza Contrerasa. Lepiej było poszukać parkingu obok apteki, w której ostatnim razem miała szczęście zaopatrzyć się w rutynowe majtki i gazę, a potem wejść do sklepu z płytami i kupić kasetę z zarzuelami w wykonaniu Marcosa Redondo. Jej matka wciąż jeszcze lubiła Marcosa Redondo. Otwierała i zamykała cierpliwe oczy, patrząc, jak Marta wkłada kasetę Marcosa Redondo do kieszeni radiomagnetofonu, kupionego w Andorze.

- To ja, mamó.

Podeszła od razu do magnetofonu i włączyła muzyczną pastylkę.

Karczmarzu, przynieś nam wina  
niech będzie najczerwieńsze  
i podlejszej marki.  
Bo ja jestem furman,  
i chcę pić czerwone wino z Toro!

- Wiesz, kto śpiewa, mamó?

Stara przytaknęła, mrużąc oczy, i z wysiłkiem narysowała ustami imię śpiewaka.

- Właśnie. Marcos Redondo. Krokus.

Stara zaprzeczyła.

- To nie jest Krokus, mamó?

Stara znów potrząsnęła głową i wyrysowała ustami tytuł zarzueli.

- Piosenka furmana, oczywiście. Nic mama nie zapomniała.

Marta zabrała koc, okrywający wychudzone nogi, rozpięła sweter, powąchała.

- Ubrudziła się mamó?

Nie, potrząsnęła głową, a jej oczy wyrażały zadowolenie z samej siebie.

- Tak to co innego. Uprzedzaj mnie zawsze, kiedy możesz, mamó. Staraj się wytrzymać i uprzedzaj mnie, jak tylko możesz.

Położyła koc na miejscu. Wyjęła z lodówki warzywa i gotowaną rybę, zmełła wszystko w maszynce na papkę, którą przełożyła do aluminiowego rondelka. Otworzyła kurek, usłyszała szum uchodzącego gazu. Zapaliła zapałkę i zaczekała, aż zgaśnie między palcami, po czym raptownie wyłączyła gaz. Stała przed kuchenką nie wiedząc, co dalej robić. Wreszcie powtórzyła wszystko od nowa, tym razem

przykładając zapalnik do palnika: żółto-niebieski kwiat wystrzelił na białej porcelanie kuchenki i Marta postawiła na nim ronderek. Wróciła do salonu. Popchnęła fotel na kółkach do kuchni i przysunęła matkę do stołu, tak, by sama staruszka mogła kierować łyżką wędrującą z rondelka do ust.

- Musisz coś robić, bo inaczej za chwilę nie będziesz się mogła ruszać.

Bolała ją głowa. Wyjęła z apteczki w łazience dwie rozpuszczalne pastylki aspiryny, a przy okazji opakowanie proszków nasennych i pastylki, które miała rozkruszyć i podać matce w owocowym puree. Wrzuciła pastylki matki do moździerza i zaczęła je kruszyć. Przerwała pracę, oparła się całym ciałem na ręce, przytrzymując moździerz i zaczęła medytować, wpatrując się w krople wody, spadające regularnie z nie dokręconego kranu. Wyrzuciła proszek z moździerza i umieściła w nim cztery pastylki nasenne, po czym pokruszyła je z pewną niechęcią, jakby ręce odmawiały posłuszeństwa woli. Wrzuciła pozostałe proszki do pustej szklanki. Znowu zmieniła zdanie, wysypała pastylki na dłoń i napełniła szklankę wodą z kranu. Połknęła po kolei pastylki nasenne, popijając wodą. Wsypała proszek do miseczki z owocowym puree i postawiła ją na stole, zabierając ronderek, który matka dokładnie wyczyściła. Wróciła do kuchni tylko po to, by otworzyć kurek gazu, jej gest wydawał się machinalny, jakby gasiła albo zapalała światło. Zajrzała do torby i wyjęła notes i długopis. Usiadła obok matki. Stara kończyła właśnie owocową papkę, patrząc, jak córka pisze coś na dwóch kartkach wyrwanych z notesu. Marta zapisała obie kartki i położyła je na stole w pewnej odległości od siebie, poza zasięgiem ogromnych oczu matki, ociążonych od słodziku dla chorych na cukrzycę. Zapach gazu wydawał się już gęstą substancją, która atakowała jej nos. Stara otworzyła oczy i wydała z siebie trwożliwą skargę, odwracając głowę w stronę kuchni. Rysowała ustami wiadomość, że w kuchni jest otwarty gaz.

- Niech się mama nie przejmuję, nic się nie dzieje.

Marta chwyciła starą za rękę, drobne kostki pod przezroczystą skórą, które zachowywały jeszcze słabe ciepło życia.

- Nic ma strachu, będziemy teraz spać, a jutro nikt mamie nie zrobi krzywdy.

Stara przytakiwała, mrużąc oczy, ufała swojej córce, a jednocześnie była przerażona zapachem śmierci. Marcie zaczęły cięższe powieki, zbliżyła dłoń do pytających oczu matki, próbując je zamknąć.

- Niech mama spróbuje zasnąć.

Stara mówiła coś do niej.

- Telewizja? Później włączę, teraz nie. Póki co, niech mama zaśnie.

Stara wzruszyła ramionami, jakby telewizja nie miała dla niej znaczenia, i odpowiedziała na pieszczotę, chwytając dłoń Marty. Głowa Marty opadła na stół z okleiny, wydawało się, że gaz dociera tam z większą intensywnością ślizgając się po gładkiej powierzchni. Dłonie były złączone, wciąż obdarzały się pieszczotami, choć coraz słabiej, jak dwa konające gołębie; staruszka spojrzała po raz ostatni na palniki kuchenki, skąd przychodziła śmierć. Wciąż była pewna, że córka przebudzi się w którymś momencie, wyczyści ją, wyperfumuje, włączy telewizor i zamknie gaz.

Carvalho usiadł obok mnichów buddyjskich, jak najdalej od Hiszpanów, czekających na zapowiedź samolotu. Zabierali do kraju słońce tropików, złudzenie lata przed hiszpańską zimą, szafirowe pierścionki, kilometry jedwabiu, orchidee i niewiele więcej. Gardzili wszystkim, czego nie rozumieli, i teraz, siedząc w poczekalni, kpili sobie z gestów tajlandzkich tancerek, z akcentu pilotów albo świństw, jakie ci ludzie jedzą. Nawet nie zrozumieli aluzji, gdy z głośnika popłynął Koncert z Aranjuez.

Samolot wypełnił się Hiszpanami, którzy wracali do Hiszpanii, Niemcami wracającymi do Niemiec, a w Karaczi mieli dołączyć Pakistańczycy, pracujący w Niemczech. Któryś z Hiszpanów rzucił hasło, żeby unikać Hindusów, bo są brudni, i kiedy samolot wzniósł się w powietrze, rodacy Carvalho rozpoczęli negocjacje z niemieckimi stewardesami, by pozwoliły im trzymać się razem, a przynajmniej siedzieć obok innych Europejczyków. Detektyw założył słuchawki, zdając się na propozycje kanałów muzycznych, w których przeważały pieśni na Boże Narodzenie. To już listopad, powiedział do siebie Carvalho, odkrywając bożonarodzeniowe motywy kwiatowe, zdobiące samolot Lufthansy. Kiedy samolot wylądował w Karaczi, Carvalho po raz ostatni ujrzał Azję, pożegnał się z dobroczynnym ciepłem, z elementarną prawdą, jaka zawiera się w azjatyckiej przyrodzie. Może już nigdy więcej tu nie wróci. W jego wieku powinien żegnać się z niektórymi miejscami, wiedział mniej więcej, co jeszcze może go spotkać. Jeśli któregoś dnia dopisałoby mu szczęście, chciałby pojechać dookoła świata jak Phileas Fogg, w towarzystwie Biscutera, szukając niebezpiecznych przygód i przewyciężając wszystkie przeszkody. W samolocie pokazywali Dzikusa z Yves'em Montandem i Catherine Deneuve, historię fabrykanta perfum, który porzuca laboratoria, bogatą żonę i nowojorskie mieszkanie i wybiera

tropikalną wyspę z Catherine Deneuve. Może któregoś dnia Carvalho zamieszka na Ko Samui, ale roli dzikuski nie chciał powierzyć Charo, tylko jakiejś nieskomplikowanej dziewczynie, łatwej do rozszyfrowania, jak karczochy albo Celia Mataix. Był wdzięczny losowi za zimną herbatę z cytryną, podaną przez stewardesę. Od Karaczi musiał tolerować Niemca, który zajął sąsiednie miejsce. Obok innego Niemca, siedzącego z przodu, usadowiła się młoda matka, Pakistanka, podróżująca z kilkumiesięcznym dzieckiem i obławowana tobołami. Niemiec pomógł przewinąć małego tubylca, a kiedy mama odeszła na chwilę i niemowlę wybuchnęło płaczem, zaczął je niańczyć. Ojcowsko-adoptyjna postawa typowego Niemca, który wyglądał tak, jakby wypił połowę piwa ze wszystkich dortmundzkich browarów, zaskoczyła rodaka, siedzącego obok Carvalha. Powodem zdziwienia nie była jednak niewątpliwa techniczna zręczność mężczyzny, lecz gotowość do zadawania się z niższymi rasami, posunięta aż do wycierania im dupy. Detektyw analizował na przemian niemiecką czułość i konsternację, i w ten sposób zdołał przetrwać podróż nad Iranem i Turcją; czekał, aż znajdą się nad Europą i powróci światło dnia.

W czasie postoju we Frankfurcie kupił wędzonego tuńczyka, ikrę dorsza i szynkę z Westfalii, żeby przygotować coś w stylu taramá, upolował też przepiękny ser z Münsteru o właściwej miękkości. Wyśle Biscutera po kminek do sklepu z przyprawami na Princesa i przez parę dni będzie się rozkoszował miękkim serem, któremu nie przeznaczono długiego życia. Tłumaczył sobie, że zakupy odprężają go po beznadziejnej, trwającej ponad szesnaście godzin podróży, nie mógł jednak stłumić w sobie wściekłości i chęci odwetu na Teresie Marsé. W ten sposób bronił się może przed tym, by ponownie przemyśleć swoją taktykę małych uników, która popchnęła go do ucieczki do przodu, jaką była podróż do Bangkoku. Jak zaprogramowany poszukiwacz nicości dotknął stopami podłogi na lotnisku Prát, rozpoczynając mechaniczny ruch, dzięki któremu odzyskał walizkę, wziął taksówkę, wszedł po schodach biura na Ramblas i zaskoczył Biscutera, pytając:

- Gdzie jest wiadomość od Teresy Marsé?

- Szefie, ale się cieszę! Niesamowite. Wczoraj dzwonił pan z tak daleka, a dzisiaj jest pan z powrotem.

- Wiadomość, Biscuter.

„Pepe, bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, ale dziękuję ci. Wszystko ci opowiem. Mój ojciec pieni się ze złości. Jadę z Architem nad Mar Menor, żeby trochę odpocząć. Nie oczekuję słońca, chcemy nabrać oddechu, medytować i kochać. Archit na to zasługuje”.

Carvalho zmiął papier i wyrzucił go do kosza.

- Jest coś nowego?

- Nie odpocznie pan sobie, szefie?

- Jest coś nowego?

- Przyszła do pana jedna kobieta. W sprawie zbrodni z butelką szampana. Potem poszła w nocy do pani Charo. Okazało się, że jest stuknięta, i panienska Charo później do mnie zadzwoniła, bardzo obrażona, mówiąc, że jej narobiłem kłopotów. Bardzo się obraziła.

- Ta kobieta wróciła?

- Już nie. Za to kilka razy dzwonił pan Daurella. Dopiero co z nim rozmawiałem. Chce pan, żebym coś upichcił? Zrobiłem rosół. Dobrze by panu zrobił po podróży...

Carvalho otworzył walizkę i wręczył Biscuterowi jedwabny krawat i chiński kalendarz.

- Ale fajny, szefie! W niedzielę założę.

Detektyw wykręcał już numer Daurelli, tymczasem Biscuter założył krawat do flanelowej, mocno spranej koszuli.

- Pan Daurella? Mówi Carvalho.

- Nie wie pan nawet, jak się cieszę, że pana słyszę. Moglibyśmy się zobaczyć?

- Co się stało? Następne manko?

- Gorzej, panie Carvalho. Niestety, które może pogrzyźć naszą rodzinę. Ten pocavergonya, ten łobuz, przeklinam godzinę, w której wszedł do naszego domu, uciekł z moją synową, Holenderką.

- Tak ni z tego, ni z owego?

- Widać, że to się już dawno zaczęło, bo teraz mój Ausiàs, mój biedny Ausiàs powiązał fakty, zrozumiał rzeczy i sytuacje, których wcześniej nie pojmował.

- Zabrali pieniądze?
- Na pierwszy rzut oka nie, ale przecież to ona prowadziła księgowość i miałem do niej całkowite zaufanie. Niech pan pomyśli, ile oni mogli uzbierać.
- A co ja mam z tym wszystkim wspólnego?
- Pan mi otworzył oczy, Carvalho.
- Ale nie mogę czuć się za to odpowiedzialny przez całe życie.
- I teraz chcę, żeby pan ich znalazł i uszkodził go.
- Co pan ma na myśli?
- Żeby ten łobuz dostał manto i już nie wstał albo został kaleką na całe życie.
- Niech pan sobie poszuka kogoś innego do tej roboty.
- Musimy porozmawiać, Carvalho, bo jak nie, to mnie na miejscu coś trafi.
- Co z pana żoną?
- Płacze.
- A żona pocawergonya?
- Też płacze.
- Niech jeszcze popłaczą przez parę dni, potem zobaczę, co się da zrobić.

Carvalho odłożył słuchawkę. Schował paszporty do szuflady, wyjął z walizki zmianę ubrania i neseser. Włożył to wszystko do plastikowej torby z supermarketu.

- Biscuter, zadzwoń do Charo, powiedz jej, że jeszcze nie skończyłem i że zadzwonię do niej w najbliższym czasie.

- Gdzie pan jedzie, szefie?
- Nad Mar Menor.

Biscuter nie pytał dalej, tylko wybałuszył oczy. Carvalho zbiegł po schodach, skacząc po dwa stopnie. Na ulicy zatrzymali go dwaj osobnicy.

- Pan Carvalho? Jose Carvalho Tourón?

Na kilometr czuć było gliny, chociaż mężczyźni przebrali się za roznosicieli mrożonych hamburgerów.

- Inspektor Contreras chce pana widzieć.
- Spieszę się. Wyjeżdżam z Barcelony. Proszę powiedzieć inspektorowi, że go pozdrawiam i obiecuję, że po powrocie zajrzę na komisariat.

- To nie potrwa długo.

Popchnęli go lekko.

- Jestem zatrzymany?

- To tylko techniczna konsultacja, ale prosimy, żeby pan nie robił przedstawienia.

Wsadzili go do samochodu rozwożącego mrożone hamburgery.

- Nie widziałem waszych legitymacji.

Policjanci sięgnęli do kieszeni.

Contreras żywił głębokie przekonanie, że Carvalho jest pechowym typem, którego należy się wystrzegać, toteż detektyw nie był zdziwiony, gdy inspektor przyjął go z nadętą miną i spojrzeniem, przypominającym cios poniżej pasa.

- Ale się pan opalił! Co to, odpoczywał pan w Alpach szwajcarskich?
- Opaliłem się na najbardziej skurwionych plażach tropików.
- Z panem to zupełnie tak jak z dziewczyną spod siódemki:

Zapytam całkiem szczerze: skąd ona tyle bierze.

Contreras zanucił wers kupletu.

- Uprzedzam pana, że to jest nielegalne zatrzymanie, dokonane w socjalistycznym i demokratycznym kraju.

- Życzy pan sobie adwokata? Dwóch? Pięciu? Stu? Pan wie, gdzie ja mam wszystkich adwokatów?

- Niech pan nie straci wielkiej szansy, jaka otwiera się przed demokratycznymi policjantami. Socjaliści będą potrzebować profesjonalnych i demokratycznych policjantów.

- Żarty na bok. Nie mam zamiaru tracić czasu z podglądaczem cudzych majątek. Po co pan się wmixszał do sprawy zbrodni z butelką szampana?

- Zaproponowałem moje usługi kilku podejrzanym.

- Na przykład?

- Dalmasesowi, Rosie Donato, Marcie Miguel.

- Więc Marta Miguel też, co?

Contreras popatrzył inteligentnym wzrokiem na swoich pomocników i posłał detektywowi wściekłe spojrzenie.

- Kiedy pan widział ostatni raz Martę Miguel?

- Dwa tygodnie temu.

- Gdzie?

- U niej w domu. Zaprosiła mnie na wyborną kielbasę z Salamanki.

- Kielbasa z Salamanki. Pan pójdzie ze mną. Pokażę panu dobrą kielbasę z Salamanki.

Tym razem wsiedli do oficjalnego auta. Contreras przeklinał opieszalego kierowcę, korki uliczne i niedopałki, porzucone na słomiankach. Obaj sprzedawcy mrożonych hamburgerów marszczyli brwi i wzdychali, uprzedzając Carvalha, że inspektor ma dzisiaj zły dzień. Zbliżali się do Instytutu Medycyny Sądowej i detektyw zaczął zastanawiać się, czyje zwłoki będzie za chwilę oglądał. Z pewnością taki właśnie był plan Contrerasa. Carvalho pomyślał, że chodzi o Rosę Donato, jeszcze jedną ofiarę kontrolowanego gniewu Marty Miguel.

- Zatrzymano ją?

- Kogo?

- Martę Miguel.

- To byłby pierwszy taki przypadek.

Carvalho był przygotowany na wielogodzinną jazdę w poszukiwaniu Teresy Marsé i Archita, ale nie mógł przeniknąć zagadek lub językowej nieudolności inspektora. Dawny konflikt z Contrerasem o przekroczenie kompetencji był już teraz czysto retoryczny, wciąż jednak nadawał sens rolom, które obaj odgrywali. Carvalho chciał jak najszybciej zakończyć tę historię i nawet wyprzedził policjantów w korytarzach Instytutu. Znaleźli się w kostnicy, Contreras kazał otworzyć pojemniki dwanaście i trzynaście. Dwa trupy, pomyślał Carvalho i nadał Dalmasesowi status nieboszczyka. Jednak kufry na kółkach odłoniły przed nim kwadratową, siną twarz Marty Miguel i wychudzoną, ptasią twarzyczkę matki, której oczy wciąż były otwarte. Carvalho zaczerpnął potężny haust powietrza, by powstrzymać trwogę, narastającą w piersiach, i wypuścił je, odwracając się plecami do ciała, a twarzą do Contrerasa, który obserwował go z niechętną miną.

- Mógł mi pan to powiedzieć w komisariacie i oszczędzić sobie tej komedii.

- A co pan powie o tym liście?

Inspektor wręczył mu kartkę wyrwaną z notesu:

„Panie Carvalho, wzywałam niebo i nie wysłuchało mnie. Pan wiedział o tym, ale nie chciał pan przyjąć moich zwierzeń. Teraz zdechł wściekły pies i po kłopotcie”.

- Nic więcej nie zostawiła?

- Znaleźliśmy też wiadomość dla sędziego. Typową. Jak wyjętą z powieści. Nawet zaczyna się od słów:

„Panie sędzio, niech się nikogo nie obwinia...”

- Była dobrą studentką ale nie potrafiła się wystawiać. To się przytrafia wielu znakomitym umysłom. Carvalho był tak poważny, że Contreras nie wyczuł najdrobniejszej ironii.

- Pan wie, co to znaczy zatajenie dowodów?

- Wiem i dlatego dziwi mnie, że muszę uczestniczyć w tej błażnadzie. Nie zataiłem żadnego dowodu. To fakt, że podejrzewałem ją o zabicie Celii, ale tylko dlatego, że ona sama miała wielką ochotę się przyznać.

- Zupełnie inaczej było w komisariacie. Prawie nas przekonała o swojej niewinności, chociaż nigdy nie wykreśliliśmy jej z listy podejrzanych.

- Powiem panu prawdę, drogi przyjacielu, wiem, że pan się nie uważa za mojego przyjaciela, ale jeszcze mogę wybierać sobie wrogów. W tym czasie byłem bez pracy. W gazecie znalazłem notatkę o sprawie butelki szampana. Analizując tę sprawę i charakter podejrzanych doszedłem do wniosku, że mogę coś na tym skorzystać. Tacy ludzie nie lubią kłopotów i są przyzwyczajeni do tego, żeby płacić rozmaitym pośrednikom, na przykład psychiatrom i adwokatom, dlaczego nie mieliby wynająć prywatnego detektywa? Potrzebowali logicznej argumentacji, pewnego sposobu myślenia, żeby utrzymać swoje alibi. Zaproponowałem im moje usługi. Dalmases i Donato mogli mi zapłacić, a Miguel nie. Tyle, że ci pierwsi byli niewinni, a poza tym skąpi i nie zatrudnili mnie. Miguel nie miała ani grosza. Co miałem robić? Nie uprawiam sztuki dla sztuki. Przestałem się interesować tą sprawą. Wziąłem inną. Już nawet zapomniałem o tym morderstwie, a teraz pan wypycha mi przed oczy trupy. Dopiero co wróciłem z Azji, zepsułem sobie metabolizm, muszę przyzwyczaić się do zmiany czasu, bo kiedy u nas się je, tam się śpi, więc jestem cały rozstrojony, muszę wyjechać.

Pracownik kostnicy wykonał polecenie Contrerasa i odesłał zwłoki Marty Miguel do lodowatej niszy. Carvalho chciał ujrzeć po raz ostatni drobne ciało staruszki, matkę Archita, swoją własną matkę, samego siebie, końcówkę, haniebny koniec nadziei, zniszczonej przez starczy uwiad. On sam miał nadzieję umrzeć w wygodnym fotelu, obok butelka białego wina, mrożąca się w kubku z lodem, w ręku kanapka z kawiozem albo wątróbką w cieniu drzew, wszystko jedno, jakich. Chciałby umrzeć z przypuszczeniem, że jego świadomość oderwie się od ciała i zacznie wznosić ku drzewom, by oglądać z lotu ptaka swoją śmierć, prostacką i niepełną. Ale sama możliwość innej śmierci, myśl, że może zostać rozerwany na kawałki przez chorobę, oszukując samego siebie i chcąc za wszelką cenę przeżyć, doprowadzała go szaleństwa i wówczas pragnął zabić w sobie pamięć i pożądanie, dwie rajfurki, które zakrywają prawdziwe oblicze śmierci.

- Carvalho. sto razy pana ostrzegałem. Powinien pan przeczytać kodeks i poznać normy postępowania prywatnych detektywów. Działacie w ściśle określonych granicach. Nie jesteście autonomiczni, nie możecie uzurpować sobie roli policji. Niechże pan się zajmie kradzieżą formuły perfum, do ciężkiej cholery, ale nie ładuj się pan w cudzą parafię. W co się pan teraz bawi?

- Pewna kobieta wyjechała w podróż, poderwała cudzoziemca, zaczęli ich za to ścigać, a ja próbowałem ją z tego wyciągnąć.

- Widzi pan? I o to chodzi. Takich spraw będzie pan miał na pęczki, bo jest pan dobrym fachowcem. I po co się wtrącać w nie swoje sprawy? Niejednemu już cofnęliśmy zezwolenie. Ostatni raz pana ostrzegam.

- Mogę już odejść?

- Owszem. Jeśli pan życzy, odwieziemy pana do domu.

Carvalho podziękował za propozycję, chciał jednak czym prędzej opuścić ten przybytek śmierci, znajdującej się poza wszelkim podejrzeniem, jak gdyby śmierć sama w sobie nie była końcem.

Contreras zdołał jeszcze zamknąć całą sprawę:

- Zabójstwo tej Mataix to była lesbijska afera.

Carvalho przytaknął.

- Rosę Donato mamy w kartotece. Ale tej nieszczęśnicy nie mieliśmy.

- Nie musicie jej wpisywać. Po co wam to.

Contreras zeszywniał.

- Zmarłych nie wciągamy do kartoteki.

Przynajmniej gra jest czysta.

Przemierzył ten szlak po raz pierwszy w maju tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego któregoś. Odkrył nagle zapach kwiatu pomarańczy, który do tej pory był jedynie literacką aluzją, fragmentem anachronicznego języka jego dzieciństwa, kwiat pomarańczy, herbata pomarańczowa, wyrazy tak mocno związane z utraconym światem wrażeń, jak ludzie, którzy je wypowiadali - jego babka, siostra babki, dalekie kuzynki - ceregumil, woda Najświętszej Paniienki, nalewka z melisy, balsam „Sloan”.



Zapach, który wspinał się o zmierzchu po ogrodzeniach szarzejącego Benicarló i przemieniał się w nocny ocean, zmierzający w stronę Sagunto, był właśnie aromatem pomarańczowego kwiatu, ponieważ maj przynosił kwiaty, kwiecień oznaczał deszcze, a sierpień - upały. Carvalho odkrył, że kwiat pomarańczy nadal żyje w Hiszpanii, która zaczynała powoli gnić, że, co ważniejsze, ten zapach ma wielką szansę, by stać się wieczny, i to objawienie było najważniejszym wrażeniem podróży.

Dziewczyna kochała się z Carvalhem, przemykając oczy, jęki rozkoszy kierowały się do środka, a nie na zewnątrz, choć był przecież maj, jechali południowym szlakiem i oboje wiedzieli z książek, że południe jest miejscem, z którego nikt nie chce powrócić. Carvalho dobiegał trzydziestki, nie miał jednak pojęcia, jak wyglądają sady pomarańczowe ani dębowe lasy, od ujścia Ebro czekała na niego niespodzianka, która wiele lat później powtórzyła się w Kastylii i Estremadurze - zrozumiał upór, z jakim drzewa bronią się przed zbrodniczym działaniem człowieka. Wzruszyła go namacalna obecność sadu pomarańczy po drugiej stronie lustra, po drugiej stronie Geografii Hiszpanii albo powieści Blasco Ibañeza. Przez wiele lat w maju powtarzała się podróż na południe, tak daleko, jak na to pozwalały krótkie urlopy. Południe Mar Menor, pas położony między morzami, wydmy, osady, które ledwo rozklejają oczy, by spojrzeć na pierwszych turystów, przybywających z północy, przyzwyczajone widzieć na co dzień przyjezdnych z Cartageny - chustki na głowach, związane na cztery rogi, podkasane spódnice lub podwinięte spodnie, wyplatane krzesła z nogami zanurzonymi w wodzie, nagie stopy, chlapiące się w ciepłym morzu, które zabiera ze sobą diabła reumatyzmu. Od Alicante aż do Mar Menor czuło się pierwsze hiszpańskie ciepło, ciepło majowe, majowe słońce, majowe morze, zapowiedź splendoru lata, dorady w sosie własnym, krwistoczerwone wino z Jumilla, odpowiednio schłodzone, calderos z ryżem i sosem czosnkowym, ryż z jajkiem sadzonym z Elche, wędliny nasycone anyżkowym aromatem, kwiat anyżu.

W miarę, jak twardniały źrenice jego oczu, ucieczki na południe stawały się coraz rzadsze, a może dziewczyny przemieniły się w kobiety-róże Aleksandrii, kolorowe nocą, białe za dnia, i ledwie miały czas na krótki orgazm między kolejnymi spotkaniami, sklepami, wyjaśnieniami. Ale teraz Carvalho musiał wziąć na siebie całą odpowiedzialność za ostatnią, długą nieobecność, trwającą siedem lat, on również ponosi winę za to, że horyzont został ukamienowany za pomocą bloków hoteli, ciągnących się od Rosas do Marbella.

Zatrzymał się w Benicasim, złamany smutkiem, przeczuwając zmęczenie i nadejście nocy. Kontemplował wieże, zstępujące w stronę Plana, drapacze gówna wyższe niż wzgórza, betonowy mur, za którym zamknięto morze. Z wysokości autostrady Carvalho mógł widzieć rozbitą horyzont morza i sady pomarańczowe, niezniszczalne, bo świadome tego, że przegrały walkę. Człowiek szanuje tylko to, co daje mu bogactwo. Ale może również uprawiać kwiaty, których nie zjada ani nic sprzedaje, kochać zwierzęta, które nie napawają go strachem ani nie dają pożywienia, żywić miejskie gołębie i bezdomne koty, albo oślepiac kanarki, żeby dla niego śpiewały, wmówić im, że ich racją istnienia jest służenie człowiekowi, nie zaś podjęcie ryzyka wolności. Carvalho pomyślał, że gdyby posiadał dar języka, napisałby wiersze i książki filozoficzne, ale byłaby to skromna filozofia, filozofia kawiarniana w świecie, z którego zniknęły kawiarnie. Kiedy tylko dotrze do Mar Menor i odnajdzie Teresę, wyrzuci z siebie poczucie klęski, jakie w sobie nosi, wspólny kamień nagrobny dla wszystkich, którzy umarli w ostatnich trzech tygodniach, od Celii Mataix po matkę Marty, ojca Archita i gangstera madame La Fleur. Z tego cmentarnego świata wymykają się tylko sylwetki uciekinierów - Holenderka i pocavergonya, Archit i Teresa, używający życia na cudzy koszt, pośród ludzi skazanych na śmierć. Carvalho chciał powiedzieć tej rozkapryszonej dziewczynie, że jej podróż była naznaczona śmiercią, że ona sama wyrzuciła ludzkie istnienia jak kostki domina, chcąc za wszelką cenę postawić na swoim, dojść do głupiego finału - romansu na zimnej plaży, zamurowanej pustymi wieżowcami, między dwoma morzami, które umierają w odmiennym rytmie.

Z każdą chwilą było mu coraz trudniej myśleć, fantazjować i prowadzić samochód. Oczy, otwarte i ciężkie jak z ołowiu, zaczynały go boleć, chroniły się w legowisku powiek, nagle niemal wyskoczyły z orbit, przerażone niebezpiecznym skrętem ślepego samochodu. Detektyw postanowił poszukać parkingu i przespać się chwilę, by jego ciało odzyskało moc poruszania się. Zasnął głębokim snem, śliniąc się, wyrzucając z oczu guzy zmęczenia i obrazy, które musiał oglądać, wydmuchując z nosa klimatyzowane powietrze samolotu i lotniska, niszcząc w sobie pamięć o cmentarzach. Przebudził się późną nocą, wytarł wierzchem dłoni nitkę śliny, zwisającą z ust, śliny rzadkiej i żółtawej, jak ciecz, która wypływa z ust umarłych. Jego ciało zażądało płynu, zatrzymał się w barze przy ostatniej stacji benzynowej przed dojazdem do Walencji i wypił dwie butelki wody mineralnej.

Przemierzył samotne miasto, szukając przerwanej nitki autostrady, księżyc odsłonił przed nim krajobraz spustoszenia, błoto przyniesione przez ostatnią powódź. Jechał wzdłuż lasów palmowych Alicante, Santa Pola, Guardamar, a kiedy słońce, które właśnie nadeszło znad Ko Samui, obrysowało kontury mauretańskiej wieży Torrevieja, Carvalho przewyciężył depresję i snuł plany na przyszłość.

Zamówi porządne caldero w gospodzie przy wjeździe do Palos, utrże nosa Teresie i zakończy podróż w jakimś pokoju hotelowym, rozczzerwieniony od jedzenia i litrów wina. Od San Javier zaczął jechać wzdłuż wewnętrznego brzegu Mar Menor, mając przed sobą płaski krajobraz, wiatraki i ciemnoczerwoną bliznę gór, skoncentrowaną na wybrzeżu Escombreras i w górniczym regionie Unión.

Zatrzymał się obok uśpionego morza, zdjął buty i skarpetki, podwinął spodnie, wszedł do morza po kolana i przekonał się, że zima jest rzeczywista i nic ani nikt nie może omamić go litościwym kłamstwem lata. Nie zatrzymywał się przy wjeździe na pas międzymorza, tylko od razu pojechał do gospody, przed którą leniwie przeciągały się składane krzesła i córki właściciela z miotłami w rękach. Ojciec był na targu rybnym w Palos, one zaś mogły upiec dla Carvalha parę sardynek i otworzyć butelkę zimnego, czerwonego wina o metafizycznej temperaturze piętnastu stopni. Detektyw poprosił o chleb, pomidory, sól i olej, i od razu wzbudził sensację, podobnie jak wtedy, gdy zaczął gotować w obecności Tajki w magazynie w Bangkoku.

- Co to takiego?
- Chleb z pomidorem.
- I to się je?
- Owszem, i jest bardzo smaczne.
- To chyba coś katalońskiego.

Carvalho potwierdził ten domysł i zaprosił dziewczyny na chleb z pomidorem, te jednak podziękowały, odmawiając grzecznie. Po chwili wrócił właściciel gospody z wiadrem pełnym ryb tutti frutti. Carvalho zamówił u niego caldero na drugą po południu, prosząc, żeby nie zrobił dania z samego tępogłowa, ale dorzucił kurkę wodną, pająka, szczura i ukleję, jeśli będzie potrzeba, bo tępogłów jest zbyt tłusty.

- Może i jest tłusty, ale najlepiej nadaje się na caldero. Ostatnio paniczekowie wymyślili caldero dla bogatych, do którego można wrzucić nawet homara, ale prawdziwe caldero robiło się z drobnej ryby, pomidorów, pieprzu i dużej ilości czosnku, i było dobre i tanie.

- Niech pan zrobi, jak pan uważa za stosowne, ale nie chcę samego tępogłowa.
- Jak pan woli.

Carvalho wsiadł do samochodu, zawrócił do strefy hotelowej i rozpoczął objazd hoteli, rozpytując o Teresę i Archita. Wreszcie w „Galua” powiedziano mu, że mieszka tam kobieta z japońskim przyjacielem i rzeczywiście nazywa się Teresa Marsé, ale w tej chwili nie ma ich w hotelu. Wyszli wcześniej rano, żeby zobaczyć targ rybny w Palos, a co później, nie wiadomo, chociaż poprosili o ręczniki kąpielowe, może nie chcieli się wykąpać, ale można się jeszcze opalić w południe, bo tutaj słońce łapie, nawet w zimie, jak dzień jest ładny.

- Gdzie mogę ich znaleźć?
- Niech pan pójdzie prosto przez Manga, aż skończą się zabudowania i hotele, przejdzie pan przez most, minie pan dom z ogrodem, po lewej stronie będzie przystań. Ludzie, którzy lubią się opalać w samotności, idą właśnie na tę plażę, łatwo ich pan znajdzie, bo turystów jest mało. Niewielu przyjeżdża poza sezonem. Ciekawe, że nie pan pierwszy pyta o tych państwa.

Recepcjonista nie mógł zrozumieć, dlaczego twarz jego rozmówcy zachmurzyła się.

- Ktoś o nich wcześniej pytał?
- Owszem. Jeden Japończyk, całkiem niedawno. Pytał o nich, powiedziałem mu to samo, co panu.
- Może mi pan opisać tego człowieka?
- Mocno zbudowany, z wąsami, Chińczyk albo Japończyk, mógł być Mongołem, bo w tamtych stronach wszyscy są jednakowi. W czarnym kapeluszu.

- W normalnym kapeluszu?
- Tak, w kapeluszu z rondem, w normalnym, zwykłym kapeluszu.

Chwilę później, jadąc pomiędzy wydmami i hotelami, Carvalho pożałował swojego ostatniego pytania. Przypomniał sobie o innym, które zadał przy okazji kupna domu w Vallvidrera. Po obejrzeniu wszystkiego, co stanowiło przedmiot transakcji, od mebli po dach, ogarnął go dziwny niepokój, wydało mu się, że w domu czegoś brakuje, i zapytał:

- A żarówki?
- Co proszę?
- Czy żarówki są wliczone w cenę?

Chociaż właściciel uznał to pytanie za dobry żart, wyrażało ono jednak wyraźny niepokój. Carvalho nie zdejmował nogi z pedału gazu. Samochód wykorzystywał pustą drogę, tańcząc między krawężnikami, ignorując znaki ostrzegawcze. Choć instynkt samozachowawczy skłaniał Carvalha do odrzucenia hipotezy, jakoby cień Jungle Kida mógł przemierzyć morza i lądy i pojawić się na spokojnym cyplu Palos, mimo wszystko otworzył schowek i uspokoił się, widząc, że broń jest na swoim miejscu. Rozpoznawał krajobraz, opisany przez recepcjonistę. Nagle zobaczył wydmy, miejsce, gdzie dwa morza zbliżają się do siebie. Minął most, położony obok dużej willi z przystanią i ogrodem, dalej była samotna plaża. Miał ochotę zatrzymać logikę puszczonego w ruch mechanizmu, wysiąść z auta i pospacerować po piasku.

Leżeli na wydmie, kilka metrów od wahadłowego ruchu Morza Śródziemnego, odwrócenymi plecami do ciepłych wód Mar Menor. Ona leżała na piasku, w bluzce, ale bez spódnicy, głowa mężczyzny spoczywała na jej łonie. Kobieta pieściła głowę Archita w rytm przyływu. Ale Carvalho widział dokładnie ze swojej pozycji, że nie byli sami. Potężny mężczyzna w kapeluszu zbliżał się do wydmy. Carvalho wysiadł z samochodu, ale zaraz wrócił po pistolet, odbezpieczył broń, a potem pobiegł w stronę wydmy, gdzie za chwilę coś miało się wydarzyć. Obserwował scenę jak w zwolnionym filmie: mężczyzna w kapeluszu zatrzymał się i podniósł karabin, celując do pary na wydmie, Carvalho ze wszystkich sił wykrzyknął imię Teresy i jego krzyk przemienił się w kamień, burzący równowagę krajobrazu. Kobieta skuliła się, Archit skoczył na nogi, człowiek w kapeluszu odwrócił się w stronę Carvalha, ukazując przez chwilę gniewną, zdecydowaną twarz Jungle Kida. Gangster znowu wycelował. Archit rozwarł ramiona i zakrył Teresę swoim drobnym ciałem. Dostał postrzał, zwinął się i upadł do przodu. Detektyw wystrzelił, kula podniosła tuman piasku kilka metrów za Jungle Kidem, ten zaś odwrócił się i strzelił do Carvalha, a potem pobiegł do samochodu.

Carvalho dotknął dłonią czoła i uświadomił sobie, że jest zakrwawione. Nie czuł bólu, wiedział jednak, że został zraniony. Kontemplował Pietę: Teresa krzyczała przeraźliwie, płakała i przeklinała, tuląc ciało Archita. w pierwszej chwili nie rozpoznała Carvalha, zaślepiona nienawiścią i strachem. Carvalho czuł zawroty głowy. Uklęknął obok Archita, położył go na piasku i ujrzał jego oczy, które błędziły po niebie, szukając oparcia, by nie runąć do studni śmierci. Detektyw spojrzął w niebo, mając nadzieję mu pomóc. Obaj nie zwracali uwagi na rozdzierający szloch kobiety. Na niebie były tylko stada ptaków, spłoszonych przez wystrzały i Carvalho uznał, że musi rozwiązać wątpliwości Archita.

- Swallows. To są jaskółki.

Archit chciał coś powiedzieć, zanim jego twarz zeszywniała w śmiertelnym grymasie. Carvalho wiedział, że chłopak próbował wypowiedzieć tę nazwę, na dowód, że rozpoznał ptaki, a wraz z nimi wielką ojczyznę przestworzy.